
**J A M E S
PATTERSON
W SIECI
PAJĄKA**



JAMES PATTERSON
Alex Cross 01 - W sieci
pajaka

Z angielskiego przełożył

**RAFAŁ LISOWSKI
WARSZAWA 2007**

Tytuł oryginału: **ALONG CAME A SPIDER**

Copyright © James Patterson 1993 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007

Copyright © for the Polish translation by Rafał Lisowski 2007

Redakcja: Dorota Stańczak

Ilustracja na okładce: Getty Images/Flash Press Media

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-438-8

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa – księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: OpolGraf S.A., Opole

Podziękowania

Pragnę podziękować Peterowi Kimowi za pomoc w odkrywaniu tajemnic prywatnego życia ludzi i wielu tabu, wciąż istniejących w Ameryce. Dzięki Anne Pough-Campbell, Michaelowi Ouweleenowi, Holly Tippet i Irene Markocki lepiej zrozumiałem Alexa i wyobraziłem sobie jego życie w południowo-wschodniej części Waszyngtonu. Liz Delie i Barbara Groszewski dbały o moją pisarską rzetelność. Dzięki Marii Pugatch (mojej Lowenstein) oraz Markowi i MaryEllen Pattersonom przypomniałem sobie lata pracy na oddziale psychiatrycznym w McLean Hospital. Carole i Brigid Dwyer oraz Midgie Ford bardzo mi pomogły przy pracy nad postacią Maggie Rose. Richard i Artie Pine biegali z tą książką wszędzie, jak demony, którymi potrafią być. I wreszcie, dziękuję Fredrice Friedman, z którą od początku do końca dzieliłem swe trudy.

Prolog

Zabawmy się w udawanie

(1932)

Niedaleko Princeton w stanie New Jersey,

marzec 1932

Okna domu na farmie Charlesa Lindbergha świeciły jasnym, pomarańczowawym światłem. Budynek przypominał płonący zamek, zwłaszcza na tle ponurych jodłowych lasów tej części New Jersey. Spośród obłoków mgły wyłoniła się sylwetka chłopca. Był już coraz bliżej. Coraz bliżej swej pierwszej chwili sławy, swojego pierwszego zabójstwa.

Noc była czarna; na rozmięklej, błotnistej ziemi pełno było kałuż. Chłopiec to przewidział. Wszystko dokładnie zaplanował. Nic nie było w stanie go zaskoczyć, nawet pogoda.

Na nogach miał robociarskie buty, rozmiar 9. Czubki i pięty butów wypchał szmatami i strzępkami „Philadelphia Inquirer”.

Chciał zostawić ślady. Dużo śladów – śladów mężczyzny, a nie dwunastoletniego chłopca. Miały one prowadzić od szosy zwanej Stoutsburg Wertsville Road aż do domu na farmie i z powrotem.

Kiedy dotarł do rzędu sosen, niecałe trzydzieści metrów od ogromnego gmaszyska, zaczął drzeć. Rezydencja była równie wielka, jak ją sobie wyobrażał; tylko na pierwszym piętrze mieściły się cztery łazienki i siedem sypialni. Tak właśnie mieszkali sobie na wsi Lucky Lindy i Anne Morrow.

Luz-blues, pomyślał.

Był coraz bliżej okna jadalni. Fascynował go ten stan znany jako „sława”. Wiele o tym myślał. Prawie bez przerwy. Jaka

właściwie jest ta „sława”? Jak pachnie? Jak smakuje? Jak ta „sława” wygląda z bliska?

„Najbardziej fascynujący i lubiany człowiek świata” siedział właśnie tutaj, przy stole. Charles Lindbergh rzeczywiście był wysoki, elegancki, miał niesamowicie złociste włosy i jasną cerę. „Lucky Lindy” rzeczywiście zdawał się wyróżniać spośród reszty ludzkości.

Podobnie jak jego żona, Anne Morrow Lindbergh. Miała krótkie, ciemne, kręcone włosy, przy których jej karnacja sprawiała wrażenie kredowobiałej. Światła stojących na stole świec zdawały się tańczyć wokół postaci kobiety.

Oboje siedzieli bardzo wyprostowani. Tak, rzeczywiście budzili zachwyt. Byli niczym wyjątkowy dar od Boga dla całego świata. Trzymali głowy wysoko i jedli dystyngowanymi ruchami. Chłopiec usiłował dojrzeć, co mają na talerzach z najdoskonalszej porcelany. Chyba kotlety jagnięce.

–Będę od was sławniejszy, wy żalosne sztywniaki – wyszeptał w końcu.

Obiecał to sobie. Każdy szczegół przemyślał co najmniej tysiąc razy. Działał bardzo metodycznie.

Poszedł po drabinę, którą robotnicy zostawili niedaleko garażu. Przycisnął ją mocno do boku, a potem zaniósł tuż za okno biblioteki. Po cichutku wspiął się do pokoju dziecinnego. Serce mu łomotało tak głośno, że aż je słyszał.

Lampa w holu oświetlała pokoi. Chłopiec dostrzegł łóżeczko, w którym spał mały królewicz. Charles junior, „najsłynniejsze dziecko świata”.

Z jednej strony łóżeczka stał barwny parawan z rysunkami wiejskich zwierząt, który chronił przed przeciągami.

Chłopiec podziwiał własny spryt i swoją przebiegłość.

–Przyszedł Pan Lisek – szepnął, cichutko otwierając okno.

Zrobił kolejny krok i wreszcie znalazł się we wnętrzu.

Stanął nad łóżeczkiem i zaczął się wpatrywać w małego

królewicza. Malec miał złote loki jak ojciec, ale był tłusty. Charles junior miał zaledwie dwadzieścia miesięcy, a już się zdążył spaść. Chłopiec tracił panowanie nad sobą. Łzy spływały mu po policzkach. Jego ciało zaczęło drżeć z frustracji

10

i gniewu – zmieszanych z największą radością życia.

–No, pociecho tatusia, czas na nas – mruknął pod nosem.

Wyjął z kieszeni małą gumową piłeczkę, do której przymocowana była elastyczna gumka. Przełożył Charlesowi juniorowi ten dziwny przedmiot przez głowę właśnie w chwili, gdy otwarły się błękitne oczka malca.

Dziecko zaczęło płakać, ale chłopiec wetknął piłeczkę prosto w zaślinioną buzię. Pochylił się i chwycił małego Lindbergha

w ramiona, po czym prędko zszedł po drabinie. Wszystko zgodnie z planem.

Puścił się biegiem przez zabłocone pola z wijącym się berbeciem w objęciach – i wreszcie zniknął w ciemności.

Niecałe trzy kilometry od farmy zakopał rozpuszczonego bachora Lindberghów – zakopał go żywcem!

A to był dopiero początek tego wszystkiego, co miało nadejść. W końcu sam był jeszcze dzieckiem.

To on, a nie Bruno Richard Hauptmann, porwał dziecko Lindberghów. Zrobił to samodzielnie.

Luz-blues.

Część pierwsza

Maggie Rose

i Michael Krewetka

(1992)

Rozdział 1

Wczesnym rankiem 21 grudnia 1992 roku siedziałem na oszklonej werandzie naszego domu przy 5th Street w Waszyngtonie, cały w skowronkach. Niewielkie, wąskie pomieszczenie zagracały pleśniejące zimowe palta, robocze buciorzy, zepsute zabawki. Wcale mi to nie przeszkadzało. Byłem w domu.

Grałem Gershwin na naszym nieco rozstrojonym fortepianie, który czasy swej świetności miał już dawno za sobą. Była piąta rano, a na werandzie zimno jak w psiarni. Dla Amerykanina w Paryżu mogłem się jednak nieco poświęcić.

W kuchni zabrzączał telefon. Może wygrałem na loterii waszyngtońskiej, a może stanu Wirginia albo Maryland, i zapomnieli mnie o tym wczoraj poinformować? We wszystkie trzy niestety gram regularnie.

–Odbierze babcia? – zawołałem.

–To do ciebie, sam możesz odebrać – odkrzyknęła moja zgryźliwa babka. – Nie ma sensu, żebym wstawała. A w moim słowniku „nie ma sensu” znaczy „nie ma mowy”.

Nie do końca to właśnie powiedziała, ale coś bardzo podobnego. Jak zawsze.

Pokuśtykałem do kuchni, slalomując na wciąż jeszcze sztywnych o tej porze nogach między rozrzuconymi zabawkami. Miałem wtedy trzydzieści osiem lat. Jak to mówią – gdybym wcześniej wiedział, że będę tyle żył, to bym o siebie bardziej dbał.

Okazało się, że dzwonił mój partner w doli i niedoli, John Sampson. Wiedział, że nie będę już spał. Sampson zna mnie lepiej niż moje własne dzieci.

–Dzieńdoberek, brązowy cukiereczku. Już na nogach, prawda? – powiedział.

Nie musiał się inaczej przedstawiać. Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, odkąd w wieku dziewięciu lat zaczęliśmy podkradać ze sklepu wielobranżowego Park's Corner niedaleko osiedla. Wtedy nie wiedzieliśmy, że stary Park, właściciel sklepu, zastrzeliłby nas za paczkę podwędzonych chesterfiel-dów. Babcia potraktowałaby nas jeszcze gorzej, gdyby się dowiedziała o naszej karierze przestępczej.

–Nawet gdybym do tej pory nie był na nogach, to już jestem – odparłem. – Powiedz mi coś dobrego.

–Kolejne morderstwo. Chyba znowu nasz kolega – powiedział Sampson. – Czekają na nas. Pół miasta już się tam zebrało.

–Trochę za rano jak na karetki – mruknąłem. Czułem wiercenie w brzuchu. Nie tak miałem ochotę zacząć dzień. – Cholera. Ja pierdolę.

Mama Nana podniosła wzrok znad sadzonych jajek i parującej herbaty. Posłała mi jedno z tych karcących spojrzeń pani domu. Była już ubrana do szkoły, gdzie w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat wciąż pracuje społecznie. Sampson dalej dzielił się ze mną krwawymi detalami pierwszych morderstw tego dnia.

–Alex, nie wyrażaj się – powiedziała Mama Nana. – Jak długo masz zamiar mieszkać w tym domu, musisz uważać, co mówisz.

–Będę za dziesięć minut – oznajmiłem Sampsonowi, po czym odwróciłem się do babci i powiedziałem: – To jest mój dom.

Jęknęła, jak gdyby słyszała tę straszną wieść po raz pierwszy.

–Kolejne paskudne morderstwo w Langley Terrace. Wygląda, jakby morderca zabijał dla przyjemności. I boję się, że tak właśnie jest.

–Niedobrze – odparła.

Spojrzenie łagodnych brązowych oczu babci zatrzymało się

na mojej twarzy. Jej białe włosy przypominały jedną z tych koronkowych serwetek, które kładzie na wszystkich fotelach w salonie.

–To okropna dzielnica – rzekła, patrząc mi w oczy. – Politycy doprowadzili to miasto do takiego żalospnego stanu. Wiesz, Alex, czasami myślę, że powinniśmy wyjechać z Waszyngtonu – ciągnęła.

–Też mi się tak czasem wydaje – odparłem – ale chyba damy sobie radę.

–Tak, czarni zawsze dają sobie radę. My trwamy. Cierpimy w milczeniu.

–Nie zawsze w milczeniu – odrzekłem.

Już wcześniej postanowiłem, że włożę moją starą, tweedową marynarkę. Jechałem do morderstwa, a to oznaczało, że spotkam białych. Na wierzch narzuciłem sportową bluzę Georgetown. Lepiej pasuje do okolicy.

Na komodzie przy łóżku stała fotografia Marii Cross. Trzy lata wcześniej moją żonę zastrzelono z przejeżdżającego samochodu. Tego morderstwa, podobnie jak

większości innych w południowo-wschodniej części miasta, nigdy nie wyjaśniono.

Wychodząc przez drzwi kuchenne, ucałowałem babcię. To nasz zwyczaj, odkąd skończyłem osiem lat. Zawsze się też żegnamy, na wypadek gdybyśmy się już mieli nigdy więcej nie zobaczyć. Było tak od prawie trzydziestu lat, odkąd Mama Nana mnie przygarnęła i postanowiła, że zrobi ze mnie człowieka.

Zrobiła ze mnie detektywa w wydziale zabójstw z doktoratem z psychologii, który mieszka i pracuje w waszyngtońskim getcie.

Rozdział 2

Oficjalnie jestem zastępcą komendanta wydziału śledczego, co – cytując Szekspira oraz pana Faulknera – jest tytułem pełnym wściekłości i wrzasku, który nic nie znaczy. Teoretycznie powinienem być w waszyngtońskiej policji szósty czy siódmy co do ważności. Ale nie jestem. Natomiast rzeczywiście na miejscach zbrodni czekają, aż przyjadę.

Przed budynkiem przy Benning Road 41-15 stały trzy niebiesko-białe radiowozy policji miejskiej, zaparkowane zupełnie bez ładu. Zdążyła również przyjechać furgonetka z przyciemnianymi szybami, w której mieściło się laboratorium kryminalistyczne. Był także ambulans. Na jego drzwiach widniał radosny napis KOSTNICA.

Przed dom, w którym dokonano morderstwa, zajechało również kilka wozów strażackich. W pobliżu kręcili się miejscowi gapie, głównie cholernie wścibscy mężczyźni. Na okolicznych werandach stały starsze kobiety, ubrane w zimowe palta, narzucone na piżamy i koszule nocne, z różowymi i niebieskimi wałkami we włosach.

Rozsypujące się deski szalunkowe, okrywające elewację domku szeregowego, pomalowano na krzykliwy błękit. Na podjeździe stał stary chevrolet chevette, którego boczna szyba była rozbita i sklejana taśmą. Wyglądał na porzucony.

–Pieprzę to. Wracajmy spać – powiedział Sampson. –

Właśnie sobie przypomniałem, co my tutaj zobaczymy. Ostatnio nie cierpię tej roboty.

–A ja kocham tę pracę, kocham wydział zabójstw –
odparłem z szyderczym uśmiechem. – Popatrz, nasz lekarz
sądowy już zdążył przywdziać swój plastikowy kombinezon.
A tam są chłopcy z kryminalistyki. I któż to taki ku nam idzie?

Gdy zbliżaliśmy się do domu, poczłapał ku nam biały sierżant w grubej, czarno-granatowej kurtce z futrzanym kołnierzem. Ręce trzymał w kieszeniach, żeby je rozgrzać.

–Sampson? Detektyw Cross?

Sierżant poruszył szczęką jak ktoś, kto chce sobie odetkać uszy podczas lotu samolotem. Doskonale wiedział, kim jesteśmy. Wiedział, że jesteśmy z SZD. Robił nam na złość.

–Siemka, jak leci? – Sampson niezbyt lubił, jak mu się robi na złość.

–Starszy detektyw Sampson – poprawiłem sierżanta. – I zastępca komendanta Cross.

Sierżant był brzuchatym Irlandczykiem, jakby żywcem przeniesionym z czasów wojny secesyjnej. Jego twarz przypominała rozmokły tort weselny. Chyba nie trafiała do niego moja tweedowa kreacja.

–Jak leci? – wysapał. – Wszyscy tu sobie odmrażamy tyłki.

–Tobie by nie zaszkodziło, jakbyś tego tyłka trochę stracił – odparł Sampson. –
Mógłbyś zadzwonić do dietetyka.

–Pieprz się – odparł sierżant.

Miło spotkać białego Eddiego Murphy'ego.

–No proszę, mistrz riposty – Sampson wyszczerzył zęby
w uśmiechu. – Słyszałeś go? „Pieprz się”.

Obaj z Sampsonem jesteśmy słusznej postury. Chodzimy na siłownię przy kościele świętego Antoniego, zwanym czasem „świętym Antkiem”. Razem ważymy jakieś dwieście trzydzieści kilo. Jeśli chcemy, potrafimy wzbudzić respekt. W naszej pracy to się czasem przydaje.

Ja mam tylko metr dziewięćdziesiąt wzrostu. John zaś dwa metry i pięć centymetrów – i dalej rośnie. Zawsze nosi ciemne okulary Wayfarer. Czasem wkłada na głowę szmacianą czapkę

Kangola albo żółtą bandanę. Niektórzy nazywają go „John-John”, bo w jego ciele spokojnie zmieściłoby się dwóch Johnów.

Przeszliśmy obok sierżanta i podążyliśmy w stronę domu. Nasz elitarny zespół powinien być ponad tego typu pyskówki. Czasami nawet nam się to udaje.

Wewnątrz było już kilku umundurowanych funkcjonariuszy. O czwartej trzydzieści na policję zadzwoniła zaniepokojona sąsiadka. Miała wrażenie, że wokół domu kręci się podejrzany typ. Nie mogła spać. Normalna rzecz w tej dzielnicy.

Patrol znalazł w domu trzy ciała. Kiedy to zgłosili, kazano im zaczekać na

Specjalny Zespół Dochodzeniowy – SZD. Zespół składa się z ośmiu czarnych policjantów, teoretycznie przeznaczonych do ważniejszych zadań.

Zewnętrzne drzwi do kuchni były uchylone. Pchnąłem je i otworzyłem na oścież. Każde drzwi wydają swój własny, wyjątkowy dźwięk, kiedy się je otwiera. Te jęknęły jak stary człowiek. Wewnątrz panowała kompletna ciemność. Upiorna. Przez otwarte drzwi wpadł wiatr. Usłyszałem, jak w środku coś zastukotało.

–Nie zapalaliśmy świateł – odezwał się zza moich pleców jeden z mundurowych. – Doktor Cross, prawda?

Skinąłem głową.

–Czy kiedy przyjechaliście, drzwi kuchenne były otwarte? – spytałem.

Policjant był biały, jego dziecienną twarz pokrywał niewielki zarost, który miał mu pewnie dodać powagi. Chłopak mógł mieć dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery lata. Tamtego ranka był bardzo wystraszony. Nie dziwiłem mu się.

–Nie... Żadnych śladów włamania. Ale drzwi nie były zamknięte na klucz. Paskudny widok, proszę pana. Cała rodzina.

Zajrzeliśmy do kuchni. Któryś z funkcjonariuszy włączył mocną metalową latarkę.

Wewnątrz stał tani stół z laminowanym, żółtawozielonym blatem, a obok – plastikowe krzesła w tym samym odcieniu. Na ścianie wisiał czarny zegar z Bartem Simpsonem, taki, jakie widuje się w witrynach aptek People's Drug. W powietrzu unosił się zapach dziwnej mieszanki lizolu i spalonego tłuszczu-

czu – nawet nie do końca niemiły. Na miejscach zbrodni trafiają się gorsze zapachy.

Sampson i ja przystanęliśmy na chwilę. Wdychaliśmy tę woń tak, jak kilka godzin wcześniej mógł to robić morderca.

–On tutaj był – powiedziałem. – Wszedł przez kuchnię. Stał tu, gdzie my teraz.

–Alex, przestań mówić w ten sposób – odparł Sampson. – Brzmisz jak jakiś jasnowidz. Aż mnie ciarki przechodzą.

Ilekolwiek razy by się to robiło, nigdy nie jest łatwiej. Nie chce się wchodzić do środka. Nie chce się oglądać kolejnego koszmaru.

–Są na górze – odezwał się policjant z wąsem.

Opowiedział nam o ofiarach. Rodzina Sandersów. Dwie kobiety, jeden mały chłopiec.

Partner funkcjonariusza, niewysoki, dobrze zbudowany Murzyn, nie odezwał się jeszcze ani słowem. Nazywał się Butchie Dykes. Młody, wrażliwy gliniarz, którego już widywałem w komisariacie.

Weszliśmy tam razem, we czterech. Każdy z nas wziął głęboki oddech. Sampson poklepał mnie po ramieniu. Wiedział, jak bardzo wstrząsają mną zabójstwa dzieci.

W sypialni na górze, tuż przy schodach, znajdowały się trzy ciała.

Matka, Jean „Poo” Sanders, miała trzydzieści dwa lata. Nawet po śmierci kobiety jej twarz zapadała w pamięć – duże, brązowe oczy, wydatne kości policzkowe oraz pełne usta, które zdążyły już posinieć. Zastygły w okrzyku.

Córka Jean, Suzette Sanders, przeżyła na tym świecie czternaście lat. Młoda dziewczyna była ładniejsza od matki. Miała warkocz związany jasnofioletową wstążką, a malutki kolczyk w nosie dowodził, że była dojrzała jak na swój wiek. Suzette zakneblowano granatowymi rajstopami.

Malutki chłopiec, Mustaf Sanders, ledwie trzyletni, leżał twarzą do góry. Na drobniutkich policzkach zaschły łzy. Miał na sobie jednoczęściową piżamkę, taką samą, jakie noszą moje dzieci.

Jak powiedziała babcia, znajdowaliśmy się w paskudnej dzielnicy miasta, które całe stało się paskudne. W tym naszym

wielkim, paskudnym kraju. Matkę i córkę przywiązano do nogi łóżka z imitacji mosiądzu. Użyto w tym celu czarnych i czerwonych siatkowych pończoch oraz prześcieradeł w kwiatki. Wyjąłem z kieszeni dyktafon, który zawsze przy sobie noszę, i zacząłem nagrywać pierwsze spostrzeżenia.

–Zabójstwa H dwieście trzydzieści cztery dziewięćset czternaście do dziewięćset szesnaście. Matka, nastoletnia córka, mały chłopiec. Kobiety pocięte niezwykle ostrym narzędziem.

Zapewne brzytwą. Obcięte piersi. Nie można ich znaleźć.

Zgolone włosy łonowe. Liczne rany od pchnięcia ostrym przedmiotem. Układ określany przez patologów jako „wzorzec gniewu”. Bardzo dużo krwi i kału. Obie kobiety, i matka,

i córka, były chyba prostytutkami. Widywałem je w okolicy.

Mamrotałem monotonna. Zastanawiałem się, czy potem zrozumie to nagranie.

–Ciało chłopca najwyraźniej niedbale odrzucono na bok.

Mustaf Sanders ma na sobie piżamę w Troskliwie Misie odziedziczoną po siostrze.

Wygląda jak małe, przypadkowe zawiniątko bez życia.

Nie mogłem nie czuć żalu, kiedy spoglądałem na chłopca, na jego smutne martwe oczy, wpatrzone teraz we mnie. W głowie mi łomotało. Bolało mnie serce. Biedny, mały Mustafie, kimkolwiek byłeś.

–Myślę, że nie chciał zabić chłopca – odezwałem się do Sampsona. – Nie chciał albo nie chciała.

–Albo nie chciało – Sampson pokręcił głową. – Ja się przychyliam do tej wersji. Alex, to jest Monstrum. To samo Monstrum, które wcześniej zabiło w Condon Terrace.

–

Rozdział 3

Ludzie przyglądali się Maggie Rose Dunne, odkąd miała trzy, może cztery lata. W wieku lat dziewięciu przywykła już do ciągłej uwagi. Do tego, że obcy gapią się na nią, jakby była Maggie Nożycoręką albo Maggie, córką Frankensteina.

Tego ranka także ktoś się jej przyglądał, jednak ona o tym nie wiedziała. Tym razem Maggie Rose powinna była zwrócić na to uwagę. Tym razem to miało bardzo duże znaczenie.

Maggie Rose chodziła do prywatnej szkoły podstawowej imienia Jerzego Waszyngtona w Georgetown, gdzie usiłowała się nie wyróżniać spośród pozostałych stu trzydziścioro uczniów. W tej chwili właśnie trwał apel i wszyscy entuzjastycznie śpiewali.

Maggie Rose trudno się było nie wyróżniać, mimo że bardzo tego pragnęła. Bądź co bądź była dziewięcioletnią córeczką Katherine Rose. Maggie nie mogła przejść obok wypożyczalni wideo, żeby nie zobaczyć zdjęcia matki. Filmy z jej udziałem leciały w telewizji chyba codziennie. Katherine Rose miała więcej nominacji do Oscara niż większość aktorek-artystek na swój temat w magazynie „People”.

Właśnie z tych powodów Maggie Rose chciała się niczym nie wyróżniać. Tego ranka ubrała się w znoszoną bluzę z Fido Dido, podziurawioną z tyłu i z przodu. Włożyła także wytarte, pogniecione dżinsy Guessa, stare różowe reeboki -jej „wierne wycieruchy” – oraz skarpetki z Fido, które wykopała gdzieś

z dna szuflady. Przed pójściem do szkoły celowo nie umyła długich blond włosów. Kiedy mama zobaczyła, jak wygląda jej córeczka, oczy wyszły jej na wierzch. „Fuj do czwartej potęgi!” – zawołała, ale i tak pozwoliła dziewczynce iść w tych ciuchach do szkoły. Mama była w porządku. Rozumiała, z czym Maggie musi sobie radzić.

Dzieci zebrane na apelu – od pierwszo- do szóstoklasistów – śpiewały Fast Car Tracy Chapman. Zanim pani Kaminsky zaczęła grać na błyszczącym czarnym steinwayu melodię folkrockowej piosenki, starała się wyjaśnić wszystkim przesłanie tekstu.

–Ten poruszający utwór autorstwa młodej Murzynki z Massachusetts opowiada o tym, co to znaczy być bardzo biednym w najbogatszym kraju świata. O tym, co w latach dziewięćdziesiątych znaczy być czarnym.

Drobniutka, chuda nauczycielka muzyki i plastyki do wszystkiego podchodziła równie emocjonalnie. Uważała, że powinnością dobrego nauczyciela jest nie tylko informować, ale także przekonywać, kształtować młode umysły uczniów tej prestiżowej szkoły.

Dzieci lubiły panią Kaminsky, więc próbowały sobie wyobrazić, jak to jest być biednym i pokrzywdzonym przez los. Czesne w prywatnej szkole imienia Jerzego Waszyngtona wynosiło dwanaście tysięcy dolarów, więc takie zadanie naprawdę wymagało sporej wyobraźni.

–Ty masz szybki samochód – wtórowały pani K. i fortepianowi. – A ja mam pomysł, jak się stąd zmyć.

Maggie śpiewała piosenkę i uporczywie próbowała sobie wyobrazić, co to znaczy być tak bardzo biednym. Na ulicach Waszyngtonu widziała wystarczająco wielu bezdomnych, którzy spali na mrozie. Kiedy się maksymalnie skupiła, potrafiła sobie przypomnieć straszne sceny z Georgetown i Dupont Circle. Szczególnie tych mężczyzn z brudnymi szmatami, którzy myli szyby samochodów na każdym skrzyżowaniu. Mama zawsze im dawała dolara, czasami nawet więcej. Niektórzy ją rozpoznawali i wtedy im odbijało. Uśmiechali się, jakby ktoś im

sprawił wielką przyjemność, a Katherine Rose zawsze mówiła im coś miłego.

–Ty masz szybki samochód – śpiewała z głębi serca Maggie Rose.

Chciała, żeby jej głos dotarł gdzieś do nieba.

–Ale czy jest dość szybki, żeby stąd odlecieć? Musimy się zdecydować: wyjechać dziś czy żyć tak aż do śmierci.

Gdy piosenka się skończyła, wybuchł głośny aplauz. Przy fortepianie pani Kaminsky skłoniła się leciutko.

–Mocna sprawa – mruknął Michael Goldberg.

Michael stał tuż obok Maggie. W Waszyngtonie, dokąd niecały rok wcześniej sprowadziła się z Los Angeles, był jej najlepszym kolegą. Michael oczywiście kpił. Jak zawsze. W ten sposób, typowy dla mieszkańców

wschodniego wybrzeża, radził sobie z ludźmi, którzy nie byli równie mądrzy jak on – czyli praktycznie z całym światem.

Maggie wiedziała, że Michael Goldberg to prawdziwy „mózgowiec”. Czytał wszystko, co się dało. Kolekcjonował różne rzeczy jak szalony. Zawsze coś robił. I zawsze był dowcipny, o ile tylko kogoś lubił. Jednak urodził się z sinicą, dlatego wciąż słabo rósł i nie był silny. Z tego powodu dorobił się przydomka „Krewetka”. To go trochę sprowadzało na ziemię.

Maggie i Michael prawie codziennie jeździli razem do szkoły. Tego ranka przyjechali prawdziwym samochodem Secret Service. Ojciec Michaela był sekretarzem skarbu. Tak, tym sekretarzem skarbu. W szkole imienia Waszyngtona nikt nie był po prostu „normalny”. Każdy usiłował się nie wyróżniać, w ten czy inny sposób.

Uczniowie stopniowo opuszczali aulę. Przy wyjściu każdego pytano, kto go dziś odbierze po lekcjach. W szkole imienia Waszyngtona bezpieczeństwo było niezwykle ważne.

–Pan Devine... – Maggie zaczęła odpowiadać nauczycielowi, który dyżurował przy wyjściu.

Nazywał się Guestier i uczył języków obcych: francuskiego, rosyjskiego i chińskiego. Uczniowie nazywali go „Le Fiut”.

–I Jolly Chollie Chakely – dokończył za nią Michael

Goldberg. – Secret Service, jednostka dziewiętnaście. Lincoln town car, numer rejestracyjny SC-pięćdziesiąt dziewięć. Północne wyjście, Pelham Hall. Przypisano ich do *moi*, ponieważ kolumbijski kartel groził mojemu ojcu. *Au revoir, mon pro-fesseur.*

W szkolnym dzienniku pod datą 21 grudnia odnotowano: „M. Goldberg i M.R. Dunne – odebrani przez Secret Service. Północne wyjście, Pelham, godzina 15.00”.

–Chodź, Dido Ciamajdo – Michael Goldberg szturchnął Maggie Rose w żebra. – Ja mam szybki samochód. Aha, aha. I mam pomysł, jak się stąd zmyć.

Nic dziwnego, że go lubię, pomyślała Maggie.

Kto inny nazwałby ją ciamajdą? Kto poza Michaeliem Krewetką?

Gdy dwoje przyjaciół wychodziło z auli, byli obserwowani. Jednak żadne z nich nie zauważyło nic podejrzanego. Tak właśnie miało być. Takie było założenie. Taki był genialny plan.

Rozdział 4

Tamtego ranka o godzinie dziewiętej pani Vivian Kim postanowiła odtworzyć w klasie aferę Watergate. Tej lekcji miała nigdy nie zapomnieć.

Vivian Kim była atrakcyjną i inteligentną kobietą, a przy tym inspirującą nauczycielką historii Stanów Zjednoczonych. Dwa razy w tygodniu pani Kim odtwarzała na lekcji jakieś zdarzenie w formie scenek. Czasem pozwalała, żeby coś takiego przygotowali uczniowie. Nabrali w tym sporej wprawy, a ona mogła uczciwie powiedzieć, że jej zajęcia nigdy nie były nudne.

W ten właśnie poranek Vivian Kim chciała przedstawić trzecioklasistom aferę Watergate. W klasie byli Maggie Rose Dunne i Michael Goldberg. Sala była obserwowana.

Pani Kim odgrywała na zmianę generała Haiga, H.R. Halde-mana, Henry'ego Kissingera, G. Gordona Liddy'ego, prezydenta Nixona, Johna i Marthę Mitchellów oraz Johna i Maureen Deanów. Miała talent aktorski i świetnie naśladowała Liddy'ego, Nixona i generała Haiga, a szczególnie Mitchellów i Mo Dean.

–Podczas dorocznego orędzia o stanie państwa prezydent Nixon przemówił za pośrednictwem telewizji do całego państwa – powiedziała dzieciom. – Wiele osób uważa, że nas okłamał. Kiedy ważny urzędnik państwowy kłamie, popełnia straszliwe przestępstwo. My, obywatele, obdarzyliśmy tego człowieka zaufaniem, opierając się na jego solennym przyrzeczeniu, w przekonaniu, że jest osobą prawą.

–Buu! Pff!

Kilkoro uczniów aktywnie uczestniczyło w lekcji. Vivian Kim w granicach rozsądku zachęcała do tego typu zaangażowania.

–Macie całkowitą rację – powiedziała. – W każdym razie tamtego dnia prezydent Nixon stanął przed całym narodem, przed ludźmi takimi jak ja i wy.

Vivian Kim stanęła tak, jakby przemawiała z mównicy. Zaczęła prezentować uczniom swoją wersję Richarda Nixona.

Przybrała ponury wyraz twarzy. Kręciła głową na prawo i lewo.

–Chcę, abyście wiedzieli... że nie jest moją intencją kiedykolwiek zrezygnować ze stanowiska, które powierzył mi naród amerykański.

Vivian Kim zawiesiła głos w tym samym momencie, w którym podczas niesławego przemówienia zrobił to Nixon. Dało to efekt porównywalny z przeciągniętą nutą w kiepskiej, ale bardzo poruszającej operze.

Dwadzieścioro czworo uczniów siedziało w milczeniu. Na tę jedną chwilę pani Kim pozyskała ich całkowitą uwagę. Osiągnęła nauczycielską nirwanę, mimo że tak nietrwała. Nieźle, pomyślała sobie.

Puk, puk, puk, zastukał ktoś rytmicznie w szybę w drzwiach do klasy. Magia chwili prysła.

–Buu! Pff! – mruknęła pod nosem Vivian Kim. – Tak?

Kto tam? Słucham? – zawołała głośno.

Drzwi ze szkła i polerowanego mahoniu powoli się otworzyły. Jeden z uczniów zanucił motyw z Koszmaru z ulicy Wiązów. Do klasy – z wahaniem, niemal nieśmiało – wszedł pan Soneji. Buzie prawie wszystkich dzieci natychmiast się rozpromieniły.

–Jest tu kto? – zapiszczał pan Soneji cieniutkim głosikiem.

Dzieci wybuchły śmiechem.

–Ooo! Wszyscy są – powiedział.

Gary Soneji uczył matematyki, a także informatyki – którą uczniowie lubili nawet bardziej od lekcji Vivian Kim. Męż-

czyzna łysiał, miał sumiaste wąsy i nosił okulary jak angielski uczeń. Nie wyglądał co prawda jak bożyszczce tłumów, ale dla dzieci w szkole był właśnie kimś takim. Poza talentem pedagogicznym pan Soneji budził uznanie jako mistrz gier Nintendo.

Z racji swej popularności, a przede wszystkim z uwagi na to, że był geniuszem komputerowym, wyrobił sobie przydomek „Pan Procesorek”.

Idąc szybkim krokiem w stronę biurka pani Kim, pan Soneji przywitał kilkoro uczniów po imieniu.

Nauczyciele rozmawiali chwilę po cichu. Pani Kim stała tyłem do klasy. Często kiwała głową i mało mówiła. Obok pana Sonejiego, który miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, wydawała się malutka.

Wreszcie odwróciła się przodem do uczniów.

–Maggie Rose i Michael Goldberg. Czy moglibyście tu podejść? I weźcie od razu swoje rzeczy.

Maggie i Michael wymienili zmieszane spojrzenia. O co mogło chodzić? Zebrali rzeczy i ruszyli w stronę biurka, żeby się tego dowiedzieć. Reszta dzieci zaczęła szeptać między sobą, a niektórzy wręcz rozmawiać na głos.

–No dobra, spokój. Nie ma jeszcze przerwy – uciszyła uczniów pani Kim. – Wciąż trwa lekcja. Proszę, przestrzegajcie zasad, na które wszyscy przystaliśmy.

Kiedy Maggie i Michael dotarli do biurka, pan Soneji przykucnął, żeby z nimi po cichu porozmawiać. Michael Krewetka był co najmniej dziesięć centymetrów niższy od Maggie Rose.

–Jest drobny problem, ale nie ma się czym martwić – powiedział pan Soneji. Wobec dzieci był zawsze spokojny i bardzo delikatny. – Generalnie wszystko dobrze. Mały zgrzyt, ale to nic. Generalnie wszystko w porządku.

–No, chyba jednak nie – odparł Michael Goldberg, kręcąc głową. – Na czym polega ten tak zwany zgrzyt?

Maggie Rose na razie nic nie mówiła. Nie wiedziała dlaczego, ale się bała. Coś się stało. Coś na pewno było nie tak. Czuła to gdzieś w brzuchu. Mama ciągle jej powtarzała, że ma zbyt

bujną wyobraźnię, więc teraz usiłowała robić wrażenie spokojnej, zachowywać się spokojnie, być spokojna.

–Dzwonili z Secret Service – powiedziała pani Kim. – Otrzymali pogróżki. Sprawa dotyczy i ciebie, i Maggie. To pewnie tylko głupi żart. Ale na wszelki wypadek zabierzemy was do domu. Tylko na wszelki wypadek. Znacie procedurę.

–Na pewno będziecie mogli wrócić przed długą przerwą- dodał pan Soneji, chociaż nie brzmiał zbyt przekonująco.

–Jakie pogróżki? – spytała go Maggie Rose. – Chodzi o tatę Michaela czy o moją mamę?

Pan Soneji poklepał Maggie po ramieniu. Nauczycieli wciąż zaskakiwało, jak bardzo dojrzałe są dzieci w szkole imienia Waszyngtona.

–Oj, wiesz, jak zwykle. Dużo gadania i nic więcej. Na pewno po prostu jakiś głupek chce na siebie zwrócić uwagę.

Jakiś wredny typ. – Pan Soneji zrobił przesadzoną minę.

Był stosownie zatroskany, ale mimo to sprawił, że dzieci poczuły się bezpieczniej.

–No to po co mamy wracać do domu aż do Potomac, na litość boską? – Michael Goldberg zaczął gestykulować z zawziętym grymasem na twarzy, zupełnie jak miniaturowy prawnik.

Pod wieloma względami był kreskówkową wersją swojego słynnego ojca.

–Na wszelki wypadek. Wystarczy już, Michael. Nie będziemy o tym przecież dyskutować. Gotowi do drogi? – Pan Soneji był miły, ale stanowczy.

–Nie bardzo – Michael wciąż się krzywił i kręcił głową. – Nie ma mowy. Proszę pana, naprawdę, to nie fair. Dlaczego nie mogą przyjechać tutaj i pilnować nas do końca lekcji?

–Po prostu chcą to załatwić inaczej – odparł pan Soneji. – To nie ja ustalam reguły.

–Myślę, że jesteśmy gotowi – odezwała się Maggie. – Chodź, Michael. Przestań się kłócić. Już postanowione.

–Postanowione – powtórzyła pani Kim z życzliwym uśmiechem. – Wyślę wam zadania domowe.

Maggie Rose i Michael wybuchnęli śmiechem.

–Strasznie pani dziękujemy! – powiedzieli jednocześnie.

Pani Kim zawsze umiała znaleźć żart odpowiedni do sytuacji.

Szkolne korytarze były niemal puste i bardzo spokojne.

Jedyną osobą, która widziała, jak cała trójka opuszcza budynek, był czarny woźny nazwiskiem Emmett Everett.

Oparty na szczotce, przyglądał się, jak pan Soneji i dwójka dzieci idą długim korytarzem. Był ostatnią osobą, która kiedykolwiek widziała ich razem.

Wyszli na dwór i szybkim krokiem ruszyli przez wykładany „kocimi łbami” szkolny parking, otoczony żywopłotem oraz eleganckimi brzożami. Buty Michaela stukały na

kamieniach.

–Buty dziwaka – Maggie Rose oparła się o kolegę i zaczęła się z niego naśmiewać. – Wyglądają jak buty dziwaka, ruszają się jak buty dziwaka, brzmią jak buty dziwaka.

Michaelowi brakowało stosownej riposty. Bo co miał powiedzieć? Rodzice wciąż mu kupowali ubrania w głupim Brooks Brothers.

–A w czym miałbym chodzić, panno Glorio Vanderbilt? W różowych adidasach? – próbował się bronić.

–Jasne, w różowych adidasach – Maggie była uradowana. – Albo w zielonych tenisówkach. Ale nie w butach na pogrzeb, Krewetulcu.

Pan Soneji zaprowadził dzieci do nowoczesnej, niebieskiej furgonetki. Stała pod wiązami i dębami, które rosły wzdłuż sali gimnastycznej i budynku administracji. Z wnętrza tej pierwszej dochodziły niemiarkowe odgłosy kozłowania piłkami.

–Wskakujcie. Hopla! Pomogę wam – powiedział pan Soneji.

Nauczyciel podsadził Michaela i Maggie, żeby mogli się usadowić na tyle furgonetki. Okulary ciągle mu się zsuwały z nosa. W końcu po prostu je zdjął.

–Zawiezie nas pan do domu? – spytał Michael.

–Sir Michael wybacz, że to nie mercedes, ale będzie musiał wystarczyć. Po prostu wykonuję polecenia, które dostałem przez telefon. Rozmawiałem z panem Chakelym.

–Z Jolly Cholliem – Michael użył swojego przezwiska dla agenta Secret Service.

Pan Soneji sam też wszedł do wnętrza wozu. Zatrzasnął przesuwane drzwi z głośnym hukiem.

–Dajcie mi sekundkę. Zrobię wam tu więcej miejsca.

Zaczął grzebać wśród kartonowych pudeł ułożonych na przodzie. W furgonetce panował bałagan. Kompletne zaprzeczenie uporządkowanego, niemal pedantycznego stylu, jaki matematyk prezentował w szkole.

– Siadajcie, gdzie się da – mówił dalej, wyraźnie czegoś szukając.

Kiedy Się do nich ponownie odwrócił, na twarzy miał przerażającą czarną maskę z gumy. Przed sobą trzymał jakieś metalowe urządzenie. Przypominało miniaturową gaśnicę, tyle że trochę bardziej w stylu science fiction.

–Proszę pana, co pan robi? – zapytała Maggie Rose głosem bardziej piskliwym niż zazwyczaj. – Proszę pana! – Zasłoniła twarz rękami. – Pan nas straszy! Niech pan się przestanie wygłupiać!

Soneji celował niewielką dyszą prosto w Maggie Rose i Michaela. Stopy, ubrane w ciężkie, czarne buty z cholewką do kostek, ustawił pewnie na podłodze.

–Co to jest? – zawołał Michael, ale sam właściwie nie wiedział, po co to zrobił.

–No nie wiem, ja się poddam. Ty mi to powiedz, geniuszu.

Soneji spryskał twarze uczniów chloroformem. Trzymał palec na spuście przez długie dziesięć sekund. Dzieci, spowite mgłą, opadły na tylne siedzenie.

–Luli, luli – powiedział pan Soneji cichutko, delikatnie. – Nikt się nigdy nie dowie. I to było właśnie najpiękniejsze. Że nikt nie miał nigdy poznać prawdy.

Soneji przesiadł się na przód i zapalił silnik. Wyjeżdżając z parkingu, nucił sobie piosenkę *Magic Bus* grupy The Who. Był dziś w paskudnie dobrym humorze. Planował zostać pierwszym w Ameryce seryjnym porywaczem. I nie tylko.

Rozdział 5

Mniej więcej za kwadrans jedenasta odebrałem w domu Sandersów „nagły” telefon. Nie miałem ochoty rozmawiać z nikim o kolejnych nagłych wypadkach.

Właśnie spędziłem dziesięć minut w towarzystwie dziennikarzy. W czasach morderstw na osiedlach miałem wśród nich trochę przyjaciół. Byłem prasowym pupilkim. Napisali o mnie nawet w niedzielnym dodatku do „Washington Post”. Kolejny raz opowiedziałem o wskaźniku przestępczości wśród czarnych mieszkańców Waszyngtonu. W minionym roku w stolicy popełniono niemal pięćset morderstw. Tylko w osiemnastu z nich zginęli biali. Kilku reporterów nawet to zanotowało. Postęp.

Wziąłem słuchawkę od młodego, inteligentnego detektywa z SZD nazwiskiem Rakeem Powell. W zamyśleniu bawiłem się piłką do koszykówki, która musiała

należę do Mustafa. Dziwnie się czułem, kiedy ją trzymałem. Po co mordować takiego ślicznego chłopca? Nie przychodziła mi do głowy żadna odpowiedź. W każdym razie do tej pory.

–El Jefe dzwoni. Komendant – Rakeem zmarszczył czoło. – Jest zaniepokojony.

–Mówi Cross – odezwałem się do słuchawki telefonu Sandersów.

Ciągle mi się kręciło w głowie. Jak najszybciej, chciałem mieć tę rozmowę za sobą.

Słuchawka pachniała tanimi piżmowymi perfumami. Poo

albo Suzette, może obu. Na stoliku przy telefonie stała fotografia Mustafa w ramce w kształcie serca. Pomyślałem o dwojce moich własnych dzieci.

–Mówi komendant wydziału śledczego Pittman. Jaką tam macie sytuację?

–Chyba seryjny morderca. Matka, córka, mały chłopiec. Druga rodzina w ciągu niecałego tygodnia. Elektryczność w całym domu była wyłączona. Lubi działać po ciemku.

Podąłem Pittmanowi kilka krwawych szczegółów. Zwykle mu wystarczało. Komendant nie będzie mi się wtrącał do tej sprawy. W szerszej perspektywie morderstwa w południowo-wschodniej części miasta niewiele znaczą.

Nastąpiła chwila niewygodnej ciszy. Przyglądałem się choince w pokoju telewizyjnym. Widać było, że ubrano ją bardzo starannie: sreberka, błyszczące ozdoby ze sklepów za grosik, łańcuchy z żurawiny i prażonej kukurydzy. Na czubku sterczał ręcznie robiony aniołek z folii aluminiowej.

–Słyszałem, że zginął diler. I dwie prostytutki – powiedział El Jefe.

–To nieprawda – odrzekłem. – Mają tu ładną choinkę.

–Jasne, że prawda. Nie chrzań mi tu, Alex. Nie dzisiaj. Nie teraz.

Jeśli próbował mnie sprowokować, to mu się udało.

–Jedną z ofiar jest trzyletni chłopiec w pizamce. Możliwe, że robił w dilerce. Sprawdzę to.

Nie powinienem był tego mówić. Wielu rzeczy nie powinienem mówić. Ostatnio ciągle czułem, że jestem na skraju wybuchu. Ostatnio, czyli od jakichś trzech lat.

–Ty i Sampson macie natychmiast przyjechać do prywatnej szkoły podstawowej imienia Jerzego Waszyngtona – powiedział Pittman. – Piekło tu się rozpętało. Nie żartuję.

–Ja też nie żartuję – odparłem. Usiłowałem nie podnosić głosu. – To jest na pewno seryjny morderca. Tu jest naprawdę źle. Ludzie płaczą na ulicy. Zbliżają się święta.

Tak czy inaczej komendant Pittman kazał nam przyjechać do szkoły w Georgetown. Wciąż powtarzał, że rozpętało się tam piekło.

Zanim wyruszyłem do szkoły, zadzwoniłem do jednostki, która w waszyngtońskiej policji zajmuje się seryjnymi mordercami. Potem zatelefonowałem do „superjednostki” w bazie FBI w Quantico. Komputerowe bazy danych FBI zawierają akta wszystkich znanych przypadków zabójstw popełnionych przez seryjnych morderców, w tym profile psychiatryczne, które łączą sposób działania z różnymi nie opublikowanymi szczegółami. Interesowały mnie przypadki, które odpowiadały mojemu – wiekiem i płcią ofiar oraz sposobem okaleczenia.

Przy wyjściu któryś z techników podał mi do podpisania raport. Podpisałem się tak jak zwykle: †.

Krzyż. Cross.

Twardziel z podłej dzielnicy, tak jest.

Rozdział 6

W prywatnej szkole czuliśmy się z Sampsonem trochę nieswojo. To miejsce bardzo się różniło od szkół i ludzi z południowo-wschodniej części miasta.

Oprócz nas dwóch w holu szkoły imienia Jerzego Waszyngtona prawie nie było czarnych. Podobno uczyły się tu jakieś murzyńskie dzieci dyplomatów, ale żadnego nie widziałem. Nic poza grupkami przerażonych nauczycieli, dzieci, rodziców, policjantów. Na trawniku przed wejściem i wewnątrz budynku ludzie płakali bez skrępowania.

Z jednej z najbardziej prestiżowych prywatnych szkół w Waszyngtonie porwano dwoje dzieci, dwoje bezbronnych maluchów. Rozumiałem, że to straszna, tragiczna chwila dla wszystkich zainteresowanych. Zostaw to – mówiłem sobie. Rób, co do ciebie należy.

Zajęliśmy się wykonywaniem policyjnej procedury. Usiłowaliśmy stłumić gniew, który w nas rósł, ale to wcale nie było łatwe. Ciągle widziałem przed sobą smutne oczy malutkiego Mustafa Sandersa. Umundurowany funkcjonariusz poinformował, że oczekują nas w gabinecie dyrektora. Komendant Pittman już tam był.

–Tylko spokojnie – poradził Sampson. – Jeszcze zdążysz się odegrać.

George Pittman zwykle wkłada do pracy granatowe bądź popielate garnitury. Preferuje koszule w prążki oraz srebrno-

–niebieskie krawaty. Jest typem, który chodzi w butach i paskach firmy Johnson Murphy. Siwe włosy ma zawsze zaczesane do tyłu, tak że przylegają do jego okrągłej głowy niczym hełm. Znany jest jako El Jefe, Szef Szefów, Il Duce, Thee Pits, Georgie Porgie...

Chyba wiem, kiedy zaczęły się moje problemy z komendantem Pittmanem. Po tym jak „Washington Post” zamieścił artykuł na mój temat w niedzielnym dodatku. Materiał opisywał mnie jako psychologa, który pracuje w wydziale zabójstw w Waszyngtonie. Powiedziałem reporterowi, dlaczego wciąż mieszkam w południowo-wschodniej części miasta. „Cieszę się, że tam mieszkam. Nikt mnie nigdy nie wygoni z własnego domu”.

Szczerze mówiąc, to z punktu widzenia komendanta Pittmana (i kilku innych osób) szalę przeważył tytuł całego materiału. W ramach przygotowań do artykułu młody reporter zrobił wywiad także z moją babcią. Była kiedyś nauczycielką angielskiego i podatny na sugestię dziennikarz łykał wszystko, co mówiła. Nawkladała mu do głowy, że ponieważ Murzyni są w zasadzie tradycjonalistami, jako ostami na całym Południu zrezygnowaliby z religii, moralności, a nawet dobrych manier. Powiedziała, że jako urodzony w Karolinie Północnej, byłem prawdziwym południowcem. Skrytykowała również fakt, że w dzisiejszych czasach w telewizji, literaturze i prasie wynosi się na piedestały detektywów, którzy zachowują się jak szaleńcy.

Tytuł artykułu, wypisany wielkimi literami nad moją ponurą fotografią, brzmiał: Ostatni dżentelmen z Południa. Materiał wywołał spore zamieszanie w naszym strasznie nadętym wydziale. Szczególnie obrażony był właśnie komendant Pittman. Nie potrafiłem tego udowodnić, ale uważałem, że całą sprawę nakręcił ktoś w urzędzie burmistrza.

Trzykrotnie, raz za razem, zastukałem do drzwi gabinetu dyrektora i razem z Sampsonem weszliśmy do środka. Zanim zdołałem się odezwać jednym słowem, Pittman uniósł w moim kierunku prawą dłoń.

–Cross, posłuchaj tylko, co mam ci do powiedzenia – rzekł, podchodząc do nas. – W tej szkole doszło do porwania. Bardzo istotnego porwania...

–To naprawdę straszne – natychmiast mu przerwałem. – Niestety, jednocześnie w Condon Terrace i Langley zaatakował morderca. Zabił już dwukrotnie. Do tej pory sześć osób straciło życie. Sampson i ja jesteśmy najstarszymi rangą policjantami zajmującymi się tą sprawą. W zasadzie to jest tylko nasza sprawa.

–Jestem świadom sytuacji na osiedlach Condon i Langley. Już poczyniłem odpowiednie kroki. Wszystko jest pod kontrolą – rzekł Pittman.

–Dziś rano ktoś obciął piersi dwu czarnym kobietom. Przywiązał je do łóżka i zgolił im włosy łonowe. Tego też jest pan świadom? – zapytałem. – Zamordował trzyletniego chłopca w piżamce.

Znowu krzychałem. Zerknąłem na Sampsona. Kręcił głową. W naszą stronę spojrzęło kilku nauczycieli.

–Dziś rano dwu młodym Murzynkom obcięto piersi – powtórzyłem specjalnie dla nich. – Po Waszyngtonie ktoś się teraz przechadza z piersiami w kieszeni.

Komendant Pittman wskazał gestem drugie pomieszczenie gabinetu. Chciał tam porozmawiać z nami dwoma. Pokręciłem głową. Kiedy z nim rozmawiam, chcę mieć świadków.

–Wiem, co myślisz, Cross – ściszył głos i zbliżył twarz. Zwietrzały smród papierosów buchał mi w nozdrza. – Myślisz, że się na ciebie uwzięłem, ale to nieprawda. Wiem, że jesteś dobrym gliną. Masz dobre serce i zwykle się nim kierujesz.

–Nie, w ogóle pan nie wie, co myślę. Oto, co myślę! Zginęło już sześcioro czarnych. Na wolności jest szalony, psychopatyczny morderca. Rozkręca się. Ostrzy kły. A teraz porwano dwoje białych dzieci i to jest naprawdę straszne. Straszne! Ale do kurwy nędzy, ja już mam jedną sprawę!

Pittman nagle dźgnął mnie palcem. Był cały czerwony na twarzy.

–To ja decyduję, jakie masz sprawy! Ja! Masz doświadczenie jako negocjator. Jesteś psychologiem. A do Langley i Condon mamy kogo wysłać. Poza tym burmistrz Monroe prosił konkretnie o ciebie.

No i tyle. Wreszcie wszystko zrozumiałem. Interweniował burmistrz. Chodziło o mnie.

–A Sampson? Niech przynajmniej on się zajmie morderstwami na osiedlach – powiedziałem.

–Jak masz jakieś zastrzeżenia, to zgłoś się z nimi do burmistrza. Obaj się zajmiecie tym porwaniem. Na chwilę obecną tyle mam wam do powiedzenia.

Pittman odwrócił się na pięcie i odszedł. Sprawa porwania Dunne i Goldberga była nasza, czy nam się to podobało, czy nie. A wcale nam się nie podobało.

–Może powinniśmy po prostu wrócić do domu Sandersów – zaproponowałem Sampsonowi.

Przytaknął.

–Nikt by tutaj za nami nie tęsknił – dodał.

Rozdział 7

Błyszczący czarny motocykl BMW K-I przemknął przez bramę w niskim murku z polnego kamienia, który okalał teren prywatnej szkoły podstawowej imienia Waszyngtona. Kierowca został wylegitymowany, po czym motor popędził długą, wąską drogą w kierunku szarych zabudowań szkolnych. Była godzina jedenasta.

W kilka sekund, których potrzebował na dotarcie do budynku administracji, motor rozpędził się do setki. Następnie bez trudu zahamował i stanął, niemal nie rozpryskując żwiru. Zaparkował za perłowszarym mercedesem z rejestracją korpusu dyplomatycznego DP101.

Nie zsiadając z motoru, Jezzie Flanagan ściągnęła czarny kask, odsłaniając dość długie blond włosy. Wyglądała na dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem lat. W rzeczywistości tego lata skończyła trzydzieści dwa. Bała się, że życie ją minie. Czowała się jak zabytek, jak jakaś starość. Do szkoły przyjechała prosto z domku nad jeziorem, gdzie spędzała swój pierwszy urlop od dwudziestu dziewięciu miesięcy.

Ten fakt tłumaczył jej ubiór: skórzaną kurtkę, wyblakłe czarne dżinsy z getrami, gruby skórzany pas, flanelową koszulę w czarno-czerwonej kratę oraz ciężkie, znoszone buciory.

Natychmiast doskoczyło do niej dwóch miejskich policjantów.

–Wszystko w porządku, panowie – powiedziała im. – Oto moja legitymacja.

Rzuciwszy okiem na dokument, obaj szybko się odsunęli i zrobili się bardzo uprzejmi.

–Proszę, niech pani wchodzi – powiedział jeden z nich. –

Tam za tym wysokim żywopłotem jest boczne wejście.

Jezzie Flanagan uśmiechnęła się przyjaźnie do dwóch zmieszanych funkcjonariuszy.

–Wiem, że dzisiaj wyglądam myląco. Przyjechałam na motorze prosto z urlopu.

Ruszyła na skróty przez perfekcyjnie przycięty trawnik, pokryty cienką warstwą szronu. Po chwili zniknęła w budynku administracji.

Dopiero wtedy policjanci odwrócili wzrok. Na silnym zimowym wietrze jej blond włosy powiewały niczym serpentyny. Nawet ubrana w brudne dżinsy i robocze buciorzy wyglądała olśniewająco. I zajmowała bardzo ważne stanowisko. Wiedzieli o tym z jej legitymacji. Była poważnym graczem.

Gdy szła holem, ktoś ją złapał za ramię. Ktoś dorwał Jezzie Flanagan, co w jej waszyngtońskim życiu było typowe.

Victor Schmidt. Dawno temu – choć trudno jej było teraz to sobie wyobrazić – Victor był jej partnerem. Pierwszym. Teraz miał przydział do jednego z uczniów w szkole.

Victor był niskim, łysiejącym mężczyzną. Ubierał się sztywnie, zgodnie z modą z magazynu „GQ”. Bez konkretnych powodów wykazywał dużą pewność siebie. Jezzie zawsze miała wrażenie, że lepiej niż do Secret Service pasowałby do niższych szczebli korpusu dyplomatycznego.

–Jezzie, jak się masz? – zapytał ni to głośno, ni to szeptem.

Przypomniała sobie, że nigdy nie potrafił się na coś do końca zdecydować. Zawsze ją to wkurzało.

Jezzie Flanagan wybuchła. Później zdała sobie sprawę z tego, że gdy zaczepił ją Schmidt, była na granicy wytrzymałości. Nie żeby potrzebowała wymówki. Nie tamtego ranka. Nie w tych okolicznościach.

–Vic, czy ty sobie zdajesz sprawę, że z tej szkoły zabrano dwoje dzieci? Że je pewnie porwano? I jedno z nich to syn sekretarza skarbu, a drugie to córeczka Katherine Rose. Aktorki

Katherine Rose Dunne. To jak myślisz, jak się mam? Mam mdłości. Jestem wściekła. I przerażona.

–Jezzie, spokojnie, chciałem się tylko przywitać. Wiem, co tu się stało.

Ale Jezzie Flanagan już odeszła, między innymi po to, żeby nie odzywać się więcej do Victora. Rzeczywiście była zdenerwowana. I było jej niedobrze. A przede wszystkim była cholernie nakręcona. Na zatłoczonym korytarzu szukała twarzy nie tyle znajomych, ile właściwych. Dwie z nich zobaczyła właśnie teraz!

Charlie Chakely i Mike Devine. Jej agenci. Dwaj mężczyźni, którym przydzieliła opiekę nad małym Michaeliem Goldbergiem, a także nad Maggie Rose Dunne, ponieważ ta dwójka zwykle razem jeździła do szkoły i ze szkoły.

–Jak to się mogło stać?

Jej głos był donośny. Nie obchodziło jej, że wszyscy wokół zamilkli i zaczęli się na nią gapić. Zupełnie jakby ktoś wyciął czarną dziurę w całym tym hałasie i chaosie, który panował na korytarzu. Potem ściszyła głos do szeptu i kazała sobie opowiedzieć o wszystkim, co się do tej pory wydarzyło. Słuchała w milczeniu. I najwyraźniej nie podobało jej się to, co agenci mieli do powiedzenia.

–Wynoście się stąd – wybuchła po raz drugi. – Won. Precz mi z oczu!

–Nic nie mogliśmy zrobić – próbował się bronić Charlie Chakely. – Jezu Chryste, co my niby mieliśmy zrobić?

Zaraz potem obaj z Devine'em odeszli ze spuszczoneymi głowami.

Ktoś, kto znał Jezzie Flanagan, zapewne zrozumiałby, czemu reagowała tak emocjonalnie. Zaginęło dwoje dzieci. Pod jej nadzorem. Była bezpośrednim zwierzchnikiem praktycznie wszystkich agentów Secret Service, którzy chronili kogoś innego niż prezydenta: najważniejszych członków gabinetu wraz z rodzinami, kilku senatorów, w tym Teda Kennedy'ego. Osobiście odpowiadała przed sekretarzem skarbu.

Niewyobrażalnie ciężko pracowała, żeby zdobyć zaufanie i odpowiedzialność – i naprawdę była odpowiedzialna. Stu-

godzinny tydzień pracy, brak urlopu rok po roku, zero życia osobistego.

Już to sobie wyobrażała. Dwóch jej agentów kompletnie zawałiło sprawę. Będzie dochodzenie – regularne polowanie na czarownice. A Jezzie Flanagan była w centrum uwagi. Ponieważ zajmowała to stanowisko jako pierwsza kobieta w historii, jej upadek, jeśli nadejdzie, będzie gwałtowny, bolesny – i bardzo upubliczniony.

Wreszcie dostrzegła tę jedną osobę, której wypatrywała w tłumie – i której miała nadzieję nie znaleźć. Sekretarz skarbu Jerrold Goldberg dotarł już do szkoły syna.

Przy nim stali burmistrz Carl Monroe, znany Jezzie agent specjalny FBI Roger Graham oraz dwóch czarnych mężczyzn, których nie kojarzyła. Obaj byli wysocy, a jeden z nich – nawet bardzo wysoki. Ogromny.

Jezzie Flanagan wzięła głęboki oddech, po czym szybkim krokiem podeszła do sekretarza Goldberga i pozostałych mężczyzn.

–Tak mi przykro, Jerroldzie – szepnęła. – Dzieci na pewno się znajdują.

–Nauczyciel...

Jerrold Goldberg tylko tyle zdołał powiedzieć. Kręcił głową o krótko przyciętych białych lokach. Miał łzy w oczach.

–Nauczyciel małych dzieci. Jak to się mogło stać?

Widać, że był zrozpaczony. Miał czterdzieści dziewięć lat,

ale w tej chwili wyglądał o dziesięć lat starzej. Twarz mu zbieła niczym otynkowane ściany szkoły.

Przed przyjazdem do Waszyngtonu Jerrold Goldberg pracował w Salomon Brothers na Wall Street. W dostatnich, choć szalonych latach osiemdziesiątych zarobił dwadzieścia, może nawet trzydzieści milionów dolarów. Był inteligentny, obeznany w świecie i mądry życiowo. Trudno o większego pragmatyka.

Jednak tego dnia był po prostu ojcem porwanego chłopca. Bardzo bezbronnym.

Rozdział 8

Kiedy podeszła do nas Jezzie Flanagan, kierownik z Secret Service, rozmawiałem właśnie z Rogerem Grahamem z FBI. Próbowala, w miarę możliwości, pocieszyć sekretarza Goldberga. Potem rozmowa szybko wróciła do porwania i następnych kroków, które należy podjąć.

–Czy mamy stuprocentową pewność, że dzieci zabrał nauczyciel matematyki? – spytał zebranych Graham.

W przeszłości blisko współpracowaliśmy. Graham był niezwykle inteligentny i od lat błyszczał w FBI jak prawdziwa gwiazda. Wspólnie z drugim autorem napisał książkę o zwalczaniu zorganizowanej przestępczości w New Jersey. Nakręcono na jej podstawie kasowy film. Lubiliśmy się nawzajem i szanowaliśmy, co w relacjach między FBI a miejscową policją zdarza się rzadko. Gdy w Waszyngtonie zabito moją żonę, Roger wychodził z siebie, żeby zaangażować w sprawę FBI. Zrobił dla mnie więcej niż mój własny wydział.

Postanowiłem spróbować odpowiedzieć na pytanie Rogera Grahama. Zdążyłem się już uspokoić na tyle, by móc rozmawiać, więc streściłem to, czego dowiedzieliśmy się z Samp-sonem do tej pory.

**–Na pewno razem wyszli ze szkoły – powiedziałem. –
Widział ich woźny. Nauczyciel matematyki, niejaki pan Soneji,
przyszedł do sali, gdzie prowadziła lekcję pani Kim. Okłamał
ją. Powiedział, że ktoś zadzwonił z pogrózkami i że kazano mu**

zaprowadzić dzieci do gabinetu dyrektora, skąd zostaną odwiezione do domu. Twierdził, że nie poinformowano go, czy groźby dotyczyły chłopca, czy dziewczynki. Wyszedł, a dzieci ufały mu na tyle, że poszły za nim.

–Jakim cudem potencjalny porywacz zdobył posadę nauczyciela w takiej szkole?
– spytał agent.

Z kieszeni wystawały mu wielkie okulary przeciwsłoneczne. W filmie w postać Rogera wcielił się Harrison Ford. Całkiem niezły wybór. Sampson mówił na Grahama „Mister Hollywood”.

–Tego jeszcze nie wiemy – odrzekłem. – Ale niedługo się dowiemy.

Wreszcie burmistrz Monroe przedstawił nas sekretarzowi Goldbergowi. W kilku zdaniach opowiedział, że jesteśmy jednym z najczęściej nagradzanych zespołów detektywów w całym Waszyngtonie i tak dalej. Potem zaprosił sekretarza do gabinetu dyrektora. Agent specjalny Graham ruszył za nimi. Spojrzał na mnie i Sampsona, i przewrócił oczami. Chciał nam dać do zrozumienia, że to nie jego przedstawienie.

Jezzie Flanagan na chwilę przystanąła.

–Zdałam sobie sprawę, że o panu słyszałam – zwróciła się do mnie. – Pan jest tym psychologiem. Czytałam o panu artykuł w „Washington Post”.

Obdarzyła mnie przyjaznym półuśmiechem. Nie odwzajemniłem go.

–Wie pani, jak to jest z artykułami w prasie – odparłem. – Zwykle to sarta półprawd. W tym przypadku naprawdę sporo przesadzili.

–Nie jestem wcale taka pewna – odrzekła Flanagan. – W każdym razie miło pana poznać.

Następnie poszła za sekretarzem Goldbergiem, burmistrzem i gwiazdorem z FBI. Mnie – znanego z gazet psychologa-detektywa – nikt nie zaprosił. Nikt nie zaprosił też Sampsona.

Po chwili Monroe wystawił głowę z gabinetu.

–Bądźcie w okolicy. Nie róbcie szumu. Żadnych awantur.

Potrzebuję was tutaj. Alex, muszę z tobą pogadać. Nie wkurzajcie się.

Sampson i ja próbowaliśmy być dobrymi gliniarzami. Staliśmy przed drzwiami gabinetu przez następne dziesięć minut. W końcu opuściliśmy posterunek. Owszem, byliśmy wkurzeni.

Wciąż miałem przed sobą twarz małego Mustafa Sandersa. Kto teraz znajdzie jego mordercę? Nikt. Mustaf już został zapomniany. Wiedziałem, że dwójce uczniów z tej prywatnej szkoły to nie grozi.

Nieco później Sampson i ja leżeliśmy z grupką dzieci na sosnowej podłodze pokoju zabaw w szkole imienia Waszyngtona.

Towarzyszyli nam Luisa, Jonathan, Stuart, Mary-Berry i jej starsza siostra Brigid. Nikt jeszcze nie zabrał tych uczniów do domu i wszyscy oni się bali. Kilkoro dzieci w

szkole się zmoczyło, był też jeden przypadek ostrych wymiotów. Istniało niebezpieczeństwo pojawienia się urazu postresowego. Miałem doświadczenie w radzeniu sobie z takimi stanami.

Na polerowanej posadzce siedziała z nami także nauczycielka, Vivian Kim. Chcieliśmy z nią porozmawiać o wizycie pana Sonejiego na lekcji, jak również o samym Sonejim.

–Jesteśmy nowymi uczniami w szkole – żartował z dziećmi Sampson.

Zdjął nawet ciemne okulary, choć nie uważałem, żeby to było konieczne. Dzieci zwykle szybko się do niego przekonują. Pasuje do ich wyobrażenia „przyjaznego potwora”.

–Wcale że nie! – zawołała Mary-Berry.

Sampson już zdążył ją nakłonić do uśmiechu. Dobry znak.

–Masz rację. Tak naprawdę jesteśmy policjantami – powiedziałem. – I jesteśmy tu po to, żeby nikomu nic się nie stało. Ale dzień, co nie?

Pani Kim posłała mi uśmiech. Wiedziała, że staram się podnieść dzieci na duchu. Przyjechała policja i wszystkie są znów bezpieczne. Nikt ich już nie skrzywdzi. Wrócił porządek.

–Czy pan jest dobrym policjantem? – spytał mnie Jonathan.

Jak na tak małego chłopca, wydawał się bardzo poważny.

–Tak. Mój partner, detektyw Sampson, też jest dobrym policjantem.

–Ale pan duży. Strasznie duży – zawołała Luisa. – Duży, duży, DUŻY! Taki duży jak mój dom!

–Dlatego możemy wszystkich lepiej chronić – wyjaśnił jej Sampson.

Szybko się uczył.

–Czy ma pan dzieci? – spytała mnie Brigid.

Zanim się odezwała, przyglądała się nam uważnie. Miała niesamowicie jasne oczy i od razu ją polubiłem.

–Mam dwoje – odrzekłem. – Synka i córeczkę.

–Jak się nazywają? – Brigid kontynuowała przesłuchanie. Bardzo zręcznie odwróciła role.

–Janelle i Damon. Janelle ma cztery lata, a Damon sześć.

–A jak ma na imię pana żona?

–Nie mam żony – odparłem.

–No, no, pod górkę – mruknął pod nosem Sampson.

–Czy jest pan rozwiedziony? – zapytała Mary-Berry. – To o to chodzi?

Pani Kim się roześmiała.

–Mary, jak możesz zadawać miłemu panu takie pytania!

–Czy oni zrobią krzywdę Maggie Rose i Michaelowi Goldbergowi? – chciał wiedzieć Jonathan Poważny.

To było dobre, istotne pytanie. Zaslugiwało na odpowiedź.

–Mam nadzieję, że nie. Ale jedno wam mogę powiedzieć: was nikt nie skrzywdzi. Detektyw Sampson i ja jesteśmy tu właśnie po to, żeby tego dopilnować.

–Jeżeli jeszcze tego nie zauważyliście, jesteśmy twardzielami – Sampson wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Grr. Nikt nie skrzywdzi tych dzieci. Grr!

Kilka chwil później Luisa zaczęła płakać. Była miłutkim dzieckiem. Chciałem ją przytulić, ale nie mogłem.

–Luiso, co się stało? – spytała pani Kim. – Mama albo tata niedługo po ciebie przyjdą.

–Nieprawda – mała dziewczynka pokręciła głową. – Nie przyjdą. Nigdy po mnie nie przychodzą.

–Ktoś na pewno po ciebie przyjdzie – powiedziałem cicho. – A jutro będzie już wszystko dobrze.

Drzwi pokoju zabaw powoli się otworzyły. Spojrzałem w tamtą stronę. To burmistrz Carl Monroe przyszedł z wizytą do szkoły dla wybranych przez los.

–Jak tam, Alex, nie rozrabiacie?

Pan burmistrz z uśmiechem skinął głową, przyglądając się tej niecodziennej scenie. Monroe miał około czterdziestu pięciu lat i emanował surową męską urodą. Miał gęste włosy i bujne czarne wąsy. W granatowym garniturze, białej koszuli i jasno-żółtym krawacie wyglądał jak biznesmen.

–O tak. Próbuję jakoś pożytecznie wykorzystać wolny

czas. Sampson zresztą też.

Burmistrz raczył się zaśmiać.

–I chyba wam się udało. Chodź ze mną, Alex, przejedziemy się. Musimy omówić parę rzeczy.

Pożegnałem się z dziećmi oraz panią Kim, po czym wraz z Monroeem wyszedłem ze szkoły. Miałem nadzieję, że może się wreszcie dowiem, o co tu tak naprawdę chodziło i dlaczego kazali mi się zajmować tym porwaniem zamiast moich morderstw. I że się przekonam, czy mam w tej kwestii jakikolwiek wybór.

–Przyjechałeś swoim samochodem? – spytał Monroe, gdy zbiegaliśmy po schodkach przed wejściem do budynku.

–Moim i banku HFC Finance – odparłem.

–To pojedziemy twoim. Jak ci idzie w SZD? Idea jest mocna – powiedział.

Szliśmy dalej w kierunku parkingu. Najwyraźniej kazał swojemu szoferowi już jechać. Prawdziwy człowiek ludu z tego naszego burmistrza.

–A jaka jest w zasadzie idea SZD? – spytałem.

Ostatnio rozmyślałem nad moją sytuacją zawodową. Szczególnie kiedy musiałem odpowiadać przed George'em Pittmanem.

Carl Monroe uśmiechnął się szeroko. Potrafi zręcznie roz-

mawiać z ludźmi i jest naprawdę bardzo inteligentny. Zawsze robi wrażenie troskliwego i życzliwego – i zresztą może rzeczywiście taki jest. Kiedy potrzebuje, potrafi nawet słuchać, co się do niego mówi.

–Głównie chodzi o to, żeby najlepsi czarni policjanci z miejskiej policji zaszli na sam szczyt, tak jak im się to należy. Najlepsi, a nie sami wazeliniarze. Dotychczas wcale tak nie było.

–Myślę, że byśmy sobie poradzili bez nadmiaru akcji afirmatywnej. Słyszałeś o morderstwach w Condon i Langley Terrace?

Skinął głową, ale nic na ten temat nie powiedział. Tego dnia owe zabójstwa nie stanowiły dla burmistrza priorytetu.

–Matka, córka i trzyletni chłopiec – ciągnąłem i znów budził się we mnie gniew. – Gównu wszystkich obchodzą.

–I to ma być nowość? Alex, oni nikogo nie obchodzili za życia, więc dlaczego mieliby kogoś obchodzić po śmierci?

Dotarliśmy do mojego auta – porsche z 1974 roku, które czasy swej świetności miało już za sobą. Drzwi skrzypiały, a w środku unosiła się lekka woń lunchów z fast foodów. Jeździłem nim przez trzy lata prywatnej praktyki. Wsiedliśmy.

–Wiesz, Alex, przewodniczącym Połączonego Kolegium Szefów Sztabów jest dziś Colin Powell. Louis Sullivan był sekretarzem zdrowia i opieki społecznej. Jesse Jackson pomógł mi zdobyć posadę – powiedział Monroe, wpatrując się w swoje odbicie w bocznej szybie.

Wyjechaliśmy na Canal Road i ruszyliśmy w stronę centrum.

–A teraz ty pomagasz mnie? – zapytałem. – Mimo że cię nawet nie prosiłem. To bardzo miłe z twojej strony.

–Tak jest, Alex – potwierdził. – Cholernie szybko się orientujesz.

–Skoro tak, to naprawdę mi pomóż. Chcę rozwiązać sprawę morderstw na osiedlach. Cholernie mi przykro z powodu tych dwojga białych dzieci, ale im naprawdę nie grozi, że wszyscy o nich zapomną i nikt nie będzie chciał pomóc. W gruncie rzeczy to właśnie będzie problem: nadmiar pomocy.

–Oczywiście, że tak. Obaj o tym wiemy – Monroe kiwnął

głową. – Ci idioci będą się prześcigiwać. Alex, posłuchaj mnie tylko, dobrze? Kiedy Carl Monroe czegoś od ciebie chce, wówczas jeśli to konieczne, potrafi na tobie wymóc uległość. Widziałem to już wcześniej, a teraz znów ćwiczył to na mnie.

–Słyszałem, że jesteś teraz splukany.

–Dobrze sobie radzę – odparłem. – Mam dach nad głową, jedzenie na stole.

–Zostałeś w południowo-wschodniej części miasta, mimo że bez trudu mogłeś się wyprowadzić – ciągnął dalej tę zdartą płytę, którą wcześniej już tyle razy słyszałem. – Wciąż pracujesz u świętego Antka?

–Owszem. Jadłodajnia. Trochę darmowych sesji terapeutycznych. Taki czarny samarytanin.

–Widziałem cię tam kiedyś w przedstawieniu. Ty naprawdę jesteś niezłym aktorem. Masz osobowość.

–A, tak, Krwawy węzeł Athola Fugarda. – Pamiętałem to przedstawienie. Maria wciągnęła mnie do swojej grupy teatralnej. – To bardzo mocna sztuka. Przy takim tekście każdy może wpaść dobrze.

–Czy ty słyszysz, co ja do ciebie mówię? Słuchasz mnie w ogóle?

–Chcesz wyjść za mnie za mąż – roześmiałem się. – Ale najpierw chcesz ze mną iść na randkę.

–Coś w tym stylu – odparł Monroe ze śmiechem.

–Świetnie ci idzie, Carl. Lubię, jak ktoś mi najpierw szepcze czułe słówka, zanim mnie wyrucha.

Monroe znów się zaśmiał, nieco głośniejszy, niż powinien. Potrafił traktować cię jak najlepszego kumpla, a przy następnym spotkaniu w ogóle cię nie zauważać.

Niektórzy w naszej policji mówili na niego „Kokos”. Ja też. „Brazowy na zewnątrz, biały w środku”. Wydawało mi się, że tak naprawdę był bardzo samotnym człowiekiem. Wciąż nie wiedziałem, czego właściwie ode mnie chce.

Monroe przez chwilę milczał. Odezwał się ponownie, kiedy wjeżdżaliśmy na Whitehurst Freeway. Ruch był intensywny, a co gorsza, na jezdni zalegał podmokły śnieg.

–Mamy przed sobą tragiczną, naprawdę tragiczną sytuację. To porwanie dla nas też ma znaczenie. Ten, kto rozwiąże tę sprawę, stanie się ważny. Ja chcę ci pomóc, chcę, żebyś to ty ją rozwiązał. Żebyś stał się graczem. Chcę, żebyś sobie wyrobił reputację.

–W dupie mam reputację – powiedziałem bez ogródek. – Nie chcę być graczem.

–Wiem, że nie chcesz. I między innymi właśnie dlatego powinieneś nim zostać. Powiem ci coś i to będzie święta prawda. Jesteś od nas mądrzejszy i kiedyś naprawdę będziesz w tym mieście kimś. Przestań się upierać jak idiota. Nie walcz z losem.

–Nie zgadzam się. Wcale nie musi tak być, jeśli mam w tej kwestii coś do powiedzenia. Jeśli będę mógł temu zapobiec. Twoja koncepcja sukcesu wcale mi nie odpowiada.

–Ale ja wiem, co jest dobre. Dla nas obu – odparł. Tym razem Carl Monroe ani trochę się nie uśmiechał. – Masz mnie informować o swoich postępach. Alex, to jest nasza wspólna sprawa. Tutaj chodzi o karierę.

Kiwnąłem głową. Jasne, pomyślałem.

–Czyją karierę, Carl?

Zaparkowałem przed jakże okazałym ratuszem. Monroe wysiadł z samochodu. Spojrzał na mnie przez otwarte drzwi.

–Alex, ta sprawa będzie bardzo ważna. Tu chodzi o ciebie.

–Wielkie dzięki, nie skorzystam – odparłem. Ale Monroego już nie było.

Rozdział 9

Dwadzieścia pięć po dziesiątej – dokładnie w czasie wyznaczonym podczas testowych przejazdów z Waszyngtonu – Gary Soneji skręcił w nieoznakowaną boczną drogę. Była pełna kolein i chwastów. Po obu stronach rosły jeżyny.

Oddalił się niecałe pięćdziesiąt metrów od szosy i już nie widział nic poza gruntową drogą, po której jechał, oraz zwieszającymi się nad nią krzewami. Nikt nie byłby w stanie dostrzec jego furgonetki.

Podskakując na wybojach, auto minęło walący się budynek, który kiedyś musiał być biały. Wyglądał, jakby się kurczył, zapadał. Około czterdziestu metrów dalej widać było pozostałości równie zaniedbanej stodoły.

Soneji wjechał do wnętrza. Udało mu się. Naprawdę mu się udało.

W stodole stał czarny saab z 1985 roku. W przeciwieństwie do reszty opustoszałej farmy, ten budynek robił wrażenie użytkowanego.

Zamiast podłogi było tam klepisko. Trzy stłuczone okna na stryszku zaklejone były cienką bawełnianą tkaniną. We wnętrzu nie stały żadne rdzewiejące traktory czy inne maszyny rolnicze. Pachniało wilgotną ziemią oraz benzyną.

Gary Soneji wyjął dwie puszki coli z przenośnej lodówki, która leżała na fotelu pasażera. Szybko wypił zawartość obu, po czym beknął z dużym zadowoleniem.

–Któreś z was chce colę? – zawołał do odurzonych, nieprzytomnych dzieci. – Nie? Dobra, ale niedługo naprawdę będzie wam się chciało pić.

Co prawda w życiu nic nie jest pewne – myślał – ale nie ma siły, żeby jakiś policjant mógł go teraz dorwać. Czy taka pewność siebie jest głupia albo niebezpieczna? – pytał sam siebie. Nie za bardzo, bo poza tym był realistą. Żadnym sposobem nie można go było teraz namierzyć. Nie zostawił żadnych śladów, którymi mogłaby się kierować policja.

Planował porwać kogoś sławnego od... no cóż, w zasadzie od zawsze. Obiekt porwania zmieniał się wielokrotnie, ale ogólny, zasadniczy cel – nigdy. Soneji pracował w szkole imienia Waszyngtona od wielu miesięcy. Ta chwila, właśnie teraz, dowodziła, że było to warte każdej żalostnej minuty, którą tam spędził.

„Pan Procesorek”. Soneji przypomniał sobie swój przydomek w szkole. Pan Procesorek! Cóż za wspaniałe, wyborne dał przedstawienie. Aktorstwo godne Oscara. Od czasów kreacji Roberta de Niro w Królu komedii nie widział nic równie dobrego. A tamta rola to istny klasyk. De Niro sam chyba musiał być psychopatą.

Gary Soneji wreszcie odsunął drzwi furgonetki. Trzeba wracać do roboty. Trzeba sobie urobić ręce po łokcie.

Wyniósł dzieci z wnętrza wozu, jedno po drugim. Najpierw Maggie Rose Dunne, potem małego Goldberga. Ułożył ich obok siebie na klepisku, a następnie rozebrał do bielizny. Uważnie przygotował odpowiednie dawki sekobarbitalu. Ot, miły miejscowy aptekarz w wirze pracy. Dawka była czymś pośrednim między proszkiem nasennym a środkiem znieczulającym w szpitalu. Powinna wystarczyć na mniej więcej dwanaście godzin.

Sięgnął po jednorazowe zestawy Tubex – fabrycznie napełnione ampułkostrzykawki z dołączoną igłą i z gotową dawką. Przygotował dwie opaski uciskowe. Musiał być bardzo ostrożny. Dobranie dokładnej dawki w przypadku takich małych dzieci często bywa trudne.

Następnie podjechał saabem o jakieś dwa metry do przodu,

odkrywając otwór w ziemi, rozmiarów mniej więcej sto dwadzieścia na sto pięćdziesiąt centymetrów.

Wykopał go podczas kilku poprzednich wizyt w opuszczonym gospodarstwie. Wewnątrz znajdowały się ściany z desek, tworząc coś w rodzaju schronu. Sam go przygotował. Była tam nawet butla z tlenem. Wszystko poza kolorowym telewizorem, na którym można by oglądać powtórki seriali.

Najpierw włożył tam małego Goldberga. Michael Goldberg prawie nic nie ważył – i dokładnie tyle samo czuł do niego Soneji. Nic. Potem przyszła pora na małą księżniczkę, oczko w głowie mamusi i tatusia, Maggie Rose Dunne. Prosto z La-la-landii.

Obojgu wbił w ramię po igle. Bardzo uważał, żeby aplikować środek powoli, przez trzy minuty.

Dawki zostały dobrane według wagi: 0,25 miligramy na kilogram masy ciała.

Sprawdził oddechy dzieci. Śpijcie słodko, moje multimilionowe maleństwa.

Gary Soneji głośno zatrzasnął klapę. Następnie zasypał drewniany schron kilkunastoma centymetrami świeżej ziemi. Wewnątrz opuszczonej stodoły. W samym środku rolniczych terenów stanu Maryland. Zupełnie jak sześćdziesiąt lat wcześniej został zakopany mały Charlie Lindbergh junior.

Nikt tu nie znajdzie tych dzieci. A przynajmniej do momentu, kiedy on zechce, żeby je znaleziono. Jeżeli zechce. Z naciskiem na „jeżeli”.

Gary Soneji powlókł się z powrotem w kierunku pozostałości domu. Chciał się umyć. Chciał również zacząć się tym wszystkim cieszyć. Wziął ze sobą nawet kieszonkowy telewizor, żeby się zobaczyć w wiadomościach.

Rozdział 10

Skróty wiadomości pojawiały się na ekranie co jakieś piętnaście minut. Gary Soneji trafił do wielkiej i wszechwładnej telewizji. Fotografie „Pana Procesorka” pokazywali we wszystkich wejściach. Nic natomiast nie wskazywało, żeby ktoś miał pojęcie, co się właściwie stało.

Więc to tak wygląda sława! Więc to takie uczucie. Bardzo mu się podobało. To właśnie ćwiczył przez te wszystkie lata. „Cześć mammo! Zobacz, kto jest w wiadomościach. Niegrzeczny chłopiec!”.

Tego popołudnia doszło tylko do jednego zgrzytu. Chodziło o konferencję prasową FBI. Przemawiał agent nazwiskiem Roger Graham. Facetowi najwyraźniej się wydawało, że jest taki super. Sam chciał zgarnąć trochę sławy.

–Myślisz, że to twój film, Graham? A właśnie że nie, kolego! – Gary Soneji wykrzyczał w stronę telewizora. – To ja tu jestem jedyną gwiazdą.

Soneji krążył po domu od kilku godzin i obserwował, jak za oknem powoli zapada noc. Dostrzegał wszystkie odcienie Ciemności, która przykrywała farmę. Wybiła już siódma i nadeszła pora wracać do realizacji planu.

–No, do roboty – mamrotał, podskakując jak bokser przed walką. – Jedziemy.

Przez chwilę pomyślał o Charlesie i Anne Morrow Lindberghach, jego ulubionym małżeństwie wszech czasów. To go

trochę uspokoiło. Pomyślał o małym Charlesie oraz o tym biednym głupku, Brunonie Hauptmannie, który bez dwóch zdań został wrobiony w tę genialnie obmyśloną i przeprowadzoną zbrodnię. Soneji był przekonany, że sprawa Lindberghów stanowiła najelegantsze przestępstwo wieku. Nie tylko dlatego, że nigdy nie została wyjaśniona – bardzo, bardzo wielu zbrodni nigdy nie udało się wyjaśnić – ale dlatego, że na dodatek była ważna.

Jeśli chodziło o jego własne arcydzieło, Soneji był pewny siebie. Podchodził do niego realistycznie, a przede wszystkim pragmatycznie. W grę zawsze wchodził przypadek. Policji mógł się zdarzyć „szczęśliwy traf. Kłopotliwe mogło się okazać samo przekazanie pieniędzy. Bo to oznaczało konieczność kontaktu, a w życiu kontakt zawsze jest niebezpieczny.

Z tego, co się orientował – a wiedzę miał encyklopedyczną – dotychczas żadnemu współczesnemu porywaczowi nie udało się właściwie rozwiązać kwestii przekazania okupu. Nie wówczas, jeśli chciał otrzymać zapłatę za swój trud – a Soneji za swe multimilionowe dzieciaczki potrzebował ogromnej zapłaty.

Niech no tylko usłyszą, ile chcę pieniędzy.

Uśmiechnął się do tej myśli. Wybitni Dunne'owie i wszechmocni Goldbergowie będą w stanie zapłacić – i zapłacą. Nie przez przypadek Soneji wybrał właśnie te dwie rodziny – z tymi ich rozpieszczonymi, zasmarkanymi dzieciaczkami oraz nieograniczonymi zasobami pieniędzy i władzy.

Zapalił jedną z białych świec, które nosił w bocznej kieszeni kurtki. Wciągnął nosem przyjemny zapach pszczelego wosku. Potem ruszył do malutkiej łazienki tuż obok kuchni.

Przypomniała mu się stara piosenka Chambers Brothers, *Time*. Czas. Nadszedł czas... czas... czas... żeby wszystkim wyciągnąć dywan spod nóg. Czas... czas... czas... na pierwszą małą niespodziankę, pierwszą z wielu. Czas... czas... czas... zacząć tworzyć własną legendę. To był jego film.

Teraz, pod koniec grudnia, w pomieszczeniu – podobnie jak w całym budynku – było potwornie zimno. Kiedy Gary Soneji brał się w łazience do pracy, z ust unosiły mu się obłoki pary.

Na szczęście opuszczony dom miał ujęcie wody ze studni, a kran w łazience wciąż działał. Woda była doprawdy bardzo zimna. Soneji zapalił kilka świec i zabrał się do roboty. Potrzebował jakichś trzydziestu minut.

Najpierw zdjął ciemnobrązową perukę z łysiną. Kupił ją trzy lata wcześniej w sklepie z kostiumami teatralnymi w Nowym Jorku. Tamtego wieczoru poszedł na Upiora w operze. Był zachwycony broadwayowskim musicaliem. Tak bardzo utożsamiał się z postacią Upiora, że aż go to przerażało. Pod wrażeniem przedstawienia przeczytał powieść – najpierw po francusku, potem po angielsku.

–Proszę, proszę, co my tu mamy? – odezwał się do swego odbicia w lustrze.

Pozbywszy się kleju i całej reszty świństwa, odsłonił swe bujne blond włosy. Długie, jasne loki.

–Pan Soneji? Pan Procesorek? Czy to ty, kolego?

W sumie całkiem ładna buźka. Dobre perspektywy? Czyżby był na fali? Oj, tak, zdecydowanie na fali.

I w ogóle nie przypomina Procesorka. W ogóle nie przypomina naszego drogiego pana Sonejiego!

Zerwał bujne wąsy, które nosił od chwili, gdy przybył do szkoły na rozmowę kwalifikacyjną. Potem wyjął szkła kontaktowe. Jego zielone dotychczas oczy znów przybrały odcień kasztana.

Gary Soneji zbliżył gasnącą świeczkę do brudnego, popękanego lustra. Wylał rękawem jeden róg.

–No proszę. Teraz na siebie popatrz. Geniusz tkwi w drobiazgach, no nie?

Ten bezbarwny nudziarz z prywatnej szkoły już nie istniał. Mięczak, co chciał wszystkich uszczęśliwić. Pan Procesorek odszedł na zawsze.

Cóż to była za piękna farsa. Cóż za śmiały plan, a do tego jak wspaniale wykonany. Szkoda, że nikt się nigdy nie dowie, o co tak naprawdę chodziło. No ale komu by mógł o tym powiedzieć?

Gary Soneji opuścił dom o 23.30. Zgodnie z planem. Udał się do wolno stojącego garażu, który znajdował się w północnej części gospodarstwa.

W bardzo, bardzo wyjątkowym miejscu ukrył tam pięć tysięcy dolarów. Jego tajne oszczędności. Pieniądze, które kradł przez lata. To także element planu. Myślenie przyszłościowe.

Potem wrócił do stodoły, do samochodu. Ponownie zajrzał do dzieci. Jak na razie wszystko szło świetnie.

Dzieciaczki się nie skarżyły.

Silnik saaba ożył. Soneji włączył tylko światła mijania. Wyjechał na drogę.

Kiedy wreszcie dotarł do szosy, zapalił długie światła. Tego wieczoru miał coś jeszcze do zrobienia. Mistrzowskie przedstawienie trwało dalej.

Luz-blues.

Rozdział 11

Agent specjalny Roger Graham mieszkał w Manassas Park, w połowie drogi między Waszyngtonem a akademią FBI w Quantico. Był wysokim, imponująco zbudowanym mężczyzną o krótkich, jasnobrązowych włosach. Pracował już w życiu nad kilkoma porwaniami, ale żadne z nich nie było równie zatrważające jak to obecne.

Kilkanaście minut po pierwszej w nocy Graham wreszcie dotarł do domu – ogromnej kolonialnej rezydencji przy zwyczajnej ulicy w Manassas Park. Sześć sypialni, trzy łazienki, ogród o powierzchni niemal hektara.

Niestety, miniony dzień zdecydowanie odbiegał od normalności. Graham był wyczerpany, stłamszony i śmiertelnie zmęczony. Często się zastanawiał, dlaczego po prostu nie da sobie z tym wszystkim spokoju i nie napisze następnej książki. Pójdzie na wcześniejszą emeryturę. Zdąży poznać trójkę swoich dzieci, zanim wyniosą się z domu.

Ulica była pusta. Przyjazne światło lamp na werandach wydało się Grahamowi uspokajające. W tylnym lusterku jego forda bronco pojawiły się reflektory innego samochodu.

Auto zatrzymało się przed jego domem. Reflektory nie zgasły. Z wnętrza wysiadł mężczyzna, wymachując notatnikiem.

–Agent Graham? Nazywam się Martin Bayer, „New York Times” – zawołał, przemierzając podjazd.

Mignął Grahamowi legitymacją prasową.

Jezu Chryste. Pieprzony „New York Times”, pomyślał agent. Dziennikarz miał na sobie ciemny garnitur, koszulę w prążki i jedwabny krawat. Typowy młody nowojorski japiszon wysłany z zadaniem. Dla Grahama wszystkie te dupki z „Timesa” i „Posta” wyglądały jednakowo. Nie było już wśród nich prawdziwych reporterów.

–Obawiam się, że przebył pan bardzo długą drogę tylko po to, żeby usłyszeć: „Bez komentarza”. Przykro mi – rzekł Roger Graham. – Nie mogę zdradzić żadnych szczegółów związanych z porwaniem. Zresztą, szczerze mówiąc, nie miałbym panu co powiedzieć.

Tak naprawdę nie było mu wcale przykro, ale nikt nie chce mieć wrogów w „New York Timesie”. Sukinsyny potrafią ci wepchnąć zatrute pióro w jedno ucho i wyjąć drugim.

–Ale ja mam tylko jedno, jedyne pytanie. Wiem, że nie musi pan na nie odpowiadać, ale to bardzo ważne. Dla mnie. To dla mnie ważne, żeby tutaj być o pierwszej w nocy.

–No dobrze, słucham. Jakie pan ma pytanie?

Graham zatrzasnął drzwi forda. Zamknął zamek i podrzucił kluczyki.

–Czy wy wszyscy jesteście tacy głupi i bezbarwni? – zapytał Gary Soneji. – Oto moje pytanie, Grahamko.

Długi, ostry nóż błysnął raz. Potem drugi. Ostrze śmignęło po gardle Rogera Grahama.

Pierwsze ciecie pchnęło go na samochód. Drugie przecięło mu arterię szyjną. Graham padł martwy na własnym podjeździe. Nie miał czasu zrobić uniku, uciec ani nawet zmówić modlitwy.

–Do jasnej cholery, Roger, przecież ty podobno jesteś gwiazdą. Chciałeś być gwiazdą, no nie? Nic na to nie wskazuje.

Nic, zero – powiedział Soneji. – Miałeś być lepszy. Ja chcę się zmierzyć z najlepszymi.

Pochylił się i wsunął niewielką kartkę do kieszeni białej koszuli Grahama. Poklepał zmarłego po piersi.

–Ty arogancki kutasie, czy dziennikarz z „New York Timesa” naprawdę przyjechałby tutaj o pierwszej w nocy tylko po to, żeby porozmawiać z takim żalosnym dupkiem jak ty?

Potem Soneji odjechał z miejsca zbrodni. Śmierć agenta Grahama nie była dla niego niczym specjalnym. Do tej pory zabił już ponad dwieście osób. Praktyka czyni mistrza. Zresztą to wcale nie miał być ostatni raz.

Jednak właśnie po tym zabójstwie wszyscy się obudzą. Soneji miał tylko nadzieję, że w odwodzie mają kogoś lepszego.

Bo jeśli nie, to gdzie cała zabawa? Gdzie wyzwanie? Jakim cudem to by miało przewyżżyć porwanie małego Lindbergha?

Rozdział 12

Zaczynałem czuć emocjonalną więź z porwanymi dziećmi. Owej pierwszej nocy spałem bardzo niespokojnie. We śnie odtwarzałem najgorsze sceny ze szkoły. I wciąż widziałem Mustafę Sandersa. Jego smutne, wpatrzone we mnie oczy. Bezskutecznie prosiły mnie o pomoc.

Kiedy się obudziłem, obok w łóżku znalazłem oboje własnych dzieci. Nad ranem w pewnym momencie musiały się tu zakraść. To była jedna z ich ulubionych sztuczek, dowcip, który robiły „Wielkiemu Tatusiowi”.

Damon i Janelle spali głęboko, rozłożeni na patchworkowej narzucie. Kiedy wróciłem do domu, byłem zbyt wyczerpany, żeby ją zdjąć. Musieliśmy teraz wyglądać jak dwa znużone aniołki – i jeden padnięty koń pociągowy.

Damon to śliczny sześćoletni chłopczyk, który wciąż mi przypomina o tym, jak wyjątkowa była jego matka. Ma oczy Marii. Jannie to moje drugie oczko w głowie. Ma cztery lata, a zachowuje się, jakby miała piętnaście. Lubi mnie nazywać „Wielkim Tatusiem”. Brzmi to jak murzyński slang, na który jakimś cudem sama wpadła. Może w poprzednim życiu znała gwiazdę futbolu Eugene'a Lipscomba. Jego kibice właśnie tak go nazywali.

Na łóżku leżała również książka Williama Styrona o jego walce z depresją – Dotyk ciemności. Czytałem ją, w nadziei że wyciągnę z niej jakieś wnioski, które pomogą mi poradzić

sobie z moją własną depresją – która nękała mnie od czasu zabójstwa Marii. Trzy lata, a mnie się wydawało, jakby minęło już dwadzieścia.

Tak naprawdę tamtego ranka obudziło mnie światło reflektorów, przebijające przez okiennice. Usłyszałem trzask drzwi samochodu, a potem chrzęst kroków na żwirowym podjeździe. Wyglądało na to, że na dworze panuje koszmarny mróz. Rozpoczął się właśnie najgorszy okres waszyngtońskiej zimy.

–Dajcie spokój – mruknąłem w stronę okna. – Idźcie sobie.

Sampson kierował się do drzwi wejściowych od strony kuchni. Według zegara przy łóżku była za dwadzieścia piąta. Pora iść do pracy.

Tuż przed piątą zajechaliśmy pod sypiący się przedwojenny budynek z piaskowca w Georgetown, o przecznicy od M Street. Postanowiliśmy zajrzeć do mieszkania pana Sonejiego. Jeśli się chce, żeby coś było zrobione dobrze, trzeba to zrobić samemu.

–Wszystkie światła się palą. Chyba ktoś tam jest – stwierdził Sampson, gdy wysiadaliśmy z auta. – Któż to może być?

–Masz trzy strzały. Pierwsze dwa się nie liczą – wymamrotałem.

Wciąż cierpiałem na poranne nudności. Wątpiłem, żeby po wizycie w jaskini potwora miało mi się poprawić.

–FBI. Może tam jest Efrem Zimbalist junior – strzelił Sampson. – Może kręca jakiś dokument o pracy w FBI.

–Chodź, zobaczymy.

Weszliśmy do budynku i ruszyliśmy krętymi schodami w górę. Wejście do mieszkania Sonejiego na drugim piętrze przecinały zygzaki żółtej taśmy policyjnej. Całość nie wyglądała jak miejsce zamieszkania „Pana Procesorka”. Raczej jak dom pana Richarda Ramireza albo zabójcy z Green River.

Odrapane drewniane drzwi stały otworem. Wewnątrz pracowało dwóch techników z FBI. Ze stojącego na ziemi radia

dochodził głos lokalnego prezentera znanego jako DJ Brylantyna.

–Hej, Pete, jak leci? – zawołałem.

Znałem jednego z techników, Pete'a Schweitzera. Usłyszawszy mój głos, podniósł głowę.

–Kogo ja tu widzę. Witamy w miejscu najświętszym.

–Wpadliśmy specjalnie, żeby wam poprzekadzać. Pooglądać mistrzów przy pracy – wtrącił Sampson.

Obaj pracowaliśmy już wcześniej z Pete'em Schweitzerem. Lubiliśmy go i ufaliśmy mu na tyle, na ile to w ogóle możliwe w stosunku do człowieka z FBI.

–Rozgośćcie się w casa Soneji. To mój wspólnik od brudnej roboty, Todd Toohey. Lubi nad ranem słuchać Didżeja Brylantyny. Toddie, ci dwaj to takie ścierwojady jak my.

–Najlepsze – odezwałem się do Todda Tooheya.

Już zacząłem węszyć po mieszkaniu. Znów wszystko wydawało mi się

surrealistyczne. Miałem w głowie jakąś zimną, mokłą masę. Czas strachów.

W niewielkiej kawalerce panował bałagan. Nie było tam wielu mebli – na podłodze leżał goły materac, stał niski stolik, na nim lampka, a poza tym kanapa, która wyglądała jak ze śmietnika – niemniej jednak podłoga była pełna przeróżnych rzeczy.

W całym tym chaosie dużo było pogniecionych prześcieradeł, ręczników oraz bielizny. Na ziemi leżały ze dwie czy trzy sterty brudnych ubrań. Jednak większość pobjowiska stanowiły książki i magazyny. W tym jednym pokoju znajdowało się kilkaset książek i co najmniej tyle samo czasopism.

–Macie już coś ciekawego? – spytałem Schweitzera. –

Przejrzeźcie tę jego bibliotekę?

Schweitzer rozmawiał ze mną, nie odrywając się od szukania odcisków palców na jednej ze stert książek.

–Tutaj wszystko jest ciekawe. Popatrzcie na te książki, tam, wzdłuż ściany. I wyobraźcie sobie, że nasz ptaszek, zanim się stąd zmył, wyczyścił całe to pieprzone mieszkanie.

–Dobrze się spisał? Na miarę waszych oczekiwań?

–Rewelacyjnie. Sam bym tego lepiej nie zrobił. Nie znaleź-

liśmy nigdzie choćby fragmentarycznych odcisków palców. Nawet na tych cholernych książkach.

–Może czyta w rękawiczkach – zasugerowałem.

–To jest całkiem możliwe. Bez kitu. Alex, tutaj pracował zawodowiec.

Przykucnąłem przy kilku kupkach książek. Przeczytałem tytuły na grzbietach. W większości była to literatura faktu, mniej więcej z ostatnich pięciu lat.

–Fan historii o prawdziwych zbrodniach-powiedziałem.

–Ma sporo materiałów o porwaniach – Schweitzer podniósł wzrok i wskazał palcem. – Na prawo od łóżka, przy lampce. Tam jest dział porwań.

Przyjrzałem się książkom. Większość ukradziono z biblioteki uniwersyteckiej Georgetown. Żeby dostać się do zbiorów, Soneji musiał mieć legitymację. Czyżby był dawnym studentem? A może wykładowcą?

Na gołej ścianie powyżej kolekcji książek wisiało kilka wydruków komputerowych, przyklejonych taśmą. Zacząłem je czytać.

„Aldo Moro. Porwany w Rzymie. Podczas porwania zginęło pięciu ochroniarzy. Ciało Moro znaleziono w zaparkowanym samochodzie”.

„Jack Teich, wypuszczony po wpłaceniu 750 tysięcy dolarów”.

„J. Reginald Murphy, redaktor naczelny»Atlanta Constitution«, wypuszczony po wpłaceniu 700 tysięcy dolarów”.

„J. Paul Getry III, wypuszczony na południu Włoch po wpłaceniu okupu w wysokości 2,8 miliona dolarów”.

„Virginia Piper z Minneapolis, wypuszczona po tym, jak mąż zapłacił milion dolarów okupu”.

„Victor E. Samuelson, wypuszczony w Argentynie po wpłacie okupu w wysokości 14,2 miliona dolarów”.

Widząc kwoty na tej liście, aż gwizdnąłem. Jakiej sumy zażąda porywacz za Maggie Rose Dunne i Michaela Goldberga?

Mieszkanie było bardzo niewielkie i Soneji miał mało miejsca na usunięcie odcisków palców. Mimo to według Schweitzera nie zostawił ani śladu. Czy w przeszłości Soneji nie był

przypadkiem gliniarzem? To by mu na pewno ułatwiło zaplanowanie całego przestępstwa, a może nawet zwiększyło szansę na uniknięcie złapania.

–Chodź tu na chwilę – zawołał Sampson z łazienki, która znajdowała się w bocznej części tej maleńkiej kawalerki.

Ściany wyklejone były fotografiami z gazet, magazynów, okładek płyt, obwolut książek.

Soneji zrobił nam ostatnią niespodziankę. Co prawda usunął wszystkie odciski palców, ale zostawił wiadomość.

Nad lustrem znajdowało się hasło złożone z drukowanych liter: JA CHCĘ BYĆ KIMŚ!

Z kolei ściany łazienki stanowiły istną wystawę. Dostrzegłem tam fotografie Rivera

Phoenixa. I Matta Dillona. Zdjęcia z albumów Helmuta Newtona. Rozpoznałem zabójcę Johna Lennona – Marka Davida Chapmana. A także Axla Rose'a. Na ścianie był również Pete Rose. I Neon Deon Sanders. Wayne Williams też. I artykuły z gazet. Wiadomość o pożarze w Happy Land Social Club w Nowym Jorku. Materiał z „New York Timesa” o porwaniu syna Lindberghów. Artykuł o porwaniu Samuela Bronfmana, dziedzica Seagrama, oraz o zaginięciu sześciolatniego Etana Patza.

Wyobraziłem sobie Gary'ego Sonejiego w roli porywacza – samego w tym pustym mieszkaniu. Uważnie wytarł każdą powierzchnię, każdy milimetr. Pokój był tak mały, tak spartańskie warunki. Lubił czytać, a przynajmniej otaczać się książkami. No i ta galeria zdjęć. Jakie wnioski mogliśmy z tego wyciągnąć? Wskazówki? Fałszywe tropy?

Wpatrywałem się w lustro nad umywalką tak, jak on musiał to czynić wiele, wiele razy. Co powinienem zobaczyć? Co widział Gary Soneji?

**–Jego twarz w lustrze to było jego zdjęcie na ścianie –
podzieliłem się z Sampsonem moją teorią. – Najważniejsze
zdjęcie, centralne. On chce być gwiazdą tego całego zamieszania.**

Sampson opierał się o ścianę pokrytą fotografiami i wycinkami z prasy.

–To dlaczego startł odciski palców, doktorze Freud?

–Musiał wiedzieć, że nimi dysponujemy. Zaczynam myśleć, że może w szkole pojawiał się w jakimś przebraniu. Może tutaj się charakteryzował przed pójściem do pracy. Może jest aktorem. Przypuszczam, że jeszcze nie poznaliśmy jego prawdziwej twarzy.

–Chłopak chyba ma wielkie plany. Na pewno chce być gwiazdą – przyznał Sampson.

„Ja chcę być kimś!”.

Rozdział 13

Maggie Rose Dunne obudziła się z najdziwniejszego snu w swoim życiu. Pełnego potwornych, nieopisanych koszmarów.

Czuła się, jakby wszystko wokół niej poruszało się w zwolnionym tempie. Chciało jej się pić. I strasznie chciała siusiu.

„Mamusiu, jestem dzisiaj zmęczona. Proszę! Nie chcę wstawać. Nie każ mi dzisiaj iść do szkoły. Mamusiu, proszę. Źle się czuję. Naprawdę, nie kłamię”.

Maggie Rose otworzyła oczy. W każdym razie tak jej się wydawało – chociaż nic nie widziała. Nic a nic.

–Mamo! Mamo! Mamusiu! – Maggie wreszcie zaczęła krzyczeć, a kiedy już zaczęła, to nie mogła przestać.

Przez następną godzinę, a może nawet dłużej, balansowała na granicy świadomości. Była słaba. Unosiła się niczym liść na ogromnej rzece. Prąd niósł ją tam, gdzie chciał.

Pomyślała o mamie. Czy mama wie, że Maggie zniknęła? Czy jej teraz szuka? Na pewno jej szuka.

Może ktoś obciął Maggie ręce i nogi. Zupełnie ich nie czuła. To musiało być dawno temu.

Było całkiem czarno. Na pewno została zakopana pod ziemią. Na pewno właśnie gnije i zamienia się w szkielet. Czy to dlatego nie czuje rąk i nóg?

Czy tak będzie już zawsze? Nie mogła tego znieść i znów zaczęła płakać. Tak bardzo jej się mieszało w głowie. Zupełnie nie była w stanie myśleć.

Maggie Rose była za to w stanie otwierać i zamykać oczy. W każdym razie takie miała wrażenie. Bo niezależnie od tego, czy je otworzyła, czy zamknęła, nie widziała żadnej różnicy. Wszystko było ciemnością. Tak czy inaczej.

Ale kiedy robiła to bardzo szybko, bardzo szybko otwierała i zamykała oczy, widziała kolory.

Pośród czerni widziała smużki koloru. Głównie czerwień i jasną żółć.

Zastanawiała się, czy może została związana albo spięta pasami. Czy to właśnie robią z ludźmi w trumnie? Przypinają ich pasami do dna? Po co? Żeby nie wyszli na powierzchnię? Żeby ich dusza na zawsze została pod ziemią?

Nagle coś sobie przypomniała. Pan Soneji. Mgła, która zasnuwała jej myśli, na moment się rozviała.

Pan Soneji zabrał ją ze szkoły. Co się stało? I dlaczego? Gdzie teraz jest pan

Soneji?

No i Michael! Co z Michaelem? Wyszli ze szkoły razem. Tyle pamiętała.

Maggie Rose spróbowała się poruszyć i wtedy stało się coś niesamowitego.

Okazało się, że jest w stanie przewrócić się na brzuch.

I to właśnie zrobiła. Przetoczyła się na bok i nagle w coś uderzyła.

Wreszcie znów czuła całe ciało. Wciąż miała ciało, które mogła czuć. Była już całkiem pewna, że ma ciało i że nie została szkieletem.

I Maggie zaczęła krzyczeć!

Wpadła na coś albo na kogoś.

Ktoś inny był tam razem z nią.

Michael?

To musiał być Michael.

–Michael? – odezwała się Maggie ledwie słyszalnym szeptem. – Michael, to ty?

Czekała na odpowiedź.

–Michael? – szepnęła nieco głośniej. – Michael, daj spokój, odezwi się.

Kimkolwiek był ten ktoś, nie odpowiadał. To było jeszcze bardziej przerażające niż samotność.

–Michael... to ja... Nie bój się... To ja, Maggie... Michael, proszę, obudź się... Michael, proszę... Proszę cię, Krewetko. Ja tylko żartowałam z tymi twoimi butami. Michael, daj spokój.

Odezwi się. To ja, Dido Ciamajdo.

Rozdział 14

Rezydencję Dunne'ów miejscowi spece od nieruchomości mogliby określić jako neoelżbietański budynek w stylu Lutyen-sowskim. Ani ja, ani Sampson nie widzieliśmy w południowo-wschodniej części miasta zbyt wielu takich domów.

Wnętrze cechowały spokój i różnorodność, które chyba są czymś normalnym u bogaczy. Dom wypełniała masa drogich przedmiotów. Orientalne parawany, płaskorzeźby *art deco*, francuski zegar słoneczny, dywan z Turkiestanu, stolik ołtarzowy, który wyglądał na chiński lub japoński. Przypomniały mi się słowa Picassa: „Dajcie mi muzeum, a ja je wypełnię”.

Obok jednego z salonów znajdowała się niewielka łazienka. Komendant George Pittman zaciągnął mnie tam w chwilę po tym, jak przyjechałem. Około ósmej rano. Za wcześnie na coś takiego.

–Co ty wyrabiasz? – zapytał. – Co ty sobie myślisz, Cross?

Pomieszczenie było zdecydowanie zbyt małe, by pomieścić dwóch dorosłych facetów słusznej postury. Zresztą to nie była zwykła toaleta. Na ziemi leżał dywan w stylu Williama Morrisa, a w kącie stało stylowe krzesło.

–Myślałem, że pójdę po kawę. A potem miałem zamiar wysłuchać porannej odprawy – odrzekłem.

Bardzo chciałem wyjść z tej łazienki.

71

–Ty sobie ze mną, kurwa, nie pogrywaj – podniósł głos. – Nie pogrywaj sobie ze mną, rozumiesz?

Oj nie, nie rób tego, miałem ochotę powiedzieć. Nie rób tutaj wielkiej, brzydkiej sceny. Miałem ochotę wepchnąć mu łeb do muszli klozetowej i spuścić wodę, tylko po to, żeby się zamknął.

–Albo pan zmieni ton, albo stąd wyjdę – zagroziłem.

Zazwyczaj staram się zachowywać rozsądnie i racjonalnie.

To jedna z moich wad.

–Nie będziesz mi rozkazywał, jak mam mówić. Kto wam, do cholery, pozwolił wczoraj iść do domu? Tobie i Sampsonowi. Kto ci kazał rano jechać do mieszkania Sonejiego?

–To o to chodzi? To dlatego tutaj wleźliśmy? – zapytałem.

–Tak jest. To ja kieruję śledztwem. A to znaczy, że jak chcesz zawiązać

sznurowadło, to najpierw masz mnie zapytać o pozwolenie.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu. Nie potrafiłem się powstrzymać.

–Komu pan ukradł tę kwestię? Czy to nie Lou Gossett mówił coś takiego w Oficerze i dżentelmenie!

–Tobie się wydaje, że to wszystko jest fajna zabawa, co, Cross?

–Nie. To w ogóle nie jest zabawa. A teraz spieprzaj mi pan sprzed oczu, jak nie chcesz stracić swoich własnych.

Wyszedłem z łazienki. Komendant Pittman nie poszedł za mną. Owszem, można mnie sprowokować. A ten mały zasraniec nie powinien ze mną zadzierać.

Parę minut po ósmej zespół kryzysowy wreszcie zebrał się w wielkim, wytwornie urządzonej salonie. Od razu wyczułem, że coś jest nie tak. Na pewno coś się stało.

Głos zabrała Jezzie Flanagan z Secret Service. Pamiętałem ją z zeszłego poranka. Była w szkole. Stała przed płonącym kominkiem.

Gzyms przystrojony był gałązkami ostrokrzewu, drobnymi białymi lampkami i kartkami świątecznymi. Znalazło się wśród

nich kilka niecodziennych pocztówek od znajomych z Kalifornii – zdjęcia przyozdobionych palm czy sanie Świętego Mikołaja nad plażą w Malibu. Dunne'owie niedawno przenieśli się do Waszyngtonu, kiedy Thomas Dunne został dyrektorem Czerwonego Krzyża.

Jezzie Flanagan tym razem była ubrana bardziej oficjalnie niż w szkole. Miała na sobie luźną szarą bluzkę narzuconą na czarny sweter z golfem, a w uszach drobniutkie złote kolczyki. Wyglądała jak waszyngtońska prawniczka, bardzo atrakcyjna i odnosząca duże sukcesy.

–Wczoraj o północy skontaktował się z nami Soneji. Później po raz kolejny o pierwszej. Nikt z nas się nie spodziewał, że zrobi to tak szybko – zaczęła. – Pierwszy raz zadzwonił z Arlington. Dał jasno do zrozumienia, że nie powie nic na temat dzieci, oprócz tego, że ani Maggie Dunne, ani Michaelowi Goldbergowi nic nie jest. Co jeszcze mógł powiedzieć? Nie pozwolił nam z nimi rozmawiać, więc nie wiemy, czy mówił prawdę. Robił wrażenie bardzo przytomnego i najwyraźniej panuje nad sytuacją.

–Czy przeanalizowano już nagranie rozmowy? – spytał siedzący z przodu Pittman. Skoro Sampson i ja musieliśmy się wszystkiemu przyglądać z zewnątrz, to dobrze było wiedzieć, że i on był w tej samej sytuacji. Najwyraźniej z nim także nikt nie chciał rozmawiać.

–Eksperci właśnie nad tym pracują – odrzekła uprzejmie Flanagan.

Pomyślałem, że poświęciła pytaniu Pittmana dokładnie tyle uwagi, na ile ono zasługiwało, a jednocześnie udało jej się nie zabrzmieć protekcjonalnie. Naprawdę dobrze potrafiła kontrolować sytuację.

–Jak długo z nim rozmawialiście? – zapytał prawnik Richard Galletta.

–Niestety, niezbyt długo. Dokładnie trzydzieści cztery sekundy – odparła Flanagan z identycznie oszczędną uprzejmością. Chłodno, ale wystarczająco grzecznie. Niegłupie.

Przyglądałem się jej badawczo. Najwyraźniej dobrze się czuła przed publicznością. Podobno przez ostatnie kilka lat

zasłużyła się w Secret Service jakimiś odważnymi posunięciami – a to oznaczało, że zasłużyła się naprawdę poważnie.

–Kiedy dotarliśmy do budki w Arlington, jego już dawno tam nie było. Trudno tak szybko liczyć na tyle szczęścia – powiedziała.

Rzuciła zgromadzonym leciutki uśmiech. Zauważyłem, że kilku mężczyzn również odpowiedziało uśmiechem.

–Jak pani myśli, dlaczego zadzwonił? – zapytał agent U.S. Marshals z tyłu sali. Łysiał, miał brzuszek i palił fajkę. Flanagan westchnęła.

–Proszę mi dać dokończyć. Niestety, ten telefon to nie

wszystko. W nocy Soneji zamordował agenta FBI Rogera Grahama przed jego domem w Wirginii.

Trudno wstrząsnąć grupą doświadczonych ludzi, taką jak ta zebrana w rezydencji państwa Dunne'ów. Jednak wiadomość o śmierci Rogera Grahama wywołała ten efekt. Pode mną ugięły się kolana. Przez ostatnie kilka lat wspólnie z Rogerem radziłem sobie z różnymi problemami. Zawsze gdy; z nim pracowałem, czułem się bezpiecznie. Nie potrzebowałem kolejnego powodu, żeby chcieć dorwać Gary'ego Sonejiego, ale właśnie go dostałem.

Zastanawiałem się, czy on o tym wiedział. A jeśli tak, to co to oznaczało? Jako psychologa to morderstwo napawało mnie strachem. Widziałem, że Soneji jest dobrze zorganizowany, na tyle pewny siebie, żeby z nami pogrywać, a ponadto był gotów zabijać. To zła wróżba dla Maggie Rose Dunne i Michaela Goldberga.

–Zostawił nam bardzo wyraźną wiadomość – mówiła dalej Flanagan. – Była wydrukowana na niewielkiej kartce, jakby karcie bibliotecznej. Skierował ją do nas wszystkich. Brzmiała tak: „Roger Grahamka myślał, że jest nie wiadomo kim. Cóż, jak widać, nie był. Jeśli pracujecie nad tą sprawą, jesteście w wielkim niebezpieczeństwie!”. Wiadomość była podpisana. On nazywa siebie „Synem Lindbergha”.

Rozdział 15

Relacje prasowe z porwania dzieci od samego początku były bezlitosne. Nagłówek na pierwszej stronie jednej z porannych gazet brzmiał: OCHRONIARZE Z SECRET SERVICE POSZLI NA KAWĘ. Na razie media nie dowiedziały się o śmierci agenta Rogera Grahama. Staraliśmy się, by tak zostało.

Tego ranka mówiło się głównie o tym, że agenci Secret Service Charles Chakely i Michael Devine opuścili swe stanowiska w prywatnej szkole podstawowej. Tak naprawdę podczas lekcji udali się na śniadanie, co było standardem w tego typu służbie. Jednak przerwa na kawę musiała się okazać kosztowna. Wszystko wskazywało na to, że Chakely i Devine zapłacą za nią posadą, a być może całą karierą.

Poza tym Pittman prawie w ogóle nie korzystał z pomocy Sampsona i mojej. Trwało to dwa kolejne dni. Pozostawieni samym sobie, skoncentrowaliśmy się na nikłych śladach, które zostawił Gary Soneji. Ja odwiedziłem okoliczne sklepy z charakterystyką. Sampson udał się natomiast do biblioteki Uniwersytetu Georgetown. Jednak nikt tam nie widział pana Sonejiego. Nikt sobie nawet nie zdawał sprawy z kradzieży książek.

Soneji naprawdę zniknął. Co gorsza, wyglądało na to, że zanim podjął pracę w szkole imienia Jerzego Waszyngtona, w ogóle nigdy nie istniał.

Tak jak się można było spodziewać, sfałszował wszystkie dane o wcześniejszym zatrudnieniu, a także niektóre rekomen-

dacie. Staranność, z jaką wykonał każdy ruch, obserwowaliśmy wcześniej jedynie w przypadku najzdolniejszych oszustów. Nie zostawił po sobie żadnych śladów.

Jeśli chodzi o zdobycie posady w szkole, Soneji był beczelnie pewny siebie. Domniemany dawny pracodawca (fikcyjny) skontaktował się ze szkołą imienia Waszyngtona i z całego serca polecił matematyka, który właśnie przeprowadzał się do stolicy. Kolejne rekomendacje przysłało faksem z Uniwersytetu Pensylwanii, gdzie rzekomo prowadził zarówno zajęcia na poziomie licencjackim, jak i magisterskim. Po przeprowadzeniu dwóch rozmów, podczas których Soneji zrobił ogromne wrażenie, dyrekcja szkoły tak bardzo chciała pozyskać miłego i gorliwego nauczyciela (wierząc przy tym, że stara się o niego także kilka innych prywatnych placówek w Waszyngtonie), że natychmiast go zatrudniono.

–I nigdy tego nie żałowaliśmy, oczywiście aż do teraz – powiedział mi zastępca dyrektora. – Był nawet lepszy, niż myśleliśmy na początku. Gdyby się okazało, że przed przyjściem do nas nie był nauczycielem matematyki, byłbym zaskoczony. To by znaczyło, że jest rewelacyjnym aktorem.

Trzeciego dnia późnym popołudniem dostałem zadanie od Dona Manninga, jednego z poruczników w zespole Pittmana. Miałem porozmawiać z Katherine Rose Dunne i jej mężem. Wcześniej sam usiłowałem spędzić z nimi trochę czasu, ale nie otrzymałem zezwolenia.

Spotkałem się z państwem Dunne w ogrodzie na tyłach ich domu. Trzymetrowy mur z szarego kamienia skutecznie odcinał nas od świata, podobnie jak szpaler potężnych lip. Właściwie za domem znajdowało się kilka ogrodów pooddzielanych murkami i strumyczkami. Dunne'owie zatrudniali także własnych ogrodników – młode małżeństwo z Potomac, które najwyraźniej nieźle się urządziło, dbając o różne ogrody w mieście. Nie miałem wątpliwości, że zarabiają więcej ode mnie.

Katherine zarzuciła szal z wielbłądziej wełny na dzinsy i sweter z dekoltem w serek. Gdy wychodziliśmy na dwór,

przyszło mi do głowy, że zapewne może sobie pozwolić na to, żeby nosić, co tylko chce.

Niedawno przeczytałem, że Katherine Rose wciąż uważano za jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie. Odkąd urodziła Maggie Rose, wystąpiła w niewielu filmach, ale gdy na nią patrzyłem, widziałem, że nie straciła nic ze swej olśniewającej urody. Nawet teraz, w tak trudnej chwili.

Gdy się poznali, Thomas Dunne, jej obecny mąż, był w Los Angeles znaczącym prawnikiem. Działał w show-biznesie. Angażował się tam również w akcje Greenpeace i Save the Earth. Cała rodzina przeprowadziła się do Waszyngtonu, kiedy Thomas został dyrektorem Amerykańskiego Czerwonego Krzyża.

–Czy pracował pan już kiedyś nad jakimiś porwaniami? – zapytał Thomas Dunne.

Próbował oszacować moją pozycję. Czy jestem ważną osobą? Czy potrafię pomóc w odnalezieniu ich córeczki? Było to odrobinę niegrzeczne, ale biorąc pod uwagę

okoliczności, nie mogłem mieć do niego pretensji.

–Nad kilkunastoma – odrzekłem. – Proszę mi opowiedzieć o Maggie. Każda informacja może się przydać. Im więcej

wiemy, tym większa szansa, że znajdziemy państwa córkę.

Katherine Rose skinęła głową.

–Oczywiście. Staraliśmy się wychować Maggie na normalne dziecko, oczywiście w miarę możliwości – rzekła. – Między innymi dlatego przenieśliśmy się na wschodnie wybrzeże.

–Nie jestem pewien, czy Waszyngton można uznać za normalne miejsce. Oaza spokoju to to nie jest – powiedziałem z uśmiechem.

Nie wiedzieć czemu, tym stwierdzeniem najwyraźniej przełamałem pierwsze lody.

–W porównaniu z Beverly Hills tutaj naprawdę jest normalnie – odparł Tom Dunne. – Proszę mi wierzyć.

–Ja już nawet nie wiem, co to w ogóle jest „normalność” – powiedziała Katherine. Miała szaro-niebieskie oczy, którymi przeszywała rozmówcę. – To chyba jakieś nasze

staroświeckie wyobrażenie. Maggie nie jest rozpuszczona. Nie narzeka, że „Suze ma to”, a „rodzice Casey kupili jej tamto”. Nie jest zadufana w sobie. Właśnie w tym sensie jest „normalna”. Proszę pana, to jest zwykła dziewczynka.

Podczas gdy Katherine Rose z uczuciem opowiadała o córeczce, zacząłem myśleć o własnych dzieciach, w szczególności o Janelle. Jannie też była „normalna” – czyli zrównoważona, na pewno nierozpuszczona, urocza pod każdym względem. W miarę jak znajdowałem kolejne podobieństwa między naszymi córkami, coraz uważniej słuchałem opowieści o Maggie Rose.

– Jest bardzo podobna do Katherine – dodał Thomas Dunne, najwyraźniej czując, że powinienem się o tym dowiedzieć. – Moja żona to najskromniejsza osoba, jaką znam. Niech mi pan wierzy, to niesamowicie trudne: być gwiazdą w Hollywood i znosić wszystkie pochlebstwa i obelgi, a jednocześnie pozostać kimś takim jak Katherine.

– Dlaczego nazwali państwo córkę Maggie Rose? – zwróciłem się z pytaniem do aktorki.

– To wszystko moja sprawa – odparł Thomas Dunne, przewracając oczami. Widać było, że lubił mówić za żonę. – To było przezwisko, które się przyjęło. Wpadło mi do głowy, kiedy pierwszy raz zobaczyłem Katherine i córeczkę razem w szpitalu.

– Tom mówi na nas „Różyczki”, „Różane siostrzyczki”. Pracujemy tutaj w „rózonym ogrodzie”. A kiedy kłócę się z Maggie, to jest „Wojna Dwóch Róż”. Mniej więcej w ten sposób to działa.

Bardzo kochali córeczkę. To się czuło w ich każdym słowie.

Soneji – jakkolwiek by się w rzeczywistości nazywał – dokonał bardzo przemyślanego wyboru. Kolejny perfekcyjny ruch z jego strony. Starannie odrobił lekcje. Wielka gwiazda filmowa i szanowany prawnik. Kochający rodzice. Pieniądze. Prestiż. Może lubił filmy z udziałem Katherine. Próbowałem sobie przypomnieć, czy zagrała kiedyś rolę, która mogła wpłynąć na jego decyzję. Nie pamiętam, żeby w mieszkaniu Sonejiego wisiało jej zdjęcie.

– Mówił pan, że chce wiedzieć, jak Maggie może się zachować w tej strasznej sytuacji – podjęła wątek Katherine. – Dlaczego?

– Z rozmów z nauczycielami wiemy, że jest bardzo dobrze wychowana. Być może dlatego Soneji wybrał właśnie ją – odparłem szczerze. – Czy jeszcze coś przychodzi państwu do głowy? Proszę sobie pozwolić na swobodne skojarzenia.

– Maggie bywa czasem bardzo poważna i zorganizowana, a innym razem odpywa w świat fantazji, i tak na zmianę – powiedziała Katherine. – Czy pan ma dzieci? – spytała.

Wzdrygnąłem się. Znowu myślałem o Jannie i Damonie. Podobieństwa.

– Dwoje. Poza tym pracuję z dziećmi z biednych osiedli – odrzekłem. – Czy Maggie ma w szkole kolegów?

– Całą masę – odparł ojciec. – Lubi dzieci, które są pomysłowe, ale niezbyt zapatrzone w siebie. Poza Michaeliem, który jest bardzo egocentryczny.

–Proszę mi o nich opowiedzieć. O Maggie i Michaelu.

Katherine Rose uśmiechnęła się po raz pierwszy od początku rozmowy. To było dziwne uczucie: mieć przed sobą ten uśmiech, który tyle razy widziałem w filmach. Siedziałem jak zahipnotyzowany. Trochę mnie zawstydziła taka reakcja.

–Są najlepszymi przyjaciółmi, odkąd tylko się tu sprowadziliśmy. Tworzą strasznie dziwną parę, ale są nierozłączni – powiedziała. – Czasami mówimy na nich Felix i Oscar.

–Jak państwo myślą, jak Michael mógłby się zachować w takiej sytuacji?

–Trudno powiedzieć – odparł Thomas Dunne, kręcąc głową.

Robił wrażenie osoby ogromnie niecierplivej. Zapewne przyzwyczał się, że zawsze dostaje to, czego chce i kiedy tylko chce.

–Michael zawsze musi mieć „plan”. Jego życie jest bardzo uporządkowane – dodał.

–A jego problemy zdrowotne?

Wiedziałem, że Michael urodził się z sinicą. Wciąż miewał niewielkie szmery w sercu.

Katherine Rose wzruszyła ramionami. Widocznie nie był to wielki problem.

–Czasami się męczy. I jest drobny jak na swój wiek. Maggie jest od niego wyższa.

–Wszyscy mówią na niego „Krewetka”. Chyba to lubi. Dzięki temu czuje się częścią paczki – dodał Tom Dunne. – To taki mały geniusz. Maggie mówi o nim, że to „mózgowiec”. To całkiem trafne określenie.

–O tak, Michael to prawdziwy mózgowiec.

–Jak często się męczy? – powróciłem do tego, co powiedziała Katherine. To się mogło okazać ważne. – Czy robi się rozdrażniony?

Katherine przez moment zastanawiała się nad odpowiedzią.

–Raczej bywa wtedy oklapnięty. Czasami musi sobie uciąć drzemkę. Pamiętam, jak raz zasnęli obok basenu. Taka śmieszna mała para rozciągnięta na trawie. Po prostu dwa małe dzieciaki.

Patrzyła na mnie tymi swoimi szarymi oczyma. Rozplakała się. Od dłuższego czasu bardzo się starała nad sobą panować, ale nie mogła już dłużej powstrzymać łez.

Chociaż na początku byłem temu bardzo niechętny, powoli autentycznie angażowałem się w tę potworną sprawę. Szczerze współczułem Dunne'om i Goldbergom. Widziałem podobieństwo między Maggie Rose a moimi dziećmi. Takie zaangażowanie nie zawsze bywa pomocne. Wściekłość, którą czułem wobec mordercy z osiedli, przeniosłem na porywacza dwójki niewinnych dzieci. Pana Sonejiego... Pana Procesorka...

Chciałem objąć tych ludzi, powiedzieć im, że wszystko będzie dobrze. Zapewnić o tym samego siebie. Tylko że wcale nie byłem o tym przekonany.

Rozdział 16

Maggie Rose wciąż wierzyła, że leży we własnym grobie. To już przestało być dziwne i okropne. To było milion razy gorsze od najstraszniejszego koszmaru, jaki sobie potrafiła wyobrazić. A dobrze wiedziała, że ma bujną wyobraźnię. Kiedy tylko chciała, potrafiła opowiadać kolegom najbardziej niezwykle i obrzydliwe historie.

Czy była teraz noc? Czy raczej dzień?

–Michael? – jęknęła cicho.

Miała wrażenie, że jej usta, a szczególnie język, są z waty. Suchość w ustach była nie do wytrzymania. Tak strasznie chciało jej się pić. Co jakiś czas dusiła się językiem i miała wrażenie, że go połyka. Jeszcze nigdy nikomu tak bardzo nie chciało się pić. Nawet na pustym w Iraku i Kuwejcie.

Maggie Rose wciąż balansowała na krawędzi snu. Nawiedzały ją kolejne koszmary. Następny właśnie się zaczynał.

Ktoś w pobliżu łomotał w ciężkie, drewniane drzwi.

Nie wiadomo, kto to mógł być, ale wołał ją po imieniu.

–Maggie Rose... Maggie Rose, odezwij się!

Nagle Maggie nie była już wcale pewna, czy to tylko sen.

Ktoś rzeczywiście tam był.

Czy próbował się dostać do jej grobu? Czy to mama i tata? A może nareszcie

policja?

Nagle oślepiło ją światło! Maggie Rose była pewna, że to rzeczywiście światło.

Zupełnie jakby patrzyła w setkę fleszy, które nagle błysnęły wszystkie razem.

Serce biło jej szybko i mocno, wreszcie wiedziała, że na pewno wciąż żyje. I jest w jakimś strasznym, strasznym miejscu. Ktoś ją tam umieścił.

Maggie Rose szepnęła w stronę światła:

–Kto to? Kto tam jest? Kto jest nade mną? Widzę twarz!

Światło było tak jasne, że Maggie Rose nic nie widziała.

Drugi, a może już trzeci raz absolutna czerń zmieniła się w oślepiającą biel.

A potem czyjaś sylwetka przesłoniła światło. Maggie wciąż nie widziała kto to. Zza pleców tej osoby promieniował blask.

Dziewczynka mocno zacisnęła powieki. A potem je otworzyła. I tak parę razy.

Wciąż właściwie nic nie widziała. Nie mogła skupić wzroku na tym kimś albo może czymś. Musiała dalej mrugać oczami. Ten ktoś na pewno zobaczy, że mruga, i dzięki temu będzie wiedział, że Maggie żyje.

–Pan Soneji? Niech mi pan pomoże – usiłowała zawołać.

Miała tak strasznie sucho w gardle. Jej głos był chrypliwy i nie do poznania.

–Zamknij pysk! Zamknij pysk! – krzyknął jakiś głos.

Ktoś tam teraz był! Ktoś tam naprawdę był i mógł ją wyciągnąć.

Brzmiało to jak... głos bardzo starej kobiety.

–Pomocy. Błagam – jęknęła Maggie.

Z góry spadła dłoń i mocno ją spoliczkowała.

Maggie wrzasnęła. Bardziej ze strachu niż z bólu, chociaż cios także bolał. Nigdy dotąd nikt jej nie uderzył w twarz. Dziewczynce aż zahuczało w głowie.

–Przestań się drzeć!

Dziwny głos był coraz bliżej.

Ten ktoś zszedł do grobu i stał teraz tuż nad Maggie. Dziewczynka czuła silny zapach potu i cuchnący oddech. Była przygwożdżona do ziemi i nie miała siły walczyć.

–Nie opieraj mi się, mała gówniario! Nawet się nie waż

opierać! Co ty sobie wyobrażasz, mała gówniario! Ani się waż podnieść na mnie rękę! Słyszysz? Ani się waż!

O Boże, co się dzieje?

–Ty jesteś ta słynna Maggie Rose, co? Ty bogaty, rozwydrzony bachorze! Powiem ci coś w tajemnicy. To nasza tajemnica. Umrzesz, malutka. Umrzesz!

Rozdział 17

Dzień później była Wigilia. Sytuacja nie sprzyjała świątecznej radości. A jeszcze przed Bożym Narodzeniem miało się zrobić dużo gorzej.

Nikt z członków zespołu kryzysowego nie potrafił się zaangażować w zwykłe rodzinne przygotowania. To tylko zwiększało napięcie. Potęgowało ból, który

czuliśmy, zmuszeni wykonywać to przygnębiające zadanie. Jeśli Soneji właśnie dlatego wybrał tę porę, wiedział, co robi. Wszystkim nam usrał święta.

Około dziesiątej rano ruszyłem Sorrell Avenue w kierunku domu Goldbergów. Tymczasem Sampson wymknął się nieco wcześniej, żeby trochę popracować nad zabójstwami w południowo-wschodniej części miasta. Zamierzaliśmy się spotkać koło południa i wymienić koszmarne opowieści.

Rozmawiałem z państwem Goldbergami przez ponad godzinę. Kiepsko się trzymali. Pod wieloma względami byli jeszcze bardziej otwarci niż Katherine i Thomas Dunne'owie. Zauważyłem, że Jerrold i Laurie Goldbergowie są surowszymi rodzicami, jednak kochali syna z całego serca. Przed jedenastoma laty lekarze powiedzieli Laurie, że nie może mieć dzieci. Miała uszkodzoną macicę. Kiedy zaszła w ciążę z Michaeliem, to był istny cud. Czy Soneji o tym wiedział? Jak bardzo starannie dobrał ofiary? Czemu właśnie Maggie Rose i Michael Goldberg?

Państwo Goldbergowie pokazali mi pokój Michaela i zgodzili się zostawić mnie na trochę samego. Zamknąłem drzwi i usiad-

łem w milczeniu. To samo zrobiłem wcześniej u Dunne'ów w pokoju Maggie.

Na ścianach wisiały plakaty Katherine Rose z filmów *Taboo* i *Honeymoon*. Nad łóżkiem – wielkie zdjęcie Sebastiana Bacha, wokalisty zespołu Skid Row. Z prywatnej łazienki Michaela patrzył na mnie Albert Einstein z fioletowym irokezem. Z okładki magazynu „Rolling Stone” krzychało pytanie: „Kto zabił Pee-wee Hermana?”.

Na biurku chłopca stała ramka ze wspólnym zdjęciem Michaela i Maggie Rose. Stali ramię w ramię i wyglądali jak para najlepszych przyjaciół. Co kierowało panem Sonejmem? Czy chodziło o szczególną przyjaźń tej dwójki?

Goldbergowie nigdy nie poznali pana Sonejiego, chociaż Michael często o nim mówił. Poza nauczycielem nikt inny – ani dziecko, ani dorosły – nigdy nie pokonał chłopca w gry Nintendo takie jak *Ultima* czy *Super Mario Brothers*. Wynikało z tego, że mężczyzna sam był „mózgowcem”, cudownym dzieckiem, i nawet dla zachowania pozorów nie był gotów pozwolić na to, żeby dziewięciolatek okazał się lepszy w grze komputerowej. Nie był gotowy pozwolić sobie na jakąkolwiek przegraną.

Właśnie wróciłem do biblioteki, gdzie czekali na mnie państwo Goldbergowie, i wyjrzałem przez okno, kiedy cała sprawa porwania raz na zawsze stanęła na głowie.

Od domu Dunne'ów ulicą pędził Sampson. Z każdym krokiem pokonywał chyba jedną trzecią przecznicy. Wypadłem przez drzwi wejściowe w momencie, gdy on dotarł do trawnika. Wyhamował jak Jerry Rice z San Francisco 49ers w strefie końcowej boiska.

–Znowu zadzwonił?

–Nie! Ale coś się stało. FBI trzyma gębę na kłódkę – powiedział Sampson. – Coś mają. Jedziemy.

Tuż przy Sorrell Avenue, na końcu pobliskiej Plately Bridge Lane, policja ustawiła blokadę. Kilka drewnianych zapór sku-

tecnie uniemożliwiło dziennikarzom wyruszenie w ślad za samochodami, które tuż po godzinie drugiej wyjechały spod rezydencji państwa Dunne'ów. Sampson i ja jechaliśmy w trzecim wozie.

Siedemdziesiąt minut później trzy auta pędziły przez pagórkowaty krajobraz okolic Salisbury w stanie Maryland. Skręciły w krętą drogę, udając się w kierunku strefy przemysłowej, ukrytej w gęstym lesie sosnowym.

W Wigilię ten kompleks, z wyglądu dość nowoczesny, był całkowicie opustoszały. Panowała tam upiorna cisza. Pokryte śniegiem trawniki prowadziły w stronę trzech budynków biurowych z białymi elewacjami. Na miejsce tajemniczego zajścia przybyło już kilka karetek i radiowozów miejscowej policji.

Na tyłach zabudowań płynęła jakaś mała rzeczka, która na pewno wpadała do zatoki Chesapeake. Brązowawa woda wyglądała na mocno zanieczyszczoną. Na budynkach wisiały niebieskie tabliczki z napisami: J. Cad Manufacturing, The Raser/Becton Group, Techno-Sphere.

Wciąż nikt nie pisał ani słowa o tym, co się tutaj stało.

Przyłączyliśmy się z Sampsonem do grupki, która podążała w stronę rzeki. Na

miejscu było już czterech agentów FBI. Mieli bardzo zmartwione miny.

Pomiędzy strefą przemysłową a rzeką ciągnął się wąski pas pożółkłych chwastów, a nad samą wodą – na długości trzydziestu, może czterdziestu metrów – nie rosło nic. Bure niebo nad naszymi głowami groziło kolejnymi opadami śniegu.

Na błotnistym brzegu kilku policjantów wylewało gips, szukając śladów stóp. Czy był tu Gary Soneji?

–Powiedzieli pani coś? – spytałem Jezzie Flanagan.

Wspólnie schodziliśmy po stromym, błotnistym nadbrzeżu.

Flanagan właśnie niszczyła sobie buty, ale chyba w ogóle nie zwracała na to uwagi.

–Nie, jeszcze nie. Ani słowa!

Była równie sfrustrowana co my. To pierwsza okazja, żeby „Zespół” działał zupełnie nie jak zespół. Ludzie z FBI mieli szansę nawiązać współpracę. Zmarnowali ją. Niezbyt obiecujący początek.

–Błagam, niech to nie będą te dzieci – mruknęła Jezzie Flanagan, kiedy dotarliśmy na płaski grunt.

Nad rzeką stało dwóch agentów FBI, Reilly i Gerry Scorse. Sypał śnieg. Znad szarej tafli wody wiał wiatr, niosąc woń podobną do palonego linoleum.

Serce podchodziło mi do gardła. Powiodłem wzrokiem wzdłuż brzegu, ale niczego nie zauważyłem.

Agent Scorse wygłosił krótką mowę, która miała nas chyba udobruchać.

–Nie bierzcie tej całej tajemnicy do siebie. Ze względu na ogromne zainteresowanie mediów proszono nas, a właściwie polecono nam, żebyśmy nie wyjawiali żadnych szczegółów do momentu, aż wszyscy tu przyjedziemy. Aż będziemy mogli to zobaczyć na własne oczy.

–Aż co będziemy mogli zobaczyć? – zapytał Sampson. – Czy dowiemy się wreszcie, co tu się, u diabła, dzieje? Dajmy sobie spokój z czczym gadaniem.

Scorse przywołał gestem jednego z agentów i zamienił z nim kilka słów. Agent miał na nazwisko McGoey i pracował w waszyngtońskiej dyrekcji. Widziałem go parę razy w rezydencji Dunne'ów. Wszyscy myśleliśmy, że zastępuje Rogera Grahama, ale nikt tego nigdy nie powiedział wprost.

McGoey skinieniem głowy potwierdził to, co usłyszał od Scorse'a, a następnie zrobił krok naprzód. Był otyłym mężczyzną o poważnej twarzy i krótko przyciętych, siwych włosach. Wyglądał jak stary żołnierz tuż przed emeryturą.

–Okolo godziny pierwszej miejscowa policja znalazła w rzece zwłoki chłopca – oznajmił McGoey. – Nie potrafia stwierdzić, czy to jedno z porwanych dzieci.

Poprowadził nas wzdłuż błotnistej nabrzeża do miejsca oddalonego o jakieś siedemdziesiąt metrów. Przystanęliśmy, minawszy wzgórek porośnięty mchem i pałkami wodnymi. Nikt się nie odzywał. Słychać było tylko szum przejmującego wiatru.

Wreszcie wiedzieliśmy, dlaczego tu jesteśmy. Na ziemi leżało niewielkie ciało, przykryte szarymi kocami z wełny, przyniesionymi z którejś z karetek. Najmniejsze, najbardziej samotne zawiniątko we wszechświecie.

Jednemu z miejscowych policjantów polecono przekazać nam istotne szczegóły. Gdy się odezwał, jego głos był przytłumiony i niepewny.

–Nazywam się porucznik Edward Mahoney. Jestem z miejscowej komendy w Salisbury. Okolo godziny i dwudziestu minut temu pracownik ochrony z Raser/Becton znalazł tu ciało dziecka.

Podeszliśmy bliżej. Ciało leżało na kępcie trawy, a teren opadał w stronę wody. Dalej, jak również na lewo, rozciągały się ciemne moczary porośnięte modrzewiami.

Porucznik Mahoney przyklęknął przy drobniutkich zwłokach. Kolano w szarej nogawce od munduru zatopiło się w mokrym błocie. Wokół jego twarzy krążyły płatki śniegu, osiadały na włosach i policzkach.

Niemalże z czią odłonił koc. Wyglądał jak ojciec, który budzi syna wczesnym rankiem przed wyjazdem na ryby.

Zaledwie kilka godzin wcześniej oglądałem zdjęcie dwójki porwanych dzieci. Jako pierwszy odezwałem się nad ciałem zamordowanego dziecka.

–To Michael Goldberg – powiedziałem cicho, ale wyraźnie. – Niestety, to on. Biedny mały Michael Krewetka.

Rozdział 18

Jezzie Flanagan wróciła do domu dopiero rankiem w dzień Bożego Narodzenia. Głowa jej pękała od nadmiaru myśli o porwaniu.

Potrzebowała się odciąć na chwilę od prześladowających ją obrazów. Potrzebowała wyłączyć silniki, zanim coś w niej wybuchnie. Potrzebowała przestać być gliną. Wiedziała, że tym się właśnie różni od wielu innych policjantów: potrafi przestać.

Jezzie mieszkała w Arlington razem z matką w niewielkim mieszkaniu niedaleko Crystal City Underground. W myślach nazywała je „mieszkaniem dla samobójców”. Miała się tam wprowadzić jedynie na jakiś czas – ale mieszkała w nim już niemal od roku, to znaczy od rozwodu z Dennisem Kelleherem.

Dennis Rozrabiaka przeniósł się na północ stanu New Jersey i wciąż próbował zdobyć robotę w „New York Timesie”. Jezzie dobrze wiedziała, że nigdy mu się to nie uda. Był dobry wyłącznie w sprawianiu, że zaczynała w siebie wątpić. Pod tym względem nie miał sobie równych. Ale w końcu nie dopuściła, by to ją zgnębiło.

Zbyt ciężko pracowała, żeby znaleźć czas na wyprowadzenie się od matki. Taką w każdym razie wersję sobie powtarzała. Nie miała czasu na własne życie. Oszczędzała pieniądze – na coś ważnego, na jakąś wielką zmianę. Liczyła dostępne środki przynajmniej kilka razy w tygodniu, każdego tygodnia. Dys-

ponowała dwudziestoma czterema tysiącami dolarów. To wszystko. Miała trzydzieści dwa lata. Wiedziała, że jest ładna, niemal piękna – mniej więcej tak, jak Dennis Kelleher był niemal dobrym autorem.

Jezzie często sobie mówiła, że mogłaby dużo osiągnąć. Prawie jej się udało. Potrzebowała tylko jakiegoś przełomu. Wreszcie zrozumiała, że sama musi go dokonać. Była zdeterminowana, by tego dokonać.

Napiła się smithwicka, naprawdę dobrego piwa z Anglii. To był ulubiony napój jej ojca. Ugryzła plasterek świeżego cheddara. Potem weszła pod prysznic z drugą butelką piwa. W myślach znów błysnęła drobna twarzyczka Michaela Goldberga.

Musiała powstrzymać te obrazy. Musiała powstrzymać poczucie winy, nawet jeśli ją rozrywało od środka...

Te dzieci porwano pod jej nadzorem. Właśnie tak się to wszystko zaczęło... Koniec z wizjami! Koniec ze wszystkim, chociaż na chwilę.

Irenę Flanagan kasłała przez sen. Matka Jezzie przez trzydzieści dziewięć lat pracowała w CP Telephone. Była właścicielką mieszkania w Crystal City. Świetnie grała w brydża. I to właściwie wszystko, co można powiedzieć o Irenę.

Ojciec Jezzie, Terry Flanagan, przez trzydzieści siedem lat był gliniarzem w Waszyngtonie. Zakończył życie podczas wykonywania ukochanej pracy – zmarł na zawał na zatłoczonym dworcu Union Station. Setki obcych ludzi obserwowały jego śmierć i nikt się tym nie przejął. W każdym razie Jezzie zawsze w ten sposób o tym opowiadała.

Znów, chyba już po raz tysięczny, postanowiła, że pora się wyprowadzić od matki. Bez względu na wszystko. Żadnych głupich wymówek. Rusz się, dziewczyno, zanim będzie za późno. Rusz się i zmień coś w swoim życiu.

Kompletnie straciła poczucie czasu. Stała w strugach wody z pustą butelką w dłoni, pocierając chłodnym szkłem o udo.

–Jak ty uwielbiasz rozpaczać – mruknęła pod nosem. – Żałosne.

Była pod prysznicem na tyle długo, żeby dokończyć smithwicka i nabrać ochoty na następnego. Nabrać ochoty na cokolwiek.

Przez chwilę udało jej się nie myśleć o chłopcu Goldbergów. Ale tylko przez chwilę. Jak mogła? Mały Michael Goldberg.

Jednak przez ostatnie kilka lat Jezzie Flanagan nabrała wprawy w zapominaniu – w unikaniu bólu za wszelką cenę. Wyłącznie idiota godzi się na ból, jeśli tylko może przed nim uciec.

Oczywiście oznaczało to również rezygnację z jakichkolwiek związków, z choćby śladów miłości, z najbardziej naturalnych ludzkich uczuć. To nic. To może nawet niewygórowana cena. Jezzie odkryła, że potrafi żyć bez miłości. Brzmiało to strasznie, ale taka była prawda.

Owszem – myślała – jak na razie, szczególnie w chwili obecnej, całkiem dobrze na tym wychodziła. Łatwiej było jej przeżywać kolejne dni i noce tego kryzysu. Przynajmniej do takiej godziny, kiedy można było sięgnąć po alkohol.

Nieźle sobie radziła. Miała wszystko, czego potrzebowała, żeby przetrwać. Skoro dała sobie radę jako kobieta w policji, mogła sobie dać radę ze wszystkim. Inni agenci mówili, że Jezzie ma *cojones*. Ich zdaniem był to komplement, więc i ona tak to przyjmowała. Poza tym mieli całkowitą rację – Jezzie miała *cojones*, i to z mosiądzu. Na dodatek była dostatecznie mądra, by udawać, że je ma nawet w chwilach, gdy ich brakowało.

O pierwszej nad ranem musiała zabrać swój motor BMW na przejażdżkę. Musiała uciec z tego klaustrofobicznego mieszkania.

Musiała, musiała, musiała.

Matka usłyszała, jak Jezzie otwiera drzwi na korytarz. Krzyknęła z sypialni, może tuż po przebudzeniu:

–Jezzie, dokąd idziesz o takiej godzinie? Jezzie? Jezzie, to ty?

–Po prostu muszę wyjść, mamo.

Po świąteczne zakupy do supermarketu, chciała dodać cynicznie. W końcu, jak zwykle, zachowała to dla siebie. Marzyła,

żeby było już po świętach. Ze strachem myślała o dniu jutrzejszym.

Potem wyruszyła na motorze BMW K-1 w noc – może uciekała przed swoimi koszmarami, swoimi demonami, a może je goniła.

Było Boże Narodzenie. Czy Michael Goldberg umarł za nasze grzechy? Czy o to tu chodziło?

O nie, nie będzie obarczać siebie winą. Było Boże Narodzenie, a za grzechy ludzkości umarł już Jezus. Nawet za grzechy Jezzcie Flanagan. Czuła w sobie odrobinę szaleństwa. Nie, czuła ogrom szaleństwa, ale potrafiła nad nim zapanować. Zawsze nad wszystkim panowała. I teraz też miała taki zamiar.

Śpiewała *Winter Wonderland*, pędząc sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę po pustej autostradzie i coraz bardziej oddalając się od Waszyngtonu. Niewiele rzeczy napawało ją strachem, ale tym razem naprawdę się bała.

Rozdział 19

W świąteczny poranek policja przeszukała domy w niektórych rejonach Waszyngtonu oraz na przedmieściach w Marylandzie i Wirginii. Po śródmiejskich ulicach jeździły biało-niebieskie radiowozy, odtwarzając przez głośniki następującą wiadomość:

Poszukujemy Maggie Rose Dunne. Maggie ma dziewięć lat. Maggie ma blond włosy. Maggie ma metr trzydzieści wzrostu i wazy trzydzieści trzy kilogramy. Za jakąkolwiek informację, która pomoże w odnalezieniu Maggie, czeka wysoka nagroda.

W rezydencji państwa Dunne'ów kilku agentów FBI pracowało z rodzicami dziewczynki jeszcze intensywniej niż do tej pory. Katherine Rose i Tom Dunne byli bardzo wstrząśnięci śmiercią Michaela. Katherine w ciągu jednego dnia postarzała się o dziesięć lat. Wszyscy czekaliśmy na następny telefon Sonejiego.

Pomyślałem, że Gary Soneji na pewno zadzwoni w Boże Narodzenie. Zaczynałem czuć, że go już trochę znam. Chciałem, żeby wreszcie zadzwonił, żeby coś robił, żeby popełnił pierwszy błąd. Chciałem go dorwać.

Około godziny jedenastej w dużym pośpiechu zwołano posiedzenie zespołu kryzysowego w salonie państwa Dunne'ów. Było nas już prawie dwadzieścia osób i jeśli chodzi o dostęp do

informacji, wszyscy byliśmy zdani na łaskę FBI. W domu wrzało. Co teraz zrobił Syn Lindbergha?

Wciąż nie powiedziano nam prawie nic. Wiedzieliśmy jedynie, że do Dunne'ów przyszedł telegram. Został potraktowany inaczej niż wszystkie poprzednie wiadomości od narwańców. Tym razem to musiał być Soneji.

Od jakichś piętnastu minut ludzie z FBI okupowali wszystkie telefony. Tuż przed wpół do dwunastej przybył agent Scorse, zapewne prosto ze świątecznego śniadania ze swoją rodziną. Komendant Pittman przyszedł pięć minut później.

–To się robi naprawdę nie do zniesienia. W ogóle o niczym nam nie mówią. – Przygarbiony Sampson oparł się o kominiek. Kiedy Sampson się garbi, ma już tylko

dwa metry wzrostu. – Federalni nam nie ufają. A my ufamy im jeszcze mniej niż na początku.

–Już na początku w ogóle im nie ufaliśmy – przypomniałem.

–Święta prawda – przyznał z szyderczym uśmiechem.

W jego ciemnych okularach widziałem swoje odbicie. Byłem przy nim malutki. Ciekawe, czy cały świat widziany jego oczami właśnie tak wygląda.

–Nasz koleżka przysłał telegram? – spytał mnie Sampson.

–Tak uważa FBI. Moim zdaniem składa nam w ten sposób życzenia świąteczne. Może chce być częścią rodziny.

Sampson spojrział na mnie znad okularów.

–Dziękuję za wyjaśnienie, doktorze Freud.

Agent Scorse mozolnie przepychał się do przodu. Po drodze trafił na komendanta Pittmana. Uścisnęli dłonie. Nie ma jak dobre relacje między partnerami.

–Otrzymaliśmy kolejną wiadomość, która prawdopodobnie pochodzi od Gary'ego Sonejiego – oznajmił Scorse, kiedy już stanął przed nami wszystkimi.

Miał specyficzną manierę: kiedy się denerwował, wyciągał szyję i przekrzywił głowę na boki. Również teraz, odkąd zaczął mówić, zrobił to kilkakrotnie.

–Przeczytam wam ten telegram. Był zaadresowany do państwa Dunne'ów... „Drodzy Katherine i Tomie... Co powiecie

na dziesięć milionów dolarów? Dwa w gotówce. Reszta w zbywalnych papierach wartościowych i diamentach. W MIAMI BEACH!... M.R. na razie ma się dobrze. Zaufajcie mi. JUTRO wielki dzień... Wesołych... Syn L.”.

W ciągu piętnastu minut od przyjścia telegramu ustalono, że został wysłany z biura Western Union przy Collins Avenue w Miami Beach. Tamtejsi agenci FBI przesłuchali kierownika i urzędników. Niczego się nie dowiedzieli – co jak dotąd było w tym śledztwie standardem.

Nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy natychmiast jechać do Miami.

Rozdział 20

Nasz zespół wylądował na lotnisku Tamiami na Florydzie o szesnastej trzydzieści w świąteczne popołudnie. Sekretarz Jerrold Goldberg załatwił nam prywatny samolot z sił powietrznych.

Pod eskortą miejscowej policji przejechaliśmy do biura FBI na Collins Avenue, niedaleko Fountainbleu oraz innych hoteli Złotego Wybrzeża – i zaledwie sześć przecznic od placówki Western Union, z której Soneji wysłał telegram.

Czy on o tym wiedział? Pewnie tak. Najwyraźniej jego umysł działał właśnie w ten sposób. Soneji musiał nad wszystkim panować. Cały czas notowałem uwagi na jego temat. W kieszonkowym notesie zapisałem już dwadzieścia stron. Nie byłem jeszcze gotów na opracowanie profilu psychologicznego, ponieważ nie wiedziałem nic o przeszłości nauczyciela. Notatki pełne były jednak trafnych określeń: zorganizowany, sadysta, metodyczny, ma potrzebę kontrolowania, być może ma hipomanię.

Czy obserwował nas, jak gnamy przez Miami? Bardzo możliwe. Może teraz był przebrany za kogoś innego. Czy miał wyrzuty sumienia z powodu śmierci Michaela Goldberga? A może raczej rósł w nim gniew?

W biurze FBI przygotowano już specjalne linie telefoniczne. Nie wiedzieliśmy, w jaki sposób Soneji będzie się z nami teraz kontaktował. Do zespołu dołączyło kilku policjantów z Miami.

96

Zaangażowano również dwustu agentów FBI, którzy działali na południu Florydy. Nagle wszystko zaczęliśmy robić w wielkim pośpiechu. Wszystko szybko, a potem tylko czekać.

Zastanawiałem się, czy Gary Soneji zdawał sobie sprawę z wywołanego przez siebie chaosu, który narastał, w miarę jak zbliżał się termin. Czy to też był element planu? Czy Maggie Dunne naprawdę nic się nie stało? Czy wciąż żyła?

Nie ulegało wątpliwości, że przed zaakceptowaniem ostatecznej transakcji będziemy potrzebowali jakiegoś dowodu. W każdym razie poprosimy go o fizyczny dowód. „M.R. na razie ma się dobrze. Zaufajcie mi”, napisał. Jasne, Gary.

Złe wieści dopadły nas także w Miami Beach.

Do biura FBI w Miami przysłano wstępne wyniki sekcji Michaela Goldberga. Wkrótce po naszym przybyciu zorganizowano spotkanie w siedzibie sztabu antykryzysowego. Zasiedliśmy przy biurkach ustawionych w półkole. Każde z biurk miało własny ekran wideo oraz klawiaturę. W sali panowała niesamowita cisza. Nikt z

nas tak naprawdę nie miał ochoty poznać szczegółów śmierci chłopca.

Do przedstawienia wyników badań medycznych delegowano oficera technicznego nazwiskiem Harold Friedman. Jak na agenta FBI Friedman był – delikatnie mówiąc – bardzo nietypową osobą. Ortodoksyjny żyd, który z twarzy i postury przypominał jednak raczej podrywacza z plaży. Na odprawę przyszedł w wielobarwnej jarmułce.

–Jesteśmy niemal pewni, że śmierć Goldberga była dziełem przypadku – zaczął niskim, klarownym głosem. – Wygląda na to, że chłopiec najpierw został odurzony chloroformem. Ślady chloroformu odnaleziono w przewodzie nosowym oraz w gardle ofiary. Następnie, prawdopodobnie dwie godziny później, wstrzyknięto mu sekobarbital. To bardzo silny środek znieczulający. Ma również właściwości utrudniające oddychanie. Wygląda na to, że właśnie do tego tutaj doszło. Oddech chłopca stał się pewnie nierówny, a wreszcie zarówno oddech, jak i praca serca ustały. Jeśli w tym czasie spał, nie czuł bólu. Przypuszczam, że właśnie tak było i umarł we śnie.

Mimo specyficznego wyglądu Harold Friedman był bardzo poważny i robił wrażenie inteligentnego.

–Chłopiec miał także kilka złamań – kontynuował. –

Sądzymy, że był kopany i bity, zapewne kilkadziesiąt razy.

Jednak to wszystko nie miało związku ze śmiercią. Złamania

i uszkodzenia ciała nastąpiły dopiero później. Powinniście

również wiedzieć, że po śmierci ciało chłopca było wykorzystywane seksualnie.

Odbyt chłopca został naruszony w wyniku

penetracji. Ten Soneji to niezły popapraniec – Friedman

pozwolił sobie na pierwszy osobisty komentarz.

Tym samym po raz pierwszy dowiedzieliśmy się czegoś o charakterze patologii Gary'ego Sonejiego. Najwyraźniej wpadł w dziką wściekłość, kiedy odkrył, że Michael Goldberg zmarł. Albo że coś w jego perfekcyjnym planie okazało się nie do końca perfekcyjne.

Agenci i policjanci zaczęli się wiercić na krzesłach. Zastanawiałem się, czy ten wybuch szału uspokoi Sonejiego, czy też wręcz przeciwnie. Coraz bardziej martwiłem się o życie Maggie Rose.

Hotel, w którym mieszkaliśmy, znajdował się naprzeciwko biura FBI. Jak na standardy Miami Beach nie była to żadna rewelacja, jednak na tarasie od strony oceanu znajdował się duży basen.

Około godziny jedenastej większość osób udała się już na spoczynek.

Temperatura wciąż przekraczała dwadzieścia pięć stopni. Niebo pełne było jasnych gwiazd, a raz na jakiś czas przemykał po nim samolot z północy.

Spacerowaliśmy z Sampsonem wzdłuż Collins Avenue. Ludzie musieli myśleć, że to Lakers przyjechali na mecz z Miami Heat.

–Chcesz najpierw coś zjeść? Czy od razu pójdziemy się zamroczyć alkoholem? – spytał, gdy przechodziliśmy przez ulicę.

–Ja i tak się czuję jak zamroczony – odparłem. – Myślałem, żeby popływać. W końcu to Miami Beach.

–Nie licz na opaleniznę w środku nocy – stwierdził, bawiąc się niezapalonym papierosem, który trzymał w ustach.

–To jeszcze jeden argument za kąpielą.

–Ja osiądę w barze – powiedział, gdy rozstawaliśmy się w holu. – Jak zobaczysz wianuszek ładnych kobiet, to będzie znaczyło, że tam właśnie siedzę.

–Powodzenia – odrzekłem. – Są święta. Mam nadzieję, że dostaniesz prezent.

Przebrałem się w kąpielówkę i poczłapałem do hotelowego basenu. Uważam, że kluczem do zdrowia są ćwiczenia fizyczne, i dlatego ćwiczę codziennie, niezależnie od tego, gdzie jestem. Ponadto dużo się rozciągam, co jest możliwe zawsze i wszędzie.

Duży basen po stronie oceanu był zamknięty, ale to mnie nie powstrzymało. Policjanci notorycznie przechodzą przez jezdnię z dala od pasów, parkują w

niedozwolonych miejscach i w ogóle łamią przepisy. To jedyna korzyść z tej roboty.

Ktoś inny wpadł na ten sam pomysł. Pływał tak cicho, że zauważyłem go dopiero wówczas, kiedy szedłem między leżakami, czując pod stopami chłodną, moką posadzkę.

Była to kobieta, ubrana w czarny albo może ciemnogrnatowy kostium. Miała smukłą, wysportowaną sylwetkę, długie ramiona i jeszcze dłuższe nogi. Przyjemny widok w ten niezbyt przyjemny dzień. Płynęła bez wysiłku, a jej ruchy były rytmiczne i zdecydowane. Wyglądało to tak, jakby basen był jej prywatnym miejscem, a ja nie chciałem jej przeszkadzać.

Kiedy zrobiła nawrót, ze zdziwieniem stwierdziłem, że to Jezzie Flanagan. Nie spodziewałem się tego po kierowniku z Secret Service.

Wreszcie po cichu wszedłem do wody na drugim końcu basenu. Mój styl nie jest ani piękny, ani rytmiczny, ale radzę sobie bez kłopotu i zwykle mogę pływać bardzo długo.

Zrobiłem trzydzieści pięć długości. Po raz pierwszy od kilku dni czułem się rozluźniony. Pajęczyny powoli znikaly. Pomyślałem, że może zrobię jeszcze ze dwadzieścia basenów i pójdę spać. A może napiję się z Sampsonem świątecznego piwa.

Zatrzymałem się, żeby złapać oddech. Jezzie Flanagan siedziała niedaleko, na krawędzi leżaka.

Na ramiona narzuciła niedbale biały, puchaty ręcznik hotelowy. W świetle księżyca, który wisiał nad Miami, wyglądała

bardzo ładnie. Jasnoniebieskie oczy smukłej blondynki patrzyły wprost na mnie.

–Pięćdziesiąt basenów, detektywie?

Uśmiechnęła się i ten jej uśmiech odsłonił przede mną zupełnie inną stronę osobowości niż ta, którą przez ostatnich kilka dni poznałem w pracy. Kobieta wyglądała teraz na o wiele bardziej odprężoną.

–Trzydzieści pięć. Daleko mi do pani – odparłem. – Bardzo daleko. Ja się uczyłem pływać w śródmiejskim YMCA.

–Ale się pan stara – rzekła, nie przestając się uśmiechać. – I jest pan w dobrej kondycji.

–Nie wiem, jak się nazywa mój styl, ale dzisiaj naprawdę dobrze się czuję. Po tylu godzinach w tej klitce. I jeszcze te małe okienka, których się nie da otworzyć.

–Gdyby tam były duże okna, wszyscy myśleliby tylko o ucieczce na plażę. W całym stanie Floryda nikt by nigdy nic nie zrobił.

–A czy my coś zrobiliśmy?

Zaśmiała się.

–Miałam kiedyś znajomego policjanta, który wyznawał zasadę, że każdy powinien „robić, co może”. Ja robię, co mogę. Biorąc pod uwagę koszarne okoliczności. A pan?

–Ja też robię, co mogę – odparłem.

–Chwalmy Pana.

Jezzie Flanagan radośnie uniosła ramiona. Jej spontaniczność mnie zaskoczyła. To było zabawne i dobrze się było wreszcie pośmiać. Naprawdę dobrze. Śmiech był potrzebny.

–Biorąc pod uwagę okoliczności, robię, co mogę – sprostowałem.

–Biorąc pod uwagę okoliczności, chwalmy Pana! – Jezzie znowu podniosła głos. Albo rzeczywiście była dowcipna, albo było późno, albo i jedno, i drugie.

–Idzie pani coś zjeść? – spytałem.

Chciałem usłyszeć, co myśli o sprawie. W zasadzie nie mieliśmy jeszcze dotąd okazji porozmawiać.

–Chętnie-odparła. – Przegapiłam już dzisiaj dwa posiłki.

Umówiliśmy się w obrotowej restauracji na najwyższym piętrze.

Przebrała się w pięć minut, czym zrobiła na mnie wrażenie. Miała teraz na sobie luźne, jasnobrązowe spodnie i T-shirt z dekoltem w szpic, a na nogach czarne baleriny. Jej włosy nie zdążyły jeszcze wyschnąć. Zaczesała je do tyłu i było jej z tym bardzo do twarzy. Nie miała makijażu i wcale go nie potrzebowała. Wyglądała zupełnie inaczej niż w pracy – była dużo spokojniejsza i wyluzowana.

–Jeśli mam być całkiem szczerą, muszę panu coś powiedzieć – zaśmiała się.

–Co takiego?

–No cóż, pływakiem jest pan wytrzymałym, ale niezgrabnym. Natomiast dobrze pan wygląda w kąpielówkach.

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Powoli rozładowywaliśmy napięcie tego

długiego, ciężkiego dnia.

Nad piwem i przekąskami ośmielaliśmy się nawzajem. Na pewno sprzyjały temu szczególne okoliczności, stres oraz fakt, że od kilku dni żyliśmy pod ogromną presją. Poza tym nakłanianie ludzi, żeby się otworzyli, jest częścią mojej pracy – i lubię wyzwania.

Jezzie Flanagan przyznała mi się, że gdy miała osiemnaście lat, została Miss Waszyngtonu. Na Uniwersytecie Wirginii należała do stowarzyszenia studentek, ale potem wyleciała za „niestosowne zachowanie”. Uznałem, że to prześliczne określenie.

Sam jednak z zaskoczeniem stwierdziłem, że ja także mówię jej więcej, niżbym przypuszczał. Należała do osób, z którymi łatwo się rozmawia.

Zapytała o początki mojej kariery psychologa w Waszyngtonie.

–W zasadzie to była fatalna pomyłka – odpowiedziałem, choć nie wspomniałem o wściekłości, którą czułem do dziś. –

Mało który biały chciał mieć czarnego psychoanalityka. Czarnych zaś nie stać na terapię. Na kanapie u psychoanalityka nie ma liberałów.

Jezzie nakłoniła mnie również do opowieści o Marii, ale nie

powiedziałem zbyt wiele. Sama zwierzyła mi się za to, jak to jest być kobietą w agencji złożonej w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach z wielkich macho.

–Lubią mnie wystawiać na próbę, średnio raz dziennie.

Nazywają mnie „Boss”.

Miała też sporo zabawnych historii z Białego Domu. Znała Bushów i Reaganów. W końcu godzina minęła nam miło i aż za szybko.

Żeby tylko godzina. W gruncie rzeczy minęły prawie dwie. Jezzcie w końcu zauważyła, że przy barze czeka samotna kelnerka.

–Choroba, jesteśmy tu ostatni.

Zapłaciliśmy rachunek i poszliśmy do windy. Jezzcie mieszkała na wyższym piętrze. Pewnie z widokiem na ocean. Z apartamentu.

–Bardzo miło było – powiedziałem, gdy zatrzymaliśmy się na jej piętrze. To chyba jakaś cięta kwestia ze sztuki Noela Cowarda. – Dzięki za wspólny wieczór. Wesółych świąt.

–Wesółych świąt, Alex – uśmiechnęła się Jezzcie.

Zawinęła blond włosy za ucho. To był taki jej tik, który zauważyłem już wcześniej.

–Rzeczywiście było miło. Szkoda, że jutro już tak nie będzie – dodała.

Cmoknęła mnie w policzek i ruszyła w stronę pokoju.

–Będziesz mi się śnił w kąpielówkach – powiedziała, gdy zamykały się drzwi windy.

Zjechałem cztery piętra niżej. Wróciłem do mojego pustego świątecznego pokoju i wziąłem zimny świąteczny prysznic. Myślałem o Jezzcie Flanagan. Głupie fantazje w hotelu w Miami. Wiedziałem, że nic między nami nie będzie, ale bardzo ją polubiłem. Czułem, że mogę z nią rozmawiać o wszystkim. Poczytałem jeszcze trochę o walce Styrona z depresją, aż wreszcie zapadłem w sen. Ja również śniłem o różnych rzeczach.

Rozdział 21

Ostrożnie, bądź bardzo ostrożny, mój drogi Gary.

Gary Soneji obserwował tęgą kobietę kątem oka. Przyglądał się tej opasłej masie tak, jak jaszczurka w porze posiłku przygląda się owadowi. Kobieta nie miała zielonego pojęcia, że ją obserwuje.

Była policjantką, jeśli można to tak nazwać, a jednocześnie zbierała opłaty na zjeździe numer 12. Powoli przeliczała resztę. Olbrzymia, czarna jak noc i kompletnie otępiała. Niezdolna do wykonywania swoich obowiązków. Zdaniem Sonejiego wyglądała tak, jak wyglądałaby Aretha Franklin, gdyby nie potrafiła śpiewać i musiała zarabiać na życie zwykłą pracą.

Nie miała pojęcia, kim jest mężczyzna jadący w monotonnym świątecznym sznurze samochodów. Mimo że przecież zarówno ona, jak i wszyscy jej koledzy po fachu powinni go teraz szukać na wszelkie możliwe sposoby. Więc to tak wyglądają „szeroko zakrojone poszukiwania” i zasrana „oblawa na cały kraj”. Co za

rozczarowanie. Jak oni chcą go złapać, skoro polują na niego tacy ludzie. Mogliby się przynajmniej postarać, żeby było ciekawie.

Czasami, szczególnie w takich momentach, Gary Soneji miał ochotę ogłosić niezaprzeczalną prawdę o wszechświecie.

Ogłosić. Posłuchaj, ty niekompetentny babsztylu! Czy ty wiesz, kim jestem? Zmyliło cię jakieś nędzne przebranie? To

mnie od trzech dni oglądasz w każdym wiadomościach. Ty i połowa świata. Aretho, dziecinko.

Ogłosić. To ja perfekcyjnie zaplanowałem i przeprowadziłem Przesłanie Stulecia. Już przerosłem Johna Wayne'a Gacy'ego, Jeffreya Dahmera, Juana Coronę. Wszystko szło doskonale, do chwili gdy ten cherlawy gówniarz musiał mi zasłabnąć.

Ogłosić. Przyjrzyj się dobrze. Przyjrzyj mi się. Do jasnej cholery, choć raz w życiu bądź bohaterem. Bądź kimś. Przestań być tłustym czarnym zerem przy Autostradzie Miłości. Przyjrzyj mi się wreszcie! Przyjrzyj mi się!

Wydała mu resztę.

–Proszę bardzo. Wesołych świąt.

Gary Soneji wzruszył ramionami.

–Wzajemnie.

Oddalał się od migających świateł na roгатce i wyobrażał sobie policjantkę z tym uśmiechniętym, kochającym cały świat pyskiem. W myślach zobaczył cały kraj pełen głów jak uśmiechnięte balony. To się naprawdę działo.

Robiło się gorzej niż w Inwazji porywaczy ciał. Szlag go trafiał, kiedy tylko o tym myślał – więc starał się tego unikać. Kraj pełen uśmiechniętych balonowych głów. Soneji uwielbiał Stephena Kinga, identyfikował się z Jego Dziwaczną Mością i chciałby, żeby „Król” napisał kiedyś książkę o wszystkich uśmiechniętych głupcach Ameryki. Oczyma wyobraźni już widział obwolutę tego arcydzieła: Balonowe głowy.

Po czterdziestu minutach stary dobry saab Sonejiego zjechał z drogi numer 413 w Crisfield w stanie Maryland. Przyspieszył i ruszył nierówną drogą gruntową w kierunku starego gospodarstwa. W tej chwili Soneji musiał się uśmiechać, musiał się śmiać. Tak ich wszystkich nabrał, tak ich skołował. Zupełnie wyprowadził w pole.

Jak do tej pory nie mieli zielonego pojęcia, gdzie jest góra, gdzie dół, gdzie prawo i lewo. Już mu się udało przebić historię Lindberghów, no nie? Teraz przyszła pora jeszcze raz wyciągnąć balonowym głowom dywan spod nóg.

Rozdział 22

Przedstawienie naprawdę się zaczęło! Dwudziestego szóstego grudnia, tuż przed wpół do jedenastej, do biura FBI przybył kurier z Federal Express. Dostarczył nową wiadomość od Syna Lindbergha.

Ponownie wezwano nas do sztabu antykryzysowego na drugim piętrze. Chyba cały personel FBI już się zebrał. To była właśnie ta chwila i wszyscy o tym wiedzieli.

Moment później do pomieszczenia wszedł szybkim krokiem agent specjalny Bill Thompson z Miami, wymachując łatwo rozpoznawalną pomarańczowo-niebieską kopertą poczty kurierskiej. Otworzył ją ostrożnie na oczach wszystkich.

–Pokaże wiadomość, ale nam jej nie przeczyta – zażartował pod nosem Jeb Klepner z Secret Service.

Wraz z Sampsonem staliśmy obok niego i Jezzcie Flanagan.

–Oj nie, nie będzie chciał wziąć wszystkiego na siebie – stwierdziła Jezzcie. – Tym razem się z nami podzieli.

Thompson był już gotowy.

–Mam tutaj wiadomość od Gary'ego Sonejiego. Oto ona.

Zawarł wszystko w punktach. Pod numerem jeden napisane jest słowami: „Dziesięć milionów”. W następnej linijce mamy punkt drugi: „Disney World, Orlando. Magiczne Królestwo”.

Kolejna linijka, punkt trzeci: „Zaparkujcie przy Pluto dwadzieścia cztery. Przez Lagunę Siedmiu Mórz przedostańcie się promem, a nie jednotorówką. Dzisiaj o dwunastej pięćdziesiąt.

Do trzynastej piętnaście będzie po wszystkim”. Ostatnia linijka: „Okup dostarczy detektyw Alex Cross. Sam”. Podpisano: „Syn Lindbergha”.

Bill Thompson natychmiast podniósł wzrok. Powiódł spojrzeniem po sali. Nie miał trudności, żeby znaleźć mnie wśród zgromadzonych. Jestem natomiast absolutnie pewien, że jego szok i zaskoczenie to nic w porównaniu z moim. Zdążyłem już poczuć uderzenie adrenaliny. Czego, do cholery, Soneji ode mnie chciał? Skąd o mnie wiedział? Czy zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo chcę go dorwać?

–Nie ma nawet mowy o jakichkolwiek negocjacjach! – zaczął narzekać agent specjalny Scorse. – On po prostu zakłada, że dostarczymy mu te dziesięć milionów.

–Owszem, zakłada – odezwałem się. – I ma rację. W końcu decyzja o czasie i sposobie zapłacenia okupu należy do rodziny.

Dunne'owie polecili nam spełnić żądanie Sonejiego – bezwarunkowo. Na pewno to przewidział. Z pewnością właśnie z tego powodu wybrał Maggie Rose. Ale dlaczego teraz wybrał mnie?

Stojący obok Sampson pokręcił głową.

–Zaiste niezbadane są ścieżki Pana – mruknął.

Na skąpanym w słońcu parkingu na tyłach biura czekało na nas kilka samochodów. Bill Thompson, Jezzie Flanagan, Klep-ner, ja i Sampson pojechaliśmy jednym z aut FBI. Razem z nami – pieniądze i papiery wartościowe. „Okup dostarczy detektyw Alex Cross”.

Pieniądze dotarły wczoraj późną nocą. Zdobycie ich w tak krótkim czasie było koszmarnie trudnym i złożonym zadaniem, ale udało się, dzięki współpracy Citibanku i Morgan Stanley. Dunne'owie i Jerrold Goldberg mieli dostateczną władzę, żeby zdobyć to, czego chcieli. Najwyraźniej wywarli ogromną presję na odpowiednie osoby. Zgodnie z życzeniem Sonejiego dwa miliony były w gotówce. Reszta – w papierach wartościowych i niewielkich diamentach. Okup był zbywalny, a przy tym łatwy do przenoszenia. Mieścił się w walizce American Tourister.

Podróż z centrum Miami Beach na lotnisko Opa Locka West zajęła dwadzieścia pięć minut. Lot miał trwać kolejne czterdzieści. To oznaczało, że w Orlando powinniśmy być mniej więcej o 11.45. Mało czasu.

–Możemy założyć Crossowi urządzenie podsłuchowe – agent Scorse rozmawiał przez radio z Thompsonem. – Przenośny nadajnik radiowy. Mamy jeden w samolocie.

–Niezbyt mi się to podoba – odparł Thompson.

–Mnie też nie – odezwałem się z tylnego siedzenia. Mało powiedziane. – Żadnych podsłuchów. To nie wchodzi w grę.

Wciąż starałem się dociec, dlaczego Soneji wybrał właśnie mnie. To nie miało sensu. Może w Waszyngtonie przeczytał o mnie w wiadomościach. Musiał mieć jakiś dobry powód. To nie ulegało wątpliwości.

–W parku będą straszne tłumy – powiedział Thompson, kiedy weszliśmy na pokład cessny 310. – Na pewno właśnie dlatego wybrał Disney World. W Magicznym Królestwie będzie dużo rodzin z dziećmi. Może pojawi się z Maggie Rose i będzie

próbował wmieszać się w tłum. Mógł jakoś przebrać małą.

–Park Disneya odpowiada jego skłonności do wielkich, ważnych symboli – powiedziałem.

Według jednej z moich teorii, jako dziecko mógł być maltretowany. Jeśli tak było, wówczas miejsce takie jak Disney World musiał darzyć wyłącznie pogardą – to tam „dobre” dzieci chodziły z „dobrymi” mamusiami i tatusiami.

–Park obserwujemy z ziemi i z powietrza – włączył się

Scorse. – Zdjęcia są przesyłane prosto do sztabu antykryzysowego w Waszyngtonie. Filmujemy także Epcot i Wyspę Uciech.

Na wypadek gdyby w ostatniej chwili zmienił zdanie.

Już sobie wyobrażałem, co w tej chwili działo się w sztabie antykryzysowym przy 10th Street. Tłoczyło się tam na pewno kilkudziesięciu VIP-ów. Każdy siedział przy własnym biurku, wyposażonym w ekran telewizyjny. Na wszystkich ekranach naraz wyświetlano zdjęcia lotnicze z Disney World. Wielka tablica musiała być pełna informacji. Dokładna liczba agentów i reszty funkcjonariuszy zmierzających w tej chwili do parku. Liczba wyjść. Każda droga wjazdowa i wyjazdowa. Warunki

pogodowe. Dzisiejsza liczba gości. Liczba pracowników ochrony. Ale zapewne ani słowa o Garym Sonejim i Maggie Rose, w przeciwnym razie już byśmy o tym usłyszeli.

–Hura, jadę do Disney World! – zażartował w samolocie jeden z agentów.

Typowy policyjny dowcip wywołał nerwowy śmiech kilku osób. Dobrze było rozładować napięcie, a w tych trudnych okolicznościach nie było to łatwe.

Cały ten plan spotkania z szaleńcem i porwaną dziewczynką nie należały do przyjemnych. Podobnie jak fakt, że w Disney World czeka nas przedzieranie się przez świąteczny tłum. Dostaliśmy informację, że w parku oraz na parkingach znajduje się już ponad siedemdziesiąt tysięcy ludzi. Jednak to była najlepsza okazja, żeby złapać Sonejiego. Możliwe, że jedyna.

Do Magicznego Królestwa udaliśmy się pod eskortą radiowozów na sygnale. Na autostradzie 1-4 pojechaliśmy pasem awaryjnym, mijając wszystkie samochody, które jechały od strony lotniska.

Na nasz widok ludzie w minivanach i kombi albo gwizdali, albo wiwatowali. Nikt nie miał pojęcia, kim jesteśmy, ani dlaczego pędzimy do Disney World. Ot, jakieś ważne osobistości jadą na spotkanie Mikię i Minnie.

Opuściliśmy autostradę na zjeździe 26-A i pojechaliśmy World Drive w kierunku parkingów. Dotarliśmy tam tuż po 12.15. Robiło się bardzo późno, ale Soneji nie dał nam czasu się zorganizować.

Wciąż próbowałem zrozumieć, dlaczego Gary Soneji wybrał właśnie Disney World. Czy dlatego, że jako dziecko zawsze chciał tam pojechać, ale nie było mu wolno? Dlatego że doceniał niemal neurotyczną wydajność dobrze zarządzanego parku rozrywki?

Z pewnością nie miał specjalnych trudności z wejściem do Disney World. Ale jak zamierzał się stamtąd wydostać? To była zdecydowanie najbardziej intrygująca kwestia.

Rozdział 23

Obsługa Disney World zaparkowała nasze samochody w strefie Pluto, rząd 24. Czekala na nas kolejka z włókna szklanego, która miała nas zabrać na prom.

–Alex, jak myślisz, dlaczego Soneji wskazał na ciebie? – odezwał się Bill Thompson, gdy wysiadaliśmy z samochodu. – Masz jakiś pomysł?

–Może w Waszyngtonie dowiedział się o mnie z wiadomości – powiedziałem. – Może wie, że jestem psychologiem, i to zwróciło jego uwagę. Na pewno go o to zapytam, gdy się z nim zobaczę.

–Tylko ostrożnie – poradził Thompson. – Zależy nam wyłącznie na odzyskaniu dziewczynki całej i zdrowej.

–Mnie też zależy wyłącznie na tym – odparłem.

Obaj przesadzaliśmy. To prawda, że obchodziło nas bezpieczeństwo Maggie Rose, ale jednocześnie chcieliśmy pojmać Gary'ego Sonejiego. Chcieliśmy, żeby splanął tam na miejscu, w Disney World.

Thompson objął mnie ramieniem. Miło, że dla odmiany zdobył się na koleżeński

gest. Sampson i Jezzie Flanagan życzyli mi powodzenia. Agenci FBI też mnie wspierali, przynajmniej na razie.

–Jak się czujesz? – Sampson na chwilę odciągnął mnie na bok. – Radzisz sobie z całym tym gównem? On zażądał ciebie, ale to nie znaczy, że musisz iść.

–Nie martw się. Nic mi nie zrobi. Pamiętaj, że jestem przyzwyczajony do psycholi.

–Sam jesteś psycholem, bracie.

Chwyłem walizkę z okupem. Samotnie wszedłem do pomarańczowej kolejki i mocno złapałem za metalowy uchwyt zwisający spod sufitu. Ruszyłem do Magicznego Królestwa, gdzie miałem dokonać wymiany okupu na Maggie Rose Dunne.

Była 12.44. Sześć minut przed czasem.

Przeciskałem się przez zbity tłum ludzi w kierunku kas i bramek centrum biletowego Magicznego Królestwa. Nikt na mnie nie zwracał uwagi – bo i dlaczego?

To dlatego Soneji wybrał takie zatłoczone miejsce. Mocniej ścisnąłem walizkę. Miałem poczucie, że dopóki jestem w posiadaniu okupu, dopóty mogę zagwarantować Maggie Rose bezpieczeństwo.

Czy ośmielił się przyprowadzić dziewczynkę tutaj? Czy był tu sam? Czy może tylko nas testuje? W tej chwili wszystko było możliwe.

W Disney World panowały spokój i beztroska. Rodziny bawiły się pod jasnym, chabrowym niebem. Przyjemny w brzmieniu głos przypominał: „Trzymajcie dzieci za rękę, nie zapomnijcie o rzeczach osobistych i bawcie się dobrze w Magicznym Królestwie”.

Choćby człowiek był nie wiem jak zblazowany, musiał przyznać, że ta kraina fantazji była urzekająca. Wszystko niesamowicie czyste i bezpieczne. Miało się wrażenie, że to miejsce chroni przed wszelkim złem – i dla mnie było to cholernie dziwne uczucie.

Przy wejściu wszystkich gości witali Myszka Miki, Goofy i Królowa Śnieżka. Z głośników ukrytych gdzieś za starannie przystrzyżonym żywopłotem dochodziły dźwięki „Yankee Doodle Dandy”.

Czułem, jak pod luźną sportową koszulą łomocze mi serce. W tej chwili nie miałem żadnego kontaktu z resztą zespołu. Miało się to zmienić dopiero w momencie, gdy znajdę się na terenie Magicznego Królestwa.

Wytarłem wilgotne dłonie o nogawki spodni. Tuż przede mną Myszka Miki podawała każdemu rękę. To wszystko było nienormalne.

Wszedłem w głęboki cień budynku centrum transportu i biletów. Widziałem stąd prom – miniaturę parowca z Missisipi, pozbawioną koła łopatkowego.

Zbliżył się do mnie mężczyzna w sportowej kurtce i kapeluszu z dużym rondem. Nie wiedziałem, czy to Soneji. Poczucie bezpieczeństwa natychmiast przysło.

–Witaj, Alex. Zmiana planów. Zabiorę cię teraz do Maggie Rose. Patrz przed siebie. Na razie idzie ci super. Trzymaj tak dalej i wszystko będzie w porządku.

Minął nas Kopciuszek. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu. Rozległy się westchnienia podziwu, zarówno dzieci, jak i dorosłych.

–Alex, teraz się odwróć. Wrócimy tą samą drogą, którą przyszedłeś. To może być jak dzionek na plaży. Wszystko

zależy od ciebie, przyjacielu.

Był idealnie spokojny i całkowicie panował nad sytuacją, tak jak Soneji od samego początku. Jak na razie on tutaj rządził. Zwracał się do mnie po imieniu. Ruszyliśmy z powrotem, przebijając się przez tłum, który podążał w przeciwnym kierunku.

Przed nami Kopciuszek potrząsał ufryzowanymi blond lokami. Dzieci śmiały się radośnie, widząc z bliska bohaterkę filmów i kreskówek.

–Najpierw muszę zobaczyć Maggie Rose – tylko tyle powiedziałem do mężczyzny w kapeluszu.

Czy to mógł być Soneji w przebraniu? Nie potrafiłem tego stwierdzić. Musiałem mu się lepiej przyjrzeć.

–Nie ma sprawy. Ale jeśli tylko nas ktoś zatrzyma, to od razu ci mówię, że mała zginie – mężczyzna powiedział to swobodnie, jakby podawał komuś godzinę.

–Nikt nas nie zatrzyma – zapewniłem. – Interesuje nas wyłącznie bezpieczeństwo dziewczynki.

Miałem nadzieję, że mówię za wszystkich. Tamtego ranka widziałem się przez moment z Katherine i Tomem Dunne'ami.

Wiedziałem, że pragnęli wyłącznie tego, żeby córeczka wieczorem była już z nimi. Po całym cieple splotywał mi pot. Nie umiałem nad tym zapanować. Temperatura powietrza nie przekraczała co prawda trzydziestu stopni, ale wilgotność była bardzo wysoka.

Zaczynałem się bać, że ktoś niechcący coś schrzani. Tutaj wszystko mogło nawalić. Przecież w ogóle nie ćwiczyliśmy operacji w sercu Disney World, pośród nieprzewidywalnych tłumów.

Wreszcie postanowiłem się odezwać.

–Posłuchaj. Kiedy FBI zobaczy, że wychodzę, to możliwe, że ktoś do nas podejdzie – powiedziałem.

–Mam nadzieję, że nie – odparł i zacmokał z dezaprobatą. Pokręcił głową. – To by było poważne naruszenie dobrych manier.

Kimkolwiek był ten człowiek, pod presją zachowywał nienaturalny spokój. Czyżby to nie był jego pierwszy raz? Wydawało mi się, że idziemy w stronę pomarańczowej kolejki. Miała nas zawieźć na parking. Czy taki był plan?

Uznałem, że mężczyzna jest zbyt tęgi jak na Sonejiego. Chyba że miał na sobie genialne przebranie, a na dodatek mocno wypchane. Znów mi się przypomniała teoria, że może być aktorem. Modliłem się tylko, żeby nie okazał się oszustem. Kimś, kto usłyszał, co się dzieje na Florydzie, i postanowił się z nami skontaktować, żeby przechwycić okup. Historia porwań znała już takie przypadki.

–FBI! Ręce do góry! – rozległ się niespodziewany okrzyk.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Serce skoczyło mi do gardła. Co oni do cholery wyczyniali? Co im strzeliło do głowy?

–FBI!

Parking otoczyło kilku agentów. Mieli w dłoniach rewolwery. Jeden z mężczyzn celował w pośrednika, a zatem również we mnie.

Był wśród nich agent Bill Thompson. Przecież ledwie parę minut temu mówił, że zależy nam tylko na dziewczynce.

Straciłem panowanie nad sobą.

–Odsuńcie się! Już! – wrzasnąłem. – Odpieprzcie się!

Dajcie nam spokój!

Spojrzałem mężczyźnie w kapeluszu prosto w twarz. To nie mógł być Gary Soneji. Teraz miałem już niemal całkowitą pewność. Jednak kimkolwiek był, najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że tu w Orlando ktoś go rozpozna albo nawet sfotografuje.

Dlaczego? Jak ten facet mógł zachowywać aż taki spokój?

–Jeśli mnie aresztujecie, dziewczynka zginie – odezwał się do agentów FBI. Był zimny jak lód. Wzrok miał martwy. – Nic tego nie powstrzyma. Ja nic nie mogę zrobić. Wy też nie. Będzie trupem.

–Czy w tej chwili żyje? – spytał Thompson, robiąc krok w kierunku mężczyzny.

Wyglądało, jakby miał zamiar go uderzyć. Wszyscy w tej chwili mieliśmy ochotę to zrobić.

–Żyje. Widziałem ją dwie godziny temu. W tej chwili jest bezpieczna, chyba że spieprzycie sprawę. No i właśnie jesteście na dobrej drodze. Posłuchaj pana detektywa i się odsuń. Spieprzaj z drogi, człowieku.

–Skąd możemy wiedzieć, że jesteś partnerem Gary'ego Sonejiego? – zapytał Thompson.

–Jeden. Dziesięć milionów. Dwa. Disney World, Orlando. Magiczne Królestwo. Trzy. Zaparkujcie przy Pluto dwadzieścia cztery – dokładnie wyrecytował treść tamtej wiadomości.

Thompson nie ustępował.

–Będziemy negocjować warunki wypuszczenia dziewczynki. Negocjować. Zrobisz to po naszymu.

–Co takiego? Żeby ją zabił? – Jezzie Flanagan stanęła tuż za Thompsonem i jego ekipą z FBI. – Opuśćcie broń – powiedziała stanowczo. – Niech detektyw Cross dokona

wymiany. Thompson, jeśli będziesz się upierał przy swoim i mała zginie, powiadomię o tym każdego dziennikarza w tym kraju. Przysięgam na Boga, że to zrobię.

–Ja też – odezwałem się do agenta FBI. – Ma pan na to moje słowo.

–To nie on. To nie Soneji – powiedział w końcu Thomp-

son. Spojrzał na agenta Scorse'a i z obrzydzeniem pokręcił głową. – Niech idzie. Cross z okupem pojedzie do Sonejiego. To postanowione.

Pośrednik i ja ruszyliśmy przed siebie. Cały się trząsałem. Szliśmy w kierunku pomarańczowej kolejki, a wszyscy patrzyli na nas. Miałem uczucie, że śnię. W chwilę później znaleźliśmy się w jednym z wagonów. Usiedliśmy.

–Dupki – mruknął mężczyzna. Po raz pierwszy okazał jakiegokolwiek emocje. – Mało brakowało, żeby wszystko zepsuli.

Zatrzymaliśmy się w strefie Donald, rząd 6, przy nowym sportowym aucie marki Nissan Z. Ciemnogrnatowy wóz miał barwione na szaro szyby. Nikt nie siedział w kabinie.

Ruszyliśmy na wschód, w stronę międzynarodowego lotniska w Orlando. Próbowałem zagadać mężczyznę, ale nie miał mi nic do powiedzenia.

Może wcale nie był taki opanowany. Może on też tam w parku mało się nie zesrał ze strachu. Bardzo niewiele brakowało, żeby FBI wszystko schrzaniło. Nie byłby to zresztą pierwszy taki przypadek. Szczerze mówiąc, tamten ich ruch to pewnie bluff. Gdy się nad tym zastanowiłem, doszedłem do wniosku, że właśnie wtedy mieli ostatnią szansę negocjować warunki wypuszczenia Maggie Rose Dunne.

Po nieco ponad półgodzinie dotarliśmy do lądowiska dla prywatnych samolotów, kilka kilometrów za głównym terminalem lotniska w Orlando. Minęła pierwsza trzdzieści. Wymiana nie miała nastąpić w Disney World.

–List obiecywał, że do pierwszej piętnaście będzie po wszystkim – powiedziałem, gdy wysiadaliśmy z nissana.

Uderzył w nas ciepły podmuch tropikalnego wiatru znad lotniska, a wraz z nim – silna woń rozgrzanej nawierzchni i oleju napędowego.

–List kłamał – ton mężczyzny znów był lodowaty. – To nasz samolot. Teraz zostaliśmy tylko my dwaj. Alex, spróbuj być mądrzejszy od panów z FBI. To powinno być łatwe.

Rozdział 24

–Siadaj wygodnie i ciesz się wycieczką – powiedział, kiedy znaleźliśmy się na pokładzie. – Wygląda na to, że ja będę twoim miłym pilotem. No, może nie takim znowu miłym.

Przykuł mnie kajdankami do podłokietnika jednego z czterech foteli samolotu. Mają kolejnego zakładnika – pomyślałem. Może dałbym radę wyrwać podłokietnik. Był zrobiony z metalu i plastiku. Dostatecznie licha konstrukcja.

Pośrednik na pewno był pilotem tego samolotu. Dostał zgodę na start. Cessna, podskakując, ruszyła po pasie startowym i powoli nabierała prędkości. W końcu oderwała się od ziemi. Poleciliśmy na południowy wschód, ponad wschodnimi dzielnicami Orlando i St. Petersburga. Miałem pewność, że do tej pory byliśmy obserwowani. Jednak teraz wszystko zależało już tylko od pośrednika. I od genialnego planu Sonejiego.

Przez pierwsze minuty lotu Dbaj milczeliśmy. Siedziałem spokojnie, obserwując

pilota przy pracy i starając się zapamiętać każdy szczegół podróży. Mężczyzna kierował samolotem sprawnie i spokojnie. Wciąż nie widziałem jakichkolwiek oznak stresu. Profesjonalista w każdym calu.

Przyszło mi na myśl dziwne skojarzenie. Teraz byliśmy na Florydzie i lecieliśmy dalej na południe. Rodzina sekretarza Goldberga otrzymała wcześniej pogróżki od kolumbijskiego kartelu narkotykowego. Czy to tylko zbieg okoliczności? Powoli przestawałem w to wierzyć.

Chodziła mi po głowie pewna zasada pracy policjanta, szczególnie prawdziwa w moim doświadczeniu. Pewna bardzo ważna zasada. Co najmniej dziewięćdziesiąt pięć procent spraw kryminalnych rozwiązuje się dlatego, że ktoś popełnił błąd. Soneji nie popełnił na razie żadnego. Nie dał nam żadnych możliwości działania. Jednak teraz przyszła pora na pomyłki. Moment wymiany był dla niego niebezpieczny.

–Cała ta akcja została bardzo precyzyjnie zaplanowana – odezwałem się do mężczyzny w kapeluszu.

Samolot sunął teraz nad Atlantykiem, coraz dalej i dalej od amerykańskiego wybrzeża. Do jakiego celu? Do miejsca wymiany okupu na Maggie Rose?

–Bardzo słuszna uwaga. Wszystko jest tak dokładnie przemyślane, jak to tylko możliwe. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo.

–Czy dziewczynce naprawdę nic się nie stało? – spytałem ponownie.

–Już mówiłem, że ją rano widziałem. Nic jej nie było – odparł. – Jeden włos jej nie spadł z tej ślicznej główki.

–Trudno mi w to uwierzyć – odparłem.

Pamiętałem, w jakim stanie znaleźliśmy Michaela Goldberga. Pilot wzruszył szerokimi ramionami.

–A wierz sobie, w co chcesz.

Naprawdę miał gdzieś moją opinię.

–Michael Goldberg był maltretowany seksualnie. Więc dlaczego miałbym wierzyć, że dziewczynce nic się nie stało? – zapytałem.

Spojrzał na mnie. Czuję, że dotąd nie wiedział o losie małego Goldberga. Miałem wrażenie, że nie był partnerem Gary'ego. Że Soneji w ogóle nie miał partnerów. Pilot musiał być wynajętym pomocnikiem, a to zwiększało naszą szansę na odzyskanie Maggie Rose.

–Michael Goldberg został pobity dopiero po śmierci – powiedziałem. – Został zgwałcony. Mówię ci o tym, żebyś wiedział, w co się wplątałeś. Żebyś wiedział, jakiego masz partnera.

Nie wiedzieć czemu, w odpowiedzi pośrednik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Dobra. Koniec z pomocnymi wskazówkami i wkurzającymi pytaniami. Nie żebym nie doceniał troski. Ciesz się lotem.

Dziewczynka nie została pobita ani wykorzystana seksualnie.

Słowo dżentelmena.

–Ty niby jesteś tym dżentelmenem? Poza tym nie możesz mieć pewności – odrzekłem. – Od rana jej nie widziałeś. Nie wiesz, jak Soneji, czy jak mu tam, spędzał czas, kiedy go zostawiłeś samemu sobie.

–No cóż, każdy musi ufać swoim partnerom. A teraz siadaj wygodnie i zapnij pasy. Zaufaj mi. Niestety, ze względu na niedobór personelu, podczas lotu nie zostaną podane napoje

i przekąski.

Skąd u niego ten cholerny spokój? Facet był zdecydowanie zbyt pewny siebie.

Czyżby brał już kiedyś udział w porwaniach? Może wcześniej przeprowadził gdzieś próbę? Kolejna rzecz do sprawdzenia. O ile oczywiście po tym wszystkim będę jeszcze w stanie cokolwiek sprawdzić.

Oparłem się w fotelu i spojrzałem w dół. Znajdowaliśmy się już daleko nad oceanem. Zerknąłem na zegarek – jak na razie odlecieliśmy nieco ponad trzydzieści minut od Orlando. Mimo słonecznej pogody morze było wzburzone. Od czasu do czasu jakaś chmurka rzucała cień na ołowianą powierzchnię wody. Drżąca sylwetka samolotu to znikwała, to znów się pojawiała. FBI na pewno śledziło nas na radarze. Pilot nie robił wrażenia, jakby go to obchodziło. Toczyła się przerażająca gra w kotka i myszkę. Jak zareaguje pośrednik? Gdzie byli Soneji i Maggie Rose? Gdzie miała nastąpić wymiana?

–Gdzie się uczyłeś latać? – zapytałem. – W Wietnamie?

Zastanawiałem się nad tym już od jakiegoś czasu. Chyba był w odpowiednim wieku, mógł mieć między czterdzieści pięć a pięćdziesiąt lat, choć był mocno zaniedbany. Leczyłem już

weteranów z Wietnamu, na tyle cynicznych, że mogliby się zaangażować w porwanie.

Nie spieszyło go to pytanie, ale też nie odpowiedział.

Dziwne. Wciąż nie wydawał się ani zdenerwowany, ani zaniepokojony. Jedno z porwanych dzieci nie żyło. Dlaczego on dalej był taki rozluźniony i zadowolony z siebie? Co takiego wiedział, czego ja nie wiedziałem? Kim był Gary Soneji? Kim był on sam? Co ich łączyło?

Jakieś pół godziny później Cessna zaczęła obniżać lot. Zbliżaliśmy się do niewielkiej wyspy otoczonej białymi plażami. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy. Gdzieś na Bahamach? Czy FBI jeszcze nas nie zgubiło? Czy śledzili nas z nieba? A może pilot jakoś im umknął?

–Jak się nazywa ta wyspa? Gdzie jesteśmy? I tak nic na to teraz nie mogę poradzić.

–Małe Abaco – odrzekł w końcu. – Czy ktoś nas śledzi? Federalni? Namierzenie elektroniczne? Masz na sobie jakiś podsłuch?

–Nie. Żadnych podsłuchów. Niczego nie ukrywam.

–A może naznaczyli pieniądze? – wyglądało na to, że zna wszystkie możliwe metody. – Pył fluorescencyjny?

–O niczym takim nie wiem – odparłem.

To była prawda. Nie mogłem jednak mieć pewności. Możliwe, że FBI nie wszystko mi powiedziało.

–No, mam nadzieję. Ciężko wam ufać po tym, co odstawiliście w Disney World. Tam się dosłownie roilo od policji

i FBI. A przecież kazaliśmy, żebyś przyszedł sam. W dzisiejszych czasach nikomu nie można wierzyć.

Próbował być dowcipny. Nie zależało mu na tym, czy zareaguję. Wyglądał na człowieka, który był już na dnie, ale potem otrzymał ostatnią szansę na zarobek. Najbrudniejszy zarobek świata.

Na plaży znajdowało się prowizoryczne lądowisko. Wąski pas ubitego piasku miał kilkaset metrów długości. Pilot posadził samolot bez najmniejszego problemu. Następnie szybko zawrócił, po czym podkołował w stronę sznura palm. To musiał być element planu. Pasował każdy szczegół. Jak na razie wszystko było perfekcyjnie zorganizowane.

W okolicy nie stały żadne urocze chatki. Nie widziałem żadnej strefy dla przyjezdnych. Za plażą wznosiły się wzgórza porośnięte bujną, tropikalną roślinnością.

Nigdzie choćby śladu żywej duszy. Ani Maggie Rose. Ani Gary'ego Sonejiego.

–Czy dziewczynka jest tutaj?

–Dobre pytanie – odparł. – Poczekamy, zobaczymy. Ja się pierwszy rozejrzę.

Wyłączył silnik. Czekaliśmy w milczeniu i odurzającym upale. Nie miałem co liczyć, że odpowie na moje pytania. Miałem ochotę wyrwać podłokietnik i zatłuc nim pilota.

Zaciskałem zęby tak mocno, że aż mnie bolała głowa.

Mężczyzna przez długie minuty niezmiennie gapił się przez przednią szybę w bezchmurne niebo. Ja w tym upale ledwie oddychałem.

Czy dziewczynka tu jest? Czy Maggie Rose żyje? Niech cię cholera!

Na barwionych szybach wciąż siadały owady. Kilka razy obok nas przeleciał pelikan. To miejsce wyglądało na opuszczone. Nic się nie działo.

Robiło się coraz goręcej. Nie do zniesienia. Tak gorąco jak w samochodzie zostawionym na słońcu. Pilot chyba w ogóle tego nie czuł. Najwyraźniej przywykł do takiej pogody.

Czekaliśmy tak już dobrą godzinę. Potem następną. Spływałem potem. Umierałem z pragnienia. Usiłowałem nie myśleć o upale, ale nie potrafiłem. Wciąż byłem przekonany, że FBI na pewno obserwuje nas z powietrza. Sytuacja patowa. Co ją mogło odmienić?

–Czy Maggie Rose tu jest? – spytałem jeszcze kilkakrotnie.

Im dłużej to trwało, tym bardziej się o nią bałem.

Zero reakcji. Nawet nie pokazał, że mnie w ogóle usłyszał. Ani razu nie spojrzał na zegarek. Nie ruszał się, nie wiercił. Czy on był w jakimś transie? Co się działo z tym facetem?

Przez długi czas przyglądałem się podłokietnikowi, do którego mnie przykuł. Jeśli w ogóle można było mówić o błędzie, to najprędzej właśnie w tym przypadku. Oparcie było stare

i chwiało się na boki, kiedy sprawdzałem jego wytrzymałość. Chyba zdołałbym je wyrwać. Skoro już do tego doszło, to oznaczało, że naprawdę byłem w tarapatkach. Ale musiałem spróbować. To było jedyne rozwiązanie.

I wtedy, równie nagle i niespodziewanie jak wylądowaliśmy, Cessna ruszyła z powrotem na pas startowy. Znow wzbiliśmy się w powietrze.

Lecieliśmy nisko, niecałe trzysta metrów nad ziemią. Chłodne powietrze penetrowało kabinę samolotu. Warkot śmigła działał na mnie hipnotyzująco.

Robiło się ciemno. Patrzyłem, jak słońce znika za horyzontem, który rozciągał się przed nami. Widok był piękny, ale biorąc pod uwagę okoliczności, także nieco upiorny. Już wiedziałem, na co on czekał. Na nadejście nocy. Chciał pracować nocą. Soneji lubił noc.

Mniej więcej pół godziny po zmroku samolot ponownie zaczął zniżać pułap. Przed nami migotały drobne kropeczki światła – z góry wyglądało to na niewielkie miasto. Wiedziałem, że docieramy na miejsce. Nadeszła chwila prawdy. Wkrótce miała się dokonać wymiana.

–Nie pytaj. I tak ci nie powiem – odezwał się mężczyzna, nie odwracając się od przyrządów.

–Ciekawe dlaczego nie jestem zdziwiony -powiedziałem.

Udając, że poprawiam się w fotelu, pociągnąłem podłokietnik. Coś ustąpiło. Bałem się go bardziej uszkodzić.

Lotnisko było niewielkie – ale przynajmniej jakieś było. W pobliżu niepomalowanej budy dostrzegłem dwa niewielkie samoloty. Pilot nawet nie próbował nawiązać z ziemią komunikacji radiowej. Serce łomotało mi jak szalone.

Na dachu budynku chwiało się stary znak Flying A. Zatrzymaliśmy się na wyboistym pasie. Nigdzie ani śladu ludzi. Ani Gary'ego Sonejiego. Ani Maggie Rose. Przynajmniej na razie.

Ktoś zostawił zapalone światło – pomyślałem. No dobra, to gdzie oni, u diabła, są?

–Czy to tutaj nastąpi wymiana?

Znow spróbowałem wyrwać podłokietnik. Szarpnąłem niemal z całej siły.

Pośrednik wstał z fotela. Przecisnął się obok mnie. Wychodził z samolotu. W rękę trzymał walizkę z dziesięcioma milionami.

–Do widzenia, detektywie Cross – odwrócił się w moją stronę. – Przykro mi, ale muszę już lecieć. Przeszukiwanie okolicy można sobie darować. Dziewczynki tu nie ma. Jest bardzo daleko stąd. A tak na marginesie: wróciliśmy do Stanów. Jest pan w Karolinie Południowej.

–Gdzie jest dziewczynka?! – wrzasnąłem za nim.

Szarpnąłem kajdanki. Gdzie było FBI? Jak daleko za nami?

Musiałem coś zrobić. Musiałem natychmiast działać. Wstałem, żeby zwiększyć dźwignię, po czym całą swoją siłą i masą ciała szarpnąłem podłokietnik. Jeszcze raz. Plastikowo-metalowy element do połowy oderwał się od fotela. Nie przestawałem. –

Druga część oparcia pękła z trzaskiem, jak przy brutalnym wyrwaniu zęba.

Dwa szybkie kroki i po chwili stałem w otwartych drzwiach samolotu. Pośrednik już był na ziemi i uciekał z walizką. Runąłem prosto na niego. Musiałem go przytrzymać do czasu przybycia FBI. Poza tym chciałem zgnieść gnoja, chciałem mu pokazać, kto tu teraz rządzi.

Spadłem na niego jak jastrząb na polnego szczura. Obaj grzmotnęliśmy mocno o asfalt, wypuszczając powietrze z płuc. Podłokietnik wciąż wisiał przy kajdankach. Metal przeorał twarz mężczyzny. Pocięła krew. Przyłożyłem mu wolną ręką.

–Gdzie jest Maggie Rose? Gdzie ona jest? – wrzeszczałem na cały głos.

Na lewo, ponad połyskliwą czernią morza, dostrzegłem dwa światła. Zbliżały się szybko w naszym kierunku. To musiało być FBI. Ich samoloty obserwacyjne leciały mi teraz na pomoc. Udało im się nas nie zgubić.

I wtedy poczułem cios w kark. Czymś jakby ołowianą rurą. Nie zemdląłem od razu. Soneji? – wrzasnął głos w moim umyśle. Drugi cios spowodował pęknięcie z tyłu czaszki. W tym wrażliwym miejscu. Teraz już padłem nieprzytomny. Nie zobaczyłem, kto mnie zaatakował ani czego użył.

Kiedy odzyskałem świadomość, niewielkie lotnisko w Karolinie Południowej pełne było ludzi i oślepiających światła. FBI

stawilo się w dużej liczbie. Miejscowa policja też. Wszędzie stały karetki i wozy straży pożarnej.

Jednak pośrednik zniknął. A wraz z nim dziesięć milionów dolarów okupu. Uciekł bez trudu. Soneji doskonale to zaplanował. Kolejny perfekcyjny ruch.

–Jest dziewczynka? Maggie Rose? – spytałem łysiejącego lekarza, który opatrywał mi rany głowy.

–Nie, proszę pana – odrzekł, przeciągając samogłoski. – Wciąż jej nie znaleziono. Nikt nigdy nie widział w tej okolicy Maggie Rose Dunne.

–

Rozdział 25

Nad Crisfield w stanie Maryland wisiała ponura pokrywa ze stalowoszarych chmur. Przez cały dzień padało. Po śliskiej wiejskiej drodze pędził radiowóz na sygnale.

Wewnątrz siedzieli Artie Marshall i Chester Dils. Dils miał dwadzieścia sześć lat i był dokładnie o dwadzieścia lat młodszy od Marshalla. Jak wielu młodych policjantów z wiejskich okolic marzył o tym, żeby się stąd wydostać. Miał te same marzenia już wówczas, gdy chodził do liceum Wilde Lake w Columbi.

Jednak wciąż był tutaj, w Crisfield. „Twin Peaks II”, jak Często nazywał to miasteczko, liczące niecałe trzy tysiące mieszkańców.

Dils miał niemal fizyczne pragnienie przejść do policji Stanowej. To wcale nie było łatwe zadanie, biorąc pod uwagę trudne egzaminy, szczególnie z matematyki. Jednak dzięki temu może wreszcie uciekłyby z hrabstwa Somerset. Może aż do Salisbury albo Chestertown.

I Ani Dils, ani tym bardziej poczciwy Artie Marshall nie byli gotowi na popularność i reputację, które właśnie miały się stać ich udziałem. Ot tak, trzydziestego grudnia, popołudniową godziną. Ktoś zadzwonił na posterunek przy Old Hurley Road. Jacys myśliwi zauważyli coś podejrzanego w West Crisfield, po drodze do kempingu na Tangier Island. Znaleźli porzucone auto. Niebieskiego minivana marki Chevrolet.

Od kilku dni wszystko, co wydawało się choć trochę podejrzanym, natychmiast kojarzono z głośnym porwaniem w Waszyngtonie. To się już robiło nudne. Jednak tak czy inaczej Dils i Marshall mieli to sprawdzić. W końcu tamte dzieci ze szkoły zabrano właśnie niebieskim minivanem.

Popołudnie miało się już ku końcowi, gdy policjanci dotarli do farmy przy szosie numer 413. Wjazd na posiadłość po mocno rozjeżdżonej drodze był nawet trochę upiorny.

–Tam jest jakaś stara farma czy coś takiego? – zapytał

Dils partnera.

Dils siedział za kółkiem. Jechał po nierównej, błotnistej nawierzchni z prędkością około dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Artie Marshall wolał siedzieć na fotelu pasażera.

–Aha. Ale nikt tam teraz nie mieszka. Nie spodziewaj się niczego spektakularnego,

Chesty.

–W tym jest cały urok tej roboty – odrzekł Chester Dils. – Nigdy nie wiadomo. Coś spektakularnego zawsze gdzieś tam na nas czeka.

Dils miał zwyczaj przedstawiania wszystkiego w nieco zbyt korzystnych barwach. Miał marzenia, miał wielkie idee, ale Artie Marshall traktował to jako zwyczajną konsekwencję niedojrzałości swego młodszego partnera.

Dotarli do walącej się stodoły, o której mówili myśliwi.

–No, chodźmy się rozejrzeć – rzekł Marshall, próbując naśladować entuzjazm kolegi.

Chester Dils wyskoczył z radiowozu. Artie Marshall podążył za nim, choć bynajmniej nie tak żwawo. Stodoła, która kiedyś musiała być czerwona, robiła wrażenie, jakby od momentu wybudowania zapadła się kilkadziesiąt centymetrów. Parę godzin wcześniej myśliwi schronili się tam przed deszczem. Następnie zadzwonili na policję.

Wewnątrz panował głęboki półmrok. Okna zaklejone były cienką, bawełnianą tkaniną. Artie Marshall włączył latarkę.

–Rzućmy na tę kwestię trochę światła – mruknął. I zaraz zawołał: – O cholera, to jest to!

Rzeczywiście, to było to. Wielki otwór pośrodku klepiska. A obok – niebieski van.
–Niech to szlag, Artie!

Chester Dils wyciągnął rewolwer. Poczł nagle, że ciężko mu oddychać. Szczerze mówiąc, w ogóle nie chciał się zbliżyć do tej dziury. Najchętniej czym prędzej wyszedłby ze stodoły. Może jednak nie był jeszcze gotowy na pracę w policji stanowej.

–Jest tam kto? – głośno i wyraźnie zawołał Artie Marshall. – Tu policja, proszę natychmiast wyjść!

Chryste, pomyślał Dils. Artie radził sobie lepiej niż on. Facet stanął na wysokości zadania. Ta myśl zmobilizowała Chestera Dilsa do działania. Ruszył w głąb stodoły, żeby sprawdzić, czy to właśnie to, czego szukali, choć modlił się do Boga wszechmogącego, żeby to było coś innego.

–Zaświeć tam w dół – powiedział do swego partnera w walce z przestępczością.

Stali nad otworem w ziemi. Dils ledwie oddychał. Miał wrażenie, że ktoś mu zacisnął obręcz na klatce piersiowej. Drżały mu kolana.

–Wszystko w porządku, Artie? – spytał kolegę.

Marshall skierował snop światła do ciemnego, głębokiego rowu. Wtedy zobaczyli to, co wcześniej widzieli myśliwi.

W dziurze znajdowało się drewniane pudło... prawie jak trumna! Było otwarte. I puste.

–Co to, do cholery, jest? – Dils usłyszał własny głos.

Artie Marshall pochylił się niżej. Zaświecił prosto w otwór.

Instynktownie rozejrzał się wokół. Popatrzył za siebie. Potem znów skupił uwagę na dziurze w ziemi.

Coś tam było. Coś jasnoróżowego albo może czerwonego:

Myśli Marshalla pędziły jak oszalałe. To jest but... Chryste, to na pewno but tej dziewczynki. To tutaj trzymali Maggie Rose Dunne.

–To tutaj trzymali dzieci – odezwał się w końcu. – Chesty, to jest to. Znaleźliśmy to miejsce.

I rzeczywiście znaleźli.

Jednocześnie znaleźli jeden z różowitkich reeboków Maggie Rose. Jej wiernych wycieruchów, które miały pomóc dziewczynce upodobnić się do reszty dzieci w szkole imienia Jerzego Waszyngtona. A najdziwniejsze było to, że ten but robił wrażenie, jakby leżał tam właśnie po to, żeby ktoś go znalazł.

Część druga

Syn Lindbergha

Rozdział 26

Kiedy Gary był bardzo niezadowolony, powracał do swych ukochanych fantazji z dzieciństwa. Właśnie teraz był bardzo niezadowolony. Jego genialny plan wymykał się spod kontroli. Nie chciał o tym nawet myśleć.

Szeptem wyrecytował z pamięci magiczne słowa: „Okna domu na farmie Charlesa Lindbergha świeciły jasnym, pomarańczowym światłem. Budynek przypominał płonący zamek...”. Ale teraz porwanie Maggie Rose to Przestępstwo Stulecia. Tak po prostu jest!

Jako mały chłopiec Gary fantazjował o porwaniu synka Lindberghów. Nauczył się wszystkiego na pamięć.

Tak właśnie się to zaczęło: od historii, którą wymyślił, kiedy miał dwanaście lat. Historii, którą sobie w kółko opowiadał, żeby nie oszaleć. Marzenia o przestępstwie popełnionym dwadzieścia pięć lat przed jego narodzinami.

W piwnicy domu Gary'ego panowała kompletna ciemność. Już się do tego przyzwyczaił. Dało się tak żyć. Nawet mogło być super.

W Wilmington w stanie Delaware była godzina 18.15 w środę, 6 stycznia.

Gary pozwolił, by jego myśli swobodnie odpłynęły. Potrafił sobie wyobrazić każdy najdrobniejszy szczegół domu Lucky Lindy'ego i Anne Morrow Lindberghów w Hopewell. Przez tyle lat żył obsesją tego słynnego porwania. Od dnia, kiedy

przyjechała macocha z dwojgiem rozpuszczonych bachorów. Od dnia, gdy Gary pierwszy raz trafił do piwnicy. Tam, dokąd idą niegrzeczni chłopcy, żeby pomyśleć o tym, co zrobili.

Wiedział o tym porwaniu więcej niż ktokolwiek na świecie. Malutkiego Lindbergha w końcu wydobyto z płytkiego grobu ledwie sześć kilometrów od posiadłości rodziców. Ha, ale czy to naprawdę był malutki Lindbergh? Znalezione ciało było zbyt długie. Miało osiemdziesiąt cztery centymetry, a Charles junior – siedemdziesiąt cztery.

Nikt nie rozumiał tego sensacyjnego, nigdy niewyjaśnionego porwania. Po dziś dzień. I tak samo miało być z Maggie Rose Dunne i Michaelem Goldbergem.

Nikt miał nigdy tego nie rozwikłać. Gary tak sobie obiecał.

Zresztą nikt jeszcze nie rozwikłał żadnego z morderstw, które do tej pory popełnił, prawda? Johna Wayne'a Gacy'ego juniora dopadli w Chitown po tym, jak popełnił trzydzieści kilka zabójstw. Jeffrey Dahmer wpadł w Milwaukee po dokonaniu siedemnastu zbrodni. Gary zamordował więcej osób niż ci dwaj razem wzięci. Ale nikt nie wiedział, kim on jest ani gdzie jest, ani jaki będzie jego następny ruch.

W piwnicy było ciemno, ale Gary dawno się do tego przyzwyczaił. „Piwnica to miejsce dla koneserów”, powiedział kiedyś macosze, żeby ją zdenerwować. Piwnica była jak umysł człowieka po śmierci. Mogła być wyśmienita, jeśli miało się wyśmienity umysł. A on na pewno taki miał.

Gary obmyślał dalszy plan działania. Myśl była prosta: wszystko dopiero przed nimi.

Lepiej niech mają oczy szeroko otwarte.

Na parterze tego samego domu Missy Murphy robiła wszystko co w jej mocy, żeby się za bardzo nie złościć na Gary'ego. Piekła ciasteczka dla ich córeczki, Roni, i dla innych dzieci z sąsiedztwa. Missy naprawdę starała się być wyrozumiała i ofiarna. Jeszcze ten jeden raz.

Usiłowała nie myśleć o Garym. Zwykle to się udawało, kiedy piekła. Tym razem było inaczej. Gary był niepoprawny.

Ale jednocześnie słodki i kochany i miał umysł jasny jak tysiącwatowa żarówka. To właśnie dlatego się nim zainteresowała.

Poznała go na imprezie integracyjnej na Uniwersytecie Delaware. Gary się tam objął. Przeniósł się z Princeton. Nigdy w życiu nie rozmawiała z kimś równie inteligentnym. Nawet wykładowcy na uczelni nie mogli się równać z Garym.

Właśnie ta ujmująca część jego osobowości sprawiła, że Missy wyszła za niego w 1982 roku. Wbrew opinii wszystkich znajomych. Jej najlepsza przyjaciółka, Michelle Lowe, wierzyła w tarota, reinkarnację, wszystkie tego typu sprawy. Zbadła ich horoskopy, jej i Gary'ego. „Odwołaj to, Missy – powiedziała. – Czy ty mu nigdy nie patrzysz w oczy?”. Ale Missy i tak wzięła ślub, mimo że wszyscy jej to odradzali. Może właśnie dlatego została przy Garym na dobre i na złe. Na tak złe, że nikt inny by tego pewnie nie wytrzymał. Czasem miała wrażenie, że musi znosić nie jednego,

ale kilku Garych. Gary'ego i te jego gierki psychologiczne.

Zbliża się coś bardzo niedobrego, pomyślała, wysypując z torebki wiórki czekolady. On lada dzień przyjdzie i powie, że go wylali z roboty. Stary, okropny schemat znowu się powtarzał.

Gary już jej zdążył oznajmić, że jest „mądrzejszy od wszystkich innych” w pracy – to bez wątpienia była prawda. Powiedział, że „zostawia wszystkich w tyle”, że szefowie go uwielbiają – to na początku pewnie też była prawda. Że niedługo zrobią go kierownikiem okręgowego działu sprzedaży – to na pewno była jedna z „historyjek” Gary'ego. A potem zaczęły się kłopoty. Powiedział, że szef robi się zazdrosny. Że godziny pracy są nie do wytrzymania. To akurat była prawda. Nie było go w domu przez cały tydzień, a czasem również w weekendy. Niebezpieczny mechanizm w pełni się rozkręcił. Najsmutniejszy był fakt, że jeśli miałoby mu się nie udać w tej firmie, z tym szefem, to jak mogło mu się udać gdziekolwiek indziej?

Missy Murphy była pewna, że lada dzień Gary wróci do domu i powie, że stracił pracę. Jego dni jako mobilnego przedstawiciela handlowego Atlantic Heating Company z pewnością były policzone. Gdzie wtedy znajdzie pracę? Kto będzie

dla niego bardziej wyrozumiały niż jego obecny szef – Marty, rodzony brat Missy? Dlaczego zawsze musiało być tak ciężko? Dlaczego ona tak Ignęła do Garych Murphych tego świata?

Missy Murphy zastanawiała się, czy to dziś będzie ten wieczór. Czy Gary Murphy już stracił pracę? Czy zakomunikuje jej o tym, kiedy wieczorem wróci do domu? Jak taki inteligentny facet może być takim nieudacznikiem? Pierwsza iza spadła do masy na ciasteczka, a w ślad za nią popłynął cały wodospad. Missy cała się trzęsła i drżała.

Rozdział 27

Nigdy nie miałem specjalnych trudności, żeby śmiać się z moich frustracji policjanta i psychologa. Tym razem dużo trudniej było mi podejść do całej sprawy na luzie. Soneji zagnał nas na południe, na Florydę i do Karoliny. Nie odzyskaliśmy Maggie Rose. Nie wiedzieliśmy, czy dziewczynka jeszcze żyje.

Po pięciogodzinnym przesłuchaniu przez FBI przewieziono mnie samolotem do Waszyngtonu, gdzie od początku musiałem odpowiadać na te same pytania, tym razem zadawane przez ludzi z mojego własnego wydziału. Jedną z ostatnich osób, które mnie przesłuchiwały, był komendant Pittman. El Jefe pojawił się o północy. Na nasze wyjątkowe spotkanie specjalnie się wykąpał i ogolił.

–Koszmarne wyglądasz – powiedział.

To były jego pierwsze słowa.

–Jestem na nogach od wczoraj rano – wyjaśniłem. –

Dobrze wiem, jak wyglądam. Niech mi pan powie coś, czego nie wiem.

Jeszcze zanim skończyłem zdanie, już wiedziałem, że nie powinienem być tego mówić. Zwykle uważam na słowa, ale teraz byłem zmęczony, otępiały i ogólnie w gównianej kondycji.

El Jefe oparł się na jednym z niewielkich metalowych krzesel, które stały w sali konferencyjnej, i pochylił w moim kierunku. Kiedy się odezwał, mogłem dokładnie obejrzeć jego złote plomby.

–Jasne, Cross. Muszę ci odebrać tę sprawę. Słusznie czy niesłusznie, prasa za całe niepowodzenie obwinia głównie ciebie... i nas. FBI umywa ręce. Thomas Dunne też się skarży. W sumie ma rację. Okup przepadł, a my nie odzyskaliśmy jego córki.

–Gówno prawda. Soneji wybrał mnie na pośrednika. Jak dotąd nikt nie wie dlaczego. Może nie powinienem był się zgodzić, ale się zgodziłem. To FBI schrzaniło obserwację, nie ja.

–To teraz ty mi powiedz coś, czego nie wiem – zrewanżował się Pittman. – Tak czy inaczej wracacie z Sampsonem do morderstw Sandersów i Turnerów. Tak jak chciałeś od początku. Ale nie byłoby źle, gdybyś śledził sprawę porwania. Koniec rozmowy.

El Jefe powiedział swoje i wyszedł. Bez odbioru. Żadnej dyskusji.

Sampson i ja zostaliśmy z powrotem wysłani tam, gdzie nasze miejsce: do

południowo-wschodniej części Waszyngtonu. Znowu każdy wiedział, co ma robić. Śmierć szóstki Murzynów ponownie zaczęła mieć znaczenie.

Rozdział 28

Dwa dni po moim powrocie z Karoliny Południowej obudził mnie tłum, który zebrał się pod naszym domem.

W teoretycznie bezpiecznym miejscu, jakim było zagłębienie mojej poduszki, dochodził do mnie szum głosów. „O nie, znowu jest jutro” – zabrzmiała myśl w mojej głowie.

Wreszcie otworzyłem oczy. I zobaczyłem inne oczy. Nade mną stali Damon i Janelle. Chyba ich bawiło, że mogę spać w takim momencie.

–Czy to telewizja tak hałasuje?

–Nie, tatusiu – odparł Damon. – Telewizor jest wyłączony.

–Nie, tatusiu – powtórzyła Janelle. – To lepsze niż telewizja.

Podniosłem głowę i oparłem się na łokciu.

–To co się dzieje? Imprezujecie z kolegami na dworze?

Tak? Czy to jest właśnie ten hałas, który słyszę w mojej sypialni?

W odpowiedzi oboje z bardzo poważnym wyrazem twarzy pokręcili głowami. Damon w końcu się uśmiechnął, ale Janelle wciąż była poważna i trochę się bała.

–Nie, tatusiu, nie imprezujemy – powiedział chłopiec.

–Hmm. Nie mówcie, że znowu przyszli dziennikarze. Byli tu ledwie parę godzin temu, wczoraj wieczorem.

Damon stał z rękami założonymi na głowę. Robi tak zawsze, kiedy jest podekscytowany albo gdy się denerwuje.

–Tak, tatusiu, to znowu dziennikarze.

–Działają mi na nerwy – mruknąłem pod nosem.

–Mnie też działają na nerwy – powiedział Damon, marszcząc brwi.

Częściowo rozumiał, o co tu chodzi.

O bardzo publiczny lincz. Mojej osoby.

Cholerni dziennikarze. Przewróciłem się na plecy i popatrzyłem w sufit.

Stwierdziłem, że trzeba go pomalować. Robota nigdy się nie kończy, jak się jest na swoim.

Zgodnie z „faktem” medialnym, to ja schrzaniłem wymianę. Ktoś, może jakiś agent FBI, może George Pittman, wystawił mnie na odstrzał. Ktoś wypuścił także fałszywą informację, że nasze działania w Miami były podyktowane moją oceną psychologiczną Gary'ego Sonejiego.

W jednym z czasopism ukazał się artykuł pod tytułem Gliniarz z Waszyngtonu stracił Maggie Rose! Thomas Dunne powiedział w wywiadzie telewizyjnym, że obarcza mnie osobistą odpowiedzialnością za niepowodzenie w uwolnieniu jego córki.

Od tego czasu zostałem bohaterem szeregu artykułów i felietonów. Żaden nie był zbyt przychylny – ani zgodny z faktami.

Gdybym rzeczywiście w jakikolwiek sposób schrzanił sprawę przekazania okupu, przyjąłbym całą krytykę bez mrugnięcia okiem. Nie uciekam przed konsekwencjami własnych błędów. Rzecz w tym, że tym razem żadnego błędu nie popełniłem. Tam na Florydzie ryzykowałem życie.

Tym większą miałem teraz potrzebę, żeby dowiedzieć się, dlaczego Gary Soneji wskazał właśnie mnie. Czemu byłem elementem jego planów? Czemu zostałem wybrany? Do czasu, aż się o tym przekonam, nie miałem zamiaru odstąpić od śledztwa w sprawie porwania. I nieważne, co powie, pomyśli albo zrobi mi El Jefe.

–Damon, natychmiast wyjdź na werandę – poleciłem synkowi. – Powiedz dziennikarzom, żeby spadali. Niech znikają. Niech się wynoszą. Jasne?

–Tak. Niech spadają na drzewo! – zawołał chłopiec.

Uśmiechnąłem się szeroko do Damona, który rozumiał, że robią dobrą minę do złej gry. Odpowiedział uśmiechem. Janelle też się w końcu rozchmurzyła i złapała brata za rękę. Wstawałem. Dzieci czuły, że zaraz coś się będzie DZIAĆ. I rzeczywiście.

Powlokłem się na werandę. Miałem zamiar coś powiedzieć dziennikarzom. Nie zadałem sobie trudu, żeby włożyć buty. Ani koszulę. Przypomniały mi się nieśmiertelne słowa Tarzana: „Aaaaija-aijaa!”.

–Jak się macie w ten piękny, zimowy poranek, moi drodzy? – zapytałem, stając przed nimi w luźnych bawełnianych portkach. – Przynieść komuś kawę albo słodką

bułeczkę?

–Katherine Rose i Thomas Dunne obwiniają pana za błędy popełnione na Florydzie. Pan Dunne wydał wczoraj wieczorem kolejne oświadczenie.

Ktoś podał mi poranną gazetę – i to za darmo. Tak, wciąż byłem kozłem ofiarnym tygodnia.

–Jestem w stanie zrozumieć, że państwo Dunne są rozczarowani wynikiem działań na Florydzie – powiedziałem spokojnym tonem. – Nie krępujcie się, rzućcie kubki po kawie gdzieś na trawnik, tak jak zwykle. Potem po was posprzątam.

–Więc zgadza się pan, że popełnił błąd, przekazując okup, zanim zobaczył pan Maggie Rose?

–Nie. Zupełnie się nie zgadzam. Na Florydzie i w Karolinie Południowej nie miałem żadnego wyboru. Jedyne, co mogłem zrobić, to w ogóle nie zgodzić się iść z pośrednikiem. Wiecie, jak się ma ręce skute kajdankami, a drugi facet trzyma broń, to się jest w bardzo niekorzystnym położeniu. A jak wsparcie przybywa za późno, to jest kolejny problem.

Jakbym rzucał grochem o ścianę.

–Detektywie, nasze źródła donoszą, że to pan podjął decyzję o przekazaniu okupu.

–Po co wy tu przychodzicie i koczujecie na moim trawniku? – krzyknąłem w odpowiedzi na te bzdury. – Dlaczego straszycie moją rodzinę? Po co zakłóćcie spokój w okolicy?

Mam gdzieś, co o mnie napiszecie, ale jedno wam powiem: nie macie zielonego pojęcia, o co tu tak naprawdę chodzi. Narażacie córeczkę Dunne'ów na niebezpieczeństwo.

–Czy Maggie Rose Dunne żyje? – zawołał ktoś.

Odwróciłem się i wszedłem z powrotem do domu. Wreszcie im nagadałem. Teraz się nauczą szanować czyjąś prywatność.

–Siemasz, Orzechowy Ludku. Co słychać?

Nieco później tego samego ranka powitał mnie tłum zupełnie innych ludzi. Stali w kolejce przed kościołem świętego Antoniego na 12th Street. Byli głodni i zmarznięci, i żaden z nich nie miał na szyi nikona ani leiki.

–Ej, Orzechowy Ludku, widziałem cię w telewizorze. Robisz tera za gwiazdę filmową? – zawołał ktoś w tłumie.

–Jasne. Nie widać?

Od paru lat pracujemy z Sampsonem w stołówce dla bezdomnych u świętego Antka, zwykle dwa, trzy razy w tygodniu. Wciągnęła mnie Maria, która częściowo prowadziła opiekę społeczną za pośrednictwem parafii. Po jej śmierci kontynuowałem to z najbardziej egoistycznego powodu: ta praca poprawiała mi samopoczucie. Sampson wita ludzi przy drzwiach i odbiera od nich numerki, które otrzymali w kolejce. Poza tym odstrasza potencjalnych rozrabiaków.

Ja pełnię podobną funkcję odstrasżającą w samej stołówce. Mówią na mnie Orzechowy Ludek. Jimmy Moore, który prowadzi tę jadłodajnię, wierzy w odżywczą moc masła orzechowego. Wobec tego poza pełnym posiłkiem, zwykle składającym się z bułek, dwóch porcji warzyw, mięsa albo potrawy rybnej oraz deseru, każdy, kto chce, dostaje kubek masła orzechowego. Codziennie.

–Cześć, Orzechowy Ludku. Masz dzisiaj dla nas dobre masło orzechowe? Jakiegoś Skippy'ego, Piotrusia Pana albo coś takiego?

Uśmiechnąłem się szeroko do znajomych, ponurych twarzy. Mój nos wypełniły znajome zapachy potu, nieświeżego oddechu i wczorajszego alkoholu.

–Nie wiem dokładnie, co dzisiaj jest w jadłospisie.

Stali bywalcy znają mnie i Sampsona. Większość z nich wie, że jesteśmy policjantami. Niektórzy wiedzą też, że jestem psychologiem, ponieważ oprócz pracy w kuchni udzielam porad w kontenerze z napisem: „Pan pomaga tym, co sami se pomagają. Właźta do środka”.

Jimmy Moore prowadzi wspaniałą, sprawnie działający lokal. Twierdzi, że to największa jadłodajnia dla bezdomnych na wschodnim wybrzeżu. W ciągu dnia wydajemy średnio tysiąc sto posiłków. Rozpoczynamy pracę kwadrans po dziesiątej, a kończymy o wpół do pierwszej. To oznacza, że jeśli ktoś przyjdzie minutę później, będzie tego dnia chodził głodny. Dyscyplina, nawet na tak podstawowym poziomie, to ważny element programu świętego Antka.

Nie mają tu wstępu pijani ani wyraźnie naćpani. W czasie posiłku należy się

dobrze zachowywać. Na zjedzenie każdy ma mniej więcej dziesięć minut – na dworze w kolejce czeka jeszcze wielu głodnych i zmarzniętych. Do każdego gościa mówi się per pan lub per pani. Personel, złożony w większości z wolontariuszy, jest szkolony pod kątem optymistycznego nastawienia. Wobec nowych ochotników pracujących przy kolejce i w stołówce przeprowadza się nawet „kontrolę uśmiechu”.

Około południa na dworze zrobiło się jakieś zamieszanie. Słyszałem okrzyki Sampsona. Coś się działo.

Ludzie w kolejce krzyczeli i głośno przeklinali. Potem usłyszałem, jak Sampson woła o pomoc.

–Alex! Chodź tutaj!

Natychmiast wybiegłem przed stołówkę i już wiedziałem, o co chodzi. Zacisnąłem pięści w dwie twarde kule. Prasa znów nas znalazła. Mnie znalazła.

Kilku pokręconych kamerzystów filmowało ludzi w kolejce – co ze zrozumiałych względów nie jest mile widziane. Oni usiłują zachować resztki szacunku wobec samych siebie i nie chcą, żeby ich pokazywano w telewizji, jak stoją po darmową zupę.

Jimmy Moore to twardy Irlandczyk, który z nikim się nie

patyczkuje. Kiedyś pracował z nami w policji. Już był na zewnątrz i tak naprawdę to głównie on hałasował.

–Oż wy kurwy jebane! – usłyszałem swój własny głos. –

Nikt was tu nie prosił! Nikt was tu, gnoje, nie prosił! Zostawcie tych ludzi. Pozwólcie nam w spokoju wydawać posiłki.

Fotografowie przestali robić zdjęcia. Gapili się na mnie. Sampson też. I Jimmy Moore. I prawie wszyscy w kolejce. Dziennikarze nie odjechali, ale przynajmniej się odsunęli. Większość przeszła na drugą stronę 12th Street. Wiedziałem, że będą tam na mnie czekać.

My karmimy tych ludzi w kolejce – pomyślałem, obserwując dziennikarzy czyhających na mnie w parku po drugiej stronie ulicy. Ale kogo, do cholery, karmi prasa, jeśli nie bogate korporacje i rodziny, dla których oni wszyscy pracują?

Wokół nas rozbrzmiewały gniewne pomruki.

–Ludzie są głodni i zmarznięci. Chcemy jeść. Ludzie mają prawo jeść – krzyknął któryś z mężczyzn w kolejce.

Wróciłem na swoje miejsce w stołówce. Zaczęliśmy wydawać obiad. W końcu byłem Orzechowym Ludkiem.

Rozdział 29

W mieście Wilmington w stanie Delaware Gary Murphy odgarniał dziesięciocentymetrową warstwę śniegu. Było środowe popołudnie szóstego stycznia. Rozmyślał o porwaniu. Usiłował nad sobą panować. Myślał o tej małej, bogatej suce Maggie Rose Dunne. Właśnie wtedy przed jego niewielki dom w stylu kolonialnym na Central Avenue zajechał błyszczący błękitny cadillac. Gary zaklął pod nosem.

Sześćioletnia Roni, córka Gary'ego, lepiała piguły i rozstawiała je na zlodowaciałej skorupie, która pokrywała śnieg. Zaczęła piszczeć, gdy tylko zobaczyła, jak wujek Marty wysiada z samochodu.

–Kim jest ta piękna dziewczynka? – zawołał wujek Marty przez całe podwórko. – Czyżby to była gwiazda filmowa? Tak! Chyba tak. Czy to Roni? Chyba tak!

–Wujek Marty! Wujek Marty! – krzyczała Roni, pędząc w stronę auta.

Za każdym razem, gdy Gary widział Marty'ego Kasajiana, przypominał mu się ten wstrętny film Wujaszek Buck. John Candy gra w nim dziwnego kuzyna, którego nikt nie lubi i nikt nie chce oglądać. Ciągłe przyjeżdża w gościnę i torturuje swoją obecnością pewną konserwatywną rodzinę. Naprawdę obrzydliwy film. Wujek Marty Kasajian był bogaty i odnosił sukcesy. Zachowywał się jeszcze głośniejszy niż John Candy. I właśnie tu przyjechał. Gary nienawidził starszego brata Missy

ze wszystkich tych powodów, ale przede wszystkim dlatego, że Marty był jego szefem.

Missy musiała usłyszeć, że Marty przyjechał. Zresztą wszyscy na Central Avenue i sąsiedniej North Street mieli tę przyjemność. Wyszła przez tylne drzwi ze ścierką przewieszoną przez ramię.

–Kogo ja widzę! – pisnęła.

W odczuciu Gary'ego obie z Roni brzmiały jak identyczne prosiaki.

Wielka, kurwa, niespodzianka, miał ochotę krzyknąć. Ale zdusił to w sobie, podobnie jak dusił w sobie wszystkie prawdziwe uczucia. Wyobraził sobie, że mógłby teraz zatłuc Marty'ego łopata do śniegu. Naprawdę zamordować Kasajiana na oczach Missy i Roni. Pokazać im, kto rzeczywiście jest panem domu.

–Boska Panna M! – Marty Kasajian nie przestawał terkotać. Wreszcie dostrzegł Gary'ego. – Siemasz, Gar, stary druhu! Jak leci? Jak tam Eagles? Randall C szaleje. Masz już bilety na Super Bowl?

–Jasne, Marty. Dwa bilety na linii pięćdziesięciu jardów.

Gary Murphy cisnął aluminiową łopatę w niewysoką zaspę, po czym ruszył przez śnieg w stronę Missy i Roni, które stały przy wujku Martym.

Wszyscy razem weszli do domu. Marty przywiózł drogi *eggnog* oraz po kawałku ciasta z jabłkiem i rodzynkami, ze skrawkami cheddara po bokach. Kawalek Marty'ego był większy niż pozostałe. W końcu to on był Szefem, no nie?

Marty podał siostrze kopertę. To było jej „kieszonkowe” od starszego brata. Chciał, żeby Gary to zobaczył. Chciał dokopać leżącemu.

–Mamusia, wujek Marty i tatuś muszą teraz chwilę porozmawiać, skarbie – Marty Kasajian odezwał się do Roni, kiedy tylko skończył swój kawałek ciasta. – Nie jestem pewien, ale chyba coś dla ciebie miałem i zapomniałem zabrać z samochodu. Nie wiem, może leży na tylnym siedzeniu. Lepiej leć i sprawdź.

–Tylko najpierw włoż kurtkę – powiedziała Missy. – Nie przezięb mi się.

Roni zaśmiała się piskliwie i skoczyła przytulić wujka. Następnie wybiegła z domu.

–Coś ty jej znowu przywiózł? – szepnęła Missy konspiracyjnie. – Jesteś niemożliwy.

Marty wzruszył ramionami, jakby już nie pamiętał. Przy wszystkich innych Missy zachowywała się normalnie. Przypominała Gary'emu jego prawdziwą matkę. Nawet wyglądała jak jego prawdziwa matka. Zauważył jednak, że tylko przy Martym zmieniała się na gorsze. Zaczynała nawet naśladować obrzydliwe zwyczaje i ton głosu brata.

–Słuchajcie, dzieciaki – Marty zbliżył się do Gary'ego i Missy. – Mamy mały problemik. Taki do rozwiązania, bo bierzemy się do tego wcześniej, ale trzeba się nim zająć. Wiecie, poudawać, że wszyscy jesteśmy dorośli.

Missy natychmiast nabrała czujności.

–O co chodzi, Marty? Co to za problem?

Marty Kasajian wyglądał teraz na szczerze zmartwionego i skrępowanego. Gary już tysiące razy widział, jak stosuje tę stropioną minę wobec klientów. Szczególnie wtedy, gdy ma zamiar komuś przypomnieć o niezapłaconym rachunku albo wylać kogoś z pracy.

–Gar? – spojrzał na Gary'ego, wzrokiem prosząc o pomoc. – Chcesz coś powiedzieć?

Gary wzruszył ramionami. Jakby zupełnie nie wiedział, o co chodzi. Pieprz się, dupku, pomyślał. Sam sobie teraz radź.

Poczuł, że zaczyna się uśmiechać. Ten impuls płynął gdzieś z głębi brzucha. Nie chciał tego okazywać, ale w końcu nie mógł się dłużej powstrzymać. To był w sumie przepyszny moment. Chwila, gdy dajesz się złapać, też niesie ze sobą pewną subtelną satysfakcję. Może z tego płynie jakaś nauzka. Coś, z czego warto wyciągnąć wnioski.

–Wybacz, Gary, ale naprawdę nie uważam, żeby to było śmieszne – powiedział Marty Kasajian, kręcąc głową.

–No, ja też nie – odparł Gary dziwnym głosem. Wysokim i chłopięcym. Jakby nie swoim.

Missy popatrzyła na niego zmieszana.

–Co się dzieje? – zapytała. – Powieście mi, o co chodzi?

Gary spojrzał na żonę. Na nią też był wściekły. Stanowiła część tej pułapki i dobrze o tym wiedziała.

–Moje wyniki sprzedaży dla Atlantic w tym kwartale są naprawdę kiepskie – powiedział w końcu Gary, wzruszając ramionami. – To masz na myśli, Marty?

Marty zmarszczył czoło i spuścił wzrok na swoje nowe buty od Timberlanda.

–Oj nie, Gar, to mało powiedziane. Twoje wyniki sprzedaży praktycznie nie istnieją. A co dużo, dużo gorsze, zalegasz ze spłatą ponad trzydziestu trzech tysięcy dolarów. Jesteś na minusie, Gary. Nie chcę mówić nic więcej, bo potem będę żałował. Naprawdę nie wiem, co zrobić w tej sytuacji. To dla mnie bardzo trudne. Wstyd mi. Missy, tak mi przykro. Strasznie mi z tym źle.

Missy zakryła twarz dłońmi i zaczęła płakać. Najpierw cicho, usiłując się powstrzymać. Potem łkała już coraz głośniej. W oczach jej brata także pojawiły się łzy.

–Tego właśnie próbowałem uniknąć. Wybacz, siostrzyczko.

Objął Missy i przytulił ją.

–Nic mi nie jest – odparła, odsuwając się od brata.

Rzuciła spojrzenie w poprzek stołu, na Gary'ego. Jej oczy zdawały się teraz małe i mroczne.

–Gdzieś ty się podziewał przez te wszystkie miesiące?

Coś ty wyrabiał? Och, Gary, Gary, czasami myślę, że w ogóle cię nie znam. Powiedz coś, spróbuj to jakoś naprawić. Błagam cię, Gary, powiedz coś.

Nim się odezwał, Gary dokładnie przemyślał swe słowa. A potem powiedział:

–Missy, tak strasznie cię kocham. Kocham ciebie i Roni bardziej niż własne życie.

Gary kłamał i wiedział, że nieźle mu się to kłamstwo udało. Doskonale wyrażone, świetnie odegrane.

Tak naprawdę chciał im się roześmiać w twarz. Tak naprawdę najbardziej chciał ich wszystkich zatłuc. Tak właśnie należałoby postąpić. Bum. Bum. Bum. Potrójne morderstwo w Wilmington. Wielki plan znów by nabrał tempa.

W tej właśnie chwili do domu znów wbiegła Roni. W dłoni przymała nową kaseta wideo i uśmiechała się jak „balonowa głowa”.

–Zobaczcie, co mi przywiózł wujek Marty.

Gary złapał się rękami za głowę. Nic nie mogło uciszyć wrzasku wewnątrz jego czaszki. „Ja chcę być kimś!”.

Rozdział 30

W południowo-wschodniej części miasta życie i śmierć dalej toczyły się swoim torem. Sampson i ja wróciliśmy do sprawy zabójstw Sandersów i Turnerów. Jak się

można było spodziewać, niewiele przez ten czas zrobiono, żeby wyjaśnić te sześć morderstw. Jak się można było spodziewać, wszyscy mieli to gdzieś.

W niedzielę, 10 stycznia, czułem, że nadszedł czas na odpoczynek. Pierwszy dzień wolny od czasu porwania.

Poranek zacząłem od użalania się nad sobą. Leżałem w łóżku do dziesiątej, usiłując zapanować nad bólem w czaszce, rezultatem nocnej hulanki, którą urządziliśmy sobie z Sampsonem. Niemal wszystkie myśli, jakie chodziły mi po głowie, były kompletnie bezproduktywne.

Przede wszystkim potwornie tęskniłem za Marią. Pamiętałem wspaniałe uczucie, kiedy w niedzielne poranki oboje spaliśmy do późna. Poza tym dalej byłem zły, że po akcji na Południu zrobiono ze mnie kozła ofiarnego. A co ważniejsze, miałem gówniany nastrój, bo nikt z nas nie był w stanie pomóc Maggie Rose Dunne. Na początku tego śledztwa dostrzegłem podobieństwa między córeczką Dunne'ów a moimi dziećmi. Ilekroć pomyślałem o dziewczynce, teraz pewnie już martwej, ścisnęło mnie w żołądku – a to niedobry objaw, zwłaszcza rankiem, po nocy spędzonej na mieście.

Rozmyślałem, czyby nie zostać w łóżku do szóstej. Zmarnować cały dzień. Zasłużyłem na to. Nie chciałem oglądać babci i słuchać jej gderliwych pytań o to, gdzie byłem w nocy. Tego ranka nie miałem nawet ochoty oglądać swoich dzieci.

Wciąż wracałem myślami do Marii. Dawno temu, w całkiem innym życiu, ona i ja, a zwykle także dzieciaki, spędzaliśmy wszystkie niedziele razem. Czasami siedzieliśmy w łóżku do południa, potem się ubieraliśmy i na przykład szliśmy spałaszować coś dobrego na lunch. Ja i Maria prawie wszystko robiliśmy razem. Każdego wieczoru wracałem do domu tak wcześnie, jak tylko mogłem. Maria też. Żadne z nas niczego nie pragnęło bardziej. Ona leczyła moje rany, kiedy nie akceptowano mnie jako psychologa w prywatnej praktyce. Ona przywróciła mnie do równowagi po kilku latach szlajania się z Sampsonem i paroma innymi nieżonatymi kumplami, w tym z zabawowymi koszykarzami z Washington Bullets.

Maria doprowadzała moją psychikę do stanu jako takiej normalności i wielbiłem ją za to. Może byłoby tak wiecznie. A może do tej pory już byśmy się rozstali. Kto to noże wiedzieć na pewno? Nie było nam dane się o tym przekonać.

Pewnego wieczoru długo nie wracała z pracy w opiece społecznej. W końcu ktoś do mnie zadzwonił. Popędziłem do Szpitala Miłosierdzia. Marię postrzelono. Przez telefon powie-dzieli mi tylko tyle, że jest w bardzo ciężkim stanie.

Dotarłem tam tuż po ósmej. Kolega, znajomy policjant z patrolu, usiadł ze mną w holu i powiedział mi, że kiedy przywieźli ją do szpitala, Maria już nie żyła. To się stało za osiedlami. Ktoś strzelał z przejeżdżającego samochodu. Nikt nie wiedział, kto i dlaczego mógł to zrobić. Nawet się nie pożegnaliśmy. Ani chwili na przygotowanie, żadnego ostrzeżenia, żadnego wyjaśnienia.

Ból był niczym stalowy słup, który rósł z piersi aż do mózgu. Myślałem o Marii bez przerwy, dniem i nocą. Po trzech latach wreszcie zaczynałem zapominać. Uczyłem się, jak to robić.

Leżałem na łóżku, spokojny i zrezygnowany, kiedy do pokoju wpadł Damon, w takim pośpiechu, jakby mu się paliły włosy.

–Hej, tato. Hej, tato, nie śpisz?

–Co się stało? – spytałem. W ciągu ostatnich dni zniecierliłem dźwięk tych słów. – Wyglądasz, jakbyś na werandzie zobaczył Vanillę Ice'a.

–Ktoś do ciebie, tato – oznajmił podniecony Damon zdyszczanym głosem. – Ktoś przyszedł!

–Hrabia z Ulicy Sezamkowej? – zapytałem. – Kto przyszedł? Czy mógłbyś mówić odrobinę konkretniej? Mam nadzieję, że to nie następny dziennikarz. Bo jeśli to jest dziennikarz...

–Powiedziała, że ma na imię Jezme. Tato, to jest jakaś pani.

Chyba usiadłem na łóżku, ale musiał mi się nie podobać widok, bo szybko z powrotem się położyłem.

–Powiedz jej, że zaraz zejde. I nie mów, że jeszcze lezę w łóżku. Powiedz, że natychmiast zejde.

Damon wybiegł z pokoju, a ja się zacząłem zastanawiać, w jaki sposób miałbym niby dotrzymać tej obietnicy.

Kiedy zszedłem na dół, Damon, Janelle i Jezzie Flanagan wciąż stali w przedpokoju. Janelle wyglądała na trochę zmieszana, ale coraz lepiej radziła sobie z zadaniem otwierania drzwi wejściowych. Jeszcze niedawno niesamowicie się wstydziła przy obcych. Żeby coś na to poradzić, wraz z babcią delikatnie zachęcaliśmy Janelle i Damona, żeby w ciągu dnia to oni otwierali drzwi.

Skoro przyjechała do mnie Jezzie Flanagan, to musiało być coś ważnego. Wiedziałem, że pilota, który odebrał okup, szuka połowa agentów FBI w całym kraju. Jak na razie na tym froncie nikt nic nie zdziałał. Wszelkie postępy w śledztwie, które w ogóle nastąpiły, poczyniłem ja sam.

Jezzie Flanagan miała na sobie luźne czarne spodnie, prostą białą bluzkę i wytarte tenisówki. Przypomniałem sobie, jak swobodnie wyglądała w Miami. Prawie całkiem zapomniałem, że jest bardzo ważną figurą w Secret Service.

–Coś się stało – powiedziałem, wykrzywiając twarz.

Ból przeszywał mi czaszkę i promieniował w dół twarzy. Ledwie znosiłem dźwięk własnego głosu.

–Nie, Alex. Nie mamy żadnych informacji o Maggie Rose Dunne. Kilka relacji, nic więcej.

„Relacjami” FBI nazywało informacje od świadków, którzy „twierdzili”, że widzieli Maggie Rose albo Gary'ego Sonejiego. Jak dotąd relacje dotyczyły wszystkich możliwych miejsc, poczynając od pustego parkingu kilka przecznic od szkoły imienia Waszyngtona, poprzez Kalifornię, oddział dziecięcy w szpitalu Bellevue w Nowym Jorku, aż do południowej Afryki, nie wspominając już o lądowaniu sondy kosmicznej w pobliżu Sedony w stanie Arizona. Nie było dnia, żeby ktoś nie doniósł, że gdzieś ich widział. Duży kraj, masa świrów na wolności.

–Nie chciałam was nachodzić – powiedziała w końcu Jezzie z uśmiechem. – Po prostu źle się czułam z tym, co się stało. Alex, to, co o tobie piszą, to brednie. Chciałam ci powiedzieć, co o tym myślę. Więc przyjechałam.

–No tak, dzięki, że mi to powiedziałaś – odrzekłem.

To była jedna z niewielu miłych rzeczy, jakie mnie spotkały w minionym tygodniu. Wzruszyła mnie w bardzo dziwny sposób.

–Na Florydzie zrobiłeś, co mogłeś. I nie mówię tego tylko dlatego, żeby ci poprawić samopoczucie.

Usiłowałem skoncentrować wzrok. Wciąż miałem przed oczami lekką mgiełkę.

–Nie nazwałbym tego swoim najlepszym wyczynem. Ale z drugiej strony nie uważam, żebym zasłużył na miejsce na pierwszych stronach gazet.

–Nie zasłużyłeś. Ktoś się na ciebie wziął. Ktoś cię wydał na pastwę prasy. To wszystko nieprawda.

–Gówno prawda! – wypalił Damon. – No nie, Wielki Tatusiu?

–To jest Jezzie – odezwałem się do dzieci. – Czasami razem pracujemy.

Dzieciaki powoli się do niej przyzwyczajały, chociaż wciąż były trochę nieśmiałe. Jannie próbowała się schować za bratem.

Damon trzymał obie ręce w tylnych kieszeniach, dokładnie tak jak tata.

Jezzie przykucnęła, żeby być z nimi twarzą w twarz. Uścisnęła dłoń Damona, a potem Janelle. To było dobre, choć odruchowe posunięcie.

–Twój tatuś to najlepszy policjant, jakiego znam – powiedziała Damonowi.

–Wiem – uprzejmie przyjął komplement.

–Ja jestem Janelle – córka zaskoczyła mnie, podając Jezzie swoje imię.

Widziałem, że chce, by ją przytulić. Janelle uwielbia przytulanki bardziej niż ktokolwiek na świecie. Właśnie temu zawdzięcza jedno ze swoich licznych przezwisk: „Rzep”.

Jezzie też to wyczuła. Wyciągnęła ramiona i przytuliła dziewczynkę. To była bardzo ładna scena. Damon natychmiast postanowił się przyłączyć. Zupełnie jakby Jezzie była ich dawno zaginioną najlepszą przyjaciółką, która niespodziewanie

powróciła z wojny.

Po jakiejś minucie kobieta znów się podniosła. W tym właśnie momencie dotarło do mnie, że to naprawdę miła osoba, a ja nie spotkałem takich zbyt wielu podczas tego dochodzenia. Jej wizyta była urzekająca, ale też dość odważna. Południowy wschód to niezbyt przyjemna dzielnica dla białych kobiet, nawet jeśli zapewne mają przy sobie broń.

–No, ja tylko wpadłam na przytulanki – puściła do mnie oko. – Tak naprawdę to prowadzę śledztwo niedaleko stąd.

Lecę znów robić za pracoholiczkę.

–Nie zostaniesz na kubek gorącej kawy? – spytałem.

Pomyślałem, że jedną filiżankę mogę znieść. Babcia pewnie miała w kuchni trochę kawy zaparzonej jakieś pięć, sześć godzin temu.

Jezzie zmrużyła oczy i znów się do mnie uśmiechnęła.

–Dwójka ładnych dzieci, wspólny niedzielny poranek. Wygląda na to, że jednak nie jest z ciebie aż taki twardziel.

–Twardzielem też bywam – odparłem. – Tak się po prostu składa, że jestem twardzielem, który przed niedzielnym porankiem trafia do domu.

–Dobrze, Alex – jej uśmiech nie zniknął. – Tylko niech cię nie zdolują te bzdury w gazetach. I tak nikt nie wierzy pismakom. Muszę lecieć. Na kawę wpadnę kiedy indziej.

Jezzie Flanagan otworzyła drzwi i zebrała się do wyjścia. Zanim drzwi się zamknęły, pomachała do dzieci.

–Na razie, Wielki Tatusiu – powiedziała do mnie z szerokim uśmiechem.

Rozdział 31

Kiedy Jezzie Flanagan zakończyła sprawy w południowo-wschodniej części miasta, pojechała na farmę w Marylandzie, gdzie Gary Soneji zakopał dzieci. Była tam już dwa razy, ale wciąż nie dawało jej spokoju wiele szczegółów. W końcu i tak miała obsesję na punkcie tej sprawy. Była przekonana, że nikt nie chciał złapać Sonejiego tak bardzo jak ona.

Jezzie zignorowała policyjne oznaczenia miejsca zbrodni i popędziła wyboistą drogą w kierunku grupki rozsypujących się budynków: głównego domu, garażu dla maszyn oraz stodoły, w której przetrzymywane były dzieci.

Dlaczego tutaj? – pytała samą siebie. Dlaczego tu, Soneji? Co to miejsce mogło jej powiedzieć o prawdziwej naturze porywacza?

Od pierwszego dnia w Secret Service Jezzie Flanagan była błyskotliwym detektywem. Ukończyła z wyróżnieniem Wydział Prawa na Uniwersytecie Wirginii i Departament Skarbu chciał ją skierować do FBI. Tam co drugi agent jest po prawie. Ale Jezzie przeanalizowała sytuację i w końcu wybrała Secret Service, gdzie dzięki swemu wykształceniu bardziej się wyróżniała. Od samego początku aż do teraz pracowała tygodniowo po osiemdziesiąt, a nawet i sto godzin. Stała się wschodzącą gwiazdą z jednego powodu: była zarówno mądrzejsza, jak i twardsza od wszystkich mężczyzn, z którymi i dla których pracowała. Jezzie wiedziała jednak od początku, że wystarczy

jeden błąd, żeby jej gwiazdny okręt na zawsze się roztrzaskał. Istniał tylko jeden sposób. To właśnie ona musiała znaleźć Gary'ego Sonejiego, nieważne jak.

Chodziła po terenie gospodarstwa aż do zmroku. A później chodziła dalej, z latarką. Robiła notatki, usiłując odnaleźć brakujące ogniwa. Może to wszystko miało jakiś związek z dawną sprawą Lindberghów, tak zwaną zbrodnią stulecia z lat trzydziestych.

Syn Lindbergha?

Rezydencja Lindberghów w Hopewell w New Jersey też była gospodarstwem.

Malutki Lindbergh został zakopany niedaleko od miejsca porwania.

Bruno Hauptmann, porywacz, pochodził z Nowego Jorku. Czy porywacz z Waszyngtonu może być jakimś jego dalekim kuzynem? Może pochodzi z okolic Hopewell? Może z Princeton? Jak to się stało, że do tej pory nie zdobyliśmy żadnych informacji o Sonejim?

Nim opuściła farmę, Jezzie spędziła trochę czasu w samochodzie. Włączyła silnik, ogrzewanie i po prostu tam siedziała. Pograżona w rozmyśleniach. Dawała upust

obsesji.

Gdzie był Gary Soneji? Jak mu się udało zniknąć? W dzisiejszych czasach nikt nie potrafi po prostu zniknąć. Nikt nie jest na tyle sprytny.

Potem pomyślała o Maggie Rose Dunne i Michaelu Krewetce. Łzy zaczęły jej ciec po policzkach. Nie mogła się powstrzymać. Wiedziała, że to właśnie prawdziwy powód, dla którego przyjechała na farmę. Jezzie Flanagan musiała sobie pozwolić na płacz.

Rozdział 32

Maggie Rose siedziała w kompletnej ciemności.

Nie wiedziała, od jak dawna tam jest. Ale na pewno od bardzo, bardzo dawna. Nie pamiętała, kiedy ostatnio coś jadła. Ani kiedy widziała jakiegokolwiek człowieka i z kimś rozmawiała, jeśli nie liczyć głosów w jej głowie.

Chciała, żeby ktoś właśnie teraz do niej przyszedł. Trzymała się tej myśli – godzinami.

Nawet by chciała, żeby znów przyszła ta stara kobieta i na nią nakrzyczała. Od jakiegoś czasu zastanawiała się, dlaczego spotyka ją taka kara. Co takiego zrobiła, by było aż takie złe. Czy była niegrzeczna i zasłużyła sobie na to wszystko? Zaczynała myśleć, że chyba naprawdę musiała być bardzo złą osobą, skoro przytrafiły się jej te wszystkie straszne rzeczy.

Znów nie mogła płakać. Nawet gdyby chciała. Już więcej nie potrafiła.

Wiele razy wydawało jej się, że musi już nie żyć. Maggie Rose już prawie nic nie czuła. W takich chwilach mocno się szczypała. Nawet gryzła. Raz ugryzła się w palec tak mocno, że aż zaczął krwawić. Czuła smak swojej cieplej krwi i to było takie dziwnie wspaniałe uczucie. Czas spędzony w ciemności dłużył się w nieskończoność. Ciemność była malutkim pomieszczeniem, szafą. Dziewczynka...

Nagle usłyszała na zewnątrz jakieś głosy. Nie były na tyle wyraźne, żeby zrozumiała słowa, ale na pewno to były czyjeś

głosy. Stara kobieta? Z pewnością ona. Maggie Rose chciała coś krzyknąć, ale bała się kobiety. Jej okropnego wrzasku, jej gróźb, jej chrapliwego głosu, który był straszniejszy niż horrory, których zabraniała jej oglądać mama. Sto razy gorszy od Freddiego Kruegera.

Głosy zamilkły. Maggie niczego już nie słyszała, nawet gdy przycisnęła ucho do drzwi szafy. Odeszli. Zostawili ją tam na zawsze.

Próbowała płakać, ale łzy nie chciały płynąć.

Wtedy Maggie Rose zaczęła krzyczeć. Drzwi nagle się otworzyły i oślepiło ją przepiękne światło.

Rozdział 33

11 stycznia w nocy Gary Murphy siedział sobie bezpiecznie w piwnicy. Nikt nie wiedział, że tam jest, ale gdyby wścibska Missy nagle otworzyła drzwi, po prostu zapaliłby światło na stole roboczym. Rozmyślał nad całym planem. Jeszcze raz. na wszelki wypadek.

Nabierał całkiem ładnej obsesji na punkcie zamordowania Missy i Roni, ale uważał, że powinien z tym jeszcze poczekać. Niemniej sama fantazja była przepiękna. Zabicie własnej rodziny miało w sobie jakiś element skromnego stylu. Co prawda nie było to zbyt wyszukane, natomiast efekt byłby uroczy: powiew grozy zmroziłby tę pogodną, beztroską podmiejską społeczność. Wszystkie inne rodziny zrobiłyby to, co najbardziej paradoksalne – zamykały drzwi, zamykały się razem.

Okolo północy zrozumiał, że jego własna rodzinka poszła spać bez niego. Nikt go nawet nie zawołał. Nic ich nie obchodziło. W jego głowie budził się głuchy krzyk. Żeby uciszyć ten hałas, potrzebował co najmniej sześciu tabletek przeciwbólowych.

Może podpali ten swój idealny domek na Central Avenue. Podpalanie domów działa kojąco na duszę. Robił to już w przeszłości i na pewno znów to kiedyś zrobi. Boże, cała czaszka go bolała, jakby ktoś walił w nią młotkiem. Czy coś mu fizycznie dolegało? Czy to możliwe, że tym razem naprawdę zaczynał popadać w szaleństwo?

156

Spróbował myśleć o Samotnym Orle – Charlesie Lindberghu. To też nie pomogło. W wyobraźni powrócił na farmę w Hopewell Junction. Nic z tego. Ta wycieczka też już się robiła nudna.

Na litość boską, przecież teraz on sam był już sławny na cały świat. On był teraz sławny. Wszyscy o nim słyszeli. Był gwiazdą medialną na całej nieszczęsnej ziemi.

Wreszcie wyszedł z piwnicy, a potem z domu w Wilmington. Właśnie minęło wpół do szóstej rano. Idąc do samochodu, czuł się jak zwierzę nagle wypuszczone na wolność.

Pojechał z powrotem do Waszyngtonu. Miał tam jeszcze coś do zrobienia. W końcu nie chciał zawieść swej publiczności, prawda?

Pomyślał, że teraz ma dla wszystkich nie lada niespodziankę. Nie czujcie się przy mnie swobodnie!

Tamtego poranka, we wtorek, około jedenastej, Gary Murphy lekko wcisnął przycisk przy frontowych drzwiach zadbanego ceglanego domku szeregowego na

skraju Wzgórza Kapitołskiego. Ding-dong – odezwał się wewnątrz subtelny dzwonek.

Samo poczucie zagrożenia, sam powrót do Waszyngtonu, przyprawiały go o przyjemny dreszcz niepokoju. To dużo lepsze niż się ukrywać. Znów czuł, że żyje, znów mógł oddychać, znów miał swoją przestrzeń.

Vivian Kim nie odpięła łańcucha, ale otworzyła drzwi na mniej więcej trzydzieści centymetrów. Przez wizjer rozpoznała uniform pracownika zakładu energetycznego PEPCO.

Ładna babka, przypomniał sobie Gary z czasów pracy w szkole imienia Waszyngtona. Długie, czarne warkocze. Uroczo zadarty nosek. Najwyraźniej nie rozpoznała go jako blondyna. Nie miał wąsów. Był trochę szczuplejszy na brodzie i policzkach.

–Tak? O co chodzi? Mogę panu w czymś pomóc? – spytała mężczyznę na werandzie.

Z wnętrza dobiegały dźwięki jazzu. Thelonious.

–Mam nadzieję, że wręcz przeciwnie – uśmiechnął się sympatycznie. – Ktoś dzwonił w sprawie nadpłaty za prąd.

Vivian Kim zmarszczyła brwi i pokręciła głową. Na szyi miała wisiołek z malutką mapą Korei, zawieszony na rzemyku.

–Do nikogo nie dzwoniłam. A już na pewno nie do PEPCO.

–No, ktoś do nas dzwonił, proszę pani.

–Proszę przyjść później – odparła Vivian Kim. – Może to mój chłopak dzwonił.

Przykro mi bardzo, będzie pan musiał wrócić później.

Gary wzruszył ramionami. Jakie to było wyborne. Najlepiej, gdyby to się nigdy nie skończyło.

–No, pewnie tak. Może pani do nas znowu zadzwonić – powiedział. – Wpisze się pani na listę. Ale chodzi o nadpłatę. Za dużo państwo zapłacili.

–Dobrze, rozumiem.

Vivian Kim powoli odpięła łańcuch i otworzyła drzwi. Gary wszedł do mieszkania. Spod kurtki wyciągnął długi nóż myśliwski. Skierował go ku twarzy nauczycielki.

–Nie krzycz. Mówię ci, Vivian, nie krzycz.

–Skąd pan wie, jak się nazywam? – zapytała. – Kim pan jest?

–Nie podnoś głosu, Vivian. Nie masz się czego bać... Nie pierwszy raz to robię.

Jestem tylko zwykłym rabusiem.

–Czego pan chce? – nauczycielka zaczynała drżeć.

Gary zastanowił się chwilę, nim odpowiedział na jej pytanie.

–Myślę, że chcę wysłać kolejny komunikat przez telewizję.

Chcę sławy, na którą tak bardzo zasługuję – odparł w końcu. – Chcę być najstraszniejszym człowiekiem w Ameryce.

To dlatego pracuję w stolicy. To ja, Gary. Viv, nie pamiętasz mnie?

Rozdział 34

Sampson i ja pędziliśmy C Street w samym sercu Wzgórza Kapitołskiego. Biegając, słyszałem świst wydychanego przez nos powietrza. Miałem wrażenie, że nie panuję nad rękami i nogami.

Radiowozy i karetki kompletnie zablokowały ulicę. Musieliśmy zaparkować na F Street i kilka ostatnich przecznic pokonać biegiem. Na miejscu była już telewizja WJLA. CNN też. Zewsząd dobiegał ryk syren.

Przed nami dostrzegłem garstkę dziennikarzy. Widzieli, że się zbliżamy. Mnie i Sampsona równie łatwo przeoczyć co koszykarzy Harlem Globetrotters w Tokio.

–Detektywie Cross? Doktorze Cross? – zaczęli wołać, usiłując spowolnić nasz bieg.

–Bez komentarza – warknąłem. – Od obu z nas. Spieprzać z drogi.

W mieszkaniu Vivian Kim minęliśmy wszystkie znajome twarze – techników, laborantów, całą gromadkę od morderstw w swym upiornym środowisku naturalnym.

–Nie chcę już tego robić – powiedział Sampson. – Cały świat splywa do rynsztoka. To jest za wiele, nawet dla mnie.

–Wypalamy się – wymamrotałem. – Razem się wypalamy.

Sampson ścisnął mnie za rękę. Po tym poznałem, że ta sprawa spaprała mu system nerwowy tak bardzo, jak to było

możliwe. Wreszcie weszliśmy do pierwszej sypialni po prawej stronie korytarza. Usiłowałem zachować wewnętrzny spokój. Nie potrafiłem.

Sypialnia Vivian Kim była ślicznie urządzone. Ściany pokrywały liczne plakaty oraz gustowne, czarno-białe fotografie rodzinne. Na jednej ze ścian wisiały stare skrzypce. Nie chciałem spojrzeć na to, po co tam przyszedłem. W końcu nie miałem wyboru.

Vivian Kim przygwożdżono do łóżka długim nożem myśliwskim. Przebito nim brzuch. Odcięto obie piersi. Zgolono włosy łonowe. Jej oczy miały taki wyraz, jakby w ostatnich chwilach życia zobaczyła coś niewyobrażalnego.

Moje spojrzenie zaczęło błędzić po pokoju. Nie mogłem patrzeć na okaleczone ciało nauczycielki. Wbiłem wzrok w barwny ślad na podłodze. Wstrzymałem oddech. Nikt nie wspomniał o tym ani słowem. Nikt nie zauważył najważniejszej wskazówki. Na szczęście nikt jej nie ruszył.

–Popatrz na to – powiedziałem do Sampsona.

Na podłodze w sypialni Vivian Kim leżał drugi but Maggie Rose Dunne. Morderca zostawił coś, co patologowie nazywają „artystycznymi detalami”. Tym razem zostawił wyraźną wiadomość – jednoznaczny podpis. Kiedy się schyliłem, żeby podnieść but, cały się trząsałem. Oto przykład maksymalnie sadystycznego poczucia humoru. Różowy reebok tworzył szokujący kontrast z krwawą sceną zbrodni.

Gary Soneji był w tej sypialni. Soneji był także mordercą z osiedli. To on był Monstrum. I właśnie wrócił do miasta.

Rozdział 35

Gary Soneji faktycznie wciąż był w Waszyngtonie. Wysyłał wiadomości do swoich fanów. Teraz było jednak trochę inaczej. Teraz nęcił także nas. Sampson i ja dostaliśmy od El Jefe zezwolenie na pracę przy porwaniu dopóty, dopóki miało związek z pozostałymi morderstwami. A na pewno miało.

–To jest nasz wolny dzień, więc musimy się dobrze bawić – powiedział Sampson, kiedy chodziliśmy ulicami południowo-wschodniej części miasta.

Był trzynasty stycznia. Potworny mróz. Na niemal każdym rogu ludzie grzali się przy paleniskach w śmietnikach. Jeden facet miał na tyle czaszki wypisane żyletką: JEB SIĘ. I wzajemnie.

–Burmistrz Monroe już nie dzwoni. Już nie pisze – powiedziałem.

Obserwowałem kłęby pary, które w mroźnym powietrzu unosiły mi się z ust.

–Wiesz, jest światełko na końcu tunelu – rzucił przed siebie. – Zmieni mu się, kiedy złapiemy Monstrum. Sam będzie przyjmował za nas wszystkie honory.

Szliśmy naprzód, nabijając się z sytuacji i z samych siebie. Sampson rapował teksty popowych piosenek. Często to robi. Tego ranka na tapecie było *Now That We've Found Love*. Heavy D The Boyz. Rozkręć mnie, rozkręć mnie, jesteś

moim małym cukiereczkiem, powtarzał Sampson, jakby te słowa wszystkiemu nadawały sens.

Prowadziliśmy wywiad w okolicy domu Vivian Kim, na skraju południowo-wschodniej części miasta. Wywiad w okolicy to śmiertelnie nudna robota, nawet dla młodych i niedoświadczonych. „Czy widzieli państwo wczoraj kogoś albo coś niezwykłego?”, pytaliśmy wszystkich na tyle głupich, żeby nam otworzyć drzwi. „Czy zauważyli państwo jakichś obcych, nieznanne samochody albo cokolwiek, co utkwiło państwu w pamięci? Każde skojarzenie będzie wartościowe, my sami zdecydujemy, co z tego jest istotne”.

Jak zwykle nikt nic nie widział. *Nada de nada*. I nikt się nie cieszył z naszej obecności, szczególnie kiedy weszliśmy na teren południowo-wschodniej dzielnicy.

Na domiar złego, na tym wietrze odczuwalna temperatura wynosiła minus szesnaście stopni. Padał deszcz ze śniegiem. Ulice i chodniki pokrywała zlodowaciała breja. Kilka razy dołączaliśmy do ludzi ogrzewających się przy ogniskach w śmietnikach.

–Wam, pieprzonym psom, zawsze zimno, nawet latem – odezwał się do nas jeden z młodych gnojków.

Obaj z Sampsonem się roześmialiśmy.

Około szóstej doczłapaliśmy z powrotem do samochodu. Byliśmy skonani. Mieliśmy za sobą długi dzień. I nic dobrego z tego wszystkiego nie wynikło. Gary Soneji znowu rozpląnął się w powietrzu. Miałem wrażenie, że znalazłem się w jakimś horrorze.

–Chcesz się przejść jeszcze parę przecznic? – zapytałem Sampsona.

Byłem wystarczająco zdesperowany, żeby spróbować szczęścia w grze na automatach w Atlantic City. Soneji się z nami bawił. Może nas obserwował. Może sukinsyn naprawdę był niewidzialny.

Sampson pokręcił głową.

–*No maś*, słoneczko. Chcę osuszyć przynajmniej kratkę browaru. A potem zacznę pić na serio.

Wytarł śnieg ze swoich ciemnych okularów i z powrotem je

założył. Aż dziw, jak dobrze go znam. Wyciera okulary w ten sposób odkąd skończył dwanaście lat. Czy to deszcz, czy śnieg, czy i jedno, i drugie.

–Przejdźmy się jeszcze tylko kilka przecznic – powiedziałem. – Dla Vivian Kim. Tyle dla niej możemy zrobić.

–Wiedziałem, że to powiesz.

Około osiemnastej dwadzieścia zawitaliśmy do mieszkania niejakiej pani Quillie McBride. Wraz z przyjaciółką, panią Scott, siedziała przy stole w kuchni. Pani Scott chciała się z nami podzielić czymś, co jej zdaniem mogło nam pomóc. Przyszliśmy wysłuchać wszystkiego, co miała do powiedzenia.

Jeśli ktoś w niedzielę rano przejdzie się przez południowo-wschodnią dzielnicę

Waszyngtonu albo przez północną część Filadelfii, czy też przez Harlem w Nowym Jorku, zobaczy wiele takich kobiet jak pani McBride i jej przyjaciółka Willie Mae Randall Scott. Noszą kwieciste bluzki i spódnice z wytartej gabardyny. Do najczęstszych dodatków należą kapelusze z piórem oraz sznurowane buty na koturnach, w których stopy wyglądają jak dwa kawałki baleronu. Idą albo z jakiegoś kościoła, albo do kościoła. Willie Mae, która była świadkiem Jehowy, roznosiła Strażnicę.

–Chyba mogę wam pomóc, chłopcy – powiedziała pani Scott cichym, miłym głosem.

Była pewnie po osiemdziesiątce, ale mówiła bardzo przytomnie i nie traciła wątku.

–Bylibyśmy bardzo wdzięczni – odparłem.

Usiedliśmy we czwórkę wokół stołu, na którym na wypadek

czyjejs wizyty stał talerz owsianych ciasteczek. W widocznym miejscu na ścianie w kuchni wisiał tryptyk fotografii dwóch zamordowanych Kennedych oraz Martina Luthera Kinga.

–Słyszałam o zabójstwie tej nauczycielki – powiedziała nam pani Scott – no i jakoś na miesiąc zanim zabili Turnerów, widziałam w okolicy jednego faceta w samochodzie. Białego.

Mam to szczęście, że ciągle dopisuje mi pamięć. Nie chcę, żeby to się zmieniło, więc ją ćwiczę i skupiam się na wszystkim,

co zobaczą. Za dziesięć lat będę mogła opowiedzieć tą naszą rozmowę minuta po minucie.

Jej przyjaciółka, pani McBride, siedziała obok niej na krześle, które sobie przysunęła. Na początku nic nie mówiła, natomiast chwyciła panią Scott za pulchne ramię.

–To prawda. Będzie mogła – potwierdziła.

–Tydzień przed morderstwem Turnerów ten sam biały znowu się kręcił po okolicy – ciągnęła pani Scott. – Tym razem krążył od drzwi do drzwi. To był komiwojażer.

Wymieniliśmy z Sampsonem spojrzenia.

–Jakiego rodzaju komiwojażer? – spytał Sampson.

Zanim pani Scott odpowiedziała, powiodła wzrokiem po twarzy mojego partnera. Pewnie się koncentrowała, żeby go jak najdokładniej zapamiętać.

–Sprzedawał systemy grzewcze na zimę. Podeszłam do jego samochodu i zajrzałam do środka. Na przednim siedzeniu leżał jakiś katalog. Jego firma nazywa się Atlantic Heating.

Mieści się w Wilmington w stanie Delaware.

Pani Scott patrzyła to na mnie, to na Sampsona, chcąc się upewnić, że mówi dostatecznie jasno albo że dotarło do nas wszystko, co właśnie powiedziała.

–Wczoraj widziałam tu w okolicy to samo auto. I widziałam je też tamtego ranka, jak zabili tę kobietę na C Street.

Powiedziałam do tej tu mojej przyjaciółki: „To wszystko nie może być zbiegiem okoliczności, no nie?”. Ja nie wiem, czy to tego faceta szukacie, ale myślę, że powinniście z nim porozmawiać.

Sampson spojrzał na mnie. Wtedy obaj zrobiliśmy coś, co ostatnio rzadko nam się zdarzało. Szeroko się uśmiechnęliśmy. Obie panie postanowiły pójść za naszym przykładem. Wreszcie coś mieliśmy. Nareszcie jakiś przełom, pierwszy od początku tego dochodzenia.

–Porozmawiamy z tym komiwojażerem – zapewniłem panią Scott i Quillie McBride. – Jedziemy do Wilmington.

Rozdział 36

Następnego popołudnia, 14 stycznia, Gary Murphy wrócił do domu nieco po piątej. Pojechał do biura, które znajdowało się tuż za Wilmington. Wewnątrz było tylko kilka osób. Gary miał zamiar odwalić trochę bezsensownej papierkowej roboty. Jeszcze przez jakiś czas musiał zachowywać pozory.

W końcu i tak zaczął myśleć o ważniejszych rzeczach. O wielkim planie. Po prostu nie był w stanie traktować poważnie tego całego zalewu rachunków i faktur, które zaśmiewały mu biurko. W kółko podnosił zmięte dokumenty, czytał nazwiska, sumy, adresy.

Jak kogoś w pełni władz umysłowych mogą obchodzić jakieś zasrane faktury? – zastanawiał się. To wszystko było boleśnie banalne, głupie i nieistotne. Właśnie dlatego ta praca oraz dom w Delaware stanowiły dla niego takie dobre kryjówki.

Wobec tego w pracy nie zrobił absolutnie nic poza tym, że przeczekał kilka

godzin. Przynajmniej po drodze do domu kupił prezent dla Roni: różowy rower ze wstążkami i dodatkowymi kółkami. Do tego dorzucił Wymarzony Domek Barbie. Przyjęcie urodzinowe córeczki zaczynało się o szóstej.

Missy powitała go przy wejściu, przytuliła i ucałowała. Wzmocnienie pozytywne było jej mocną stroną. Dzięki przyjęciu miała o czym myśleć. Od dobrych kilku dni nie zwracała mu głowy.

–To był świetny dzień, kochanie. Na przyszły tydzień

mam umówione aż trzy wizyty. Słyszysz? Trzy wizyty – powiedział jej Gary. A co tam, jak chciał, to potrafił być uroczy. Pan Procesorek jedzie do Delaware.

Poszedł za żoną do jadalni. Stół był zastawiony kolorowymi naczyniami z plastiku i papieru. Już wcześniej Missy powiesiła na ścianie wielki transparent, taki jak na meczach futbolowych na U.D., Uniwersytecie Debili. Wielkimi literami napisała: **NAPRZÓD RONI – PORA NA SIÓDEMKE!**

–Kochanie, to jest absolutnie genialne. Ty naprawdę potrafisz zrobić coś z niczego. Wszystko wygląda fantastycznie – powiedział Gary. – Teraz na pewno będzie super.

Szczerze mówiąc, ogarniała go lekka depresja. Było mu słabo i miał ochotę na drzemkę. Cała idea przyjęcia urodzinowego dla Roni nagle wydała mu się strasznie wyczerpująca. Kiedy on był dzieckiem, nikt mu nie organizował przyjęć.

Sąsiedzi zaczęli się schodzić punktualnie o szóstej. To dobrze, pomyślał. To znaczy, że dzieciaki naprawdę chciały przyjść. Lubiły Roni. Miały to wypisane na tych swoich balonowych buziach.

Kilkoro rodziców zostało na przyjęciu. Byli znajomymi Gary'ego i Missy. Gary posłusznie wypełniał obowiązki barmana, podczas gdy Missy organizowała dzieciom przeróżne zabawy: ciuciubabkę, muzyczne krzesła, ciepło-zimno.

Wszyscy się dobrze bawili. Spojrzał na Roni – kręciła się jak bączek.

Gary miał pewną powracającą fantazję – że wymordowuje wszystkich na urodzinowym kinderbalu. Albo na wielkanocnym polowaniu na jajka. Ta myśl poprawiła mu nastrój.

Rozdział 37

Dwupiętrowy dom z pobielonej cegły stał na zadrzewionej działce. Gdy tam zajechaliśmy, już był otoczony samochodami: kombi i jeepami – rodzinnymi pojazdami mieszkańców przedmieść.

–To nie może być jego dom – powiedział Sampson, kiedy zaparkowaliśmy w bocznej ulicy. – Tutaj nie może mieszkać Monstrum. Tu może mieszkać Jimmy Stewart.

Znaleźliśmy Gary'ego Sonejiego – ale coś tu nie grało. Dom potwora był wzorowym przykładem podmiejskiego piękna, domkiem z piernika na zadbanej ulicy w Wilmington. Od rozmowy z panią Scott w Waszyngtonie nie minęła doba. Przez ten czas namierzyliśmy Atlantic Heating w Wilmington. Zebraliśmy cały dawny zespół kryzysowy.

W prawie wszystkich oknach paliło się światło. Niemalże razem z nami pod dom podjechał samochód dostawczy Domino. Patykowaty blondas popędził do drzwi z czterema pudełkami pizzy w ramionach. Dostał pieniądze i zniknął z samochodem tak szybko, jak się pojawił.

Denerwowałem się tym, że stoimy przed ładnym domem w ładnej okolicy. To wszystko sprawiało, że jeszcze bardziej bałem się nadchodzących minut. Soneji zawsze był dwa kroki przed nami – jakimś cudem.

–Ruszamy – odezwałem się do agenta Scorse'a. –

Słuchajcie, nadeszła ta chwila. Przed nami bramy piekieł.

Cała dziewiątka ruszyła do domu – Scorse, Reilly, Craig, dwóch innych agentów FBI, Sampson, ja, Jeb Klepner i Jezzie Flanagan. Byliśmy uzbrojeni i ubrani w kamizelki kuloodporne. Chcieliśmy to skończyć. Tu i teraz.

Wszedłem przez kuchnię razem ze Scorse'em. Sampson był o krok za nami. On też nie wyglądał jak tata z sąsiedztwa, który spóźnił się na prywatkę.

–Kim panowie są? Co tu się dzieje? – zawołała kobieta przy blacie, gdy wpadliśmy do środka.

–Gdzie jest Gary Murphy? – zapytałem głośno. Jednocześnie mignąłem legitymacją. – Policja. Nazywam się Alex Cross. Jesteśmy tu w sprawie porwania Maggie Rose Dunne.

–Gary jest w jadalni – powiedziała drżącym głosem druga kobieta, która stała przy blenderze. – Tędy – pokazała palcem.

Popędziliśmy holem. Na ścianach wisiały rodzinne fotografie. Na podłodze leżały nierozpakowane prezenty. W rękach mieliśmy rewolwery.

To był przerażający moment. Zobaczyliśmy przestraszone dzieci. Przestraszone matki i przestraszonych ojców. Tylu niewinnych ludzi. Zupełnie jak w Disney World – pomyślałem. Jak w szkole imienia Waszyngtona.

Gary'ego Sonejiego nie było w jadalni. Tylko policjanci, dzieci w urodzinowych czapczkach, zwierzaki oraz niedowierzające własnym oczom matki i ojcowie z szeroko otwartymi ustami.

–Gary chyba poszedł na górę – powiedział w końcu jeden z mężczyzn. – Co tu się dzieje? Co tu się dzieje, do cholery?

Craig i Reilly właśnie z powrotem zbiegali po schodach z pierwszego piętra.

–Tam go nie ma – krzyknął Reilly.

–Pan Murphy chyba zszedł do piwnicy – odezwało się jedno z dzieci. – Zrobił coś złego?

Puściliśmy się biegiem do kuchni i na dół po schodach do piwnicy – Scorse, Reilly i ja. Sampson wrócił na górę, żeby się upewnić.

W dwóch piwnicznych pomieszczeniach nie było żywej duszy. Drzwi na zewnątrz zamknięto na klucz z drugiej strony.

Chwilę później, zbiegając po dwa schodki, dołączył do nas Sampson.

–Sprawdziłem całe piętro. Tam go nie ma!

Gary Soneji znowu zniknął.

Rozdział 38

No dobra, podkreśmy tempo. Zaczniemy prawdziwego rock and rolla. Zagrajmy na serio, myślał Gary, pędząc na złamanie karku.

Obmyślał plany ucieczki, odkąd miał piętnaście, może szesnaście lat. Wiedział, że gdzieś, kiedyś, w jakiś sposób tak zwani stróże porządku po niego przyjdą. Widział to wszystko w myślach, w swoich rozbudowanych snach na jawie. Jedyne pytanie to: kiedy? No, może jeszcze: za co? Za którą z jego zbrodni?

I wreszcie przyjechali do Wilmington, na Central Avenue! Koniec głośnego polowania. A może dopiero początek?

Od momentu, gdy zauważył policję, Gary postępował jak zaprogramowana maszyna. Prawie nie mógł uwierzyć, że to, o czym tyle razy fantazjował, wreszcie działa się naprawdę. Ale oni rzeczywiście przyjechali. Wyjątkowe marzenia naprawdę się spełniają. Jeśli tylko nie przestaje się marzyć.

Spokojnie zapłacił doręczycielowi pizzy. Potem zszedł do piwnicy. Przez specjalne, na wpół ukryte drzwi dostał się do garażu. Zamknął je od zewnątrz. Kolejne boczne drzwi prowadziły wąziutką uliczką do ogrodu Dwyerów. To wejście też zamknął. Na schodkach werandy stały zimowe buty Jimmy'ego Dwiera. Na ziemi leżał śnieg. Gary wziął buty sąsiada.

Zatrzymał się między domem swoim a Dwyerów. Zastanawiał się, czy nie dać się złapać tu i teraz – zupełnie jak Bruno

Hauptmann w sprawie Lindberghów. To był cudowny pomysł. Ale jeszcze nie. Nie tutaj.

W chwilę potem uciekał pomiędzy domami. Tylko dzieci korzystały z wąskiej uliczki, zarośniętej chwastami i zaśmieconej puszkami po coli.

Wydawało mu się, że widzi jak w tunelu. To na pewno miało związek ze strachem, który wypełniał każdy centymetr jego ciała. Gary naprawdę się bał. Musiał to przyznać. Z adrenaliną nie ma dyskusji, kolego.

Biegł przez kolejne ogródki wzdłuż kochanej Central Avenue. Potem wpadł w gęsty las Downing Park. Po drodze nie spotkał żywej duszy.

Tylko raz, kiedy się obejrzał, zobaczył, jak przemieszczają się w stronę domu. Dwóch wielkich czarnuchów, Cross i Sampson. Zdecydowanie przereklamowany pościg. FBI w całej okazałości.

Teraz pędził co sił, prosto w stronę dworca, który znajdował się cztery przecznice od domu. To było jego połączenie z Filadelfią, Waszyngtonem, Nowym Jorkiem, ze światem zewnętrznym.

Dotarł tam chyba w dziesięć sekund – albo coś w tym stylu. Dbał o kondycję. Silne nogi i ramiona, brzuch płaski jak deska.

Na parkingu przy dworcu stał stary volkswagen. Zawsze tam stał – poczciwy garbus z czasów jego straszliwej młodości. „Miejsce dawnych zbrodni”, mówiąc delikatnie. Jeździł nim tylko tyle, żeby doładować akumulator. Znowu pora na gry i zabawy. Syn Lindbergha wrócił do akcji.

Rozdział 39

Dawno minęła jedenasta, a Sampson i ja nadal byliśmy w domu Murphych. Na zewnątrz, odgrodzeni jasnożółtymi linami, kłębili się dziennikarze, a także kilkuset znajomych i sąsiadów z całego Wilmington. Takiej nocy to miasto jeszcze nie widziało.

Rozpoczęło się już następne szeroko zakrojone polowanie, nie tylko obejmujące całe wschodnie wybrzeże, lecz także rozciągające się na zachód, na teren Pensylwanii i Ohio. Wydawało się niemożliwe, by Gary Soneji/Murphy zdołał uciec po raz drugi. Nie wierzyliśmy, że zaplanował tę ucieczkę tak, jak zaplanował ucieczkę z Waszyngtonu.

Jedno z dzieci na przyjęciu zauważyło miejscowy radiowóz i niewinnie powiedziało o nim Murphy'emu. Uratował się dzięki czystemu zbiegowi okoliczności! Zabrakło nam najwyżej kilku minut.

Sampson i ja przesłuchiwaliliśmy Missy Murphy przez ponad godzinę. Wreszcie mogliśmy się czegoś dowiedzieć o prawdziwym Soneji/Murphy.

Missy Murphy pasowała do matek dzieci ze szkoły imienia Jerzego Waszyngtona. Miała proste blond włosy z odwiniętymi końcami, ubrana była w granatową spódnicę, białą bluzkę i mokasyny. Mimo kilku kilogramów nadwagi była całkiem ładna.

–Nikt z was w to chyba nie chce wierzyć, ale ja znam

Gary'ego. Wiem, jaki on jest – powiedziała. – To nie jest porywacz.

Rozmawiając z nami, paliła marlboro lighty jeden za drugim. Tylko to zdradzało jej ból i niepokój. Rozmawialiśmy z panią Murphy w kuchni. Wszystko było tam ładne i uporządkowane, mimo że to dzień imprezy. Na półce zauważyłem książki kucharskie Betty Crocker, Silver Palate oraz egzemplarz *Medi-tations for Women Who Do Too Much**. Do lodówki przyczepiona była fotografia Gary'ego Soneji/Murphy'ego w kąpielówkach. Wyglądał jak typowy amerykański tata.

–Gary nie jest agresywnym człowiekiem. Nie potrafi nawet dyscyplinować Roni – opowiadała nam Missy Murphy.

To mnie zaciekało. Pasowało do schematu krzywych dzwonowych, który badałem od lat: Raporty o socjopatach i ich dzieciach. Socjopaci często miewają trudności z dyscyplinowaniem własnych dzieci.

–Czy mówił pani, dlaczego ma z tym kłopoty? – spytałem.

–Gary nie miał szczęśliwego dzieciństwa. Chce dla Roni wszystkiego co najlepsze. Sam wie, że w ten sposób szuka dla siebie rekompensaty. Jest bardzo inteligentny. Łatwo by zrobił ten doktorat z matematyki.

–Czy Gary wychowywał się tu, w Wilmington? – spytał Sampson. Był wobec niej delikatny, ale konkretny.

–Nie, w Princeton w New Jersey. Mieszkał tam przez pierwsze dziewiętnaście lat życia.

Sampson to zanotował, po czym zerknął w moją stronę. Princeton jest niedaleko Hopewell, gdzie w latach trzydziestych doszło do porwania synka Lindberghów. Soneji podpisywał swoje listy „Syn Lindbergha”. Wciąż nie wiedzieliśmy dlaczego.

–Jego rodzina nadal mieszka w Princeton? – zapytałem. – Możemy się z nią skontaktować?

–Gary już nie ma rodziny. Kiedy był w szkole, wybuchł pożar. Jego tata, macocha, przyrodnia siostra i przyrodni brat zginęli.

* Medytacje dla kobiet, które za dużo robią (ang.).

Chciałem zagłębić się we wszystko, co mówiła Missy Murphy. Na moment oparłem się temu pragnieniu. Pożar w domu niezrównoważonego młodego człowieka? Kolejna rodzina zabita, kolejna rodzina zniszczona. Czy to był prawdziwy cel Gary'ego Sonejiego/Murphy'ego? A jeśli tak, to co z Vivian Kim? Czy zamordował ją tylko po to, żeby się popisać?

–Czy znała pani kogoś z jego rodziny? – spytałem Missy.

–Nie. Zginęli, zanim poznaliśmy się z Garym na ostatnim roku studiów na Uniwersytecie Delaware.

–Co pani mąż mówił o latach spędzonych w Princeton?

–Niewiele. On dużo w sobie tłumi. Wiem, że rodzina Murphych mieszkała kilka kilometrów za miastem. Do najbliższych sąsiadów było cztery, pięć kilometrów. Zanim Gary poszedł do szkoły, nie miał żadnych kolegów. Zresztą nawet wtedy często trzymał się na uboczu. On bywa bardzo nieśmiały.

–A to rodzeństwo, o którym pani wspomniała? – zapytał Sampson.

–To było przyrodnie rodzeństwo i w tym częściowo tkwił jego problem. Nie czuł się z nimi blisko związany.

–Czy wspominał kiedyś o porwaniu synka Lindberghów? Ma na ten temat jakieś książki? – ciągnął Sampson. W przesłuchaniach był bezpardonowy.

Missy Murphy energicznie pokręciła głową.

–Nie. Nic o tym nie wiem. W piwnicy jest pokoik pełen jego książek. Możecie obejrzeć.

–Oj, na pewno obejrzymy – zapewnił Sampson.

Z ulgą przyjmowałem taki napływ informacji. Do tej pory praktycznie nie mieliśmy się na czym opierać.

–Czy jego biologiczna matka wciąż żyje? – spytałem.

–Nie wiem. Gary nie chce o niej mówić. Odmawia poruszania tego tematu.

–A jaki miał stosunek do macochy?

–Nie lubił jej. Podobno była bardzo przywiązana do swoich rodzonych dzieci. Nazywał ją „Nierządnicą z Babilonu”. Podobno urodziła się w West Babylon w stanie Nowy Jork. To chyba gdzieś na Long Island.

Po miesiącach braku jakichkolwiek informacji teraz nie nadążałem z zadawaniem pytań. Wszystko, co dotąd usłyszałem, układało się w pewną całość. Narzucało się jedno ważne pytanie: czy Gary Soneji/Murphy mówił żonie prawdę? Czy w ogóle był zdolny mówić komuś prawdę?

–Czy ma pani pomysł, gdzie mógł pojechać? – spytałem teraz.

–Coś Gary'ego mocno wystraszyło – odparła. – To ma chyba związek z jego pracą. I z moim bratem, który jest jego szefem. Nie wyobrażam sobie, żeby mógł wrócić do domu w New Jersey, ale może to zrobić. Może pojechał do domu. Gary jest impulsywny.

Jeden z agentów FBI, Marcus Connor, wetknął głowę w otwarte drzwi kuchni.

–Mogę was obu poprosić na minutkę? Przepraszam, to potrwa tylko chwilkę – wyjaśnił pani Murphy.

Connor zaprowadził nas do piwnicy. Czekali tam już Gerry Scorse, Reilly i Kyle Craig z FBI.

Scorse pokazał nam parę skarpetek z Fido Dido. Rozpoznałem je z opisu ubrania, jakie miała na sobie Maggie Rose Dunne w dniu porwania – oraz z wizyty w pokoju dziewczynki, gdzie widziałem jej kolekcję ubrań i ozdóbek.

–I co o tym myślisz, Alex? – zapytał mnie Scorse.

Zauważyłem, że kiedy tylko robiło się naprawdę dziwnie, zasięgał mojej opinii.

–Dokładnie to, co powiedziałem w Waszyngtonie o bucie.

On nam to zostawił. Prowadzi grę. I chce, żebyśmy grali razem z nim.

Rozdział 40

Stary hotel Du Pont w centrum Wilmington był dobrym miejscem na nocleg. Znajdował się tam spokojny bar, a ja z Sampsonem planowaliśmy sobie spokojnie popić. Nie spodziewaliśmy się towarzystwa, więc zaskoczyło nas, kiedy na nocnego drinka dołączyli do nas Jezzie Flanagan, Klepner i kilku agentów FBI.

Byliśmy zmęczeni i sfrustrowani, że tak niewiele brakowało, by złapać Gary'ego Sonejiego/Murphy'ego. Wypiliśmy dużo mocnego alkoholu w bardzo niedługim czasie. Szczerze mówiąc, całkiem dobrze się czuliśmy w swoim towarzystwie. My, „zespół”. Tego wieczoru byliśmy głośni, graliśmy w pokera banknotami i narobiliśmy trochę szumu w sztywnej Sali Delaware. Sampson pogadał z Jezzie Flanagan. On także uważał, że to dobra policjantka.

W końcu pijaństwo się skończyło i wszyscy poczłapaliśmy w stronę swoich pokoi, rozrzuconych po różnych zakątkach niemałego hotelu.

Jeb Klepner, Jezzie i ja ruszyliśmy po wyłożonych grubym dywanem schodach. Nasze pokoje znajdowały się na drugim i trzecim piętrze. Za piętnaście trzecia w nocy hotel Du Pont przypominał mauzoleum. Na zewnątrz, na głównej ulicy Wilmington, nie było ani jednego samochodu.

Klepner odłączył się od nas na drugim piętrze.

–Idę pooglądać trochę pornosów – oznajmił. – Zwykle od razu zasypiam.

–Słodkich snów – odrzekła Jezzcie. – Rano o siódmej w holu.

Klepner jęknął, po czym poczłapał korytarzem do swojego pokoju. Wszędzie panowała tak kompletna cisza, że słycać było, jak na ulicy z pstryknięciem zmieniają się światła, z zielonego na żółte, z żółtego na czerwone.

–Ciągle jestem niespokojny – powiedziałem. – Ja dosłownie widzę

Sonejiego/Murphy'ego. Dwie twarze. W moich myślach obie bardzo odmienne.

–Ja też jestem nakręcona. Tak już mam. Co byś zrobił, gdybyś był teraz w domu, a nie tu? – zapytała Jezzcie.

–Pewnie poszedłbym na werandę pograć na fortepianie. Pobudził sąsiadów bluesem.

Jezzcie się roześmiała.

–Możemy wrócić do Sali Delaware. Tam stoi jakieś stare pianino. Pewnie należało do kogoś z Du Pontów. Ty zagrasz, a ja zamówię sobie jeszcze jednego drinka.

–Barman zmył się w dziesięć sekund po nas. Pewnie już leży w łóżku.

Tymczasem doszliśmy na trzecie piętro. Korytarz lekko zakręcał. Ozdobne tabliczki wskazywały drogę do poszczególnych pokoi. Kilku gości wystawiło buty do wyczyszczenia.

–Ja jestem w trzysta jednaście – Jezzcie wyciągnęła z kieszeni kurtki białą kartę do drzwi.

–Ja w trzysta trzydzieści cztery. Pora iść spać. Rano wcześnie zaczynamy.

Jezzcie uśmiechnęła się i spojrzała mi w oczy. Po raz pierwszy odkąd pamiętam, żadne z nas nie miało nic do powiedzenia.

Wziąłem ją w ramiona i przytuliłem delikatnie. Pocałowaliśmy się na środku korytarza. Już od dłuższego czasu nikogo w ten sposób nie całowałem. Szczerze mówiąc, nie byłem pewien, które z nas zaczęło ten pocałunek.

–Jesteś bardzo piękna – szepnąłem, gdy nasze usta się rozłączyły.

Słowa wypłynęły same z siebie. Mogłem się bardziej postarać, ale za to powiedziałem prawdę. Jezzcie z uśmiechem pokręciła głową.

–Usta mam za duże i nadęte. Wyglądam, jakby ktoś mnie w dzieciństwie upuścił na twarz. Z nas dwojga to ty jesteś tym atrakcyjnym. Wyglądasz jak Muhammad Ali.

–Jasne. Po tym jak mu za dużo razy przywalili.

–Może kilka razy. Tak dla charakteru. Dokładnie tyle razy, ile trzeba. I masz ładny uśmiech. Alex, uśmiechnij się do mnie.

Znów pocałowałem te nadęte usta. Jak dla mnie – były idealne.

Krąży wiele mitów o tym, jak czarni mężczyźni pożądamy białych kobiet, oraz o tym, jak niektóre białe kobiety mają ochotę eksperymentować z czarnymi mężczyznami. Jezzcie Flanagan była inteligentną, bardzo ponętą kobietą. Kimś, z kim mogłem rozmawiać. Kimś, z kim chciałem spędzać czas.

I tak właśnie staliśmy, o trzeciej nad ranem, spleceni w uścisku. Oboje troszkę za

dużo wypiliśmy, ale tylko odrobinę. Żadnych mitów. Po prostu dwoje samotnych ludzi w obcym mieście, w bardzo dziwną noc w naszym życiu.

W tamtej właśnie chwili chciałem, by ktoś mnie przytulił. Jezzie chyba też. Jej spojrzenie było słodkie i kojące. Jednak tamtej nocy była w nim także jakaś kruchość. W kącikach jej oczu zobaczyłem siateczkę drobnych czerwonych żyłek. Może ona też ciągle widziała Sonejiego/Murphy'ego. Był już tak blisko. Tym razem tylko o pół kroku od nas.

Przyglądałem się twarzy Jezzie w sposób, w jaki dotąd nie mogłem się jej przyglądać i nie sądziłem, że w ogóle będę potrafił. Czule przesunąłem palcem po jej policzku. Skórę miała gładką i delikatną. Jej blond włosy w dotyku przypominały jedwab. Subtelne perfumy pachniały polnymi kwiatami.

W myślach rozbrzmiewało mi pewne zdanie: „Nie zaczynaj czegoś, czego nie możesz dokończyć”.

–No i co, Alex? – spytała Jezzie, unosząc brew. – Mamy tu nie lada problem, czyż nie?

–Nie dla dwojga sprytnych gliniarzy takich jak my –
odparłem.

Wyszliśmy za zakręt korytarza – i ruszyliśmy w stronę pokoju 311.

–Może powinniśmy to jeszcze przemyśleć – powiedziałem po drodze.

–Może już to zrobiłam – szepnęła Jezzie.

–

Rozdział 41

O pierwszej trzydzięci w nocy Gary Soneji/Murphy wyszedł z Motelu 6 w Reston w stanie Wirginia. W szklanych drzwiach zobaczył swoje odbicie.

Patrzył na niego nowy Gary – Gary *Du jour*. Czarne włosy zaczesane do góry, niechlujna broda, brudne ciuchy prostaka. Wiedział, że umie odgrywać tę rolę. Udawać południowy akcent. Tak długo, jak będzie trzeba. Ale nie za długo. Lepiej niech wszyscy patrzają uważnie.

Gary wsiadł do sponiewieranego garbusa i ruszył przed siebie. Był niesamowicie nakręcony. Uwielbiał tę część planu bardziej niż własne życie. Zresztą nie potrafił już rozdzielić tych pojęć. Nadchodziła najbardziej ryzykowna część całej przygody. Naprawdę śmiałe przedsięwzięcie.

Dlaczego był aż tak pobudzony? – zastanawiał się, odpływając gdzieś myślami. Czy tylko dlatego, że szuka go połowa gnojków z policji i FBI w całym kraju?

Bo porwał dwa bogate bachory, z których jeden umarł? A drugi – Maggie Rose? Nawet nie chciał o tym myśleć – o tym, co naprawdę się z nią stało.

Ciemność powoli przemieniała się w aksamitną szarość. Gary walczył z pragnieniem, żeby wcisnąć gaz do dechy. Kiedy jechał przez Johnstown w Pensylwanii, wreszcie pojawił się pomarańczowy blask poranka.

Zatrzymał się w Johnstown pod sklepem 7-Eleven. Wsiadł

180

z wozu i rozprostował nogi. Przejrzał się w obłuzowanym lusterku garbusa.

Z lustra spojrział na niego zaniedbany, wiejski robot. Zupełnie inny Gary.

Doskonale opanował wszystkie nawyki wsiowych prostaków: chód jak u kowboja, którego kopnął koń, ręce w kieszeniach, kciuki w szlufkach. Ciągłe przeczesywanie włosów palcami. Plucie, gdy tylko nadarza się okazja.

W sklepie spożywczym napił się supermocnej kawy, co było ryzykownym pomysłem. Zjadł twardą bułkę z makiem, z dodatkowym masłem. Porannych gazet jeszcze nie było.

Obsługiwała go tępa, nadęta sprzedawczyni. Miał ochotę jej przypieprzyć. Zatluc ją na środku sklepu w tej zapadłej dziurze.

Zdejmij tę szkolną białą bluzeczkę, skarbie. Zsuń ją do pasa. Dobra, teraz cię chyba będę musiał zabić. A może nie. Mów do mnie grzecznie i błagaj, żebym tego nie robił. Ile ty masz lat? Dwadzieścia? Dwadzieścia jeden? Wykorzystaj to jako emocjonalny argument. Za młoda, żeby umierać, niespełniona w sklepie 7-Eleven.

W końcu Gary postanowił, że pozwoli jej żyć. Najbardziej niesamowite było to, że ona nie miała nawet pojęcia, jak była bliska śmierci.

–Miłego dnia. Zapraszamy ponownie – powiedziała.

–Ty się módl, żebym nie wrócił.

Jadąc drogą numer 22, Soneji/Murphy pozwolił sobie na gniew większy, niż odczuwał od dłuższego czasu. Koniec z tymi sentymentalnymi bzdurami. Nikt na niego nie zwracał uwagi – a przynajmniej takiej, na jaką zasługiwał.

Czy ci wszyscy nieudolni głupcy naprawdę myśleli, że w ogóle mają szansę go powstrzymać? Własnoręcznie go złapać? Urządzić mu w telewizji proces? Przyszła pora dać im nauczkę. Przyszła pora na coś naprawdę wielkiego. Ruch skoczkiem, gdy spodziewają się ruchu wieżą.

Gary Soneji/Murphy zajechał przed restaurację McDonald's w Wilkinsburgu w Pensylwanii. Dzieci w każdym wieku uwielbiają McDonalda, no nie? Żarcie, ludzie i zabawa. Wciąż mieścił się w czasie. Pod tym względem na „niegrzecznym

chłopcu” można było polegać – dało się według jego zachowania ustawiać zegarek.

Jak zwykle w porze lunchu przez drzwi restauracji przelewały się tłumy bałwanów. Wszyscy zamknięci w okowach codziennej rutyny. Zapychali się podwójnymi hamburgerami i tłustymi frytkami.

Jak leciała ta stara piosenka Hootersów? Ta o hordach zombie w Ameryce? Wy wszyscy zombie? Chodzić jak zombie? Coś o milionach zombie w każdym mieście. Zdecydowanie za mało powiedziane.

Czy tylko ja jeden wykorzystuję swój potencjał? – zastanawiał się Soneji/Murphy. Na to właśnie wyglądało. Nikt nie był równie wyjątkowy jak on. W każdym razie osobiście nikogo takiego nie spotkał.

Wszedł do sali jadalnej McDonalda. Sto bilionów hamburgerów podano i interes kręci się dalej. Stada kobiet. Kobiet i ich ukochanych dzieciaków. Twórcielki gniazd, bagatelizujące wszystko dookoła, głupie gęsi z tymi swoimi głupimi, miękkimi piersiątkami.

Ronald McDonald też tam był, w postaci stuosiemdziesięciocentymetrowej figury z kartonu, która nęciła dzieciaczki czerstwymi ciasteczkami. Co za dzień! Ronald McDonald spotyka Pana Procesorka.

Gary zapłacił za dwie czarne kawy i odwrócił się, by ruszyć poprzez tłum. Miał wrażenie, że mu zaraz łeb eksploduje. Był czerwony na twarzy i szyi. Bardzo szybko oddychał. Miał sucho w gardle i nadmiernie się pocił.

–Dobrze się pan czuje? – spytała dziewczyna przy kasie.

Nie miał zamiaru jej odpowiedzieć. „Do mnie mówisz?”. Robert De Niro, no nie? Gary był drugim De Niro – co do tego nie miał wątpliwości – tyle tylko, że sam był jeszcze lepszym aktorem. De Niro nigdy nie wykorzystywał swoich szans tak jak on. De Niro, Hoffman, Pacino – żaden z nich nie wykorzystywał szans i nie stawiał przed sobą prawdziwych wyzwań. Właśnie takiego zdania był Gary.

Tyle myśli i odczuć na niego spadało, tyle się odbijało od jego mózgu. Miał wrażenie, że płynie w morzu cząsteczek

światła, fotonów i neutronów. Gdyby tylko ci ludzie mogli spędzić dziesięć sekund w jego mózgu, w życiu by w to nie uwierzyli.

Odchodząc od kasy, celowo wpadał na ludzi.

–Przepraszam – powiedział, mocno kogoś potrącając.

–Ej, niech pan uważa! – zawołał jakiś człowiek.

–Sam uważaj, palancie – przystanąwszy, Soneji/Murphy zwrócił się do tępaka, na którego wpadł. – Co mam zrobić, żebyś mnie zaczął szanować? Strzelić ci w oko?

Przebijając się przez restaurację, opróżnił oba kubki z kawą. Przez restaurację. Przez ludzi na drodze. Przez tandetne stoły z laminatu. Przez ściany, gdyby tylko chciał.

Gary Soneji/Murphy wyciągnął spod wiatrówki rewolwer z krótką lufą. Oto ten moment: początek pobudki dla Ameryki. Specjalny pokaz dla wszystkich mamus i ich

dziątek.

Teraz wszyscy na niego patrzyli. Broń – to rozumieją.

–Obudzić się, kurwa! – wrzasnął pośrodku sali jadalnej. – Gorąca kawa! Idzie się!

Obudźcie się i powąchajcie!

–Ten człowiek ma broń! – oznajmił geniusz pochłaniający ociekającego sosem Big Maca.

Niesamowite, że w ogóle coś zobaczył przez tłustą parę, która unosiła się z jego żarcia.

Gary, z rewolwerem w dłoni, obrócił się do ludzi.

–Nikt stąd nie wychodzi! – zawołał. – Już się obudziliście? Obudziliście się,

ludzie? Chyba tak. Myślę, że teraz

wszyscy nadążacie. Ja tu rządzę! Więc się zatrzymajcie. Patrzcie. I słuchajcie.

Gary wypalił z broni prosto w twarz obżerającego się hamburgerem jegomościa.

Mężczyzna złapał się za czoło i runął na ziemię. No, wreszcie coś, na co wszyscy zwrócili uwagę. Prawdziwa broń, prawdziwa amunicja, prawdziwe życie.

Jakaś czarna kobieta zaczęła krzyczeć i usiłowała przebiec obok Sonejiego.

Ogłuszył ją kolbą rewolweru. Niezły numer, pomyślał. Normalnie Steven Seagal.

–Ja jestem Gary Soneji! Tak, właśnie On. Niezły szok, co?

Obcujecie ze słynnym na cały świat porywaczem. Załapaliście

się na darmowy pokaz. Więc patrzcie uważnie. Może się czegoś

nauczycie. Gary Soneji był w wielu miejscach i widział takie rzeczy, jakich wy nigdy nie zobaczycie. W to możecie mi uwierzyć.

Łyknął ostatnie krople McCoffee i znad krawędzi kubka obserwował, jak jego fastfoodowi fani cali drżą.

–To właśnie – powiedział w końcu, starannie ważąc słowa – nazywają niebezpieczną sytuacją z udziałem zakładników. Moi drodzy, Ronald McDonald został porwany. Ogłaszam, że w tej chwili stajecie się częścią historii.

Rozdział 42

Policjanci stanowi Mick Fescoe i Bobby Hatfield właśnie mieli wejść do McDonalda, kiedy w sali jadalnej padły strzały. Strzały? W porze lunchu w McDonaldzie? Co tam się, do cholery, działo?

Fescoe był wysokim, zwalistym czterdziestoczterolatkiem. Hatfield miał prawie dwadzieścia lat mniej. W policji stanowej pracował dopiero od roku. Mimo różnicy wieku funkcjonariuszy łączyło takie samo czarne poczucie humoru. Zdążyli się już szczerze zaprzyjaźnić.

–Jasna cholera – szepnął Hatfield, kiedy wewnątrz zaczęła się kanonada.

Ukląkł i przyjął pozycję strzelecką, której nauczył się nie tak dawno i którą do tej pory wykorzystywał tylko na ćwiczeniach.

–Posłuchaj mnie, Bobby – powiedział Fescoe.

–Spokojnie, słucham.

–Idź do tamtego wyjścia – Fescoe wskazał na drzwi niedaleko kas. – Ja pójdę z lewej strony. Czekaj i nie rób nic, dopóki na niego nie ruszę. Jeśli tylko będziesz mógł do niego strzelać, to strzelaj. Nie myśl. Po prostu naciśnij spust.

Bobby Hatfield skinął głową.

–Rozumiem.

Następnie się rozdzielili.

Posterunkowy Mick Fescoe biegł na drugą stronę restauracji, ledwie łapiąc oddech. Ocierał się plecami o ceglany mur. Od

miesiący powtarzał sobie, że musi wreszcie ruszyć dupę i popracować nad swoją kondycją. Już zaczynał sapać. Trochę mu się kręciło w głowie. Tego nie chciał. Zawroty głowy i odgrywanie W samo południe z jakimś wrednym typem to naprawdę kiepska kombinacja.

Mick Fescoe znajdował się już przy drzwiach. Słyszał, jak ten świr się wydziera.

W tym wszystkim było jednak coś dziwnego. Gość zachowywał się jak robot.

Ruchy miał bardzo gwałtowne, głos – wysoki, jak u chłopca.

–Jestem Gary Soneji. Załapaliście? Właśnie ja. Znaleźliście mnie, że tak powiem. Jesteście wielkimi bohaterami.

Czy to może być prawda? – zastanawiał się Fescoe, słuchając tego zza drzwi. Ten porywacz Soneji – tutaj, Wilkinsburgu? Niezależnie od tego, kim był, na pewno miał broń. Zastrzelił już jedną osobę. Na podłodze leżał mężczyzna z rozpostartymi

ramionami. Nie ruszał się.

Fescoc usłyszał kolejny strzał. Ludzie w zatłoczonej restauracji zaczęli krzyczeć z przerażenia.

–Musi pan coś zrobić! – krzyknął do policjanta mężczyzna w jasnozielonej kurtce Miami Dolphins.

Mnie to mówisz, mruknął pod nosem posterunkowy Fescoc. Ludzie zawsze chętnie by ryzykowali życie gliniarzy. Pan pierwszy, panie władzo. To panu płacą za to dwa i pół tysiąca dolarów miesięcznie.

Mick Fescoc usiłował uspokoić oddech. Gdy mu się to udało, ruszył do szklanych drzwi. Pomodlił się w myślach i wpadł do środka.

Natychmiast zobaczył białego mężczyznę z bronią. Już patrzył w jego kierunku. Zupełnie jakby się go spodziewał. Jakby to zaplanował.

–Bum! – krzyknął Gary Soneji.

Jednocześnie pociągnął za spust.

Rozdział 43

Nikt z nas nie spał dłużej niż kilka godzin, niektórzy nawet mniej. Jadąc autostradą numer 22, byliśmy senni i przymuleni.

Gary'ego Sonejiego/Murphy'ego kilkakrotnie „widziano” na południe od nas. Stał się postrachem połowy Ameryki. Wiedziałem, że rozkoszuje się tą rolą.

Jezzie Flanagan, Jeb Klepner, Sampson i ja jechaliśmy niebieskim lincolnem. Sampson usiłował spać. Mnie przypadła pierwsza kolejka za kółkiem.

Była dziesiąta rano. Właśnie mijaliśmy Murrysville w Pensylwanii, kiedy w radiu usłyszeliśmy nagłe wezwanie.

–Do wszystkich jednostek, mamy strzelaninę – mówił głos dyspozytorki poprzez szum zakłóceń. – Mężczyzna podający się za Gary'ego Sonejiego zastrzelił co najmniej dwie osoby w restauracji McDonald's w Wilkinsburgu. W tej chwili ma tam co najmniej sześćdziesięciu zakładników.

Dotarliśmy na miejsce w niecałe pół godziny. Sampson pokręcił głową.

–Ja nie mogę, ten gość naprawdę wie, jak zrobić imprezę – mruknął z mieszanką obrzydzenia i zdumienia w głosie.

–Czy on się chce zabić? Czy to pora na samobójstwo? – zastanawiała się Jezzie Flanagan.

–Nie dziwi mnie nic, co on robi, ale McDonald to chyba odpowiednie miejsce. Patrzcie na te wszystkie dzieci. Zupełnie jak w szkole, jak w Disney World – powiedziałem.

Po drugiej stronie ulicy, na dachu sklepu Kmart dostrzegłem snajperów, policyjnych czy może wojskowych. Karabiny o dużej mocy wycelowali w złote łuki na frontowej witrynie.

–Zupełnie jak masakra w McDonaldzie kilka lat temu. Ta w południowej Kalifornii – powiedziałem do Sampsona i Jezzie.

–Nie mów tak nawet w żartach – szepnęła Jezzie.

–Mówię i to bynajmniej nie jest żart.

Pospiesznie ruszyliśmy w stronę restauracji. Po tym wszystkim nie chcieliśmy, żeby Soneji został zastrzelony.

Byliśmy filmowani. Wszędzie wokół, jeden przy drugim, stały wozy filii wszystkich trzech sieci telewizyjnych. Kamerzyści filmowali wszystko, co się rusza i mówi.

Takiego zamętu chyba jeszcze nie widziałem. To naprawdę przypominało masakrę w Kalifornii. Mężczyzna nazwiskiem James Huberty zastrzelił w McDonaldzie dwadzieścia jeden osób. Czy Soneji/Murphy chciał wywołać właśnie to skojarzenie?

Podbiegł do nas szef sekcji FBI, Kyle Craig, który wcześniej był w domu Murphych w Wilmington.

–Nie mamy pewności, czy to naprawdę on – powiedział. – Ten facet jest ubrany jak rolnik. Ma ciemne włosy, brodę. Podaje się za Sonejiego. Ale to może być jakiś inny świr.

–Pójdę się przyjrzeć – odrzekłem. – Na Florydzie żądał właśnie mnie. Wie, że jestem psychologiem. Może będę mógł z nim teraz porozmawiać.

Nim Craig zdążył coś powiedzieć, minąłem go i ruszyłem w stronę restauracji. Podszedłem do policjanta stanowego i dwóch miejscowych gliniarzy, skulonych przy bocznym wejściu. Mignąłem odznaką i powiedziałem, że jestem z Waszyngtonu. We wnętrzu panowała kompletna cisza. Musiałem sprowadzić Gary'ego na ziemię. Żadnego samobójstwa. Żadnej wielkiej strzelaniny w McDonaldzie.

–Czy mówi z sensem? – spytałem policjanta stanowego. – Do rzeczy?

Młody policjant miał szklany wzrok.

–Zastrzelił mojego partnera. On chyba nie żyje. Dobry Boże...

–Wejdziemy tam i pomożemy twojemu partnerowi – powiedziałem. – Czy mężczyzna z bronią mówi z sensem, do rzeczy?

–Mówi, że jest porywaczem z Waszyngtonu. Można zrozumieć, o co mu chodzi. Chwali się tym. Powtarza, że chce być kimś ważnym.

Mężczyzna z bronią przetrzymywał tam sześćdziesiąt osób, może nawet więcej. W środku było cicho. Czy to naprawdę Soneji/Murphy? To by do niego na pewno pasowało. Dzieci i ich matki. Zakładnicy. Przypomniałem sobie te wszystkie zdjęcia w łazience. On chciał, żeby to jego zdjęcie wieszali sobie na ścianie inni samotni chłopcy.

–Soneji! – krzyknąłem. – Czy to ty jesteś Gary Soneji?

–A ty to kto? – padła odpowiedź z wnętrza. – Kto chce wiedzieć?

–Jestem detektyw Alex Cross. Z Waszyngtonu. Mam wrażenie, że wiesz wszystko o najnowszych decyzjach związanych z ratowaniem zakładników. Nie będziemy z tobą negocjować. Chcę, żebyś wiedział, co od tej chwili się będzie działo.

–Znam wszystkie zasady, detektywie Cross. W końcu są powszechnie dostępne, prawda? Zasady nie zawsze znajdują zastosowanie – odkrzyknął Gary Soneji. – Nie wobec mnie.

–Tutaj będą obowiązywać – powiedziałem stanowczo. – Możesz się założyć o głowę.

–A jest pan gotowy założyć się o głowy tych wszystkich ludzi, detektywie? Ja znam jeszcze inną zasadę. Kobiety i dzieci przodem! Wiesz, co mam na myśli? Kobiety i dzieci zajmują szczególne miejsce w moim sercu.

Nie podobał mi się ton jego głosu. Nie podobało mi się to, co mówił.

Chciałem, żeby Soneji zrozumiał, że nie ma mowy o ucieczce. Nie ma mowy o negocjacjach. Jeśli znowu zacznie strzelać, zdejmujemy go. Pamiętałem inne, podobne akcje, w których brałem udział. Soneji był mądrzejszy niż wszyscy dotychczasowi porywacze, bardziej skomplikowany. I robił wrażenie, jakby nie miał nic do stracenia.

–Nie chcę, żeby komuś stała się krzywda! Nie chcę, żeby

tobie stała się krzywda! – powiedziałem wyraźnym, mocnym głosem.

Zaczynałem się pocić. Czułem to pod kurtką i na całym ciele.

–Jakie to wzruszające. Doprawdy mnie rozczuliłeś tymi słowami. Aż mi serce mocniej zabiło. Słowo daję.

Nasza rozmowa aż za szybko zrobiła się luźna.

–Dobrze wiesz, co mam na myśli, Gary – odparłem, tym razem delikatniejszym tonem. Mówiłem do niego jak do przestraszonego, zdenerwowanego pacjenta.

–Ależ oczywiście, że wiem, Alex.

–Tutaj na zewnątrz jest wielu uzbrojonych ludzi. Jeśli odmówisz współpracy, nikt ich nie będzie w stanie powstrzymać. Ani ja, ani nawet ty. Może dojdzie do jakiegoś wypadku. A tego byśmy nie chcieli.

Znów zapadła cisza. W głowie kołatała mi się jedna myśl: jeśli Soneji ma skłonności samobójcze, zakończy to wszystko tu i teraz. Będzie miał swoją ostateczną strzelaninę, swój ostatni błysk sławy. Nigdy się nie dowiemy, co nim kierowało. Nigdy się nie dowiemy, co się stało z Maggie Rose Dunne.

–Witam, detektywie Cross.

Nagle stanął w drzwiach, półtora metra ode mnie. Był tuż obok. Z któregoś z dachów padł strzał. Soneji obrócił się w miejscu i złapał za ramię. Trafił go jeden ze snajperów.

Rzuciłem się naprzód i złapałem Gary'ego Sonejiego w ramiona. Wbiłem mu prawy bark w klatkę piersiową. Szarża godna Lawrence'a Taylora.

Runęliśmy na twardy beton. Nie chciałem, żeby ktoś go teraz zastrzelił. Musiałem z nim porozmawiać. Musieliśmy się dowiedzieć, co zrobił z Maggie Rose.

Przyciskałem go do ziemi, a on się obrócił i spojrzał mi w twarz. Obaj byliśmy umazani krwią z jego ramienia.

–Dzięki, że uratowałeś mi życie, detektywie – powie dział. – Kiedyś cię za to zabiję.

Część trzecia

Ostatni dżentelmen

z Południa

Rozdział 44

„Nazywam się Bobbi” – tak nauczono ją się przedstawiać. Zawsze nowym imieniem. Nigdy starym.

Nigdy, przenigdy Maggie Rose.

Zamknęli ją w ciemnej furgonetce, a może w zadaszonym pick-upie. Nie była pewna. Nie miała pojęcia, gdzie teraz jest. Jak daleko od domu albo jak blisko. Nie wiedziała, ile czasu minęło, odkąd została zabrana ze szkoły.

Myślała już dużo jaśniej. Prawie tak jak zwykle. Ktoś jej dał ubranie, a to musiało znaczyć, że w najbliższym czasie nie zamierzają jej skrzywdzić. W przeciwnym razie – po co zawracaliby sobie głowę?

W furgonetce było okropnie brudno. Na podłodze żadnego dywanika ani innego przykrycia. Śmierdziało cebulą. Musieli tam wozić jedzenie. Maggie Rose próbowała

sobie przypomnieć, gdzie się hoduje cebulę. W New Jersey albo może na północy stanu Nowy Jork. Poza tym chyba jeszcze pachniało ziemniakami. Może rzepą albo batatami.

Kiedy Maggie Rose złożyła to wszystko do kupy, kiedy się naprawdę skoncentrowała, doszła do wniosku, że pewnie trzymali ją gdzieś na Południu.

Co jeszcze wiedziała? Czego jeszcze potrafiła się domyślić?

Już jej nie odurzali. Tylko na początku. Pana Sonejiego przez ostatnich parę dni chyba nie było. Ani tej strasznej staruchy.

Rzadko się do niej odzywali. A kiedy już coś mówili, zawsze nazywali ją Bobbi. Dlaczego akurat Bobbi?

Ogólnie było dobrze, ale czasami musiała się wyplakać. Tak jak teraz. Dławiła się własnymi łzami. Nie chciała, żeby ją ktoś usłyszał.

Tylko jedna rzecz dodawała jej sił. Taka prosta, ale taka wspaniała.

Maggie wciąż żyła.

Chciała żyć, pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Nie zauważyła, że auto zwalniało. Przez jakiś czas jechali po wybojach, aż wreszcie całkiem się zatrzymali.

Usłyszała, że ktoś wysiadł z kabiny. Padły jakieś stłumione słowa. Wcześniej zabroniono jej się odzywać podczas jazdy, chyba że chce znowu zostać zakneblowana.

Ktoś rozsunął drzwi. Na chwilę oślepiło ją słońce.

Kiedy wreszcie znów zaczęła widzieć, Maggie Rose nie mogła uwierzyć własnym oczom.

–Dzień dobry – powiedziała najcichszym szeptem, niemal całkiem bezgłośnie. – Nazywam się Bobbi.

Rozdział 45

Jak się okazało, w Wilkinsburgu czekał nas kolejny bardzo długi dzień. Przesłuchaliśmy wszystkich zakładników z Mcdonalda. Tymczasem FBI zajęło się Sonejim/Murphym.

Zostałem na noc. Jezzie Flanagan też. Spędzaliśmy razem drugą noc z rzędu. Niczego bardziej nie pragnąłem.

Gdy tylko weszliśmy do pokoju w Cheshire Inn w pobliskim Millvale, Jezzie powiedziała:

–Alex, po prostu mnie na chwilę przytul. Na pewno wyglądam na bardziej opanowaną, niż tak naprawdę jestem.

Lubiłem ją przytulać i lubiłem, kiedy ona mnie przytulała. Podobało mi się, jak pachnie. Podobało mi się, jak idealnie mieści się w moich ramionach. Wciąż między nami iskrzyło.

Emocjonowała mnie myśl o tym, że znów z nią będę. Potrafiłem się otworzyć wobec zaledwie kilku osób. Po Marii nie było wśród nich ani jednej kobiety. Czułem, że Jezzie może być właśnie kimś takim. Potrzebowałem nawiązać z kimś więź. Chwilę mi zajęło, zanim do tego doszedłem.

–Czy to nie dziwne? – szepnęła. – Dwoje gliniarzy w gorącej akcji.

Drżała, gdy ją tuliłem. Dłonią delikatnie gładziła moje ramię.

Nigdy nie byłem typem skłonny do jednorazowych numerków i nie przypuszczałem, żeby teraz to się miało zmienić. Wobec tego pojawiały się pewne problemy i teoretyczne pytania, na które na razie nie byłem gotowy.

Jezzie zamknęła oczy.

–Jeszcze minutkę – szepnęła. – Wiesz, co jest naprawdę przyjemne? Bycie z kimś, kto rozumie, przez co przechodzisz. Mój mąż nigdy nie rozumiał tej pracy.

–Ja też jej nie rozumiem. Z dnia na dzień coraz bardziej – zażartowałem. Ale po części była to prawda.

Tuliłem Jezzie dużo dłużej niż przez minutę. Miała olśniewającą, wieczną urodę. Lubiłem na nią patrzeć.

–Alex, to jest takie dziwne. Przyjemne, ale dziwne – powiedziała. – Czy to sen?

–To nie może być sen. Na drugie imię mam Isaiah. Nie wiedziałaś o tym.

Jezzie pokręciła głową.

–Wiedziałam. Przeczytałam w raporcie z FBI. Alexander Isaiah Cross.

–Zaczynam rozumieć, w jaki sposób zaszłaś tak wysoko. Co jeszcze o mnie wiesz?

–Wszystko w swoim czasie – odparła, przykładając mi palec do ust.

Cheshire Inn było uroczym wiejskim zajazdem, który znajdował się jakieś piętnaście kilometrów od Wilkinsburga. Jezzie wpadła tam, żeby nam załatwić pokój. Jak na razie nikt nas nie widział razem, co obojgu nam odpowiadało.

Nasz pokój mieścił się w dawnej wozowni o pobielonych ścianach, znajdującej się w pewnej odległości od głównego budynku. Pełen był antyków, które wyglądały na autentyczne. Stały tu między innymi ręczne krosna, leżało kilka starych narzut.

Zapaliliśmy ogień w kominku. Jezzie zamówiła szampana.

–Zaszalejmy. Mamy co świętować – powiedziała, odkładając słuchawkę. – Zaslugujemy na coś wyjątkowego.

W końcu złapaliśmy złoczyńcę.

Zajazd, pokój – wszystko było idealne. Okno w wykuszu wychodziło na zaśnieżony trawnik i zamarznięte jezioro. W tle majaczył łańcuch stromych gór.

Siedzieliśmy przy trzaskającym ogniu i sączyliśmy szampana. Do tej pory martwiłem się, że nasza wspólna noc w Wilmington

może mieć złe skutki, jednak tak się nie stało. Wciąż łatwo nam się rozmawiało, a kiedy milkliśmy, to również było w porządku.

Zamówiliśmy spóźnioną kolację.

Kiedy facet z obsługi rozstawiał jedzenie przed kominkiem, był wyraźnie zmieszany. Miał trudności z otwarciem podgrzewacza i o mało nie upuścił tacy. Chyba nigdy wcześniej nie widział na własne oczy autentycznego, żywego tabu.

–Spokojnie – odezwała się do niego Jezzie. – Oboje

jesteśmy policjantami i wszystko jest absolutnie legalne. Może mi pan wierzyć.

Gadaliśmy przez następne półtorej godziny. Przypomniało mi się, jak byłem chłopcem i przychodził do mnie na noc kolega. Trochę się rozluźniliśmy, potem nawet bardzo. W swoim towarzystwie nie czuliśmy się skrępowani. Jezzie nakłoniła mnie, żebym zaczął opowiadać o Damonie i Jannie i nie pozwalała mi skończyć.

Na kolację dostaliśmy pieczeń wołową z czymś, co udawało zapiekany pudding. To wszystko nie miało znaczenia. Kiedy Jezzie skończyła jeść, wybuchła śmiechem. Oboje często się śmialiśmy,

–Dlaczego ja to wszystko zjadłam? Przecież nie lubię zapiekanego puddingu, nawet jeśli jest dobrze przyrządzony. Boże, my się naprawdę wreszcie dobrze bawimy!

–A co teraz będziemy robić? – spytałem. – W duchu zabawy i świętowania.

–Nie wiem. Na co masz ochotę? Na pewno w głównym budynku mają fajne gry planszowe. Jestem jedną ze stu żyjących osób, których nikt nie ogra w chińczyka. Jezzie wyciągnęła szyję, żeby wyrzeć przez okno.

–Albo możemy iść nad jezioro i pośpiewać *Winter Won-derland*.

–Aha. I pojeździć na łyżwach. Bo ja jeżdżę na łyżwach. Jestem czarodziejem na lodzie. O tym też było w raporcie FBI?

Jezzie klepnęła się w uda, uśmiechnięta od ucha do ucha.

–Chciałabym to zobaczyć. Nawet bym zapłaciła.

–Ale ja zapomniałem łyżew.

–No cóż. Co jeszcze możemy robić? Bo wiesz, za bardzo cię lubię i za bardzo szanuję, żeby ci pozwolić pomyśleć, że jestem zainteresowana twoim ciałem.

–Jeśli mam być całkowicie szczery, to ja jestem trochę zainteresowany twoim – odparłem.

Pocałowaliśmy się i wciąż było to wspaniałe uczucie. Ogień trzaskał. Szampan był doskonale zimny. Ogień i lód. Yin i yang. Przyciągały się wszystkie możliwe przeciwności. Dziki ogień pośród dziczy.

Poszliśmy spać dopiero o siódmej rano. Wcześniej nawet udaliśmy się nad jezioro i ślizgaliśmy na butach.

Na środku jeziora Jezzie przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała. Bardzo poważnie. Jak duża dziewczynka.

–Oj, Alex – szepnęła mi w policzek. – Chyba będą z tego kłopoty.

Rozdział 46

Gary'ego Sonejiego/Murphy'ego przewieziono do więzienia federalnego w Lorton na północy stanu Wirginia. Dochodziły nas plotki, że coś mu się tam stało, ale nikomu z waszyngtońskiej policji nie było wolno go zobaczyć. Teraz trzymały na nim łapę FBI i Departament Sprawiedliwości. Nie mieli zamiaru wypuścić tej zdobyczy.

Gdy tylko upubliczniono informację, że Soneji/Murphy jest w Lorton, pod więzieniem zaczęły się pikiety. Tak samo było wówczas, kiedy Ted Bundy trafił do więzienia na Florydzie. Na parkingu zbierały się grupy mężczyzn, kobiet i dzieci. Dniem i nocą wykrzykiwali pełne emocji hasła. Maszerowali z transparentami i palili znicze.

Gdzie jest Maggie Rose? Maggie Rose żyje! Bestia ze Wschodu musi umrzeć! Krzesło albo dożywocie dla Bestii!

Półtora tygodnia po zatrzymaniu Sonejiego/Murphy'ego pojechałem odwiedzić go w więzieniu. Musiałem wykorzystać wszystkie koneksje w Waszyngtonie, ale dopiąłem swego. Doktor Marion Campbell, naczelnik więzienia w Lorton, czekał na mnie przy spiżowych windach na szóstym, szpitalnym piętrze kompleksu. Campbell był mężczyzną po sześćdziesiątce. Bardzo dobrze się trzymał. Na głowie miał gęstą czarną czuprynę. Bardzo mi przypominał Reagana.

–Detektyw Cross? – spytał z uprzejmym uśmiechem, podając mi rękę.

–Tak. Jednocześnie jestem psychologiem sądowym – wyjaśniłem.

Doktor Campbell wyglądał na szczerze zaskoczonego. Widocznie nikt go o tym nie poinformował.

–Najwyraźniej ma pan niezłe przebicie, skoro udało się panu uzyskać zgodę na widzenie. Sprawy się mocno skomplikowały. Rzadko kto otrzymuje zezwolenie na wizytę u niego.

–Jestem zaangażowany w tę sprawę od czasu porwania dzieci w Waszyngtonie. Byłem przy zatrzymaniu.

–Cóż, nie wiem, czy w tej chwili mówimy wciąż o tym samym człowieku – rzekł doktor Campbell. Nie wyjaśnił, co ma na myśli. – Czy powinienem się do pana zwracać „doktorze Cross”? – spytał.

–Doktorze Cross, detektywie Cross, Alex. Może pan wybierać.

–Proszę za mną, doktorze. To pana z pewnością zainteresuje.

Ze względu na ranę postrzałową Soneji otrzymał jednoosobową celę w więziennym szpitalu. Doktor Campbell prowadził mnie szerokim korytarzem. Więźniowie zajmowali wszystkie dostępne pomieszczenia. Lorton to bardzo popularne więzienie. Do drzwi stoją kolejki. Większość mężczyzn stanowili Murzyni w wieku od dziewiętnastu do pięćdziesięciu kilku lat. Wszyscy usiłowali zgrywać twardych i aroganckich, ale w federalnym więzieniu taka poza nie zdaje egzaminu.

–Chyba zrobiłem się wobec niego trochę nadopiekuńczy – stwierdził po drodze Campbell. – Za chwilę zrozumie pan dlaczego. Wszyscy chcą i muszą go zobaczyć. Pisarz z Japonii musiał go zobaczyć. I lekarz z Frankfurtu. I następny z Londynu. Tego typu rzeczy.

–Mam wrażenie, że czegoś mi pan o nim nie mówi, doktorze – powiedziałem w końcu. – O co chodzi?

–Chcę, żeby pan wyciągnął własne wnioski. On jest już tu, w tej sekcji, niedaleko głównego oddziału. Bardzo jestem ciekaw pańskiej opinii.

Zatrzymaliśmy się na końcu szpitalnego korytarza, przed zaryglowanymi, stalowymi drzwiami. Strażnik wpuścił nas do środka. Po drugiej stronie znajdowało się kilka kolejnych cel szpitalnych, z tym że były to cele o zaostrzonych środkach bezpieczeństwa.

W pierwszym pomieszczeniu paliło się jasne światło. Nie było tam Gary'ego Sonejiego. On zajmował ciemniejszą celę po lewej stronie. Zwykła więzienna sala spotkań nie wchodziła w grę – mężczyzna byłby tam zbyt wyeksponowany. Wejścia do celi strzegło dwóch strażników uzbrojonych w strzelby.

–Czy zachowywał się agresywnie? – spytałem.

–Nie, skądże. Zostawię was samych. Chyba nie musi się pan obawiać agresji z jego strony. Zaraz się pan sam przekona.

Gary Soneji/Murphy obserwował nas ze swej pryczy. Miał ramię na temblaku, ale poza tym wyglądał tak samo jak wówczas, gdy widziałem go po raz ostatni. Stałem

pośrodku pomieszczenia. Kiedy doktor Campbell wyszedł, Soneji przyglądał mi się przez jakiś czas. Mężczyzna, który przy naszym ostatnim spotkaniu groził mi śmiercią, robił wrażenie, jakby mnie nie poznawał.

Moje pierwsze profesjonalne spostrzeżenie było takie, że najwyraźniej bał się zostać ze mną sam na sam. Jego mowa ciała zdradzała niepewność, była zupełnie inna niż u człowieka, którego powaliłem na ziemię w Wilkinsburgu.

–Kim pan jest? Czego pan ode mnie chce? – zapytał w końcu nieco drżącym głosem.

–Nazywam się Alex Cross. Już się wcześniej spotkaliśmy. Sprawiał wrażenie zakłopotanego. Zamknął oczy i pokręcił głową. Wyglądał przy tym bardzo wiarygodnie. Ja sam czułem się w tej chwili zaskoczony i zbity z tropu.

–Przykro mi, ale pana nie pamiętam – powiedział.

Brzmiało to jak przeprosiny. – Już tylu ludzi się przewinęło przez ten mój koszmar, że niektórych z was zapominam. Witam, detektywie. Proszę, niech pan sobie przystawi krzesło. Jak pan widzi, mam tu wielu gości.

–Prosił pan o mój udział podczas negocjacji na Florydzie.

Jestem z waszyngtońskiej policji.

Gdy tylko to powiedziałem, zaczął się uśmiechać. Spojrzał na bok, pokręcił głową. Dalej nie wiedziałem, na czym polega dowcip. Powiedziałem mu o tym.

–Ja nigdy w życiu nie byłem na Florydzie – odrzekł. –

Ani razu.

Gary Soneji/Murphy podniósł się z pryczy. Miał na sobie luźne białe ubranie, jakie dają w szpitalu. Rana ramienia chyba mu sprawiała ból.

Wyglądał na słabego i samotnego. Coś rzeczywiście było bardzo nie w porządku. Co tu się, u diabła, działo? Dlaczego nikt mnie o tym nie uprzedził? Najwyraźniej doktor Campbell chciał, żebym sam wyciągnął wnioski.

Soneji/Murphy usiadł na drugim krześle. Patrzył na mnie ponurym wzrokiem.

Nie wyglądał jak morderca. Nie wyglądał jak porywacz. Jak nauczyciel? Jak Pan Procesorek? Jak zagubiony chłopiec? Te określenia wydawały się trafniejsze.

–Nigdy w życiu z panem nie rozmawiałem – powiedział. – Nigdy nie słyszałem o Aleksie Crossie. Nie porwałem żadnych dzieci. Zna pan Kafkę? – spytał.

–O tyle o ile. Do czego pan zmierza?

–Czuję się jak Gregor Samsa w Przemianie. Jestem uwięziony w koszmarze. To wszystko nie ma dla mnie sensu. Ja nie porwałem żadnych dzieci. Niech mi ktoś wreszcie uwierzy. Ktoś mi musi uwierzyć. Nazywam się Gary Murphy. Nigdy w życiu nikogo nie skrzywdziłem.

Kiedy wyciągnąłem wnioski ze wszystkiego, co mi mówił, wychodziło na to, że mieliśmy do czynienia z rozszczepieniem osobowości... Z autentycznym Garym Sonejim/ Murphym.

–Jezu, Alex, ale czy ty mu wierzysz? To jest podstawowe pytanie.

Scorse, Craig i Reilly z FBI, Klepner i Jezzie Flanagan

z Secret Service oraz Sampson i ja siedzieliśmy w ciasnej salce konferencyjnej w miejscowej siedzibie FBI w centrum miasta. Zespół kryzysowy znowu spotkał się w pełnym składzie.

Pytanie zadał Gerry Scorse. Jak można się było spodziewać, nie wierzył Sonejiemu/Murphy'emu. Nie kupował historii z rozszczepieniem osobowości.

–Co on tak naprawdę mógłby zyskać na wciskaniu nam wymyślnych kłamstw? – poddałem wszystkim kwestię pod rozwagę. – Mówi, że nie porwał tych dzieci. Mówi, że nie zastrzelił nikogo w McDonalddie. – Powiodłem wzrokiem po twarzach przy stole konferencyjnym. – Twierdzi, że jest tym zwyczajnym, sympatycznym gościem nazwiskiem Gary Murphy.

–Powoła się na chwilową niepoczytalność – Reilly przedstawił najoczywistsze wyjaśnienie. – Trafi do jakiegoś przytulnego psychiatryka w Marylandzie albo Wirginii. Wyjdzie za siedem do dziesięciu lat. Daję głowę, że on o tym dobrze wie. Czy jest na tyle sprytny, żeby mu się to udało? Czy jest dostatecznie dobrym

aktorem?

–Na razie rozmawiałem z nim tylko raz, przez niecałą godzinę. Powiem tyle: jako Gary Murphy jest bardzo przekonujący. Sądzę, że jest naprawdę C.Z.

–Co to do cholery znaczy C.Z.? – spytał Scorse. – Nie wiem, co to jest C.Z. Pogubiłem się.

–To dość popularny termin w psychologii, Gerry – wyjaśniłem. – W gronie profesjonalistów bardzo często rozmawiamy o C.Z. To znaczy „cholernie ześwirowany”.

Wszyscy z wyjątkiem Scorse'a wybuchli śmiechem. Sampson wymyślił dla niego przydomek Dyrektor Pogrzebowy – Grabarz Scorse. Agent FBI z pewnością był oddanym swej pracy profesjonalistą, ale poczucia humoru raczej mu brakowało.

–Cholernie śmieszne, Alex – powiedział w końcu Scorse. – To znaczy C.Ś.

–Czy będziesz się mógł jeszcze z nim spotkać? – spytała mnie Jezzie.

Ona również była profesjonalistką, ale dużo bardziej sympatyczną.

–Tak. On sam chce się ze mną znowu zobaczyć. Może nawet dowiem się, dlaczego, u diabła, na Florydzie zażyczył sobie właśnie mnie. Dlaczego w tym całym koszmarze to ja jestem jego wybranym.

Rozdział 47

Dwa dni później udało mi się wywalczyć kolejną godzinę z Garym Sonejim/Murphym. Poprzednie dwie noce spędziłem na przypominaniu sobie różnych przypadków rozszczepienia osobowości. Moja jadalnia wyglądała jak pulpit w bibliotece wydziału psychologii. Na temat rozszczepienia osobowości napisano wiele tomów, ale niewielu specjalistów zgadza się co do natury tego zjawiska. Niektórzy uważają nawet, że ono w ogóle nie istnieje.

Kiedy przyszedłem, Gary siedział na szpitalnej pryczy, wpatrzony gdzieś w przestrzeń. Nie miał już temblaka. Nie było mi łatwo odwiedzać tego porywacza, zabójcę dzieci, seryjnego mordercę. Przypomniały mi się słowa filozofa Spinozy: „Staralem się ludzkich postępów nie wyśmiewać, nie oplakiwać, nie potępiać, lecz je zrozumieć”. Ja wciąż nie rozumiałem.

–Witaj, Gary – powiedziałem cicho, nie chcąc go przezstraszyć. – Gotowy na rozmowę?

Obrócił się w moją stronę. Wyglądał, jakby się cieszył, że mnie widzi. Przysunął krzesło, żebym mógł na nim usiąść.

–Już się bałem, że nie pozwolą panu przyjść – powiedział. – Cieszę się, że pozwolili.

–Dlaczego mieliby mi nie pozwolić? – zapytałem.

–Och, nie wiem. Po prostu... Miałem wrażenie, że pan jest

kimś, z kim będę mógł rozmawiać. Znając moje szczęście, spodziewałem się, że więcej tu pana nie wpuszczą.

Jego swoista naiwność bardzo mnie niepokoiła. On był niemal uroczy. Dokładnie taki, jakiego opisywali sąsiedzi z Wilmington.

–O czym teraz myślałeś? – spytałem. – Chwilę temu.

Zanim przyszedłem.

Z uśmiechem pokręcił głową.

–Nawet nie wiem. O czym to ja myślałem? A, już wiem. Przypomniało mi się, że w tym miesiącu mam urodziny. Ciągłe mi się wydaje, że się z tego wszystkiego przebudzę. To jest ta jedna myśl, która ciągle powraca. Mój leitmotyw.

–Czy mógłbyś się trochę cofnąć w czasie? – poprosiłem, zmieniając temat. – Opowiedz mi, jak zostałeś aresztowany.

–Obudziłem się... doszedłem do siebie w radiowozie pod McDonalodem – co do tego był konsekwentny. To samo powiedział mi dwa dni wcześniej. – Ręce miałem spięte z tyłu kajdankami. Potem skuli mi jeszcze nogi.

–Nie wiesz, jak się znalazłeś w radiowozie? – spytałem.

Rany, ale on był w tym dobry. Łagodny, bardzo miły, wiarygodny.

–Nie. I nie wiem nawet, jak w ogóle trafiłem do Mcdonalda w Wilkinsburgu. To jest najdziwniejsza rzecz, jaka mi się w życiu przydarzyła.

–Tak, domyślam się.

Po drodze z Waszyngtonu przyszła mi do głowy pewna teoria. Może naciągana, ale wyjaśniałaby kilka rzeczy, które dotąd wydawały się bez sensu.

–Gary, czy coś takiego już ci się kiedyś przytrafiło? – zapytałem. – Coś choć trochę podobnego.

–Nie, nigdy w życiu nie miałem takich kłopotów, nigdy nie byłem aresztowany. Może pan to sprawdzić, prawda? Na pewno pan może.

–Nie to miałem na myśli. Czy kiedykolwiek budziłeś się w jakimś dziwnym miejscu? I nie miałeś pojęcia, skąd się tam wzięłeś?

Gary przechylił lekko głowę. Spojrzał na mnie dziwnie.

–Dlaczego pan pyta?

–Tak czy nie?

–No... tak.

–Opowiedz mi o tym. Opowiedz mi o przypadkach, kiedy budziłeś się w dziwnych miejscach.

Miał nawyk skubania koszuli między drugim a trzecim guzikiem. Odciągał materiał od klatki piersiowej. Zastanawiałem się, czy to oznaka strachu, że zabraknie mu powietrza, a jeśli tak, to jakie mogło być źródło tego strachu.

Może w dzieciństwie był chory. A może uwięziony w miejscu o ograniczonym dopływie tlenu. Albo gdzieś zamknięty -jak Maggie Rose i Michael Goldberg.

–Od jakiegoś roku, może trochę dłużej, cierpię na bezsenność. Mówiłem o tym jednemu z lekarzy, który mnie odwiedzał.

W aktach więziennych nie było ani słowa o bezsenności. Czy rzeczywiście powiedział o tym któremuś z lekarzy, czy tylko to zmyślił? W dokumentach figurowały wzmianki o nierównych wynikach testu Wechslera, zdradzających impulsywność. Wyniki testu na inteligencję werbalną i wykonawczą, oba niesamowicie wysokie. Profil z testu Rorschacha, który wskazywał na poważny stres emocjonalny. Figurowała tam nawet informacja o pozytywnej reakcji na kartę T.A.T. numer 14, tak zwaną kartę samobójców. Ale ani słowa o bezsenności.

–Proszę, opowiedz mi o tym. Łatwiej mi będzie wszystko zrozumieć.

Już wcześniej rozmawialiśmy o tym, że jestem nie tylko pierwszorzędnym detektywem, ale także psychologiem. Wydawał się usatysfakcjonowany moimi kwalifikacjami. W każdym razie do tej pory. Czy miało to jakiś związek z faktem, że wybrał mnie na Florydzie?

Spojrzał mi głęboko w oczy.

–Czy naprawdę będzie mi pan mógł pomóc, doktorze? Nie uwięzić, ale pomóc?

Powiedziałem, że spróbuję. Wysłucham, co ma do powiedzenia. Zachowam otwarty umysł. Odparł, że o więcej nie mógłby prosić.

–Nie mogę spać. To trwa, odkąd pamiętam – ciągnął. – Zaczynało mi się już mieszać. Sen, jawa... Trudno mi było odróżnić jedno od drugiego. Obudziłem się w tym radiowozie w Pensylwanii. Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięłem. Naprawdę tak było. Wierzy mi pan? Ktoś mi musi uwierzyć.

–Słucham cię, Gary. Kiedy skończysz, powiem ci, co o tym sądzę. Obiecuję. Na razie muszę usłyszeć wszystko, co tylko pamiętasz.

Taka odpowiedź chyba go zadowalała.

–Pytał pan, czy to zdarzało mi się już wcześniej. Tak. Kilka razy. Budziłem się w dziwnych miejscach. Czasem w moim samochodzie, zaparkowanym gdzieś przy drodze, której nigdy w życiu nie widziałem albo o której nawet nie słyszałem. Kilka

razy budziłem się w motelach. Albo gdy szedłem ulicą. W Filadelfii, Nowym Jorku, raz w Atlantic City. W kieszeni miałem żetony z kasyna i bilet parkingowy. Nie miałem pojęcia, skąd się tam wziąłem.

–Czy kiedykolwiek zdarzyło się to w Waszyngtonie?

–Nie, w Waszyngtonie nie. Szczerze mówiąc, ostatni raz byłem w Waszyngtonie jako dziecko. Niedawno stwierdziłem, że mogę się „ocknąć” w pełni świadomy. Na przykład mogę jeść coś w restauracji, ale zupełnie nie wiedzieć, skąd się tam wziąłem.

–Czy byłeś z tym u lekarza? Szukałeś jakiejś pomocy?

Zamknął oczy, które miały barwę jasnego kasztanu i zwracały uwagę jak żadna inna cecha jego aparycji. Gdy je znowu otworzył, na twarz zawitał mu uśmiech.

–Nie stać nas na psychiatrów. Ledwie wiążemy koniec z końcem. To dlatego mam taką depresję. Jesteśmy ponad trzydzieści tysięcy dolarów do tyłu. Moja rodzina ma takie długi, a ja siedzę w więzieniu.

Zamilkł i znów na mnie spojrzał. Nie wstydził się patrzeć mi w oczy, badać mojej twarzy. Był skory do współpracy, opanowany i przytomny.

Poza tym jednak wiedziałem, że każdy, kto z nim pracuje, może paść ofiarą manipulacji prowadzonej przez bardzo in-

teligentnego i utalentowanego socjopatę. Przede mną oszukał już wielu ludzi. Wyraźnie był w tym bardzo dobry.

–Jak na razie ci wierzę, Gary – powiedziałem w końcu. – To, co mówisz, ma sens. Jeśli tylko potrafię, chciałbym ci pomóc.

Nagle do oczu napłynęły mu łzy. Pocięły po policzkach, a on wyciągnął ku mnie rękę.

Nachyliłem się i chwyciłem dłonie Gary'ego Sonejiego/ Murphy'ego. Były bardzo zimne. Chyba się bał.

–Jestem niewinny – powiedział. – Wiem, że to brzmi nedorzecznie, ale ja jestem niewinny.

Do domu wróciłem dopiero późną nocą. Kiedy właśnie wjeżdżałem na podjazd, obok mojego samochodu zatrzymał się motocykl. Co to miało znaczyć?

–Proszę za mną – padło polecenie, wypowiedziane typowym tonem policjanta drogowego. – Proszę jechać za mną.

To była Jezzie. Zaczęła się śmiać, a ja razem z nią. Wiedziałem, że próbuje mnie z powrotem wciągnąć do krainy żywych. Już wcześniej mi powiedziała, że zbyt ciężko pracuję nad tą sprawą. Przypomniała, że już ją rozwiązaliśmy.

Zaparkowałem moje stare porsche na podjeździe i wysiadłem z auta. Podeszedłem do motocykla, który stał przy krawężniku.

–Koniec pracy, Alex – powiedziała. – Dasz radę? Skończyć pracę o jedenastej w nocy?

Wszedłem do domu, żeby zajrzeć do dzieci. Spały, więc nie miałem powodu, żeby się opierać propozycji Jezzie. Wróciłem na dwór i wsiałem na jej bmw.

–To jest albo najgorsza, albo najlepsza rzecz, jaką ostatnio zrobiłem – powiedziałem.

–Nie martw się, będzie najlepsza. Jesteś w dobrych rękach. Poza nagłą śmiercią nie masz się czego obawiać.

Kilka sekund później 9th Street zniknęła w blasku motocyklowego reflektora. Mknęliśmy Independence Street, a potem Parkway, która miejscami bywa nedorzecznie kręta. Jezzie

pochylała się na każdym zakręcie. Mijała pędem samochody, jakby stały w miejscu.

Naprawdę wiedziała, jak się jeździ na motorze. Nie była dyletantką. Krajobraz śmigał obok nas, druty elektryczne nad naszymi głowami, przerywany pas tuż obok przedniego koła, a do mnie docierało, że choć jedziemy co najmniej sto pięćdziesiąt na godzinę, czuję się na motocyklu zaskakująco bezpiecznie.

Nie wiedziałem, dokąd jedziemy, i wcale mi to nie przeszkadzało. Dzieci spały. Babcia była w domu. Teraz poddawałem się nocnej terapii. Zimne powietrze usiłowało się przebić przez każdy zakamarek mojego ciała. Czulem, jak oczyszcza mi umysł, który ostatnio zdecydowanie tego potrzebował.

Na N Street nie było samochodów. Wzdłuż długiej, prostej i wąskiej drogi stały stuletnie domy. Ładnie wyglądały, szczególnie zimą. Dwuspadowe dachy pokryte śniegiem. Błyszczące światelka na werandach.

Na pustej ulicy Jezzie znów się rozpędziła. Sto trzydzieści, sto pięćdziesiąt, sto sześćdziesiąt. Nie potrafiłem stwierdzić dokładnie, z jaką szybkością się poruszamy, ale niemalże frunęliśmy. Drzewa i domy zamieniły się w smugę. Chodnik zamienił się w smugę. To było nawet dość przyjemne. Miałem tylko nadzieję, że dożyję chwili, kiedy komuś o tym opowiem.

Jezzie płynnie zahamowała. Nie popisывała się – po prostu wiedziała, jak to się robi.

–Jesteśmy na miejscu. Dopiero co kupiłam mieszkanie. Właśnie się osiedlam – powiedziała, zsiadając z motoru. – Całkiem nieźle sobie radziłeś. Tylko raz krzyknąłeś, na Washington Street.

–Bo ja krzyczę do wewnątrz.

Upojeni przejażdżką, weszliśmy do środka. Mieszkanie wyglądało zupełnie inaczej, niż się spodziewałem. Jezzie mówiła, że nie znalazła czasu, żeby urządzić się jak trzeba, ale wszystko było tam piękne i gustowne. Dominował elegancki, nowoczesny styl, daleki jednak od surowości. Na ścianach wisiało mnóstwo świetnych artystycznych zdjęć, głównie czarno-białych. Jezzie

powiedziała, że wszystkie zrobiła sama. W salonie i w kuchni stały świeże kwiaty. Z książek wystawały zakładki – Książę przyplywów, Wypalone ślady, Women in Power, Zen i sztuka obsługi motocykli. Na stelażu z winem – beringer, rutherford. Na ścianie hak na kask.

–A więc jednak jesteś domatorką.

–Akurat! Odszczekaj to, Alex. Jestem twardą jak stal kobietą z Secret Service.

Wzięłem Jezzcie w ramiona. Pocałowaliśmy się delikatnie na środku salonu.

Znajdowałem czułość tam, gdzie się jej nie spodziewałem. Odkrywałem zmysłowość, która mnie zaskakiwała. To było dokładnie to, czego szukałem – z jednym, jedynym „ale”.

–Cieszę się, że mnie zaprosiłaś do siebie – powiedziałem. – Mówię poważnie. Jestem wzruszony.

–Mimo że praktycznie musiałam cię porwać?

–Szybka jazda motocyklem w środku nocy. Piękne, przytulne mieszkanie.

Fotografie dorównujące jakością pracom Annie Leibovitz. Jakie ty jeszcze masz tajemnice?

Jezzcie delikatnie powiodła palcem po moim podbródku, jakby uczyła się kształtu mojej twarzy.

–Nie chcę mieć żadnych tajemnic. Właśnie tego sobie życzę, dobrze?

Zgodziłem się. To było również moje pragnienie. Nadszedł czas, żebym znów się przed kimś otworzył. Chyba oboje nie robiliśmy tego od dawna. Może nie było tego po nas widać, ale już za długo pozostawaliśmy samotni i zamknięci w sobie. To była właśnie ta prosta prawda, którą pomagaliśmy sobie nawzajem uświadomić.

Następnego dnia wczesnym rankiem wróciliśmy na motorze do mojego domu w Waszyngtonie. Zimny wiatr smagał nam twarze. Sunęliśmy przez przygaszony, szary blask świtu, a ja trzymałem się mocno Jezzcie. Gapili się na nas nieliczni ludzie, którzy już wstali albo jechali do pracy. Na ich miejscu ja też bym się pewnie gapił. Piękna z nas była para.

Jezzcie dowiozła mnie dokładnie tam, skąd zabrała. Przysunąłem się blisko niej i jej ciepłego, drgającego motocykla. Znów ją pocałowałem. Jej policzki, szyję, w końcu usta. Mógłbym tam spędzić cały ranek. Ot tak, na posępnej ulicy południowo-wschodniego osiedla. Przez głowę przemknęła mi myśl, że tak powinno być zawsze. Czemu nie?

–Muszę wracać do domu – powiedziałem w końcu.

–Aha. Wiem. Leć już – odparła. – Ucałuj ode mnie maluchy.

Jednak kiedy się odwracałem w kierunku drzwi, widziałem na jej twarzy odrobinę smutku.

„Nie zaczynaj czegoś, czego nie możesz dokończyć”, przypomniałem sobie.

Rozdział 48

Tego dnia już się nie kładłem spać. Miałem wrażenie, że to trochę

nieodpowiedzialne, ale dla mnie dobre. Czasami nie ma nic złego w tym, że bierze się ciężar całego świata na barki, jeśli tylko potrafi się go zdjąć.

Gdy jechałem do więzienia w Lorton, na dworze panował mróz, ale świeciło słońce. Niebo miało barwę niemal oślepiającego błękitu. Było piękne i pełne nadziei. W latach dziewięćdziesiątych patos nie wychodzi z mody.

Tego ranka po drodze myślałem o Maggie Rose Dunne. Byłem zmuszony uznać, że dziewczynka już nie żyje. W mediach jej ojciec rozpętał piekło. Nie dziwiłem mu się. Kilkakrotnie rozmawiałem przez telefon z Katherine Rose. Nie porzuciła nadziei. „Czuła”, że jej córeczka wciąż żyje – mówiła. W życiu nie słyszałem nic smutniejszego.

Próbowałem się przygotować na spotkanie z Sonejim/Murphym, ale nie mogłem się skupić. Przed oczami wciąż miałem wizje minionej nocy. Musiałem sobie przypomnieć, że jestem w pracy i jadę samochodem przez zatłoczone centrum Waszyngtonu.

Właśnie wtedy wpadła mi do głowy świetna myśl: pomysł na weryfikowalną teorię dotyczącą Gary'ego Sonejiego/Murphy'ego, która na dodatek wydawała się mieć sens z punktu widzenia psychologii.

Fakt, że obmyśliłem ciekawą teorię dnia, pomógł mi się

skoncentrować w więzieniu. Zawieziono mnie na szóste piętro do Sonejiego. Czekał na mnie. Wyglądał, jakby on też nie zmrużył oka. Przyszła moja kolej, żeby nadać sprawom tempa.

Tamtego popołudnia pracowałem z nim przez pełną godzinę, może nawet dłużej. Mocno naciskałem. Chyba mocniej niż kiedykolwiek któregokolwiek z moich pacjentów.

–Gary, czy kiedykolwiek znalazłeś w kieszeniach jakieś rachunki, na przykład z hoteli, restauracji, ze sklepów, ale nie pamiętałeś, żebyś w ogóle wydawał pieniądze?

–Skąd pan to wiedział? – Aż mu oczy rozbłysły, gdy usłyszał moje pytanie. Na jego twarzy malowało się coś na kształt ulgi. – Mówiłem im, że chcę, żeby to pan był moim lekarzem. Nie chcę się więcej spotykać z doktorem Walshem. On się nadaje tylko do wypisywania recept na wodzian chloralu.

–Nie wiem, czy to dobry pomysł. Ja jestem psychologiem, a nie psychiatrą jak doktor Walsh. Poza tym jestem członkiem zespołu, który pomógł cię aresztować.

Pokręcił głową.

–Ja to wszystko wiem. Ale pan jako jedyny słucha przed wydaniem osądu. Wiem, że mnie pan nienawidzi, przez samą myśl o tym, że porwałem te dzieci, i przez to wszystko, co rzekomo zrobiłem. Ale pan przynajmniej słucha. Walsh tylko udaje.

–Musisz kontynuować terapię z doktorem Walshem – powiedziałem.

–Dobrze. Chyba już rozumiem, jaka tutaj panuje polityka. Ale proszę, niech mnie pan nie zostawia w tym piekle samego.

–Nie zostawię. Od tej pory cały czas będę z tobą. Będziemy dalej rozmawiać, właśnie tak jak teraz.

Poprosiłem Sonejiego/Murphy'ego, żeby mi opowiedział o swym dzieciństwie.

–Nie pamiętam zbyt wiele. Czy to bardzo źle?

On naprawdę chciał rozmawiać. Do mnie należał osąd, czy mówi prawdę, czy też misternie konstruuje kłamstwa.

–U niektórych to normalne. To, że się nie pamięta. Czasami

można sobie dużo przypomnieć, kiedy się o tym mówi. Kiedy się to ubiera w słowa.

–Znam fakty, liczby. Data urodzenia: dwudziesty czwarty lutego, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty siódmy. Miejsce urodzenia: Princeton w stanie New Jersey. Tego typu rzeczy. Ale czasami mi się wydaje, że się tego wszystkiego nauczyłem w dzieciństwie. Bywało, że nie potrafiłem odróżnić snów od rzeczywistości. Nie wiem, co jest czym. Nie mam pewności.

–Spróbuj opisać pierwsze wspomnienia z dzieciństwa – poprosiłem.

–Nic wesołego. Zawsze cierpiałem na bezsenność. Nigdy nie potrafiłem spać dłużej niż godzinę, góra dwie. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek nie czuł się zmęczony. I przygnębiony. Tak jakbym przez całe życie usiłował się odkopać z jakiejś nory. Nie próbuję wykonywać za pana roboty, ale nie mam o sobie zbyt dobrego mniemania.

Wszystko, co wiedzieliśmy o Garym Sonejim, wskazywało na osobę o dokładnie przeciwnych cechach: bardzo energiczną, nastawioną pozytywnie, mającą o sobie bardzo wysokie mniemanie.

Gary opisał swe przerażające dzieciństwo. Jako małe dziecko był maltretowany fizycznie przez macochę. Gdy podrośł, ojciec molestował go seksualnie. Gary ciągle powtarzał, że musiał się odseparować od otaczającej atmosfery niepokoju i konfliktu. W 1961 roku pojawiła się macocha z dwójką dzieci. Gary miał wtedy cztery lata i już wówczas bywał ponury. Od tamtej chwili robiło się już tylko coraz gorzej. Jak bardzo źle – tego na razie nie był mi jeszcze gotów powiedzieć.

W ramach badań pod kierunkiem doktora Walsha Soneji/Murphy wykonał test inteligencji WAIS, MMPI i Ror-schacha. W dziedzinie kreatywności brakowało miejsca na skali wyników. Tę cechę zbadano, podając mu zdania do dokończenia. Rezultat był równie wysoki w części pisemnej i ustnej.

–Czy możesz mi powiedzieć coś jeszcze? Spróbuj sięgnąć pamięcią tak daleko wstecz, jak tylko potrafisz. Będę ci mógł pomóc tylko wtedy, kiedy cię lepiej zrozumiem.

–Od zawsze zdarzały mi się te „stracone godziny”. Czas, którego nie pamiętałem.

W miarę jak mówił, skóra twarzy napinała mu się coraz bardziej. Nabrzmiwały żyły na szyi. Na czole pojawił się pot.

–Karali mnie, bo nie pamiętałem... – powiedział.

–Kto? Kto cię karał?

–Głównie macocha.

To oznaczało, że prawdopodobnie najwięcej szkody wyrządzono mu, kiedy był mały. Kiedy dyscypliną zajmowała się macocha.

–Ciemny pokój.

–Co się działo w ciemnym pokoju? Jaki to był pokój?

–Ona mnie tam zamykała. W piwnicy. Prawie codziennie mnie tam zamykała.

Zaczynał bardzo szybko oddychać. To było dla niego niezwykle trudne. Podobne objawy widziałem już u wielu osób maltretowanych w dzieciństwie. Zamknął oczy.

Przypominał sobie. Widział przeszłość, o której chciał na zawsze zapomnieć.

–Co się działo w piwnicy?

–Nic... nic się nie działo. Po prostu cały czas byłem karany. Zostawałem sam.

–Na jak długo?

–Nie wiem... Nie pamiętam wszystkiego!

Do połowy otworzył oczy. Przyglądał mi się spod przymkniętych powiek.

Nie byłem pewien, ile jeszcze znieś. Musiałem być ostrożny. Pomóc mu przechodzić przez najtrudniejsze fragmenty jego przeszłości powoli. Żeby miał świadomość, że mi na nim zależy, że może mi ufać, że go uważnie słucham.

–Czy spędziłeś tam kiedyś cały dzień? Całą noc?

–Och nie. Nie. Dużo dłużej. Tak żebym już nie zapomniał. Żebym był grzecznym chłopcem. A nie niegrzecznym chłopcem.

Spojrzał na mnie, ale już nic więcej nie powiedział. Czuję, że teraz czeka na ruch z mojej strony.

Spróbowałem go pochwalić, co wydawało mi się właściwą reakcją.

–Bardzo dobrze, Gary. To był naprawdę dobry początek.

Wiem, jakie to dla ciebie trudne.

Patrząc na dorosłego mężczyznę, wyobrażałem sobie małego chłopca zamkniętego w ciemnej piwnicy. Każdego dnia. Na tygodnie, które musiały się dłużyć w nieskończoność. A potem pomyślałem o Maggie Rose Dunne. Czy możliwe, że wciąż żyła? Że gdzieś ją przetrzymywał? Musiałem wyciągnąć z niego najczarniejsze tajemnice, i to szybciej, niż to się kiedykolwiek robi podczas terapii. Katherine Rose i Thomas Dunne mieli prawo wiedzieć, co się stało z ich córeczką.

Co się stało z Maggie Rose, Gary? Pamiętasz Maggie Rose?

To był bardzo ryzykowny moment naszej sesji. Gdyby Gary wyczuł, że przestałem być „przyjacielem”, mógłby się wystraszyć i odmówić kolejnych spotkań. Mógł się zaniknąć w sobie. Istniało nawet niebezpieczeństwo całkowitego załamania

psychicznego. Mógł popaść w katatonię. Wtedy byłoby już po wszystkim.

Musiałem dalej chwalić Gary'ego za jego starania. Istotne było, żeby cieszył się na myśl o naszym spotkaniu.

–To, co mi do tej pory powiedziałaś, bardzo mi pomoże – powiedziałem. – Naprawdę świetnie sobie poradziłaś. Jestem pod wrażeniem, że potrafiłaś sobie tak dużo przypomnieć.

–Alex – powiedział Gary, kiedy miałem zamiar wyjść – przysięgam na Boga, ja nie zrobiłem nic złego. Błagam, pomóż mi.

Na popołudnie zaplanowano badanie wariografem. Sama myśl o wykrywaczu kłamstw wprawiała Gary'ego w zdenerwowanie, ale zapewniał, że chętnie podda się testowi.

Powiedział, że jeśli chcę, mogę zostać i poczekać na wyniki. Bardzo chciałem.

Operatorem wariografu był wybitny specjalista, sprowadzony z Waszyngtonu. Przygotowano osiemnaście pytań. Piętnaście z nich to pytania kontrolne. Trzy pozostałe miały posłużyć do oceny testu wykrywacza kłamstw.

Doktor Campbell spotkał się ze mną czterdzieści minut po zakończeniu testu. Aż się rumienił z podniecenia. Wyglądał, jakby drogę z miejsca badania pokonał biegiem. Musiało się stać coś ważnego.

–Ma najwyższy możliwy wynik – powiedział Campbell. – Przeszedł test celująco. Plus dziesięć. Możliwe, że Gary Murphy mówi prawdę!

Rozdział 49

„Możliwe, że Gary Murphy mówi prawdę!”.

Następnego popołudnia zorganizowałem naradę w sali spotkań więzienia w Lorton. Wśród ważnych gości byli doktor Campbell z więzienia, prokurator federalny James Dowd, przedstawiciel urzędu gubernatora stanu Maryland, kolejnych dwóch prawników z urzędu prokuratora generalnego w Waszyngtonie oraz doktor James Walsh ze stanowego wydziału opieki zdrowotnej, a jednocześnie członek personelu doradczego w więzieniu.

Bardzo się natrudziłem, żeby ich wszystkich tam zebrać. Teraz, gdy mi się to już udało, nie mogłem ich stracić. Wiedziałem, że nie dostanę drugiej szansy, żeby przedstawić moją prośbę.

Czułem się, jakbym znowu zdawał egzamin ustny na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa. Balansowałem na cienkiej linii. Byłem przekonany, że właśnie teraz, w tym pomieszczeniu, będą się ważyć losy całego dochodzenia w sprawie Sonejiego/Murphy'ego.

–Chcę na nim spróbować hipnozy regresywnej. Ryzyko jest żadne, natomiast mamy szansę wiele zyskać – oznajmiłem. – Jestem przekonany, że Soneji/Murphy będzie dobrym pacjentem i że zdobędziemy wiedzę, która nam się przyda. Może dowiemy się czegoś o losie dziewczynki. A na pewno czegoś o Garym Murphym.

Cała sprawa wzbudzała już kilka złożonych problemów prawnych. Pewien prawnik powiedział mi, że na podstawie tych zagadnień można by opracować świetne pytanie egzaminacyjne. Ponieważ przekroczone granice stanowe, porwanie i zabójstwo Michaela Goldberga podlegało jurysdykcji federalnej. Za morderstwa w McDonaldzie Soneji/Murphy miał stanąć przed sądem w hrabstwie Westmoreland. Miał być również sądzony w Waszyngtonie za zabójstwa, których najprawdopodobniej dopuścił się w południowo-wschodniej części miasta.

–Co chciałby pan dzięki temu osiągnąć? – spytał doktor Campbell.

Od początku mnie wspierał i nie zmieniło się to również teraz. Podobnie jak ja, on także widział sceptycyzm na twarzach niektórych gości, szczególnie doktora Walsh. Już rozumiałem, dlaczego Gary darzył Walsh niechęcią: mężczyzna wydawał się złośliwy, małostkowy, a na dodatek był z tego dumny.

–Wiele z tego, co nam do tej pory powiedział, wskazuje na reakcję dysocjacyjną. Najwyraźniej miał potworne dzieciństwo. Dochodziło do maltretowania fizycznego, być może także seksualnego. Bardzo prawdopodobne, że już wtedy zaczął

odseparowywać psychikę, żeby uniknąć bólu i strachu. Nie twierdę, że cierpi na rozszczepienie osobowości, ale jest to pewna możliwość. Miał dzieciństwo, które mogło wywołać rzadką psychozę.

Doktor Campbell podchwycił wątek:

–Wspólnie z doktorem Crossem omówiliśmy już możliwość, że Soneji/Murphy przechodzi „stany fugi”. Epizody psychozy, związane zarówno z amnezją, jak i histerią. Opowiada o „straconych dniach”, „straconych weekendach”, a nawet „straconych tygodniach”. W tego rodzaju stanie fugi pacjent może się budzić w obcych miejscach i nie mieć pojęcia, skąd się tam wziął ani co robił przez dłuższy czas. W niektórych przypadkach pacjenci mają dwie oddzielne osobowości, często stanowiące przeciwieństwa. Może do tego dochodzić również w przypadku padaczki skroniowej.

–A wy co, drużyna? – mruknął Walsh. – Padaczka skroniowa. Daj spokój, Marion. Im dłużej się będziecie w ten

sposób wygłupiać, tym większa szansa, że mu w sądzie ujdzie na sucho – ostrzegł.

–Ja się nie wygłupiam – odezwałem się do Walsh. –
To nie w moim stylu.

Głos zabrał prokurator, wkraczając między mnie a Walsh. James Dowd był poważnym mężczyzną koło czterdziestki. Gdyby otrzymał sprawę Sonejiego/Murphy'ego, wkrótce stałby się bardzo znany.

–Czy nie istnieje możliwość, że on stworzył tę całą przypadłość na nasz użytek? – spytał. – I tak naprawdę jest wyłącznie psychopata?

Zanim udzieliłem odpowiedzi na to pytanie, rozejrzałem się wokół stołu. Nie ulegało wątpliwości, że Dowd chce tę odpowiedź usłyszeć, że chce się dowiedzieć prawdy. Przedstawiciel urzędu gubernatora sprawiał wrażenie sceptycznego i nieprzekonanego, ale mimo to otwartego. Prawnicy od prokuratora generalnego jak na razie zachowywali neutralność. Doktor Walsh miał już dość mnie i Campbella.

–Jest to możliwość, z którą trzeba się liczyć – powiedziałem. – Między innymi dlatego chcemy spróbować hipnozy regresywnej. Przynajmniej się przekonamy, czy będzie konsekwentny w swoich opowieściach.

–O ile jest podatny na hipnozę – wtrącił Walsh. – I o ile będziecie umieli stwierdzić, czy rzeczywiście został zahipnotyzowany.

–Przypuszczam, że jest podatny – odparłem szybko.

–A ja wątpię. Zresztą, szczerze mówiąc, w pana też wątpię, panie Cross. Mam gdzieś, że on z panem lubi rozmawiać. W psychiatrii nie o to chodzi, żeby pacjent lubił lekarza.

–On lubi to, że ja go słucham – rzuciłem Walshowi wściekłe spojrzenie.

Musiałem się bardzo powstrzymać, żeby się natrętnemu gnojowi nie rzucić do gardła.

–Czy istnieją jeszcze inne argumenty za poddaniem więźnia hipnozie? – odezwał się przedstawiciel gubernatora.

–Szczerze mówiąc, brakuje nam dostatecznej wiedzy o tym, co robił w stanie fugi – powiedział doktor Campbell. –

Jemu samemu zresztą też. Podobnie jak żonie i rodzinie. Rozmawiałem z nimi już kilka razy.

–Poza tym nie wiemy, ile różnych osobowości może wchodzić w grę – dodałem. – Chcemy spróbować hipnozy również dlatego – zawiesiłem głos, żeby to, co miałem zamiar powiedzieć, wywarło na słuchaczach większe wrażenie – że planuję zapytać go o Maggie Rose Dunne. Chcę się spróbować dowiedzieć, co zrobił z Maggie Rose.

–Dobrze, wysłuchaliśmy pańskich argumentów, doktorze. Dziękujemy za poświęcony nam czas – powiedział James Dowd na zakończenie spotkania. – Powiadomimy pana.

Tamtego wieczoru postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce.

Zadzwońłem do znajomego dziennikarza z „Washington Post”, do którego miałem zaufanie. Umówiłem się z nim w barze U Pappy'ego na skraju południowo-wschodniej dzielnicy. To jedyne miejsce, w którym nikt by nas nie zauważył – a mnie bardzo zależało na tym, żeby nikt nie wiedział o naszym spotkaniu. Przez wzgląd na nas obu.

Lee Kovel był łysiejącym japiszonem i takim trochę dupkiem, ale mimo to go lubiłem. On nie krył swoich uczuć – małostkowej zazdrości, rozgoryczenia opłakany stanem dziennikarstwa, tendencji do naiwnego liberalizmu, sporadycznych przebłysków skrajnego konserwatyzmu. Każdy mógł to dostrzec i odpowiednio zareagować.

Lee przysiadł obok mnie przy barze. Miał na sobie szary garnitur i jasnoniebieskie buty do biegania. Bar U Pappy'ego przyciąga bardzo ciekawą mieszankę ludzi: Murzynów, Latynosów, Koreańczyków, białych reprezentantów klasy pracującej, którzy wykonują takie czy inne usługi w południowo-wschodniej części miasta. Ale nikogo takiego jak Lee.

–Ja tu pasuję jak pięść do oka – poskarżył się. – Od razu rzucam się w oczy. Jestem zbyt cool na to miejsce.

–I kto cię tu zobaczy? Bob Woodward? Evans i Novak?

–Bardzo śmieszne, Alex. Dobra, o co chodzi? Dlaczego

do mnie nie zadzwoniłeś, kiedy sprawa była świeża? Zanim złapaliście gościa?

–Niech pan zrobi temu człowiekowi gorącej, bardzo czarnej kawy – poprosiłem

barmana. – Muszę go rozbudzić.

Następnie ponownie zwróciłem się do Lee:

–Poddam Gary'ego Sonejiego hipnozie. Chcę poszukać

Maggie Rose Dunne w jego podświadomości. Możesz mieć

wyłączność na ten materiał. Ale wisisz mi przysługę.

Reakcja Lee Kovala była błyskawiczna.

–Gówno prawda! Chcę usłyszeć wszystko. Myślę, że coś pominąłeś.

–No dobrze. Tak naprawdę to pracuję nad tym, żeby mi pozwolili go

zahipnotyzować. W grę wchodzi strasznie dużo małostkowej polityki. Jeśli zrobisz

przeciek do „Posta”, myślę, że się uda. W myśl zasady o samospełniającej się

przepowiedni. Ja dostanę zezwolenie, a wtedy ty możesz dostać wyłączność.

Barman przyniósł kawę w uroczym starym kubku – jasno-brązowym z cieniutkim

niebieskim paskiem nieco poniżej krawędzi. Lee sącył napój, cholernie zamyślony.

Chyba go bawiło, że próbuję manipulować ustalonym porządkiem w Waszyngtonie.

To przemawiało do jego liberalnej duszy.

–A jak usłyszysz coś od Gary'ego Sonejiego, to ja mam się o tym dowiedzieć

pierwszy. Zaraz po tobie – zażądał.

–Stawiasz twarde warunki, ale dobrze. Taka będzie nasza umowa. Pomyśl o tym,

Lee. To wszystko w dobrej sprawie. Gra idzie o znalezienie Maggie Rose Dunne, nie

mówiąc już o rozwoju twojej kariery.

Zostawiłem Kovala, pozwalając mu dopić kawę i rozpocząć obmyślanie artykułu.

Najwyraźniej to właśnie zrobił. Materiał ukazał się w porannym wydaniu „Posta”.

W naszym domu Mama Nana każdego dnia wstaje pierwsza. Prawdopodobnie

wstaje pierwsza w całym wszechświecie. Byliśmy o tym z Sampsonem święcie

przekonani, kiedy mieliśmy po dziesięć, jedenaście lat, a ona pracowała jako

zastępca dyrektora w gimnazjum Garfield North.

Nieważne, czy budzę się o siódmej, szóstej, czy piątej – kiedy schodzę do kuchni,

ona już tam jest i przy zapalonym świetleje śniadanie albo właśnie je pichci na

kuchence. Prawie każdego ranka jest to dokładnie takie samo śniadanie: jedno jajko

w koszulce, jedna bułka kukurydziana z masłem oraz słaba herbata ze śmietanką i

dwiema łyżeczkami cukru.

O tej porze Nana zabiera się także do przyrządzenia śniadania dla nas. Uznaje

fakt, że mamy różne gusta. W domowym menu mogą się znaleźć placki oraz

kielbaska wieprzowa lub bekon, w sezonie melon, poza tym owsianka albo kisiel –

obowiązkowo z grubym listkiem masła i ogromną kopą cukru – a także jajka we

wszelkich możliwych postaciach.

Czasem pojawia się omlet z dżemem winogronowym – jedyna potrawa babci,

której nie lubię. Za bardzo go przyrumienia, a poza tym ciągle jej powtarzam, że jak

na mój gust, połączenie jajek i dżemu ma tyle samo sensu co kombinacja naleśników

z keczupem. Babcia jest innego zdania, choć sama nigdy tego omletu nie je. Natomiast dzieci za nim przepadają.

Tamtego marcowego poranka babcia siedziała przy stole w kuchni. Czytała „Washington Post”, który, tak się składa, przynosi mężczyzna nazwiskiem Washington. Pan Washington w każdy poniedziałek je z babcią śniadanie. Tym razem była środa, bardzo ważny dzień dla śledztwa.

Ta śniadaniowa scena była tak strasznie znajoma, a jednak gdy wszedłem do kuchni, czekało mnie zaskoczenie. To mi po raz kolejny przypomniało, jak bardzo porwanie odbiło się na naszym prywatnym życiu, na prywatnym życiu mojej rodziny.

Nagłówek „Washington Post” brzmiał:

SONEJ/MURPHY ZOSTANIE PODDANY HIPNOZIE

Do artykułu dołączono fotografie: zarówno Sonejiego/Murphy'ego, jak i moją. Dowiedziałem się o tym już poprzedniej nocy. Zadzwoiłem do Lee Kovala, żeby zgodnie z naszą umową udzielić mu wyłączności na tę sprawę.

224

Jadłem suszone śliwki i czytałem artykuł Lee. Informował, że pewne nieznane z nazwiska „źródła wyrażały sceptycyzm wobec opinii psychologów przydzielonych porywaczowi”, że „wyniki badań lekarskich mogą wpłynąć na wyrok sądu” i że Jeśli Soneji/Murphy okaże się niepoczytalny, może otrzymać karę zaledwie trzech lat w zakładzie psychiatrycznym”. Najwyraźniej po naszej rozmowie Lee skontaktował się także z innymi osobami.

–Czemu oni wreszcie otwarcie nie powiedzą, o co im chodzi – mruknęła babcia, pochylona nad tostem i kubkiem herbaty.

Najwyraźniej niezbyt wysoko ceniła styl Lee.

–To znaczy czego nie powiedzą? – zapytałem.

–Tego, co stąd jasno wynika. Ktoś nie chce, żebyś się mieszał w tę ich elegancką sprawę. Oni chcą czyściutkiej sprawiedliwości. Niekoniecznie prawdy. Dojściem do prawdy nikt tu chyba nie jest zainteresowany. Oni chcą sobie po prostu jak najprędzej poprawić samopoczucie. Chcą, żeby minął ból. Ludzie mają bardzo niską tolerancję na ból, szczególnie ostatnio. Odkąd doktor Spock zaczął nas uczyć, jak wychowywać dzieci.

–I to właśnie coś takiego knujesz przy śniadaniu? Prawie jak w jakimś kryminale.

Nalałem sobie trochę babcinej herbaty. Bez cukru i bez śmietanki. Wziąłem bułkę i włożyłem do środka dwie krótkie parówki.

–Nic nie knuję, Alex. To sama rzeczywistość.

Skinałem głową. Może i miała rację, ale było to zbyt przygnębiające, żeby myśleć o tym przed szóstą rano.

–Nie ma jak suszone śliwki z samego rana – powiedziałem. – Mmm... pyszne.

–Hmm – Mama Nana zmarszczyła czoło. – Alex, na twoim miejscu chyba bym uważała z tymi śliwkami. Od tej pory będziesz musiał sobie radzić z wielkim „gie”. Jeśli mogę być dosadna.

–Dziękuję, babciu. Bardzo sobie cenię twoją bezpośredniość.

225

–Nie ma za co. A oprócz śniadania mam dla ciebie jeszcze doskonałą radę: nie ufaj białym.

–Bardzo smaczne śniadanie – powiedziałem.

–A jak tam twoja nowa dziewczyna? – spytała babcia.

Nic się przed nią nie ukryje.

Rozdział 50

Kiedy wysiadałem z samochodu przed więzieniem, w powietrzu słyszałem buczenie w wysokiej tonacji. Niemal namacalne. Wszędzie wokół zakładu kręcili się

dziennikarze z gazet i telewizji. Czekali na mnie. Soneji/Murphy też. Przeniesiono go do zwykłej celi.

Mżył deszcz. Szedłem z parkingu, a z każdej strony pod-tykano mi kamery i mikrofony. Przyjechałem zahipnotyzować Gary'ego Sonejiego/Murphy'ego i prasa o tym wiedziała. Tego dnia to ja byłem źródłem informacji.

–Thomas Dunne twierdzi, że próbuje pan hospitalizować Sonejiego i doprowadzić do tego, że za kilka lat wyjdzie na wolność. Jak pan to skomentuje?

–Nie mam w tej chwili nic do powiedzenia.

Nie mogłem rozmawiać z dziennikarzami, co na pewno nie przysparzało mi popularności. Taki układ zawarłem z urzędem prokuratora generalnego, zanim w końcu otrzymałem pozwolenie.

W dzisiejszych czasach w psychiatrii często stosuje się hipnozę. Wielokrotnie decydują się na nią psychiatra lub psycholog prowadzący pacjenta. Ja liczyłem na to, że w ciągu kilku sesji zdołam odkryć, co działo się z Garym Sonejim/Murphyem w czasie jego „straconych dni”, jego ucieczek od realnego świata. Nie wiedziałem, czy uda mi się to osiągnąć szybko, a właściwie – czy w ogóle mi się uda.

Kiedy już się znalazłem w celi Gary'ego, sam proces był prosty. Poleciałem mu, żeby się odprężył i zamknął oczy. Następnie poprosiłem, by robił bardzo równe, spokojne wdechy i wydechy, a w końcu – żeby zaczął powoli odliczać od stu do zera.

Wydawał się podatnym pacjentem. Nie opierał się i bardzo łatwo poddawał sugestii. Z tego, co mogłem stwierdzić, Gary wszedł w stan hipnozy. W każdym razie ja postępowiałem dalej tak, jakby się w nim znajdował. Obserwowałem go w poszukiwaniu oznak mogących świadczyć, że jest inaczej, ale niczego nie dostrzegłem.

Oddech mężczyzny wyraźnie się uspokoił. Nie widziałem go jeszcze tak rozluźnionego jak teraz, na początku sesji. Przez kilka chwil rozmawialiśmy o rzeczach nieistotnych.

Gary „doszedł do siebie” albo stał się „sobą” na parkingu przed McDonalodem, toteż kiedy się w pełni odprężył, zapytałem go właśnie o to.

–Czy pamiętasz, jak zostałeś aresztowany przed McDonalodem w Wilkinsburgu?

Chwila ciszy... a potem powiedział:

–Och tak, oczywiście, że pamiętam.

–Cieszę się, że to pamiętasz, ponieważ mam kilka pytań związanych z okolicznościami tamtego zajścia w McDonaldu. Nie mam pewności co do kolejności wydarzeń. Czy pamiętasz, żebyś coś tam jadł?

Widziałem, jak pod zamkniętymi powiekami drgają mu gałki oczne. Zastanawiał się nad odpowiedzią. Gary miał na nogach japonki. Lewa stopa gwałtownie drżała.

–Nie... nie... nie przypominam sobie. Czy naprawdę coś tam jadłem? Nie pamiętam. Nie wiem, czy coś jadłem.

Przynajmniej nie zaprzeczył, że był w środku.

–Czy zauważyłeś w McDonaldu jakichś ludzi? – spytałem. – Czy pamiętasz jakichś klientów? Dziewczynę przy kasie?

–Hmm... Był tłok. Nikt konkretny mi nie przychodzi do głowy. Pamiętam, jak myślałem, że niektórzy ubierają się tak źle, że to jest aż śmieszne. W każdym centrum handlowym to widać. W takich miejscach jak HoJo czy McDonald.

W myślach wciąż znajdował się we wnętrzu restauracji. Zaszedł ze mną tak daleko. Zostań ze mną, Gary.

–Czy korzystałeś z toalety?

Wiedziałem, że tak. Raport z aresztowania zawierał dość szczegółowe informacje o jego zachowaniu w McDonaldu.

–Tak, korzystałem.

–A co z napojami? Piłeś coś? Zabierz mnie ze sobą. Postaraj się tam znowu znaleźć.

Uśmiechnął się.

–Proszę, niech mnie pan nie traktuje protekcjonalnie.

Dziwnie przekrzywił głowę. Potem zaczął się śmiać. Specyficznie, bardziej gardłowo niż zazwyczaj. Śmiech był niezwykły, choć nie budził szczególnego

niepokoję. Mowa Gary'ego stawała się coraz bardziej gwałtowna, urywana. Stopa drgała coraz szybciej.

–Pan nie jest na tyle mądry, żeby to się panu udało –
powiedział.

Nieco mnie zaskoczyła ta zmiana tonu.

–Żeby co mi się udało? Gary, powiedz mi, co masz na myśli. Nie rozumiem cię.

–Żeby go oszukać. To właśnie mam na myśli. Jest pan mądry, ale nie na tyle mądry.

–Kogo miałbym oszukać?

–Sonejiego, oczywiście. On jest tam w McDonaldzie. On udaje, że zamawia kawę, ale jest naprawdę wkurzony. Zaraz wybuchnie. Potrzebuje, żeby na niego zwrócili uwagę.

Pochyliłem się na krześle. Tego się nie spodziewałem.

–Dlaczego jest zły? Czy ty wiesz dlaczego? – zapytałem.

–Jest wkurzony, bo im się poszczęściło. Oto dlaczego.

–Komu się poszczęściło?

–Policji. Jest wkurzony, bo idioci głupim fartem mogli wszystko zepsuć, cały wielki plan.

–Chciałbym z nim o tym porozmawiać – oświadczyłem.

Starłem się być równie rzeczowy jak on. Jeśli Soneji tu teraz był, może dałbym radę się z nim skontaktować.

–Nie! O nie. Pan nie dorasta do jego poziomu. Nic by pan nie zrozumiał. Pan nie ma pojęcia o Sonejim.

–Czy on wciąż jest zły? Czy w tej chwili jest zły? Zły, że siedzi w więzieniu? Co Soneji myśli o pobycie w tej celi?

–On mówi: „pierdol się”. PIERDOL SIĘ!

Rzucił się na mnie. Złapał za koszulę i za krawat, za połę kurtki.

Był silny, ale ja także. Pozwoliłem, żeby mnie trzymał, i sam go trzymałem.

Trwaliśmy złączeni w silnym uścisku. Zderzyliśmy się głowami. Mogłem się oswobodzić, ale nawet nie próbowałem. Tak naprawdę nie robił mi żadnej krzywdy. Raczej mi groził, stawiał między nami barierę.

Campbell ze strażnikami puścili się korytarzem w stronę celi. Soneji/Murphy zwolnił uścisk i rzucił się na drzwi. Z ust ciekła mu ślina. Zaczął wrzeszczeć. Ciskał przekleństwami, krzycząc wniebogłosy.

Strażnicy powalili go na ziemię. Obezwładnili go, choć nie bez trudu. Soneji był dużo silniejszy, niż sugerowałaby to jego szczupła sylwetka. Wiedziałem to już z doświadczenia.

W ślad za nimi weszła pielęgniarka. Podała mu zastrzyk z lorazepamem. Po kilku minutach zasnął na podłodze celi.

Strażnicy położyli go na pryczy i ubrali w kaftan bezpieczeństwa. Czekałem aż do chwili, gdy zamknęli drzwi.

Kto był tam w celi?

Gary Soneji?

Gary Murphy?

A może obaj?

Rozdział 51

Tamtego wieczoru zadzwonił do mnie komendant Pittman. Nie oczekiwałem, że będzie mi chciał pogratulować wyników pracy z Sonejim/Murphym. Miałem rację. El Jefe poprosił, żebym z samego rana wpadł do jego gabinetu.

–O co chodzi? – spytałem.

Nie chciał powiedzieć przez telefon. Pewnie nie miał ochoty zepsuć niespodzianki.

Rano dokładnie się ogoliłem i specjalnie na tę okazję włożyłem długą skórzaną kurtkę. Zanim wyszedłem z domu, usiadłem na werandzie i zagrałem parę kawałków Lady Day. Myśleć o ciemności i świetle. Być ciemnością i światłem. Zagrałem *The Man I Love, For All We Know, That 's Life, I Guess*. Potem pojechałem do El Jefe.

Jak na siódmą czterdzieści pięć rano, w biurze Pittmana było zdecydowanie zbyt dużo ruchu. Nawet jego asystent dla odmiany wydawał się zajęty.

Stary Fred Cook to niespełniony detektyw z wydziału obyczajowego, który teraz udaje asystenta administracyjnego. Jest jak jeden z tych zgredów, których wyciągają do meczów baseballu dla oldboyów. To człowiek wredny, małostkowy i potwornie rozpolitykowany. Korzystanie z jego pośrednictwa w kontaktach z komendantem to jak przesyłanie wiadomości woskowej figurze.

–Komendant już na ciebie czeka – oznajmił, serwując mi jeden z tych swoich nieszczerych uśmiezków.

Fred Cook delektuje się tym, że o różnych rzeczach wie przed wszystkimi. A kiedy nie wie – udaje.

–Co się święci tego ranka? – spytałem wprost. – Fred, mnie możesz powiedzieć.

Dostrzegłem w jego oku błysk, który świadczył o tym, że „on wie”.

–Może po prostu wejdź i sam się przekonaj. Komendant na pewno wyjaśni swoje zamiary.

–Fred, jestem z ciebie dumny. Naprawdę potrafisz dotrzymać tajemnicy. Wiesz, powinieneś pracować w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego.

Wszedłem, spodziewając się najgorszego. Ale trochę nie doceniłem komendanta.

W gabinecie wraz z Pittmanem czekał burmistrz Carl Monroe, a oprócz niego nasz kapitan Christopher Clouser oraz ktoś, kogo zupełnie się nie spodziewałem – John Sampson. Wyglądało na to, że w kryjówce komendanta odbywała się jakże popularna w Waszyngtonie poranna ceremonia zwana roboczym śniadaniem.

–Nie jest jeszcze tak źle – powiedział Sampson ściszym głosem.

Jego wygląd kompletnie przeczył tym słowom. Sampson robił wrażenie zwierzęcia schwytanego we wnyki. Czułem, że chętnie by sobie odgryzł nogę, byle tylko stąd uciec.

–W ogóle nie jest źle – widząc moją minę, Carl Monroe uśmiechnął się jowialnie. – Mamy dla was obu dobre wieści. Bardzo dobre. Mogę? No, chyba tak... Obaj z Sampsonem dostajecie dzisiaj awans. Składam gratulacje naszemu nowemu starszemu detektywowi i naszemu nowemu komendantowi rejonowemu.

Zaczęli nam bić brawo. Wymieniliśmy z Sampsonem zdziwione spojrzenia. O co tu, do cholery, chodzi?

Gdybym tylko wiedział, przyprowadziłbym babcię i dzieci. To było jak jedna z tych uroczystości, na których prezydent wręcza wdowom medale i składa podziękowania. Tyle tylko, że tym razem martwi zostali zaproszeni na obchody. Sampson i ja byliśmy martwi w oczach komendanta Pittmana.

–Może nam powiesz, co tu jest grane? – uśmiechnąłem się porozumiewawczo do Monroego. – Wiesz, podzielisz się kontekstem.

Carl Monroe czarował nas swoim oszalałym uśmiechem. Był taki ciepły, taki bezpośredni, taki „autentyczny”.

–Zostałem poproszony o przybycie – powiedział – ponieważ ty i detektyw Sampson otrzymaliście awans. I tyle. Z rozkoszą przybyłem tu – zrobił komiczną minę – za kwadrans ósma rano.

Czasami trudno Carla nie lubić. Ma pełną świadomość tego, kim się stał jako

polityk. Przypomina mi prostytutki na 14th Street, które zawsze opowiedzą ci parę sprośnych dowcipów, kiedy je zatrzymasz za nagabywanie.

–Mamy do omówienia jeszcze kilka innych spraw – powiedział Pittman, ale zaraz potem odegnał myśl o tym, że jakikolwiek istotny temat mógłby zakłócić ceremonialną rozmowę. – Mogą trochę poczekać. Teraz pora na kawę i ciasteczka.

–Myślę, że powinniśmy wszystko omówić już teraz – odparłem. Przeniosłem wzrok na Monroego. – Wyłóżcie wszystko na stół razem z ciasteczkami.

Monroe pokręcił głową.

–A może byś chociaż raz trochę zwolnił?

–Nie mógłbym się ubiegać o urząd publiczny, prawda? – zripostowałem. – Kiepski ze mnie polityk.

Monroe wzruszył ramionami, ale nie przestawał się uśmiechać.

–Tego nie wiem, Alex. Czasem człowiek nabiera wraz z doświadczeniem skuteczniejszego stylu. Uczy się, co przynosi efekty, a co nie. To na pewno bardziej korzystne niż konfrontacyjność. Choć nie zawsze służy większej sprawie.

–Większej sprawie? Więc to o to chodzi? Taki jest temat tego śniadania? – odezwał się Sampson.

–Owszem, sądzę, że tak – Monroe kiwnął głową i ugryzł ciasteczko.

Komendant Pittman nalał sobie kawy do kosztownej porcelanowej filiżanki, zdecydowanie zbyt małej i delikatnej dla

jego rąk. Przypomniały mi się kanapki z rzeżuchą. Lunch dla bogatych.

–Przy tej sprawie ciągle wchodzimy w drogę FBI, Departamentowi

Sprawiedliwości i Secret Service. To nikomu nie

służy. Postanowiliśmy się całkowicie wycofać. I odebrać wam tę sprawę – powiedział w końcu Pittman.

Bingo. Wyszło sztydło z worka. Wreszcie poznaliśmy całą prawdę.

Nagle wszyscy w gabinecie zaczęli mówić jeden przez drugiego. Przynajmniej dwóch z nas krzychało. Przyjemna impreza.

–Gówna prawda – rzucił Sampson w twarz burmistrzowi. – I pan o tym dobrze wie, mam rację?

–Zacząłem sesję z Sonejim/Murphym – odezwałem się do Pittmana, Monroego i kapitana Clouera. – Wczoraj poddałem go hipnozie. Jezus Maria, nie! Kurwa, nie róbcie tego. Nie teraz.

–Wszyscy wiemy o twoich sukcesach z Garym Sonejim. Ale musieliśmy podjąć decyzję i zrobiliśmy to.

–Chcesz znać prawdę, Alex? – nagle w pokoju rozbrzmiał głos Carla Monroego. – Chcesz wiedzieć, jaka jest prawda?

Spojrzałem na niego.

–Zawsze.

Monroe popatrzył mi prosto w oczy.

–Prokurator generalny wywarł bardzo dużą presję na wiele osób w Waszyngtonie. Wielki proces rozpocznie się najpóźniej za sześć tygodni. Orient Express już odjechał ze stacji, Alex.

I ty nim nie jedziesz. Ja nim nie jadę. To wszystko przerosło nas obu. Ale Soneji/Murphy jedzie. Prokurator, sam Departament

Sprawiedliwości, postanowił przerwać wasze sesje.

Gary'emu przydzielono oficjalnie zespół psychiatrów. Tak to będzie od tej chwili działać. Sprawa weszła w nową fazę i nasze zaangażowanie już nie będzie potrzebne.

Sampson i ja wyszliśmy z własnej imprezy. Nasze zaangażowanie już nie było potrzebne.

Rozdział 52

Przez następny tydzień wracałem do domu o normalnej porze, zwykle między szóstą a szóstą trzydzieści. Koniec z osiemdziesięcio- i stu godzinnymi tygodniami pracy. Damon i Janelle byli zachwyceni. Bardziej ucieszyć mogłoby ich chyba tylko to, gdybym z miejsca został zwolniony.

Wypożyczaliśmy filmy Disneya i Wojownicze Żółwie Ninja, słuchaliśmy trzy płytowego zestawu Billie Holiday: Dziedzictwo I 1933-1958, razem zasypialiśmy na kanapie. Robiliśmy masę wspaniałych rzeczy.

Któregoś popołudnia udaliśmy się na grób Marii. Jannie i Damon wciąż nie do końca otrząsnęli się po stracie mamy. Wychodząc z cmentarza, zatrzymałem się przy jeszcze jednym grobie – miejscu wiecznego spoczynku Mustafa Sandersa. W mojej

wyobraźni jego smutne oczy wciąż się we mnie wpatrywały. Pytały: „Dlaczego?”. Wciąż nie potrafiłem odpowiedzieć. Ale nie byłem gotów się poddać.

Pewnej soboty pod koniec lata udaliśmy się z Sampsonem w długą podróż do Princeton w stanie New Jersey. Maggie Rose Dunne wciąż nie znaleziono. Podobnie jak dziesięciu milionów okupu. We dwóch ponownie wszystko sprawdzaliśmy – w ramach czasu wolnego.

Porozmawialiśmy z kilkoma sąsiadami Murphych. Rzeczywiście cała rodzina zginęła w pożarze, ale nikt nie podejrzewał Gary'ego. Wszyscy w Princeton mówili, że Gary Murphy był

wzorowym uczniem. Ukończył miejscowe liceum z czwartym wynikiem w klasie, mimo że właściwie nigdy się nie uczył i nie starał się być najlepszy. Nie sprawiał żadnych problemów wychowawczych, a w każdym razie sąsiedzi nic o tym nie wiedzieli. Młody człowiek z ich opisów bardzo przypominał Gary'ego Murphy'ego, z którym rozmawiałem w więzieniu Lorton.

Wszyscy byli zgodni – poza jednym kolegą z dzieciństwa, do którego dotarliśmy nie bez trudności. Ten kolega, Simon Conklin, obecnie pracował jako sprzedawca w warzywniaku. Mieszkał sam, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od Princeton Village. Szukaliśmy Conklina, ponieważ wspomniała o nim Missy Murphy. Przesłuchało go już FBI, ale właściwie bez rezultatów.

Początkowo Simon Conklin w ogóle odmówił rozmowy. Nie chciał już więcej gadać z żadnymi glinami. Otworzył się nieco dopiero wówczas, gdy zagroziliśmy, że zaciągniemy go do Waszyngtonu.

–Gary zawsze wszystkich nabierał – powiedział.

Siedzieliśmy w zapuszczonym pokoju dziennym jego niewielkiego domu. Conklin był wysokim, zaniedbanym mężczyzną. Robił wrażenie wyczerpanego i miał koszmarne niedobre ubranie. Był jednak bardzo inteligentny. W liceum miał państwowe stypendium, tak samo jak jego kolega Gary Murphy.

–Gary mawiał, że wielcy ludzie zawsze wszystkich nabierali. Wiecie panowie, Wielcy Ludzie, dużymi literami. Tako rzecze Gary!

–Co miał na myśli, mówiąc „wielcy ludzie”? – spytałem.

Przypuszczałem, że jak długo będę łechtał ego mężczyzny, tak długo będzie skory do opowieści. Byłem w stanie wyciągnąć z Conklina to, czego potrzebowałem.

–Nazywał ich Dziewięćdziesiątym Dziewiątym Centylem – wyjaśnił mi Conklin. – *Creme de la creme*. Najlepsi z najlepszych. Mistrzowie, człowieku.

–Najlepsi w czym? – dopytywał się Sampson.

Czułem, że nie przepada za Simonem Conklinem. Zaczynały

mu parować okulary. Mimo to starał się być pomocny i do tej pory słuchał z uwagą.

–Najlepsi spośród prawdziwych psycholi – odparł Conklin i uśmiechnął się z wyższością. – Ci, którzy od zawsze gdzieś lam są i nigdy, przenigdy nie dadzą się złapać. Ci, którzy są za mądrzy, żeby dać się złapać. Patrzą na resztę świata z pogardą. Nie znają współczucia, nie znają litości. Są absolutnymi panami własnego przeznaczenia.

–Czy Gary Murphy był jednym z nich? – spytałem.

Widziałem, że teraz już ma ochotę mówić. O Garym, ale także o sobie. Wyczuwałem, że uważa się za reprezentanta Dziewięćdziesiątego Dziewiątego Centyla.

–Nie. Nie w swoim mniemaniu – Conklin pokręcił głową, a z ust nie znikał mu ten niepokojący półuśmiech. – W swoim mniemaniu był dużo mądrzejszy niż reprezentanci Dziewięć dziesiątego Dziewiątego Centyla. Zawsze uważał, że jest oryginalny. Wyjątkowy. Mówił o sobie „wybryk natury”.

Opowiedział nam, że mieszkali z Garym przy tej samej wiejskiej drodze, dziesięć kilometrów za miastem. Jeździli do szkoły jednym autobusem. Przyjaźnili się od dziewiątego, może dziesiątego roku życia. Ta sama droga prowadziła do farmy Lindberghów w Hopewell.

Simon Conklin stwierdził, że Gary Murphy zdecydowanie zrewanżował się rodzinie tym pożarem. Dokładnie wiedział o wszystkim, co Gary wycierpiał jako dziecko. Nie potrafił tego dowieść, ale miał pewność, że to on podłożył ogień.

–Powiem wam dokładnie, skąd znam jego plan. Gary sam mi go wyjawiał. Kiedy mieliśmy po dwanaście lat. Powiedział, że załatwi ich w dzień swoich dwudziestych pierwszych urodzin. Że zrobi to w taki sposób, aby wyglądało, że wtedy był w szkole. Aby nikt go nie podejrzewał. I to właśnie zrobił, no nie? Czekał dziewięć długich lat. To był jego dziewięcioletni plan.

Tamtego dnia rozmawialiśmy z Simonem Conklinem przez trzy godziny, a potem następnego – przez kolejnych pięć. Opowiedział nam wiele smutnych i przerażających historii. O tym, jak Gary spędzał całe dnie i tygodnie w piwnicy. O jego obsesyjnych planach: planach dziesięcioletnich, planach pięć-

nastoletnich, planach na całe życie. O tajnej wojnie Gary'ego z małymi zwierzętami, a w szczególności z ładnymi ptakami, które przylatywały do ogródka macochy. Urywał drozdowi jedną nóżkę, potem skrzydło, potem drugą nóżkę – dopóty, dopóki ptak chciał walczyć o życie. O pragnieniu Gary'ego, by znaleźć się w Dziewięćdziesiątym Dziewiątym Centylu. Na samej górze. Wreszcie – o jego umiejętności naśladowania, odgrywania roli.

Żałowałem, że nie wiedziałem o tym wszystkim wówczas, gdy spotykałem się z Garym Murphym w więzieniu Lorton. Chętnie poświęciłbym kilka sesji na to, by zbudzić do życia duchy z Princeton. Porozmawiałbym z Garym o jego koledze Simonie Conklinie.

Niestety, odebrano mi to śledztwo. Sprawa porwania znalazła się poza zasięgiem moim i Sampsona, poza zasięgiem Simona Conklina.

Wiedzę zdobytą w Princeton przekazałem FBI. Napisałem na temat Conklina dwunastostronicowy raport. Biuro nie skorzystało z tego tropu. Sporządziłem jeszcze jeden raport i wysłałem po jednym egzemplarzu do wszystkich członków dawnego zespołu poszukiwawczego. Umieściłem tam coś, co Simon Conklin powiedział o swym przyjacielu z dzieciństwa: „Gary zawsze mówił, że osiągnie coś ważnego”.

Nie stało się absolutnie nic. FBI nie przesłuchało ponownie Conklina. Nie interesowały ich nowe ślady. Chcieli jak najprędzej zamknąć sprawę porwania Maggie Rose Dunne.

Rozdział 53

Pod koniec września Jezzie Flanagan i ja poleciliśmy na Wyspy Dziewicze. Uciekliśmy na długi weekend. Tylko we dwoje. To był pomysł Jezzie, moim zdaniem bardzo dobry. Trochę odpoczynku. Byliśmy zaciekawieni. Odrobinę niepewni. Podekscytowani perspektywą spędzenia razem czterech dni z rzędu. Może nie wytrzymamy ze sobą tak długo. Tego właśnie chcieliśmy się dowiedzieć.

Na Front Street na wyspie Virgin Gorda niemal nikt na nas nie spojrzał. Miła odmiana. W Waszyngtonie ciągle się gapili.

Pobieraliśmy lekcje nurkowania od siedemnastoletniej Murzynki. Jeździliśmy konno po plaży, która ciągnęła się nieprzerwanie przez pięć kilometrów. Pojechaliśmy rangę roverem do dżungli i zgubiliśmy się tam na pół dnia. Najbardziej niezapomnianym przeżyciem była wizyta w niezwykłym miejscu, które nazwaliśmy Prywatną Wyspą Jezzie i Alexa w Raju. Wynalazł je nam hotel. Podwieźli nas łódką i zostawili samych.

–To jest najbardziej oszałamiające miejsce, w jakim kiedykolwiek byłam – powiedziała Jezzie. – Spójrz na tę wodę, na ten piasek. Te wiszące skały, ta rafa tam na morzu.

–Nie jest to Fifth Street, ale może być – uśmiechnąłem się i rozejrzałem dookoła.

Stałem na skraju morza i obróciłem się kilka razy. Nasza prywatna wyspa składała się w większości z długiego szelfu białego piasku, który pod stopami

chręścił jak cukier.

Za plażą zaczynała się najbujniejsza, najzieleńsza dżungla, jaką kiedykolwiek widzieliśmy, usiana bugenwillami i białymi różami. Szmaragdowe morze miało przejrzystość źródlanej wody.

Hotelowi kucharze spakowali nam lunch: znakomite wina, egzotyczne sery, mięso homara, kraba oraz różne sałatki. Wokół nie było żywej duszy. Zrobiliśmy to, co najbardziej naturalne. Zdjęliśmy ubrania. Zero wstydu. Zero tabu. Byliśmy sami w raju, no nie?

Położyliśmy się razem na plaży. Zacząłem się głośno śmiać. To kolejna rzecz, której już od bardzo dawna nie robiłem tak często jak teraz – uśmiechałem się, czułem harmonię z otoczeniem. Ba! Po prostu czułem. Byłem naprawdę szczęśliwy, że znów mogę czuć. Trzy i pół roku to zbyt długo jak na żałobę.

–Czy ty masz w ogóle pojęcie, jaka jesteś piękna?

–Nie wiem, czy zauważyłeś, ale noszę w torebce puderniczkę z małym lusterkiem – odparła. Spojrzała mi prosto w oczy. Badała w nich coś, czego ja nigdy nie zobaczę. – Tak poważnie, to staram się unikać kwestii atrakcyjności, odkąd jestem w Secret Service. Tak to już wszystko jest pochrzanione w tym samczym Waszyngtonie.

Puściła do mnie oko.

–Alex, ty potrafisz być taki poważny. Ale jednocześnie umiesz się bawić. Założę się, że tylko dzieci widzą cię od tej strony. Damon i Jannie cię znają. Gili-gili! – zaczęła mnie łaskotać.

–Nie zmieniaj tematu. Mówiliśmy o tobie.

–Nie, to ty mówiłeś. Czasami mam ochotę być ładna, ale zazwyczaj chcę być po prostu szarą myszką. Nosić na głowie różowe lokówki i oglądać stare filmy.

–Cały weekend jesteś piękna. Żadnych lokówek. We włosach wstążki i świeże kwiaty. Kostiumy kąpielowe bez ramiączek. Od czasu do czasu żadnych kostiumów.

–Teraz faktycznie chcę być ładna. Ale w Waszyngtonie to co innego. To tylko jeszcze jeden problem do rozwiązania. Wyobraź sobie, że idziesz na spotkanie z szefem. Masz do przedstawienia ważny raport, nad którym pracowałeś parę

miesiący. Wchodzisz, a on na dzień dobry mówi: „Szałowo wyglądasz w sukience, skarbie”. Masz ochotę odpowiedzieć: „Pieprz się, dupku”. Wziąłem ją za rękę.

–Dziękuję ci za to, jak wyglądasz – powiedziałem. – Jesteś taka piękna.

–Zrobiłam to tylko dla ciebie – uśmiechnęła się Jezz. – I chciałabym zrobić dla ciebie coś jeszcze. Pod warunkiem że ty też coś dla mnie zrobisz.

Więc nawzajem to zrobiliśmy.

Jak na razie bynajmniej nie mieliśmy się dość. Podczas pobytu w raju zauważyliśmy dokładnie przeciwną tendencję.

Tamtego wieczoru, po powrocie do miasta, siedzieliśmy na powietrzu w barze ze skorupiakami. Przyglądaliśmy się beztroskiemu życiu na wyspie i myśleliśmy, czy nie można by po prostu wszystkiego rzucić i stać się jego częścią. Jedliśmy krewetki i ostrygi. Gadaliśmy bez przerwy przez parę godzin. Pozwoliliśmy sobie na

szaleństwo, szczególnie Jezzie.

–Wiesz, Alex, ja jestem strasznie zawziętą osobą –
powiedziała. – I nie chodzi mi tylko o sprawę porwania.

Wpycham się na każdą odprawę, zawsze pierwsza do szukania
wiatru w polu. Jestem taka, odkąd tylko pamiętam. Jak coś mi
wpadnie do głowy, to już z tego nie zrezygnuję.

Milczałem. Chciałem jej słuchać. Chciałem się dowiedzieć wszystkiego, co mogła
mi powiedzieć. Jezzie uniosła kufel.

–Siedzę tu sobie i popijam piwo, nie? A wiesz, moi rodzice
oboje byli alkoholikami. Byli dysfunkcyjni, zanim to się zrobiło
modne. Nikt poza domem nie wiedział, jak jest naprawdę. Bez
przerwy na siebie wrzeszczeli. Tata zwykle spijał się do
nieprzytomności. Zasypiał „w swoim fotelu”. Matka pół nocy
przesiadywała przy stole w jadalni. Uwielbiała swojego jamesona. Mówiła:

„Przynieś mi jeszcze mojego jamesona, Mała
Jezzie”. Byłam ich małą barmanką. W ten sposób do jedenastego
roku życia zarabiałam na kieszonkowe.

Jezzie zamilkła i spojrzała mi w oczy. Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak bezbronnej. Zwykle biła od niej niesamowita pewność siebie. Taką właśnie miała reputację w Secret Service.

–Masz już dosyć? – zapytała. – Chcesz, żebym się rozchmurzyła?

Pokręciłem głową.

–Nie, Jezzie. Chcę wysłuchać tego, co masz ochotę mi powiedzieć. Chcę o tobie wiedzieć wszystko.

–Na pewno dalej jesteśmy na urlopie?

–Tak, a ja naprawdę chcę tego słuchać. Nie przejmuj się, po prostu mów. Zaufaj mi. Jak się znudzę, to wstanę i zostawię cię tutaj z rachunkiem.

Uśmiechnęła się i zaczęła mówić dalej.

–Na swój dziwny sposób kochałam moich rodziców. I oni chyba też mnie kochali. Swoją „Małą Jezzie”. Pamiętasz, jak ci kiedyś powiedziałam, że nie chcę być mądrą nieudacznicą jak moi rodzice?

–Możliwe, że to było z twojej strony delikatne niedopowiedzenie – uśmiechnąłem się.

–Tak, no cóż. W każdym razie kiedy dostałam się do Secret Service, pracowałam nocami i w weekendy. Stawiałam sobie niewykonalne cele, jak choćby to, że zostanę kierownikiem w wieku dwudziestu ośmiu lat. I wszystkie zrealizowałam. To była jedna z przyczyn mojego rozstania z mężem. Przekładałam pracę nad małżeństwo. Chcesz wiedzieć, dlaczego zaczęłam jeździć na motorze?

–Aha. I przy okazji mi powiedz, dlaczego mnie do tego zmuszasz.

–Bo widzisz – odparła – nie potrafiłam przestać pracować. Przychodziłam wieczorem do domu i nie umiałam się wyłączyć. Aż do czasu, kiedy kupiłam motor. Kiedy jedziesz sto dziewięćdziesiąt na godzinę, musisz się skupić na drodze. Cała reszta przestaje się liczyć. Nawet praca wreszcie przestaje się liczyć.

–Ja między innymi dlatego gram na fortepianie – powiedziałem. – Jezzie, przykro mi z powodu twoich rodziców.

–Cieszę się, że ci wreszcie o nich powiedziałam – odparła. – Nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiłam. Nikt nie zna całej historii.

Jezzie i ja przytuliliśmy się mocno przy stoliku w małym wyspiarskim barze. Nigdy do tej pory nie była mi aż tak bliska. Słodka, mała Jezzie. Ze wszystkich naszych wspólnych chwil tej na pewno nie zapomnę. Naszej wizyty w raj.

Nagle, zdecydowanie za szybko, nasze wakacje się skończyły.

Byliśmy uwięzieni w samolocie American Airlines w drodze do Waszyngtonu. Wracaliśmy do ponurej, deszczowej pogody – tak mówiły prognozy. Wracaliśmy do pracy.

Podczas lotu było między nami nieco więcej chłodu. Zaczynaliśmy mówić w tym samym momencie, a wtedy musieliśmy odgrywać scenki typu „nie, najpierw ty”. Po

raz pierwszy w trakcie całej wycieczki zaczęliśmy rozmawiać o pracy.

–Alex, naprawdę myślisz, że on ma rozszczepienie osobowości? Czy on wie, co się stało z Maggie Rose? Soneji wie. Ale co z Murphym?

–Na pewnej płaszczyźnie też to wie. Naprawdę można się go było przestraszyć, wtedy gdy rozmawialiśmy o Sonejim. Nie wiem, czy Soneji to oddzielna osobowość, czy też jego prawdziwe ja, ale jest przerażający. Soneji na pewno wie, co się stało z Maggie Rose.

–Szkoda, że my się nigdy nie dowiemy. Na to się w każdym razie zanosi.

–Prawda. Bo myślę, że dałbym radę to z niego wyciągnąć. Potrzebowałem tylko trochę czasu.

To, co się działo na National Airport w Waszyngtonie, było jak katastrofa naturalna, której doświadczyliśmy wspólnie z kilkoma tysiącami osób. Tłum ledwie się przesunął. Kolejka do taksówek kończyła się pod terminalem. Wszyscy byli przemoknięci do suchej nitki.

Ani ja, ani Jezzie nie mieliśmy płaszczy przeciwdeszczowych. Więc także doszczętnie zmokliśmy. Życie nagle stało się przygnębiające i aż nazbyt realne. Tutaj, w Waszyngtonie, czekało

sledztwo, które utknęło w martwym punkcie. Zbliżał się proces. Pewnie miałem na biurku wiadomość od komendanta Pittmana.

–Wracajmy. Jedźmy z powrotem. – Jezzie wzięła mnie za rękę i przytuliła przed szklanymi drzwiami do Delta Shuttle.

Ciepło i znajomy zapach jej ciała nadal były przyjemne. Wciąż czułem woń mleczka kakaowego i aloesu.

Przechodnie wbijali w nas wzrok. Patrzyli. Osądzali. Patrzył na nas prawie każdy, kto przechodził.

–Chodźmy stąd – powiedziałem.

Rozdział 54

Bum. O wpół do trzeciej we wtorkowe popołudnie (do Waszyngtonu wróciłem o jedenastej) zadzwonił do mnie Sampson. Chciał się ze mną spotkać pod domem Sandersów. Przypuszczał, że znalazł nowe powiązania między porwaniem a morderstwami na osiedlach. Był nakręcony tą wiadomością jak jasna cholera. Ciężka praca nad jednym z najwcześniejszych wątków wreszcie dawała rezultaty.

Ostatni raz odwiedziłem dom Sandersów parę miesięcy wcześniej, ale wszystko tam było boleśnie znajome. W oknach nie paliły się światła. Zastanawiałem się, czy ten budynek w ogóle kiedyś zostanie sprzedany albo wynajęty.

Siedziałem w samochodzie na podjeździe Sandersów i przeglądałem pierwotny raport wydziału dochodzeniowego. Nie było w nim nic, czego bym już nie wiedział i nie czytał z tuzin razy.

Gapilem się na dom. W oknach wisiały żółknące rolety, więc nie mogłem zajrzeć do środka. Gdzie był Sampson i po co mnie tu ściągnął?

Zaparkował tuż za mną równo o trzeciej. Wygramolił się ze swego zdezelowanego nissana i usiadł w fotelu pasażera mojego porsche.

–O jejku, ty naprawdę teraz jesteś jak brązowy cukiereczek. Wyglądasz tak słodziutko, że można by cię schrupać.

245

–A ty nadal jesteś duży i brzydki. Czyli nic się nie zmienia. Co my tu mamy?

–Policyjną robotę w najlepszym wydaniu – odrzekł. Zapalił coronę. – A tak na marginesie, miałeś rację, że nie postawiłeś na tym kreski.

Na dworze wył wiatr. Deszcz wisiał w powietrzu. Przez Kentucky i Ohio przeszły tornada. Przez cały tydzień naszego urlopu pogoda była przedziwna.

–I co, nurkowaliście, żeglowaliście i graliście w tenisa w klubie dla białych? – zapytał Sampson.

–Nie mieliśmy czasu na takie rzeczy. Byliśmy zajęci budowaniem więzi emocjonalnych, jakich ty w życiu nie zrozumiesz.

–No, no, no – Sampson mówił jak czarna psiapsiółka i dobrze odgrywał tę rolę. – Uwielbiam rozmowy z piep-rzykiem, a ty, siostrzo?

–Wchodzimy? – spytałem.

Od paru minut przed oczami miałem różne sceny z przeszłości i żadna z nich nie była przyjemna. Pamiętałem twarz czternastoletniej córki Sandersów. I trzyletniego

Mustafa. Pamiętałem, jakimi byli pięknymi dziećmi. Pamiętałem, że nikogo nie obchodziła ich śmierć.

–Szczerze mówiąc, jesteśmy tu po to, żeby odwiedzić sąsiadów obok – odparł w końcu Sampson. – Chodźmy do roboty. Stało się tutaj coś, czego na razie nie rozumiem. Ale to ważna sprawa. Potrzeba do tego twojej głowy.

Poszliśmy złożyć wizytę sąsiadom Sandersów, państwu Cerisier. To rzeczywiście była ważna sprawa. Natychmiast pochłonęła całą moją uwagę.

Już wcześniej wiedziałem, że Nina Cerisier od wczesnego dzieciństwa była najlepszą przyjaciółką Suzette Sanders. Dwie rodziny mieszkały obok siebie od 1979 roku. Ani Nina, ani jej rodzice nie doszli do siebie po morderstwie. Gdyby ich tylko było stać, natychmiast by stąd wyjechali.

Pani Cerisier zaprosiła nas do środka. Głośno zawołała Ninę, która była na górze. Następnie posadziła nas przy stole w kuchni. Na ścianie wisiał plakat z uśmiechniętym Magie Johnsonem. W powietrzu unosił się zapach dymu i bekonu.

Kiedy Nina Cerisier wreszcie pojawiła się w kuchni, była chłodna i niedostępna. Miała piętnaście, może szesnaście lat, wyglądała bardzo zwyczajnie i widziałem wyraźnie, że nie chce tu być.

–W zeszłym tygodniu – wyjaśnił mi Sampson – Nina powiedziała nauczycielce, że być może na kilka dni przed zabójstwami widziała mordercę. Wcześniej bała się o tym mówić.

–Rozumiem – przytaknąłem.

W Condon, Langley i właściwie w każdej czarnej okolicy Waszyngtonu skłonienie naocznych świadków do rozmowy z policją graniczy z cudem.

–Widziałam, że go złapali – powiedziała bezceremonialnie Nina. Z jej pospolitej twarzy spoglądały na mnie piękne, rdzawe oczy. – Więc już się tak nie bałam. Ale trochę się boję jeszcze.

–Jak go rozpoznałaś? – spytałem.

–Widziałam go w telewizorze. Zrobił jeszcze to porwanie, nie? Ciągłe go dają w telewizorze.

–Rozpoznała Gary'ego Murphy'ego – zwróciłem się do Sampsona.

To oznaczało, że widziała go bez przebrania nauczyciela.

–Jesteś pewna, że to był ten mężczyzna z telewizji? –

upewniał się Sampson.

–No. Przyszedł i oglądał dom mojej koleżanki Suzette. I ja pomyślałam, że to dziwne, nie? Mało białych się tu kręci.

–Widziałaś go w dzień czy w nocy? – zapytałem.

–W nocy. Ale to na pewno on. U Sandersów się światło bardzo świeciło. Pani Sanders się wszystkiego bała. Każdego się bała, nie? Poo to się nawet bała, jak ktoś powiedział „Bu!”. Żeśmy tak zawsze z Suzette mówiły.

Odwróciłem się do Sampsona.

–W ten sposób mielibyśmy dowód, że był na miejscu zbrodni – powiedziałem.

Sampson kiwnął głową i znów spojrzał na Ninę. Jej usta układały się w małe „o”. Cały czas bawiła się warkoczem.

–Czy możesz powiedzieć detektywowi Crossowi, co jeszcze widziałaś? – poprosił.

–Jeszcze jednego białego – odparła Nina Cerisier. – Jak tamten oglądał dom Suzette, to ten czekał w samochodzie, nie? W ogóle się nie ruszył. Dwóch ich było.

Sampson obrócił sobie krzesło i usiadł naprzeciwko mnie.

–Spiesz się, żeby go jak najszybciej postawić przed sądem – powiedział. – Nie mają zielonego pojęcia, o co tu tak naprawdę chodzi. I tak to wszystko zakończą. Raz na zawsze. A może to my mamy odpowiedź.

–Jak na razie tylko my mamy w ogóle jakieś odpowiedzi – odparłem.

Opuściliśmy dom państwa Cerisierów i pojechaliśmy swoimi samochodami do centrum. Powtarzałem sobie w myślach wszystko, co do tej pory wiedzieliśmy. Kilka możliwych scenariuszy spośród kilku tysięcy. Policyjna robota. Centymetr po

centymetrze.

Rozmyślałem o Brunonie Hauptmannie i porwaniu synka Lindberghów. Po tym, jak został złapany – i prawdopodobnie wrobiony – również bardzo szybko postawiono go przed sądem. Hauptmanna skazano, być może niesłusznie.

Gary Soneji/Murphy wiedział o tym wszystkim. Czy to też było częścią jego złożonych planów? Planu dziesięcio- albo dwunastoletniego? Kim był ten drugi biały? Pilotem z Florydy? A może kimś takim jak Simon Conklin, przyjaciel Gary'ego z Princeton?

Czy to możliwe, że od samego początku Soneji/Murphy miał współnika?

Tamten wieczór spędziłem z Jezzcie. Nalegała, żebym wyszedł z pracy o ósmej. Od ponad tygodnia miała bilety na mecz koszykówki drużyny Georgetown, który strasznie chciałem zobaczyć. Po drodze zrobiliśmy coś, co robimy bardzo rzadko: rozmawialiśmy wyłącznie o pracy. Podzieliłem się z nią najświeższą rewelacją, „teorią współnika”.

–Nie rozumiem w tym wszystkim jednej mylącej kwes-

tii – stwierdziła Jezzie, wysłuchawszy mojej opowieści o zeznaniu Niny Cerisier. Jezzie wciąż była zaangażowana w sprawę porwania niemal tak mocno jak ja. Aż tak bardzo tego nie okazywała, ale ja to widziałem.

–Trafiłaś pod dobry adres. Mylące kwestie to moja specjalność. Nic, co mylące, mnie nie zmyli.

–No dobra. Więc ta dziewczyna to przyjaciółka Suzette Sanders, tak? Była blisko tamtej rodziny. A mimo to do tej pory nic nie powiedziała. Bo w tej okolicy relacje z policją są aż takie złe? Nie wiem, czy jestem w stanie to kupić. I co, nagle ni z tego, ni z owego zaczyna mówić?

–Ja to kupuję – odparłem. – Dla wielu ludzi w tej okolicy policja jest jak trutka na myszy. Ja tam mieszkam, znają mnie, a i tak ledwie mnie akceptują.

–Ale i tak mi się to wydaje dziwne, Alex. Jakieś nienaturalne. Przecież te dziewczyny podobno były przyjaciółkami.

–Jasne, że to jest dziwne. Ale prędzej OWP zaczęłyby rozmawiać z armią izraelską niż niektórzy w południowo-wschodniej części miasta z policją.

–To co teraz myślisz, kiedy już wysłuchałeś tej dziewczyny i jej rewelacji? Co sądzisz o tym... wspólniku?

–Na razie jeszcze mi się to nie układa w żadną całość – przyznałem. – A to znaczy, że idealnie układa się w całość ze wszystkim, co się do tej pory wydarzyło. Wierzę, że ona kogoś widziała. Pytanie tylko: kogo?

–Alex, muszę to powiedzieć: mnie to wygląda na szukanie wiatru w polu. Nie chcę, żebyś się stał Jimem Garrisonem tego dochodzenia.

Tuż przed ósmą przyjechaliśmy do hali Capital Centre w Landover w stanie Maryland. Georgetown podejmowało drużynę St. John's z Nowego Jorku. Jezzie miała bilety na najlepsze miejsca. Nie ulegało wątpliwości, że ona zna w tym mieście wszystkich. Łatwiej się dostać na bal inauguracyjny niż na niektóre mecze Big East.

Szliśmy przez parking w kierunku błyszczącego od świateł

Capital Centre, trzymając się za rękę. Lubilem koszykarzy Georgetown i ceniłem ich czarnoskórego trenera Johna Thompsona. Razem z Sampsonem chodzimy co sezon na dwa czy trzy mecze.

–Super, że zobaczę mecz Bestii ze Wschodu – rzuciła Jezzie koszykarskim żargonem, kiedy byliśmy już blisko hali, i puściła do mnie oko.

–W meczu z Hoyas – dodałem.

–To Hoyas są Bestią ze Wschodu – wydmuchnęła balon z gumy i zrobiła śmieszoną minę. – Nie bądź taki cwany.

–Cholera, ty naprawdę wszystko wiesz – uśmiechnąłem się szeroko.

To zresztą była prawda. Trudno było znaleźć temat, na który nie miała nic do powiedzenia, o którym nie czytała albo w którego kwestii nie doświadczyła czegoś istotnego.

–A jaki przydomek ma St. John's? – spytałem.

–St. John's Redmen. Grał tam Chris Mullin. Nazywają ich też The Johnnies. Chris

Mullin gra teraz w lidze zawodowej w Golden State. Tamtejsza drużyna nazywa się Warriors.

Oboje zamilkliśmy jednocześnie. To, co miałem zamiar powiedzieć, utkwiło mi w gardle.

–Ej! Ej, kochanka czarnucha! – krzyknął ktoś z drugiego końca parkingu. – Ej, sól i pieprz!

Jeździe mocniej ścisnęła moją dłoń.

–Spokojnie, Alex. Po prostu idźmy przed siebie – powiedziała.

–Jestem tak spokojny, że bardziej nie można – odparłem.

–Odpuść. Chodź ze mną do hali. To dupki. Nie zasługują na reakcję.

Puściłem jej dłoń. Ruszyłem w kierunku trzech mężczyzn, którzy stali oparci o tył srebrnoniebieskiej terenówki. Nie byli ani studentami Georgetown, ani St. John's. Mieli na sobie kurtki parki oraz czapki z daszkiem z logo firm i drużyn. Byli wolni, biali i mieli więcej niż dwadzieścia jeden lat. Czyli za dużo, żeby tak się zachowywać.

–Który to powiedział? – zapytałem. Ciało miałem jak z drewna, jak nierzeczywiste. – Który powiedział „kochanka czarnucha”? To miało być śmieszne? Może nie łapię jakiegoś fajnego żartu?

Jeden z nich wyszedł na przód. Odezwał się spod fluorescencyjnej czapki

Redskins:

–A co ci do tego, Magie? Chcesz się spróbować trzech na jednego?

–Wiem, że to trochę nie fair, ja jeden, a was trzech, ale możliwe, że będę musiał – odparłem. – Może uda wam się szybko znaleźć czwartego.

–Alex? – Usłyszałem, że dogoniła mnie Jezz. – Proszę cię, Alex, daj spokój. Zostaw ich.

–Pieprz się, Alex – rzucił jeden z mężczyzn. – Panienska ci musi pomagać?

–Lubisz Alexa, kotku? Alex to twój ziomuś? – odezwał się inny. – Twój osobisty czarnulek?

Usłyszałem w głowie trzask. Niesamowicie realny. Puściły mi nerwy.

Pierwszy cios wymierzyłem temu w czapce Redskins. Obróciłem się płynnie i trzasnąłem drugiego w skroń.

Pierwszy zaraz rąbnął o ziemię. Czapka pofrunęła mu jak frisbee. Drugi się zachwiał, przykucnął na jedno kolano i tak już został. Stracił całą ochotę do walki.

–Mam już tego serdecznie dość. Rzygam takimi jak wy – mówiąc te słowa, cały się trząsałem.

–Proszę pana, on za dużo wypił. My wszyscy za dużo wypiliśmy – powiedział gość, który jako jedyny wciąż stał o własnych siłach. – Równy go porąbało. Jest pod straszną presją ostatnio. Kurde, przecież my pracujemy z czarnymi. Mamy czarnych kumpli. Nie wiem, co powiedzieć... Przykro nam.

Mnie też było przykro. Bardziej, niż mogłem tym dupkom powiedzieć. Odwróciłem się i wraz z Jezz ruszyliśmy z powrotem do samochodu. Ręce i nogi miałem jak z kamienia. Serce mi biło jak młot pneumatyczny.

–Przepraszam – powiedziałem. Było mi trochę niedo-

brze. – Nie potrafię tego znieść. Już nie umiem wzruszyć ramionami i odejść.

–Rozumiem – odparła Jezz szeptem. – Zrobiłeś to, co musiałeś.

Była przy mnie. Na dobre i na złe.

Długo siedzieliśmy w moim samochodzie, przytuleni. Potem pojechaliśmy do domu, żeby być razem.

Rozdział 55

Kolejną możliwość spotkania z Garym Murphym otrzymałem pierwszego października. Oficjalnym uzasadnieniem wydania zezwolenia było pojawienie się „nowych dowodów”. Z Niną Cerisier zdążyło już rozmawiać pół świata. „Teoria współnika” zaczęła żyć własnym życiem.

Przeczysywaliliśmy okolice domu Cerisierów. Próbowałem z Niną wszystkiego: od zdjęć z policyjnej kartoteki do portretów pamięciowych. Jak na razie nie była w

stanie podać rysopisu współnika”.

Wiedzieliśmy, że to biały mężczyzna. Nina miała wrażenie, że był krępej budowy. FBI zapewniało o zwielokrotnieniu wysiłków w poszukiwaniu pilota z Florydy. Zobaczymy. Ja sam wreszcie wróciłem do gry.

Doktor Campbell poprowadził mnie korytarzem oddziału o zaostrowym rygorze w więzieniu Lorton. Gdy przechodziliśmy, więźniowie rzucali nam wściekłe spojrzenia. Odpowiadałem tym samym. Ja mam bardzo przekonujące wściekłe spojrzenie.

W końcu dotarliśmy do bloku, w którym wciąż przebywał Gary Soneji/Murphy.

Jego cela, podobnie jak cały korytarz, była jasno oświetlona. Mimo to, kiedy widząc mnie, podniósł się na pryczy, mrużył oczy. Zupełnie jakby wyglądał z ciemnej jaskini.

Minęła chwila, zanim wreszcie mnie rozpoznał.

Wtedy uśmiechnął się szeroko. Wciąż wyglądał jak sympatyczny młody człowiek z małego miasteczka. Gary Murphy. Postać z remake'u To wspaniałe życie w realiach lat dziewięćdziesiątych. Pamiętałem, jak jego kolega Simon Conklin mówił, że Gary Murphy potrafi odgrywać każdą potrzebną rolę. Wszystko w ramach przynależności do Dziewięćdziesiątego Dziewiątego Centylu.

–Alex, dlaczego przestałeś do mnie przychodzić? – spytał. Oczy miał teraz pełne smutku. – Nie miałem z kim rozmawiać. Ci inni lekarze nigdy mnie nie słuchają. Tylko udają.

–Przez jakiś czas nie pozwalali mi cię odwiedzać – wyjaśniłem. – Ale już wszystko załatwiłem i oto jestem.

Wyglądał na urażonego. Przygryzał dolną wargę i wbijał wzrok w swe płócienne buty.

Nagle twarz mu się wykrzywiła i roześmiał się głośno. Jego głos odbił się od ścian niewielkiej celi.

Soneji/Murphy nachylił się do mnie.

–Wiesz co, jesteś tylko kolejnym głupim dupkiem – powiedział. – Ale tobą kurewsko łatwo manipulować. Zupełnie jak wszystkimi przed tobą. Jesteś niegłupi, ale nie dostatecznie mądry.

Patrzyłem na niego nieruchomo. Zdziwiony. Może nawet nieco zszokowany.

–No co? Zamurowało? – skomentował moją minę.

–Nie, wszystko w porządku – odparłem. – Po prostu cię nie doceniłem. Mój błąd.

–Czyżby zaskoczyła cię rzeczywistość? – okropny uśmieszek nie zniknął mu z twarzy. – Jesteś pewien, że wszystko rozumiesz? Na sto procent, doktorze-detektywie?

Oczywiście, że rozumiałem. Właśnie poznałem Gary'ego Sonejiego. Przedstawił nas sobie Gary Murphy. Nastąpił gwałtowny przeskok osobowości.

Porywacz patrzył na mnie z dumą. Chełpił się, popisывał. Po raz pierwszy był przy mnie sobą.

Siedział przede mną morderca dzieci. Genialny aktor i naśladowca.

Dziewięćdziesiąty Dziewiąty Centyl. Syn Lindbergha. Był tym wszystkim i zapewne – nie tylko tym.

–Wszystko w porządku? – zapytał. Przedrzeźniał moją wcześniejszą troskę o niego. – Dobrze się pan czuje, doktorze?

–Świetnie. Wszystko w absolutnym porządku – powiedziałem.

–Na pewno? Nie wygląda mi, żeby wszystko było z tobą w porządku. Coś jest nie tak, prawda? Alex?

Teraz robił wrażenie, jakby był naprawdę zaniepokojony.

–Słuchaj no! – wreszcie podniosłem głos. – Odpieprz się, Soneji. Jak ci się podoba taki test rzeczywistości?

–Chwileczkę – zaczął kręcić głową w lewo i w prawo. Wilczy uśmiech zniknął tak

szybko, jak szybko się przed chwilą pojawił. – Dlaczego nazywasz mnie „Soneji”? O co chodzi, doktorze? Co się dzieje?

Przyglądałem się jego twarzy i nie mogłem uwierzyć w to, co widzę.

On się znowu zmienił. Pstryk. Nie było Gary'ego Sonejiego. W ciągu kilku minut zmienił osobowość dwa, może nawet trzy razy.

–Gary Murphy? – upewniłem się.

Skinął głową.

–A kto inny? Naprawdę, doktorze, co się dzieje? O co chodzi? Nie ma cię przez wiele tygodni. Teraz wracasz.

–Powiedz mi, co się właśnie wydarzyło – poprosiłem. Nie odwracałem wzroku. – W tej chwili. Powiedz mi, co się twoim zdaniem właśnie stało.

Robił wrażenie zmieszanego. Jakby moje pytanie kompletnie go zbiło z tropu. Jeśli to wszystko odgrywał, to było to najgenialniejsze i najbardziej przekonujące przedstawienie, jakiego kiedykolwiek w mojej pracy psychologa byłem świadkiem.

–Nie rozumiem. Przychodzisz do mojej celi. Jesteś taki trochę spięty. Może zawstydzony, że tak długo cię nie było.

A potem mówisz na mnie „Soneji”. Ni z tego, ni z owego. To chyba nie miał być żart, prawda?

Czy teraz mówił serio? Czy to możliwe, że nie wiedział, co się stało niecałe sześćdziesiąt sekund wcześniej?

Czy może raczej Gary Soneji wciąż ze mną pogrywał? Czy mógł wpadać w stan fugi i wypadać tak łatwo, tak płynnie? Owszem, było to możliwe, ale bardzo rzadkie. W takim przypadku proces sądowy mógł się zmienić w kompletną farsę.

Soneji/Murphy mógł nawet zostać uniewinniony.

Czy taki właśnie miał plan? Czy to od początku było jego zabezpieczenie?

Rozdział 56

Kiedy Maggie Rose pracowała wraz z innymi, zbierając owoce i warzywa na zboczu góry, starała się przypominać sobie, jak to było w domu. Na początku „lista” rzeczy, które pamiętała, była krótka i bardzo ogólna.

Przede wszystkim strasznie brakowało jej mamy i taty. Tęskniła za nimi w każdej minucie, każdego dnia.

Poza tym brakowało jej kolegów ze szkoły, zwłaszcza Krewetki.

Brakowało jej Dukado, jej małego „nowego” koteczka.

I Aniołka, jej małego „słodkiego” koteczka.

I gier Nintendo, i szafy z ubraniami.

Robienie imprez po szkole było takie fajne.

I kąpiele na trzecim piętrze, tam nad ogrodami.

Jednak im więcej Maggie Rose myślała o domu, tym więcej sobie przypominała. Tym bardziej wydłużała w pamięci swoją listę.

Brakowało jej tego, jak czasami wciskała się między mamę a tatę, kiedy się tulili albo całowali. Nazywała to „Nasza trójka”.

Brakowało jej postaci, które odgrywał dla niej tata, zwłaszcza gdy była mała. Był wśród nich Hank, wielki ojciec z południowym akcentem, który uwielbiał wołać: „Ktooo do ciebie gada?”. Była też „Susie Wooderman”. W opowieściach taty Susie mogła być gwiazdą wszystkiego, czego tylko sobie Maggie zażyczyła.

257

Mieli pewien rytuał, który odprawiali zawsze, kiedy w mroźną pogodę wsiadali do samochodu. Wszyscy wołali ile sił w płucach: „Juk czuk czuk, czuka czuka, juk czuk czuk”.

Mama wymyślała piosenki i śpiewała je Maggie. Śpiewała chyba od zawsze.

Śpiewała: „Tak bardzo cię kocham, Maggie, wszystko bym dla ciebie zrobiła. Absolutnie wszystko”. Na to Maggie śpiewała: „Czy zabierzesz mnie do Disneylandu?”. A mama odpowiadała: „Zabiorę cię, Maggie Rose”. „Czy cmokniesz Du-kado w buzię?”. „Zrobię to dla ciebie, Maggie Rose. Zrobię dla ciebie wszystko”.

Maggie przypominała sobie całe dni spędzane w szkole, kiedy przechodziła z jednej sali lekcyjnej do drugiej. Przypominała sobie „specjalne mrugnięcia” pani Kim, przeznaczone tylko dla niej. Przypominała sobie, jak Aniołek zwijał się w kłębek na fotelu i wydawał taki słodki dźwięk, który brzmiał jak „łał”.

–Proszę, proszę, przyjdź i weź mnie do domu – śpiewała Maggie w myślach. – Proszę, proszę, przyjdź.

Ale już nikt nic nie śpiewał. Nikt nie śpiewał dla Maggie Rose. Nikt już o niej nie pamiętał. A w każdym razie to jej podpowiadało złamane serduszko.

Rozdział 57

W ciągu następnych dwóch tygodni spotkałem się z Garym Sonejim/Murphym, sześć razy. Nie pozwalał mi się do siebie zbliżyć, chociaż zdecydowanie temu zaprzeczał. Coś się zmieniło. Straciłem go. Straciłem ich obu.

Piętnastego października sędzia federalny odroczyła rozprawę, tym samym opóźniając rozpoczęcie procesu. To była ostatnia metoda grania na zwłokę użyta przez adwokata Sonejiego/Murphy'ego, Anthony'ego Nathana.

W ciągu jednego tygodnia – w błyskawicznym tempie, biorąc pod uwagę złożoność prawnych zabiegów – sędzia Linda Kaplan odrzuciła wnioski obrony. Również Sąd Najwyższy oddalił zażalenie. Na antenie wszystkich trzech krajowych sieci telewizyjnych Nathan nazwał Sąd Najwyższy „dobrze zorganizowaną zgrają dokonującą linczu”. Powiedział prasie, że fajerwerki dopiero się zaczęły. W ten sposób ustalił ton całego procesu.

Dwudziestego siódmego października rozpoczął się proces Państwo kontra Murphy”. Za pięć dziewiąta rano szliśmy z Sampsonem w kierunku tylnego wejścia Budynku Federalnego przy Indiana Avenue. Na tyle, na ile to było możliwe, staraliśmy się zachować anonimowość.

–Chcesz stracić trochę pieniędzy? – spytał Sampson, kiedy skręciliśmy w ulicę.

–Chyba nie mówisz o obstawianiu wyników tego procesu?

–Jasne, że tak, złociutki. Czas nam szybciej minie.

–O co się zakładasz?

Sampson zapalił coronę i zaciągnął się z satysfakcją.

–Powiedzmy... Myślę, że pójdzie do świętej Elżbiety albo jakiegoś innego szpitala dla niepoczytalnych kryminalistów. O to się założę.

–Czyli twierdzisz, że nasz system sądowniczy nie działa?

–Wierzę w to z całego serca. Szczególnie teraz.

–No dobrze. To ja mówię, że dostanie wyrok za porwanie dwóch osób i morderstwo pierwszego stopnia.

Sampson znów się zaciągnął.

–Chcesz mi zapłacić od razu? Stać cię na przegranie pięćdziesięciu dolców?

–Dobra, pięćdziesiąt może być. Zakład stoi.

–Świetnie. Uwielbiam cię pozbawiać resztek pieniędzy.

Przed głównym wejściem na 3rd Street kłębił się kilkutysięczny tłum. W sali czekało kolejne dwieście osób, w tym siedem rzędów dziennikarzy. Prokurator próbowała zabronić wstępu mediom, ale wniosek został odrzucony.

Ktoś wydrukował plakaty, które teraz były wszędzie: „Maggie Rose żyje!”.

Po całej Indiana Avenue krążyli ochotnicy, rozdając przechodniom róże. Inni sprzedawali proporczyki. Największą popularnością cieszyły się małe znicze, które ludzie palili w oknach ku czci Maggie Rose.

Garstka reporterów czekała pod tylnym wejściem, zarezerwowanym dla dostawców oraz dla kilku wstydliwych sędziów i adwokatów. Większość doświadczonych gliniarzy, którzy przychodzą do sądu i nie lubią tłumów, także wybiera te drzwi.

Natychmiast zostaliśmy z Sampsonem otoczeni mikrofonami. Obserwowały nas kamery. Już nas to nie peszyło.

–Detektywie Cross, czy to prawda, że FBI odsunęło pana od tej sprawy?

–Nie. Mam dobre stosunki z FBI.

–Czy wciąż spotyka się pan w Lorton z Garym Murphym?

–To brzmi, jakbyśmy ze sobą chodzili. Na razie nie

jesteśmy jeszcze na tym etapie. Natomiast należę do zespołu lekarskiego, który się nim zajmuje.

–Czy w tej sprawie są jakieś podteksty rasowe w odniesieniu do pana?

–Sądzę, że w wielu rzeczach można się dopatrzeć podtekstów rasowych. W tej sprawie nie ma nic wyjątkowego.

–A pana partner? Detektywie Sampson, zgadza się pan, proszę pana? – spytał młody koleś w muszce.

–Pan sobie daruje „proszę pana”, proszę pana. Wchodzimy tylnym wejściem, no nie? My jesteśmy ci, co wchodzi po cichu – Sampson wyszczerzył zęby do kamery. Ciemnych okularów nie zdjął.

Wreszcie dotarliśmy do windy towarowej. Usiłowaliśmy nie wpuścić do środka

dziennikarzy, co wcale nie było łatwe.

–Mamy wiadomość z pewnego źródła, że Anthony Nathan złoży wniosek o uznanie oskarżonego za chwilowo niepoczytalnego. Jak to pan skomentuje?

–Nie skomentuję. Zapytajcie Anthony'ego Nathana.

–Czy zezna pan, że Gary Murphy nie jest niepoczytalny?

Wiekowe drzwi wreszcie się zamknęły. Winda z jękiem powlokła się na siódme piętro. „Siódme niebo”, jak się o nim mówiło w zawodowym żargonie.

Jeszcze nigdy nie panował tam aż taki spokój. Zniknął zwyczajowy młyn policjantów, młodocianych bandziorów i ich rodzin, zatwardziałych kryminalistów, sędziów i adwokatów. Całe piętro zostało przeznaczone wyłącznie dla tej jednej sprawy. Tylko ona się liczyła. „Proces stulecia”. Czyż to nie tego właśnie pragnął Gary Soneji?

Bez tego całego chaosu Budynek Federalny był jak starszy człowiek, który rano wstaje z łóżka. W porannym świetle, wpadającym przez wysokie okna na wschodniej ścianie, widać było wszystkie zmarszczki i sińce.

Przybyliśmy w samą porę, żeby zobaczyć, jak na salę wchodzi prokurator. Mary Warner była filigranową trzydziestosześcioletnią prawniczką z szóstego obwodu. Podobno na sali sądowej -dorównywała obrońcy Anthony'emu Nathanowi. Tak jak on,

nigdy nie zaznała porażki, przynajmniej w liczących się sprawach. Miała opinię perfekcyjnie przygotowanego prokuratora, który podczas rozprawy jest bezbłędny i przekonujący. Jeden z jej przeciwników po przegranym procesie powiedział: „To tak, jakby grać w tenisa z kimś, kto odbija wszystkie uderzenia. Zagrywasz swojego najlepszego spina – piłka wraca. Zagrywasz kończące uderzenie – piłka wraca. Wcześniej czy później ona każdego wdepcze w ziemię”.

Podobno Mary Warner została wybrana przez samego Jerrolda Goldberga, który mógł wskazać dowolnego prokuratora w tym kraju. Wolał ją od Jamesa Dowda i innych kandydatów, o których mówiło się na początku.

Był tam również Carl Monroe. Gdzie tłumy, tam i on. Dostrzegł mnie, ale nie podszedł. Rzucił mi tylko z drugiego końca sali swój firmowy uśmiech.

Gdybym nawet wcześniej się nie zorientował, jaką u niego zajmowałem pozycję, teraz wiedziałem to już na pewno. Objęcie posady komendanta rejonowego było moim ostatnim awansem. W ten sposób pokazali, że postąpili właściwie, powołując mnie do zespołu kryzysowego, uwiarygodnili swoją decyzję i zamknęli usta wszystkim, którzy mogliby mieć ochotę zadawać pytania na temat mojego postępowania w Miami.

Najważniejsza wieść, jaka krążyła po Waszyngtonie na kilka dni przed procesem, głosiła, że sekretarz skarbu Goldberg sam pracuje nad oskarżeniem. Poza tym głośno było o tym, że obrońcą został Anthony Nathan.

„Washington Post” nazwał kiedyś Nathana „sądowym wojownikiem ninja”. Odkąd wynajął go Soneji/Murphy, był regularnym bohaterem pierwszych stron gazet. Gary nie chciał ze mną o nim rozmawiać. Pewnego razu powiedział tylko: „Potrzebuję dobrego prawnika, prawda? Pan Nathan mnie przekonał. Ławę przysięgłych też przekona. Wiesz, Alex, on jest bardzo przebiegły”. Przebiegły?

Spytałem Gary'ego, czy Nathan jest równie inteligentny jak on sam. Uśmiechnął się i odparł: „Dlaczego ciągle mówisz, że jestem inteligentny, kiedy przecież nie jestem? Gdybym był inteligentny, czybym tutaj siedział?”.

Od wielu tygodni pozostawał wyłącznie Garym Murphym. Odmówił ponownego poddania się hipnozie.

Obserwowałem superadwokata Gary'ego, Anthony'ego Nathana, który dumnie paradował przed zgromadzoną publicznością. Nie ulegało wątpliwości, że ma zadatki na szaleńca. Słyszał z tego, że podczas przesłuchania potrafił doprowadzić do szału świadków oskarżenia. Czy Gary miał dostateczną przytomność umysłu, żeby świadomie wybrać Nathana? Co ich do siebie przyciągnęło?

W pewnym sensie stanowili naturalną parę – adwokat na granicy szaleństwa bronił innego szaleńca. Anthony Nathan oświadczył publicznie: „To będzie kompletne zoo. Zoo albo ewentualnie pokaz sprawiedliwości z pogranicza Dzikiego Zachodu! Daję państwu słowo. Można by na to sprzedawać bilety po tysiąc dolarów za miejsce”.

Kiedy wreszcie woźny stanął przed zgromadzeniem i nakazał spokój, serce zaczęło mi mocno bić.

Po drugiej stronie sali zauważyłem Jezzie. Jej ubiór odpowiadał wysokiemu stanowisku, jakie zajmowała w Secret Service: kostium w prążki, wysokie obcasy, czarna aktówka z błyszczącej skóry.

Z prawej strony dostrzegłem Katherine Rose i Thomasa Dunne'a. Ich obecność potęgowała tylko dziwną atmosferę. Nie mogłem uniknąć myśli o Charlesie i Anne Morrow Lindberghach oraz o słynnym procesie w sprawie porwania, który odbył się sześćdziesiąt lat wcześniej.

Sędzia Linda Kaplan miała reputację elokwentnej, energicznej kobiety, która nigdy nie daje prawnikom wejść sobie na głowę. Zasiadała w fotelu sędziowskim dopiero od pięciu lat, ale już zdążyła przewodniczyć kilku głośnym procesom. Często całe rozprawy spędzała na stojąco. Wszyscy wiedzieli, że na sali sądowej rządzi żelazną ręką.

Gary'ego Sonejiego/Murphy'ego wprowadzono po cichu, niemal ukradkiem. Już tam siedział. Robił wrażenie grzecznego i spokojnego. Tak jak zawsze Gary Murphy.

Na sali było obecnych paru znanych dziennikarzy, z których co najmniej kilku pracowało nad książkami o tym porwaniu.

Oba zespoły prawników wyglądały na dobrze przygotowane i pewne siebie, zupełnie jakby wygraną miały w kieszeni.

Rozprawa rozpoczęła się od niewielkiego przedstawienia. Siedząca na przodzie Missy Murphy zaczęła szlochać.

–Gary nikogo nie skrzywdził – powiedziała donośnym głosem. – Gary nigdy by nikomu nie zrobił krzywdy.

–Dajże spokój, kobieto! – krzyknął ktoś z publiczności. Sędzia Kaplan stuknęła młotkiem.

–Cisza na sali! Cisza! Dostyc tego. No i rzeczywiście dostyc.

Zaczęło się. Proces Gary'ego Sonejiego/Murphy'ego. Proces Stulecia.

Wydawało się, że wszystko jest w ciągłym mchu, w stanie ciągłego chaosu – a szczególnie moje związki ze śledztwem i procesem. Tamtego dnia po rozprawie zrobiłem jedyną rzecz, która miała dla mnie sens: pograłem z dziećmiakami w futbol.

Damon i Janelle byli jak dwa wulkany energii. Całe popołudnie rywalizowali o moją uwagę i przytłaczali mnie potrzebą miłości. Dzięki nim przestawałem myśleć o niemiłej perspektywie najbliższych kilku tygodni.

Wieczorem po kolacji zostałem wraz z babcią przy stole nad drugą filiżanką kawy z cykorią. Chciałem usłyszeć jej opinię. Wiedziałem, że i tak ją wygłosi. Przez cały posiłek ręce miała takie niespokojne jak Satchel Paige, kiedy zamierzał rzucić podkręconą piłkę.

–Alex, uważam, że musimy porozmawiać – powiedziała w końcu.

Kiedy Mama Nana ma coś do powiedzenia, najpierw zawsze milknie. A potem zaczyna mówić i mówić, czasem godzinami.

Dzieci były zajęte oglądaniem Koła fortuny w drugim pokoju. Teleturniejowe okrzyki stanowiły przyjemne domowe tło.

–O czym będziemy rozmawiać? – zapytałem. – Słuchaj, czy wiedziałaś, że obecnie co czwarte dziecko w Stanach Zjednoczonych żyje w nędzy? Niedługo będziemy stanowić moralną większość.

Jeszcze nie wiedziałem, co babcia zamierza powiedzieć, ale

była bardzo spokojna i zamyślona. Najwyraźniej przygotowywała się do tej przemowy. Wyraźnie to widziałem. Jej źrenice zmieniły się w dwa brązowe punkciki.

–Alex – zaczęła – ty wiesz, że w każdej ważnej sprawie jestem zawsze po twojej stronie.

–Odkąd tylko przyjechałem do Waszyngtonu z jednym workiem i bodajże siedemdziesięcioma pięcioma centami w kieszeni – odparłem.

Wciąż dokładnie pamiętałem, jak zostałem wysłany „na północ” do babci. Dzień, w którym przyjechałem pociągiem z Winston-Salem na Union Station. Moja matka właśnie umarła na raka. Ojciec nie żył od roku. Babcia zabrała mnie na lunch do baru Morrison's. Wtedy po raz pierwszy w życiu jadłem w restauracji.

Regina Hope wzięła mnie do siebie, kiedy miałem dziewięć lat. Na Mamę Nanę mówiono wtedy „The Queen of Hope”, królowa nadziei. Pracowała tu w mieście jako nauczycielka. Zbliżała się do pięćdziesiątki, a dziadek już nie żył. Moi trzej bracia przyjechali w okolice Waszyngtonu mniej więcej w tym samym czasie. Mieszkali u różnych krewnych, aż skończyli osiemnaście lat. Ja cały czas mieszkałem u babci.

To właśnie ja miałem najwięcej szczęścia. Czasami Mama Nana potrafiła być absolutną jędzą, ponieważ wiedziała, co dla mnie dobre. Widziała już wcześniej takich jak ja. Znała mojego ojca, na dobre i na złe. Kochała moją matkę. Babcia była i jest zdolnym psychologiem. Nazwałem ją Mamą Naną, kiedy miałem dziesięć lat. Była mi już wtedy i babcią, i matką.

Teraz złożyła ręce na piersiach. Żelazna wola.

–Alex, obawiam się, że dręczą mnie pewne negatywne myśli na temat związku, w który się zaangażowałeś – oznajmiła.

–Możesz mi powiedzieć dlaczego?

–Mogę. Po pierwsze dlatego, że Jezzcie jest biała, a ja nie ufam większości białych. Chciałabym, ale nie mogę. Większość z nich zupełnie nas nie szanuje. Kłamią nam w żywe oczy. Taki mają sposób bycia, w każdym razie wobec ludzi, których nie uważają za równych sobie.

–Brzmisz jak uliczna rewolucjonistka. Jak Farrakhan albo Sonny Carson – powiedziałem.

Zacząłem sprzątać stół. Zebrałem talerze i sztucce, żeby je włożyć do starego, porcelanowego zlewu.

–Nie jestem z tego dumna, ale nic nie poradzę, że tak właśnie myślę – odparła Mama Nana, wodząc za mną wzrokiem.

–A więc to jest wina Jezzcie? Że jest biała?

Babcia zaczęła się wiercić na krześle. Poprawiła okulary, które miała zawieszona na szyi.

–Jej wina jest taka, że za tobą chodzi. Ona by ci chętnie pozwoiliła zmarnować karierę w policji, wszystko, co tutaj robisz na południowym wschodzie. Wszystko, co dobre w twoim życiu. Damona i Jannie.

–Nie widzę, żeby Damonowi i Janelle działa się jakaś krzywda – odparłem.

Zaczynałem podnosić głos.

Stałem na środku kuchni ze stosem brudnych talerzy w rękach.

Babcia grzmotnęła dłonią, w drewnianą poręcz krzesła.

–Do cholery, Alex, to tylko dlatego, że masz klapki na oczach. Ty jesteś dla nich całym światem. Damon się boi, że go po prostu zostawisz.

–Te dzieci denerwują się tylko wtedy, kiedy ty je zdenerwujesz – powiedziałem to, co czułem. Uważałem, że to prawda.

Mama Nana oparła się na krześle. Z jej ust dobiegł cichutki dźwięk. Czysty żal.

–Jak możesz coś takiego mówić? Chronię te dzieci tak samo, jak chroniłam ciebie. Całe życie dbam o innych ludzi. Ja nikogo nie krzywdzę, Alex.

–Mnie właśnie zraniłaś – odparłem. – I dobrze o tym wiesz. Wiesz, ile dla mnie znaczą te dzieci.

Babcia miała łzy w oczach, ale twardo obstawała przy swoim. Patrzyła mi prosto w twarz. Nasza miłość jest trudna, bezkompromisowa. Zawsze tak było.

–Nie chcę, żebyś mnie później przeproszał. Nie obchodzi mnie, że po tym, co mi właśnie powiedziałaś, będziesz miał

poczucie winy. Obchodzi mnie to, że jesteś winny. Rzucasz wszystko dla związku, który nie może się udać.

Mama Nana wstała od stołu i poszła na górę. Koniec rozmowy. Ot tak. Ona już postanowiła.

Czy rzeczywiście poświęcałem wszystko, żeby być z Jezzie? Czy był to związek, który nie mógł się udać? Na razie nie miałem jak tego stwierdzić. Musiałem się sam przekonać.

Rozdział 59

W procesie Sonejiego/Murphy'ego zaczęła zeznawać plejada ekspertów medycznych. Opinie przedstawiali asystenci badawczy, niektórzy zdecydowanie zbyt ekstrawaganccy jak na naukowców. Specjaliści ze szpitala imienia Waltera Reeda, z więzienia Lorton, z wojska, z FBI.

Pokazywano zdjęcia i schematy formatu metr dwadzieścia na metr osiemdziesiąt, objaśniano je aż nazbyt szczegółowo. Na upiornych tablicach, które zdominowały pierwszy tydzień procesu, w kółko powracano na miejsca zbrodni.

Z pomocą ośmiu różnych psychologów i psychiatrów strona oskarżenia budowała twierdzenie, że Gary Soneji/Murphy był całkowicie świadom swoich czynów, że był wykolejonym psychopata, że postępował racjonalnie, z zimną krwią i pełną przytomnością umysłu.

Określono go mianem „geniusza zbrodni”, człowieka pozbawionego sumienia, wybitnego aktora, „godnego Hollywood”, który dzięki swym zdolnościom zmanipulował i oszukał tak wielu ludzi.

Ale Gary Soneji/Murphy faktycznie świadomie i z premedytacją porwał dwoje dzieci oraz co najmniej jedno z nich, a być może oboje, zamordował, podobnie jak zamordował innych – co najmniej pięć osób, może więcej. Był ludzkim potworem, który nawiedza nasze koszmary... Tak stwierdzili wszyscy eksperci oskarżenia.

269

Pewnego dnia ordynator oddziału psychiatrycznego szpitala imienia Waltera Reeda zeznawała przez prawie całe popołudnie. Rozmawiała z Garym Murphym kilkanaście razy. Na wstępie doktor Maria Ruocco szczegółowo opisała jego traumatyczne dzieciństwo w Princeton oraz lata młodości naznaczone wybuchami brutalnej agresji wobec osób i zwierząt. Następnie poproszono ją o ocenę psychiatryczną Gary'ego Murphy'ego.

–Widzę w nim niebezpiecznego psychopatę. Uważam, że Gary Murphy jest w pełni świadom wszystkich swoich czynów. Absolutnie nie wierzę, żeby miał rozszerzenie osobowości.

W ten właśnie sposób Mary Warner każdego dnia umiejętnie budowała oskarżenie. Podziwiałem jej dokładność, a także zrozumienie procesu psychiatrycznego. Składała przed sędzią i przysięgłymi bardzo skomplikowaną układankę. Rozmawiałem z nią kilka razy – była dobra.

Kiedy skończy, przysięgli będą mieli w głowach niezwykle dokładny obraz... umysłu Gary'ego Sonejiego/Murphy'ego.

Każdego dnia skupiała się na innym elemencie. Prezentowała go. Wyczerpująco omawiała. Następnie umieszczała w układance.

Szczegółowo objaśniała związek tego elementu ze wszystkim, co zostało do tej pory powiedziane. Raz czy dwa publiczność nagrodziła brawami elokwentną prokurator i jej imponującą przemowę.

Dokonała tego wszystkiego, mimo że Anthony Nathan zgłaszał sprzeciw praktycznie wobec wszystkiego, co starała się powiedzieć.

Stanowisko obrony było proste i Nathan nie odstąpił od niego ani na chwilę: Gary Murphy był niewinny, ponieważ nie popełnił żadnej zbrodni.

Zrobił to Gary Soneji.

Anthony Nathan przechadzał się przed całą salą tym swoim charakterystycznym, dumnym krokiem. Miał na sobie garnitur za piętnaście tysięcy dolarów, ale wyglądało na to, że bynajmniej nie czuł się w nim komfortowo. Garnitur był dobrze

skrojony, ale Nathan miał koszmarną figurę. Równie dobrze można by próbować ubrać drabinki na placu zabaw.

–Nie jestem miłym człowiekiem – oświadczył Anthony Nathan w poniedziałek, na początku drugiego tygodnia procesu, stojąc przed ławą przysięgłych, która składała się z siedmiu kobiet i pięciu mężczyzn. – W każdym razie na sali sądowej. Ludzie mówią, że cały czas się szyderczo uśmiecham. Że jestem napuszony. Że jestem nieznośnym egocentrykiem. Że nie można ze mną wytrzymać dłużej niż sześćdziesiąt sekund. To wszystko prawda – oznajmił swym urzeczonym słuchaczom. – To prawda. I właśnie dlatego czasami wpędzam się w kłopoty. Mam obsesję na punkcie mówienia prawdy. Ja absolutnie nie mam cierpliwości do półprawd. I nigdy nie podjąłem się sprawy, w której nie mógłbym powiedzieć całej prawdy. Moja obrona Gary'ego Murphy'ego jest prosta. Możliwe, że nigdy jeszcze nie przedstawiłem żadnej ławie przysięgłych obrony równie prostej i niekontrowersyjnej. Panie i panowie, to jest sama prawda. Czerń i biel. Wysłuchajcie mnie,

proszę. Pani Warner wraz z zespołem rozumie, jak silna jest ta obrona, i właśnie dlatego przedstawiła wam więcej faktów niż Komisja Warrena, udowadniając dokładnie tyle samo – KOMPLETNIK NIC. Gdyby przesłuchać panią Warner i gdyby zeznała zgodnie z prawdą, sama by wam to powiedziała. A wtedy moglibyśmy wszyscy pójść do domu. Prawda, że miło by było pójść do domu? Prawda.

W kilku miejscach sali ktoś zachichotał. Jednocześnie część przysięgłych coraz bardziej się nachylała, żeby lepiej słyszeć i widzieć. Za każdym razem, gdy Nathan ich mijał, był o pół kroku bliżej.

–Kilka osób zapytało mnie, dlaczego podjąłem się tej sprawy. Powiedziałem im, równie szczerze, jak teraz mówię wam, że dowody w tej sprawie zapewniają obronie zwycięstwo. Sama prawda przemawia na korzyść obrony z przygniatającą siłą. Wiem, że mi w tej chwili nie wierzycie. Ale uwierzycie. Uwierzycie. Oto oszałamiający fakt: pani Warner nie chciała, żeby ta sprawa już teraz trafiła przed sąd. To jej szef, sekretarz skarbu, sprawił, że proces rozpoczął się tak szybko. Nigdy

jeszcze tryby wymiaru sprawiedliwości nie obracały się w podobnym tempie. Dla was albo dla waszej rodziny nigdy by się równie szybko nie obracały. Ale w tej konkretnej sprawie, ze względu na rozmiar cierpienia pana Goldberga i jego rodziny, zaczęły pracować z niezwykłą szybkością. Ze względu na nich, a także na rodzinę Katherine Rose Dunne, sławną, bogatą i bardzo wpływową. Oni także chcą, żeby to cierpienie wreszcie się zakończyło. Kto ich może za to winić? Na pewno nie ja. Ale **NIE KOSZTEM ŻYCIA NIEWINNEGO CZŁOWIEKA!** Ten człowiek, Gary Murphy, nie zasłużył na to, żeby cierpieć razem z nimi.

Nathan podszedł teraz do miejsca, gdzie siedział Gary. Blondwłosy, wysportowany Gary Murphy, który wyglądał jak dorosły harcerz.

–Ten mężczyzna jest równie dobrym człowiekiem jak wszyscy na tej sali. I ja wam to udowodnię. Gary Murphy to dobry człowiek. Zapamiętajcie to. Oto kolejny fakt. Jeden z dwóch, zaledwie dwóch faktów, które chciałbym, żebyście zapamiętali. Drugim faktem jest to, że Gary Soneji jest szalony. Muszę wam się do czegoś przyznać. Ja też jestem trochę szalony. Tylko trochę. Pewnie to już zauważyliście. No więc Gary Soneji **JEST STO RAZY BARDZIEJ SZALONY NIŻ JA.** Gary Soneji to najbardziej szalony człowiek, jakiego kiedykolwiek poznałem. Bo ja poznałem Gary'ego Sonejiego. I wy go też poznacie. Ja wam to obiecuję. Wszyscy poznacie pana Sonejiego, a wtedy nie będziecie w stanie skazać Gary'ego Murphy'ego. Polubicie Gary'ego Murphy'ego, zaczniecie mu kibicować w jego osobistej walce z Sonejim. Gary Murphy nie może zostać skazany za morderstwo i porwanie... Tych zbrodni dokonał Gary Soneji...

Anthony Nathan zaczął powoływać kolejnych świadków, którzy mieli określić charakter oskarżonego. Co ciekawe, byli wśród nich nauczyciele ze szkoły imienia Waszyngtona, a nawet kilku uczniów. Byli też sąsiedzi Murphych z Delaware.

Nathan wobec wszystkich świadków był łagodny i zawsze elokwentny. Zdawali się go lubić i mu ufać.

–Czy może się pani wszystkim przedstawić?

–Doktor Nancy Temkin.

–Pani zawód?

–Uczę plastyki w szkole podstawowej imienia Jerzego Waszyngtona.

–Czy znała pani ze szkoły Gary'ego Sonejiego?

–Tak.

–Czy podczas swej pracy w szkole imienia Waszyngtona Gary Soneji był dobrym nauczycielem? Czy kiedykolwiek zaobserwowała pani coś, co nasunęło pani myśl, że nie jest dobrym nauczycielem?

–Nie, nigdy. Był bardzo dobrym nauczycielem.

–Dlaczego pani tak uważa?

–Ponieważ miał pasję do przedmiotu, którego uczył, a także potrafił się świetnie porozumieć z uczniami. Był ich ulubionym nauczycielem. Miał przydomek „Pan Procesorek”.

–Usłyszała pani opinię kilku specjalistów z zakresu medycyny, że jest niepoczytalny. Że ma rozszczepienie osobowości. Co pani myśli o takim stwierdzeniu?

–Szczerze mówiąc, jest to jedyne wytłumaczenie, które pozwoliłoby mi zrozumieć to, co się stało.

–Pani doktor, wiem, że w tych okolicznościach jest to trudne pytanie, ale czy oskarżony był pani przyjacielem?

–Tak. Był moim przyjacielem.

–Czy wciąż jest pani przyjacielem?

–Chcę, żeby Gary otrzymał pomoc, której potrzebuje.

–I ja również – powiedział Nathan. – Ja również.

Anthony Nathan przypuścił pierwszy prawdziwy atak w piątek, pod koniec drugiego tygodnia procesu. Był on równie dramatyczny, co nieoczekiwany. Zaczęło się od narady Nathana i Mary Warner z sędzią Kaplan.

W trakcie narady Mary Warner podniosła głos, co zdarzyło jej się w ciągu całego procesu zaledwie kilka razy.

–Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Wyrażam sprzeciw wobec tego taniego chwytu. To jest tani chwyt!

Na sali zawrzało. Dziennikarze w pierwszym rzędzie byli w pełnej gotowości.

Sędzia Kaplan najwyraźniej przychyliła się do wniosku obrony.

Mary Warner wróciła na swoje miejsce, ale straciła nieco panowanie nad sobą.

–Dlaczego nikt nas o tym wcześniej nie poinformował? –

zawołała. – Dlaczego nie było o tym mowy na rozprawie

wstępnej?

Nathan uniósł ręce i sam uciszył salę. Następnie przedstawił wszystkim tę sensacyjną wiadomość.

–Powołuję doktora Alexa Crossa na świadka obrony.

Powołuję go jako świadka wrogiego i niechętnego do współpracy, tym niemniej jako świadka obrony.

To ja byłem tym „chwytym”.

Część czwarta

Pamiętamy Maggie Rose

Rozdział 60

–Tatusiu, obejrzyjmy ten film jeszcze raz – poprosił Damon. – Poważnie mówię.

–Cicho. Obejrzymy wiadomości – odparłem. – Może się z nich dowiesz, że świat nie kończy się na Batmanie.

–Ale film jest śmieszny – Damon próbował mi przemówić do rozsądku.

Wtedy zdradziłem mu pewien sekret:

–Wiadomości też.

Nie przyznałem mu się natomiast, że byłem niesamowicie spięty poniedziałkowymi zeznaniami w charakterze świadka obrony.

Tamtego wieczoru zobaczyłem w wiadomościach informację o tym, że Thomas Dunne zamierza kandydować do Senatu z Kalifornii. Czy próbował powrócić do normalnego życia? A może sam był jakoś zamieszany w porwanie? Teraz nie wykluczałem już żadnej ewentualności. Reagowałem paranoicznie na zbyt wiele kwestii, które wiązały się z tą sprawą. Czy ta wiadomość miała drugie dno? Dwukrotnie składałem wnioski o zezwolenie na wyjazd do Kalifornii celem zbadania sprawy. Obie prośby zostały odrzucone. Pomagała mi Jezzie. Znała kogoś w Kalifornii, ale jak na razie niczego się nie dowiedzieliśmy.

Obejrzeliliśmy wiadomości we trójkę, leżąc przytuleni na podłodze w pokoju dziennym. Wcześniej po raz dziesiąty,

dwunasty, a może i dwudziesty zaliczyliśmy Gliniarza w przedszkolu.

Moje dzieci uważały, że to ja tam powinienem grać zamiast Schwarzeneggera. Moim zdaniem Arnold stawał się całkiem niezłym aktorem komediowym. A może po prostu wołałem go od kolejnego seansu Benji albo Zakochanego kundla.

Babcia siedziała w kuchni i grała w karty z ciotką Tią. Słuchawka telefonu ściennego dyndała na sznurze – tylko w ten sposób mogliśmy się uwolnić od

dziennikarzy i innych zrząd.

Wszystkie rozmowy telefoniczne, jakie odbyłem tamtego wieczoru z przedstawicielami prasy, wcześniej czy później sprowadzały się do tych samych pytań. Czy jestem w stanie wprowadzić Sonejiego/Murphy'ego w stan hipnozy na sali sądowej pełnej ludzi? Czy Soneji kiedykolwiek powie, co się stało z Maggie Rose Dunne? Czy uważam, że jest szaleńcem lub socjopatą? Nie udzielałem żadnych komentarzy.

Około pierwszej w nocy zabrzmiał dzwonek do drzwi. Babcia już dawno poszła na górę. Janelle i Damona położyłem spać około dziewiątej. Wcześniej przeczytaliśmy kolejny fragment magicznej książki Davida Macaulaya *Black and White*.

Wszedłem do ciemnej jadalni i odsunąłem perkalowe zasłony. To Jezzcie. Przyjechała punktualnie.

Wszedłem na werandę i przytuliłem ją na powitanie.

–Chodźmy – szepnęła.

Miała plan. Mówiła, że ten plan polega na „braku planu”, ale w przypadku Jezzcie to rzadko kiedy okazywało się prawdą.

Tamtej nocy motocykl Jezzcie naprawdę pochłaniał drogę. Mijaliśmy samochody, jakby stały w miejscu, zamrożone w czasie i przestrzeni. Przemykaliśmy obok ciemnych domów, trawników i całej reszty świata. Na trzecim biegu. Na luzie.

Czekałem, aż wrzuci czwarty, a potem piąty. Bmw mrucało miarowo. Samotny reflektor rozcinał szosę zachęcającym światłem.

Jezzcie często i z łatwością zmieniała pasy. Wrzuciła czwórkę,

następnie piątkę. Czysta prędkość. Na George Washington Parkway jechaliśmy sto dziewięćdziesiąt na godzinę. Potem, na drodze numer 95 – dwieście dziesięć. Kiedyś Jezzie powiedziała mi, że kiedy wyjeżdża motorem, zawsze rozpędza go przynajmniej do stu sześćdziesięciu. Wierzyłem jej.

Gnaliśmy przez czas i przestrzeń, aż wreszcie wylądowaliśmy na zaniedbanej stacji benzynowej Mobil w miasteczku Lumberton w Karolinie Północnej.

Dochodziła szósta rano. Pracownik stacji pewnie jeszcze nigdy nie widział podobnych wariatów. Czarny facet. Biała blondynka. Wielki motor. Oj, będzie się działo.

Zresztą on sam też był jakiś taki dziwny. Miał koło dwudziestki, na kolanach ochraniacze, jakich używają deskorolkarze, nałożone na dżinsowe farmerki, a na głowie – postawioną na żel „skaterską” fryzurę, która nie dziwiłaby na plaży w Kalifornii, ale w tej części kraju mogła zaskakiwać. Jak to się stało, że taka moda tak szybko dotarła do Lumberton w Karolinie Północnej? Czy to po prostu szaleństwo unosiło się w powietrzu? Wolny przepływ myśli?

–Dzień dobry, Rory – Jezzie uśmiechnęła się do chłopaka.

Wyjrzała spomiędzy dwóch dystrybutorów i puściła do mnie oko.

–Rory pracuje tu na nocnej zmianie. Przy tej drodze nie ma żadnej stacji w promieniu osiemdziesięciu kilometrów. –

Jezzie ściszyła głos. – Rory handluje tutaj różnymi dopalaczami. Dostaniesz u niego wszystko, co pomoże przetrwać noc.

Amfa, diazepam...

Zaczynała przeciągać samogłoski jak południowcy, co brzmiało całkiem ładnie. Miała rozwiane włosy i to także mi się podobało.

–Ecstasy, metamfetamina... – kontynuowała recytowanie menu.

Rory pokręcił głową, jakby była szalona. Widziałem, że ją lubi. Odgarnął z oczu wyimaginowany kosmyk.

–O rany, rany – powiedział. Elokwentny młody człowiek.

–Nie martw się Alexem – Jezzie ponownie uśmiechnęła

się do chłopaka. Przez te nażelowane włosy był z osiem centymetrów wyższy. – Jest w porządku. To tylko jeszcze jeden gliniarz z Waszyngtonu.

–O rany! Jezzie, niech cię cholera! Jezu, ty i ci twoi kumple gliniarze.

Rory obrócił się na pięcie, jakby go przypalali pochodnią. Pracując na nocnej zmianie przy drodze międzystanowej, na pewno napatrzył się na wielu świrów. A my dwoje bez wątplenia byliśmy ześwirowani. O czym tu mówić. Jacy inni kumple gliniarze?

Niecały kwadrans zbliżaliśmy się do domku nad jeziorem, który należał do Jezzie. Miał stromy, dwuspadowy dach i stał tuż nad samą wodą, otoczony jodłami i brzoza. Pogoda była niemal idealna. Bardzo spóźnione babie lato. Globalne

ocieplenie robi swoje.

–Nie mówiłaś mi, że należysz do posiadaczy ziemskich – powiedziałem, kiedy mknęliśmy malowniczą krętą drogą w stronę domku.

–Bynajmniej. Mój dziadek zapisał ten dom mojej matce. Dziadzius był miejscowym łajdakiem i złodziejem. Jako jedyny w naszej rodzinie dorobił się jakichś pieniędzy. Wygląda na to, że przestępstwo popłaca.

–Tak mówią.

Zeskoczyłem z motoru i natychmiast rozprostowałem plecy, a potem nogi. Weszliśmy do domku. Drzwi były niezamknięte, co pobudziło nieco moją wyobraźnię.

Jezzie zajrzała do lodówki, która okazała się świetnie zaopatrzona. Włączyła kasetę Bruce'a Springsteena, po czym wyszła na dwór.

Ruszyłem za nią. Zeszliśmy nad lśniąca, ciemnogrnatową tafłę wody. Zbudowano tam nową przystań. Wąska kładka prowadziła do szerszego pomostu z przymocowanymi krzesłami i stolikiem. Z domku dobiegały dźwięki albumu *Nebraska*.

Jezzie ściągnęła buty oraz podkolanówki w niebieskie prążki. Zanurzyła stopę w idealnie nieruchomej wodzie.

Miała długie, pięknie wyrzeźbione nogi. Jej stopy również były długie, zgrabne, tak piękne, jak tylko stopy mogą być.

Przez chwilę przypominała mi panie uczęszczające na Uniwersytet Florydy, Miami, Karoliny Południowej, Vanderbilta. Nie znalazłem takiej części jej ciała, która nie byłaby wyjątkowa.

–Możesz wierzyć albo nie, ale woda ma dwadzieścia pięć stopni – powiedziała z szerokim uśmiechem.

–Dokładnie? – spytałem.

–Na to wygląda. Co do kreski. No to co, skaczesz czy płaczesz?

–Ale co powiedzą sąsiedzi? Nie zabrałem kąpielówek. Ani niczego innego.

–Przecież taki był właśnie plan: żadnego planu. Cała sobota bez planu. Ani słowa o rozprawie. Żadnych wywiadów. Żadnych ataków ze strony Dunne'ów. Tak jak w tym tygodniu, kiedy Thomas Dunne wystąpił u Larry'ego Kinga. Znowu narzekał na śledztwo i rzucał moim nazwiskiem na prawo i lewo. No i ani słowa o dołującej sprawie porwania. Po prostu ty i ja na kompletnym odludziu.

–Ładnie brzmi – odparłem. – Na kompletnym odludziu...

Rozejrzałem się dookoła. Powiodłem wzrokiem wzdłuż linii, którą wyznaczały czubki jodeł stykające się z czystym błękitem nieba.

–W takim razie od dzisiaj to miejsce tak się nazywa. Na Kompletnym Odludziu w stanie Karolina Północna.

–Ale naprawdę, Jez, co z sąsiadami? Tutaj jest Południe.

Uśmiechnęła się.

–Spokojnie, Alex, w promieniu paru kilometrów nie ma tutaj żywej duszy. Żadnych domów, słowo. Poza tym o tej godzinie mogliby wstać tylko wędkarze.

–Prowincjonalnych wędkarzy też nie chcę spotkać – odparłem. – Mogą mnie wziąć za czarnego okonia. Czytałem *Wybawienie* Jamesa Dickeya.

–Wędkarze chodzą nad południowy kraniec jeziora. Alex, zaufaj mi. Daj, rozbiore cię. Od razu ci będzie wygodniej.

–Nawzajem się rozbierzmy.

Wreszcie skapitulowałem. Podałem się Jezzie, poddałem się powolnemu rytmowi tego idealnego poranka.

Rozebraliśmy się nawzajem na pomoście. Słońce było ciep-

lutkie, na nagiej skórze czuliśmy powiew wietrzyka znad jeziora.

Zamoczyłem stopę, wraz z moją własną kształtną łydką, żeby samemu sprawdzić temperaturę wody. Jezzie ani trochę nie przesadzała.

–Przecież bym cię nie okłamała. Jeszcze nigdy cię nie okłamałam – powiedziała z uśmiechem.

Zaraz potem perfekcyjnie zanurkowała, prawie w ogóle nie rozpryskując wody.

Skoczyłem w ślad za nią, jeszcze nim rozmyły się bąbelki. Płynąc przez szmaragdową głębię, myślałem: czarny mężczyzna i piękna biała kobieta razem w jeziorze.

W samym środku Południa. W Roku Pańskim tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim.

Byliśmy nierozważni, a może i troszeczkę szaleni.

Czy postępowaliśmy niewłaściwie? Niektórzy na pewno by tak powiedzieli, albo przynajmniej pomyśleli. Ale dlaczego? Czy będąc razem, robiliśmy komukolwiek krzywdę?

Woda tuż pod powierzchnią była ciepła, ale dwa metry głębiej – dużo chłodniejsza. Pewnie do jeziora wpadał jakiś strumyk. Będąc blisko dna, na torsie i genitaliach czułem ruch mocnych prądów głębinowych.

Nagle do głowy przyszła mi pewna myśl: Czy to możliwe, że zakochujemy się w sobie na poważnie? Czy to jest właśnie to, co teraz czuję? Wypłynąłem zaczerpnąć powietrza.

–Dotknąłeś dna? Zawsze za pierwszym razem trzeba dotknąć dna.

–A jak nie, to co? – zapytałem.

–A jak nie, to się jest paskudnym tchórzem i tego samego dnia albo się utonie, albo zaginie w lesie. To nie bajka. Na Kompletnym Odludziu już wiele razy widziałam takie przypadki.

Bawiliśmy się w jeziorze jak dzieci. Oboje ciężko pracowaliśmy. Za ciężko – przez niemal rok.

Na pomost można było łatwo wrócić po cedrowej drabinie. Musiała być zrobiona bardzo niedawno – wciąż jeszcze czuć było świeżość drewna. Brakowało również jakichkolwiek

drzazg. Ciekawe, czy zrobiła ją Jezzie na urlopie tuż przed porwaniem.

Trzymaliśmy się drabiny i siebie nawzajem. Gdzieś na jeziorze zakwakały kaczki. Zabawnie to brzmiało. Na powierzchni wody pojawiały się zaledwie drobniutkie zmarszczki. Małeńkie fale tańczyły Jezzie wokół szyi.

–Kocham cię, kiedy taki jesteś. Robisz się taki wrażliwy – powiedziała. – Wreszcie jesteś sobą.

–Tak długo wszystko dla mnie było nierzeczywiste – odparłem. – Porwanie. Poszukiwanie Sonejiego. Proces w Waszyngtonie.

–Ale teraz tylko to jest rzeczywiste. Strasznie lubię z tobą być.

Jezzie oparła mi głowę na torsie.

–Strasznie lubisz?

–Tak, strasznie lubię. Widzisz, jakie to wszystko może być nieskomplikowane? – ruchem dłoni pokazała malownicze jezioro i otaczający je jodłowy las. – Nie rozumiesz? To jest takie naturalne. Będzie dobrze, przysięgam. Nigdy nie staną między nami żadni wędkarze.

Jezzie miała rację. Po raz pierwszy od bardzo dawna czułem, że wszystko może się udać. Wszystko od tej chwili. Tutaj wszystko było tak wyciszone, tak proste i tak dobre, jak tylko mogło być. Chcieliśmy, żeby ten weekend nigdy się nie skończył.

Rozdział 61

–Jestem detektywem z wydziału zabójstw waszyngtońskiej policji, w randze komendanta rejonowego. Czasem przydziela mi się sprawy brutalnych zabójstw, w których istotne znaczenie mają kwestie psychologiczne.

Oznajmiłem to pod przysięgą w zatłoczonej, cichej, pełnej napięcia sali sądowej w Waszyngtonie. Był poniedziałkowy poranek. Miałem wrażenie, że weekend skończył się wieki temu. Po głowie zaczął mi ściekać pot.

–Czy może nam pan powiedzieć, dlaczego jest przydzielany do spraw związanych z problemami psychologicznymi? – spytał Anthony Nathan.

–Ponieważ jestem nie tylko policjantem, ale także psychologiem. Zanim wstąpiłem do policji, prowadziłem prywatną praktykę – odparłem. – Wcześniej pracowałem natomiast w rolnictwie. Przez rok byłem wędrownym robotnikiem rolnym.

–Na jakiej uczelni zrobił pan dyplom? – Nathanowi nic nie mogło przeszkodzić w przedstawieniu mnie jako cholernie imponującego faceta.

–Jak pan już wie, mecenasie, zrobiłem doktorat na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa.

–Czyli w jednej z najlepszych uczelni w kraju, a już na pewno w tej części kraju – dodał.

–Sprzeciw. To jest opinia pana Nathana – zgłosiła rozsądne zastrzeżenie Mary Warner.

Sędzia Kaplan podtrzymała sprzeciw.

–Publikował pan także artykuły w „Psychiatry Archives” oraz w „American Journal of Psychiatry” – ciągnął Nathan, jakby uwagi Mary Warner i sędzi Kaplan były nieistotne.

–Rzeczywiście, napisałem kilka artykułów. Ale to naprawdę nic wielkiego, mecenasie. Wielu psychologów publikuje.

–Ale nie w „Journalu” i „Archives”, doktorze. Jaki był temat tych uczonych artykułów?

–Pisuję o umyśle przestępcy. Znam wystarczająco dużo trzy- i czterosylabowych wyrazów, żeby kwalifikować się do tak zwanych uczonych czasopism.

–Doprawdy podziwiam pańską skromność. Proszę mi coś powiedzieć, doktorze. Obserwuje mnie pan od kilku tygodni. Jak by pan określił moją osobowość?

–Musielibyśmy się spotkać na kilku prywatnych sesjach, mecenasie. Obawiam się, że nie byłoby pana stać na tę terapię.

Sala wybuchła śmiechem. Nawet sędzia Kaplan wydawała się zadowolona z tej rzadkiej chwili wesołości.

–Niech pan zaryzykuje przypuszczenie – ciągnął Nathan. – Wszystko zniosę.

Szybko myślał i był niesamowicie pomysłowy. Na wstępie zademonstrował, że jestem niezależnym świadkiem, a nie „ekspertem” na jego usługach.

–Jest pan neurotykiem – odparłem z uśmiechem. –

I przypuszczalnie krętaczem.

Nathan spojrzał na przysięgłych i uniósł ręce do góry.

–Przynajmniej jest szczery. Nawet jeśli nic innego mi z tego nie przyjdzie, to chociaż załapałem się na darmową psychoanalizę.

Przysięgli znowu się roześmiali, jednak tym razem miałem wrażenie, że część z nich zmienia nastawienie do Anthony'ego Nathana, a może również do jego klienta.

Na początku szczerze go nie lubili. Teraz zaczęli dostrzegać, że jest ujmujący i bardzo, naprawdę bardzo błyskotliwy. Wykonywał dla swego klienta profesjonalną, może nawet genialną robotę.

–Ile sesji odbył pan z Garym Murphym? – spytał mnie.

Z Garym Murphym, nie Sonejim.

–W ciągu trzech i pół miesiąca spotkałem się z nim piętnaście razy.

–Domyślam się, że to wystarczyło do wyrobienia sobie pewnych opinii?

–Psychiatria nie jest tak ścisłą nauką. Chciałbym odbyć więcej sesji. Mam jedynie kilka wstępnych opinii.

–Mianowicie? – spytał Nathan.

–Sprzeciw! – Mary Warner znów się podniosła. Ta kobieta nie próżnowała. – Detektyw Cross właśnie powiedział, że celem sformułowania ostatecznej oceny medycznej musiałby odbyć więcej sesji.

–Oddalam – odparła sędzia Kaplan. – Detektyw Cross stwierdził również, że ma

wstępne spostrzeżenia. Chciałabym je poznać.

–Doktorze – ciągnął Nathan, jak gdyby nikt mu w ogóle nie przerywał – w przeciwieństwie do innych psychiatrów i psychologów, którzy spotykali się z Garym Murphym, pan był od samego początku osobiście zaangażowany w tę sprawę, zarówno jako policjant, jak i psycholog.

Prokurator znów przerwała Nathanowi. Zaczynała tracić cierpliwość.

–Wysoki Sądzie, czy pan Nathan zamierza zadać jakieś pytanie?

–Czy zamierza pan?

Anthony Nathan spojrział na Mary Warner i pstryknął palcami.

–Pytanie? Proszę bardzo.

Ponownie przeniósł wzrok na mnie.

–Czy jako policjant od samego początku zaangażowany w tę sprawę, a także jako wykształcony psycholog, mógłby pan podzielić się z nami swoją zawodową opinią na temat Gary'ego Murphy'ego?

Spojrzałem na Murphy'ego/Sonejiego. W tej chwili wyglądał jak Gary Murphy. Jak sympatyczny, porządny człowiek,

uwięziony w najgorszym koszmarze, jaki można sobie wyobrazić.

–Moje pierwsze odczucia i wrażenia były czysto ludzkie. Dokonane przez nauczyciela porwanie mną wstrząsnęło – zacząłem odpowiedź. – To przykład daleko idącego naruszenia zaufania. Później było już tylko gorzej. Na własne oczy widziałem zmasakrowane ciało Michaela Goldberga. Nigdy tego nie zapomnę. Rozmawiałem z państwem Dunne'ami o ich córeczce. Mam wrażenie, że poznałem Maggie Rose Dunne. Widziałem też ofiary morderstw w domu Turnerów i Sandersów.

–Sprzeciw! – Mary Warner znów zerwała się na nogi. – Sprzeciw!

–Po panu bym się tego nie spodziewała – sędzia Kaplan zmierzyła mnie chłodnym wzrokiem. – Proszę wykreślić z protokołu. Poucza się przysięgłych, żeby zignorowali stwierdzenie detektywa Crossa. Nie ma żadnych dowodów, że oskarżony był w, jakkolwiek sposób powiązany ze wspomnianymi wydarzeniami.

–Prosił mnie pan, żebym odpowiedział szczerze – zwróciłem się do Nathana. – Chciał się pan dowiedzieć, jakie jest moje zdanie. I taką odpowiedź pan właśnie otrzymuje.

Nathan podszedł do ławy przysięgłych, kiwając głową. Następnie odwrócił się w moją stronę.

–No dobrze, dobrze. Jestem pewien, że możemy liczyć z pana strony na absolutną szczerść. Czy mi się to podoba, czy nie. I bez względu na to, czy to się podoba Gary'emu Murphy'emu. Jest pan niezwykle szczerym człowiekiem. Nie będę przerywał pana szczerych opinii, o ile tylko oskarżenie też ich nie będzie przerywało. Proszę mówić dalej.

–Chciałem złapać porywacza za wszelką cenę. Wszyscy w zespole kryzysowym tego chcieliśmy. Dla większości z nas sprawa stała się bardzo osobista.

–Naprawdę nienawidził pan porywacza. Chciał pan, żeby osobę, która się tego dopuściła, spotkała najwyższa kara przewidziana przez prawo?

–Chciałem. Wciąż chcę – odrzekłem.

–Był pan przy zatrzymaniu Gary'ego Murphy'ego. Został mu postawiony zarzut dokonania tej zbrodni. Później spotkał się pan z nim wiele razy. Co pan myśli o Garym Murphym w tej chwili?

–Szczerze powiedziawszy, w tej chwili już sam nie wiem, co mam myśleć.

Anthony Nathan zadał następne pytanie bez mrugnięcia okiem:

–A zatem ma pan uzasadnione wątpliwości?

Mary Warner o mało nie zrobiła dziury w wiekowej posadzce sali.

–Obrona sugeruje odpowiedź – zawołała.

–Poucza się przysięgłych, żeby zignorowali tę wypowiedź – orzekła sędzia Kaplan.

–Proszę nam przedstawić pańskie odczucia względem Gary'ego Murphy'ego. Niech pan się z nami podzieli pańską zawodową opinią, doktorze – poprosił Nathan.

–W tej chwili nie jestem w stanie stwierdzić, czy to rzeczywiście jest Gary Murphy... czy Gary Soneji. Nie jestem pewien, czy w tym człowieku rzeczywiście

gnieźdzą się dwie osobowości. Uważam natomiast za stosowne wzięcie pod uwagę faktu, że oskarżony może cierpieć na rozszczepienie osobowości.

–A jeśli to prawda?

–Jeśli tak, wówczas Gary Murphy może mieć znikomą lub wręcz żadną świadomość tego, co robi Gary Soneji. Może również być genialnym socjopata, który manipuluje nami wszystkimi, łącznie z panem.

–Dobrze. Przyjmuję to do wiadomości. Jak na razie wszystko w porządku – odparł Nathan.

Miał ręce złożone przed klatką piersiową, tak jakby trzymał w nich niewielką piłkę. Najwyraźniej chciał ze mnie wycisnąć konkretniejszą definicję.

–Kwestia wątpliwości wydaje się kluczowa, prawda? –

ciągnął. – O to właśnie toczy się cała gra. Dlatego też chciałem, żeby pomógł pan przysięgłym w podjęciu trudnej decyzji. Doktorze, chciałem, żeby pan poddał Gary'ego Mur-

phy'ego hipnozie! – oznajmił. – Tutaj, na sali sądowej. Niech przysięgli ocenią sami. Mam całkowite zaufanie do nich i do tego, co postanowią. I całkowicie, bezgranicznie ufam w to, że kiedy zobaczą wszystkie dowody, podejmą właściwą decyzję. A pan, panie doktorze?

Rozdział 62

Następnego ranka do sali sądowej wstawiono dwa proste fotele obite czerwoną skórą, na których usiedliśmy wraz z Ga-rym. Żeby pomóc mu się odprężyć i zapomnieć o wszystkim dookoła, poprosiłem o wygaszenie światła. Obaj mieliśmy przypięte mikrofony. Tylko na tyle zezwoliła sędzia Kaplan.

Alternatywą byłoby sfilmowanie sesji w cztery oczy. Gary uważał jednak, że jest w stanie zapaść w stan hipnozy również na sali sądowej. Chciał spróbować. Jego adwokat chciał, żeby spróbował.

Postanowiłem przeprowadzić hipnozę tak, jakby Soneji/Murphy znajdował się w swojej celi. Istotną rzeczą było wyeliminowanie czynników, które w oczywisty sposób działały rozpraszające. Nie miałem pojęcia, czy to zadziała i jaki będzie efekt. Kiedy siadałem w fotelu, aż mnie skręcało w brzuchu. Starłem się nie patrzeć na zebranych ludzi. Nigdy nie lubiłem występować przed publicznością, tym bardziej nie podobało mi się to w tej chwili.

Dotychczas w sesjach z Garym stosowałem prostą technikę werbalnej sugestii. Hipnozę w sądzie rozpoczęliśmy w ten sam sposób. Hipnoza naprawdę nie jest tak skomplikowana, jak się wszystkim wydaje.

–Gary – powiedziałem – chciałbym, żebyś usiadł wygodnie i spróbował się rozluźnić. Zobaczymy, jak będzie.

–Zrobię, co mogę – odparł.

290

Brzmiał szczerze i takie samo sprawiał wrażenie, gdy się na niego popatrzyło. Miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę i krawat w prążki. Przypominał prawnika, nawet bardziej niż jego własny prawnik.

–Wprowadzę cię ponownie w stan hipnozy, ponieważ twój adwokat uważa, że to może pomóc w twojej sprawie. Wyznałeś mi, że zależy ci na tej pomocy. Czy to prawda?

–Tak – odrzekł Gary. – Chcę powiedzieć prawdę... Chcę sam poznać prawdę.

–No dobrze. Chciałbym, żebyś zaczął odliczać od stu do zera. Już to robiliśmy. Z każdą kolejną liczbą będziesz coraz bardziej rozluźniony. Możesz zaczynać.

Gary Murphy zaczął odliczać.

–Twoje oczy powoli się zamykają. Czujesz się dużo bardziej rozluźniony... senny... głęboko oddychasz – mówiłem coraz cichszym, prawie jednostajnym głosem.

Na sali panowała niemal całkowita cisza. Słyszać było tylko niskie buczenie klimatyzatora. Gary skończył odliczanie.

–Czy jest ci wygodnie? Czy wszystko w porządku? – zapytałem.

Brązowe oczy mężczyzny były szkliste i wilgotne. Chyba łatwo wszedł w trans. Nie mogłem mieć pewności.

–Tak. W porządku. Czuję się dobrze.

–Jeśli z jakiegokolwiek powodu będziesz chciał przerwać sesję, wiesz, jak się wycofać.

Lekko skinął głową.

–Wiem. Ale wszystko jest w porządku.

Wydawało się, że nie słucha uważnie.

Biorąc pod uwagę całą presję i okoliczności procesu, było mało prawdopodobne, że udaje.

–Wcześniej, podczas jednej z sesji rozmawialiśmy o tym, jak się obudziłeś w McDonalddie. Powiedziałeś, że „obudziłeś się jak ze snu”. Czy to pamiętasz?

–Tak, to prawda. Oczywiście, że pamiętam – odparł. – Obudziłem się w radiowozie pod McDonalddem. Doszedłem do siebie, kiedy policjanci mnie aresztowali.

–Co czułeś, kiedy cię aresztowali?

–Myślałem, że to nie może być prawda. Na pewno nie. Na pewno to zły sen.

Powiedziałem, że jestem akwizytorem, że mieszkam w Delaware. Mówiłem, co tylko mi przyszło do głowy, byle im udowodnić, że zatrzymują niewłaściwą osobę. Nie jestem przestępcą. Nigdy nie byłem notowany.

–Rozmawialiśmy o tym, co się działo tamtego dnia tuż przed aresztowaniem – ciągnąłem. – Kiedy wszedłeś do restauracji.

–Nie... chyba nie pamiętam. Spróbuję się zastanowić.

Gary sprawiał wrażenie, jakby się z czymś zmagał. Czy to

wszystko była gra? A może źle się czuł z prawdą, którą właśnie sobie przypomniał?

Kiedy w więzieniu wyjawiał osobowość Sonejiego, byłem zaskoczony. Teraz zastanawiałem się, czy zrobi to ponownie. Szczególnie w tych trudnych warunkach.

–Zatrzymałeś się przy McDonalddie, żeby pójść do toalety. Chciałeś też kupić kawę, żeby nie tracić koncentracji podczas jazdy.

–Pamiętam... pamiętam to częściowo. Na pewno widzę siebie w McDonalddie. Pamiętam, że tam byłem...

–Nie spiesz się, Gary. Mamy dużo czasu.

–Bardzo dużo ludzi. To znaczy w restauracji było bardzo dużo ludzi. Podszedłem do drzwi toalety. A potem z jakiegoś powodu nie wszedłem do środka. Nie wiem dlaczego. To dziwne, ale nie pamiętam.

–Co wtedy czułeś? Kiedy stałeś pod wejściem do toalety. Czy pamiętasz, co wtedy czułeś?

–Byłem pobudzony. I robiło się coraz gorzej. Czułem, jak krew pulsuje mi w skroniach. Nie rozumiałem dlaczego. Byłem zły i nie wiedziałem z jakiego powodu.

Soneji/Murphy patrzył przed siebie. Na lewo ode mnie. Trochę mnie zaskoczyło, że tak łatwo zapomniałem o obserwującej nas publiczności.

–Czy Soneji był w restauracji? – zapytałem.

Nieznacznie przekrzywił głowę. Było w tym coś dziwnie poruszającego.

–Soneji tam jest. Tak, jest w McDonalddie. – Gary zaczynał się emocjonować. – Udaje, że kupuje kawę, ale jest zły. On chyba jest naprawdę wściekły. Soneji to świr. Diabelskie nasienie.

–Dlaczego Soneji jest wściekły? Wiesz? Co go złości?

–Chyba dlatego, że... że wszystko przepadło. Policja miała niewiarygodne szczęście. Jego plan zdobycia sławy wziął w łeb. Teraz on się czuje jak Bruno Richard Hauptmann. Jak jeszcze jeden nieudacznik.

To było coś nowego. Wcześniej nigdy nie mówił o samym porwaniu. Zapomniałem o całym sądzie. Nie spuszczałem wzroku z Sonejiego/Murphy'ego.

Robiłem wszystko, żeby brzmieć swobodnie i spokojnie. Ostrożnie. Bez pośpiechu. Jakbym stąpał nad przepaścią. Mogłem mu pomóc – albo obaj mogliśmy

spaść.

–Co się nie powiodło w planie Sonejiego?

–Wszystko, co tylko mogło się nie powieść – odparł.

Wciąż był Garym Murphym. Widziałem to. Osobowość

Soneji nie przejęła kontroli. Mimo to Murphy wiedział o poczynaniach Gary'ego Sonejiego. W stanie hipnozy Gary Murphy znał myśli Gary'ego Sonejiego.

Na sali panowała absolutna cisza. W polu mojego wzroku nikt się nawet nie poruszał.

Tymczasem Gary podawał kolejne szczegóły porwania.

–Zajrzał do małego Goldberga, a chłopiec nie żył. Był

cały siny na twarzy. Soneji musiał mu dać za dużo barbituranu...

Nie potrafił uwierzyć, że mógł popełnić błąd. Był taki dokładny,

taki ostrożny. Wcześniej rozmawiał z anestezjologami.

Zadałem kluczowe pytanie:

–Dlaczego ciało chłopca było takie zmasakrowane? Co się dokładnie stało?

–Soneji trochę oszalał. Nie mógł uwierzyć w swojego pecha. Zaczął bić ciało chłopca ciężką łopata.

Jak dotąd sposób, w jaki mówił o Sonejim, był bardzo wiarygodny. Możliwe, że naprawdę był ofiarą rozszczepienia osobowości. To by całkowicie zmieniło przebieg procesu, a być może i werdykt przysięgłych.

–Co to była za łopata? – zapytałem.

Gary mówił coraz szybciej:

–Ta, której użył, żeby odkopać dzieci. Zakopał je w stodole. Miały zapas powietrza na kilka dni. To był taki jakby schron przeciwatomowy. System wentylacji działał doskonale. Wszystko działało doskonale. Soneji sam wszystko opracował. Sam skonstruował.

Serce mi łomotało. W gardle miałem bardzo, ale to bardzo sucho.

–A co z dziewczynką? Co z Maggie Rose? – zapytałem.

–Jej się nic nie stało. Soneji dał jej znowu diazepam. Żeby znowu zasnęła. Była przerażona, wrzeszczała, bo pod ziemią było tak ciemno. Kompletnie czarno. Ale mogło być gorzej. Soneji sam to znał. Z piwnicy!

Postępowałem bardzo ostrożnie. Nie chciałem go teraz stracić. O co chodziło z piwnicą? Miałem zamiar później do tego wrócić.

–Gdzie jest teraz Maggie Rose? – zapytałem.

–Nie wiem – odpowiedział bez wahania Gary Murphy.

Nie „nie żyje”. Nie „żyje”... „Nie wiem”. Po co miałby blokować tę informację? Bo wiedział, że mi na niej zależy? Bo wszyscy na sali sądowej chcieli poznać los Maggie Rose Dunne?

–Soneji po nią wrócił – mówił dalej Gary. – FBI zgodziło się na dziesięć milionów okupu. Wszystko było ustalone. Ale jej nie było! Kiedy Soneji po nią wrócił, Maggie Rose tam nie było. Zniknęła! Ktoś inny ją stamtąd zabrał!

Zebrani ludzie już nie byli cicho. Ja jednak wciąż skupiałem się na Garym.

Sędzia Kaplan nie chciała używać młotka, żeby uciszyć salę. Wstała. Gestem poprosiła o ciszę, ale nie mogła nic wskórać. Ktoś inny zabrał dziewczynkę. Ktoś inny ją teraz miał.

W pośpiechu zadałem następnych kilka pytań, zanim sala ostatecznie wymknie się spod kontroli, a Soneji/Murphy być może wraz z nią. Wciąż mówiłem cicho i zaskakująco spokojnie, biorąc pod uwagę okoliczności.

–Gary, czy to ty ją odkopałeś? Czy to ty uratowałeś dziewczynkę przed Sonejima? Czy wiesz, gdzie jest teraz Maggie Rose?

Nie podobały mu się takie pytania. Ciężko dyszał. Drgały mu powieki.

–Oczywiście, że nie. Nie, ja nie miałem z tym nic wspólnego. Zawsze tylko Soneji. Ja nad nim nie panuję. Nikt nad nim nie panuje. Czy pan tego nie rozumie?

Pochyliłem się naprzód.

–Czy Soneji tu teraz jest? Czy jest tu dzisiaj z nami?

W innych okolicznościach nigdy nie zdecydowałbym się tak mocno go nacisnąć.

–Czy mogę zapytać Sonejiego o to, co się stało z Maggie

Rose?

Gary Murphy gwałtownie pokręcił głową. Wiedział, że dzieje się z nim teraz coś innego.

–Ja się teraz boję – powiedział. Pot ciekł mu po twarzy. Miał mokre włosy. – Boję się. Soneji to czyste zło. Nie mogę o nim więcej mówić. Nie będę o nim mówił. Proszę, niech pan mi pomoże. Doktorze, proszę.

–Dobrze, Gary, wystarczy.

Natychmiast wybudziłem Gary'ego z hipnozy. To była jedyna ludzka rzecz, jaką mogłem w tej sytuacji zrobić. Nie miałem wyboru.

Nagle Gary Murphy znów był ze mną na sali sądowej. Skupił na mnie wzrok. W jego oczach widziałem wyłącznie strach.

Nad ludźmi na sali już się nie dało zapanować. Dziennikarze biegli dzwonić do swoich redakcji. Sędzia Kaplan uderzała młotkiem raz za razem.

Ktoś inny miał Maggie Rose... Czy to możliwe?

–Już dobrze, Gary – powiedziałem. – Rozumiem, dlaczego się bałeś.

Długo patrzył na mnie, a potem zaczął powoli wodzić wzrokiem po ożywionej sali.

–Co się stało? – zapytał. – Co się tutaj przed chwilą stało?

Rozdział 63

Wciąż pamiętałem pewne fragmenty z Kafki. Szczególnie przyprawiający o dreszcz początek *Procesu*: „Ktoś musiał zrobić doniesienie na Józefa K., bo mimo że nic złego nie popełnił, został pewnego ranka po prostu aresztowany”*. Gary Murphy chciał, żebyśmy w to właśnie uwierzyli: że został uwięziony w koszmarze. Że był równie niewinny jak Józef K.

Kiedy wychodziłem z sądu, zrobiono mi chyba z kilkadziesiąt zdjęć. Każdy chciał mi zadać pytanie. Nie udzielałem żadnych komentarzy. Nigdy nie przegapiam dobrej okazji, żeby się zamknąć.

Czy Maggie Rose żyje? – tego pragnęli się dowiedzieć dziennikarze. Nie chciałem głośno mówić tego, co myślę, czyli że prawdopodobnie już nie.

W moim kierunku szli Katherine i Thomas Dunne'owie, otoczeni wianuszkami reporterów z prasy i telewizji. Chciałem porozmawiać z Katherine, ale nie z Thomasem.

–Dlaczego pan mu pomaga? – Thomas Dunne podniósł głos. – Pan nie rozumie, że on kłamie? Panie Cross, co z panem?

Thomas Dunne był spięty i czerwony na twarzy. Tracił panowanie nad sobą. Nabrzmiały mu żyły na czole. Katherine Rose wyglądała na zrozpaczoną i kompletnie osamotnioną.

* Przekład Brunona Schulza.

–Wezwano mnie jako wrogiego świadka – powiedziałem. – Po prostu robię, co do mnie należy.

–No to kiepsko pan to robi – Thomas Dunne kontynuował atak. – Stracił pan naszą córkę na Florydzie. Teraz pan próbuje uwolnić jej porywacza.

Tego już było za wiele. Dunne od dawna przypuszczał na mnie osobiste ataki w prasie i w telewizji. Chociaż z całego serca chciałem odnaleźć jego córkę, nie miałem zamiaru tego dłużej znosić.

–Gówno prawda! – krzyknąłem. Z każdej strony otaczały nas kamery. – Miałem związane ręce. Odsunięto mnie od prowadzenia sprawy, a potem znowu przywrócono. I tylko ja jeden osiągnąłem jakiegokolwiek rezultaty.

Odwróciłem się plecami do Dunne'ów i ruszyłem stromymi schodami w dół. Rozumiałem ich ból, ale Thomas Dunne naskakiwał na mnie od wielu miesięcy. Przypuszczał personalne ataki, chociaż nie miał racji. Nikt nie rozumiał jednej prostej rzeczy: to ja wciąż usiłowałem odkryć prawdę o Maggie Rose. Jako jedyny.

Kiedy zszedłem po schodach, dogoniła mnie Katherine Rose, a w ślad za nią fotoreporterzy. Byli wszędzie, trzaskali zdjęcie za zdjęciem. Przepychali się wokół nas.

–Przepraszam za to wszystko – powiedziała, zanim ja się zdążyłem odezwać. – Utrata Maggie wykańcza Toma, niszczy nasze małżeństwo. Wiem, że pan robi, co może. Wiem, przez co pan przeszedł. Przepraszam. Przepraszam za wszystko.

To był bardzo dziwny moment. W końcu chwyciłem dłoń Katherine Rose Dunne. Podziękowałem jej i obiecałem, że się nie poddam. Reporterzy dalej robili zdjęcia. Następnie szybko odszedłem, odmawiając odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. Kategorycznie odmawiając wyjaśnienia tego, co właśnie zaszło między mną a Katherine Rose. Milczenie jest najlepszą zemstą na medialnych hienach.

Ruszyłem do domu. Wciąż szukałem Maggie Rose Dunne – ale teraz w umyśle Sonejiego/Murphy'ego. Czy rzeczywiście mógł ją zabrać ktoś inny? Dlaczego Gary Murphy nam o tym powiedział? Wjechałem do południowo-wschodniej części mia-

sta, rozmyślając o tym, co mówił w sądzie w stanie hipnozy. Czy wszystkich nas mistrzowsko nabierał? To była przerażająca możliwość – i niestety bardzo prawdopodobna. Czy to część któregoś z jego strasznych planów?

Następnego ranka po raz drugi próbowałem wprowadzić Sonejiego/Murphy'ego w stan hipnozy. Zdziwiający Detektyw/Doktor Cross znów na scenie! Tak to w każdym razie brzmiało w porannych wiadomościach.

Tym razem hipnoza się nie udała. Gary Murphy był zbyt przestraszony, a przynajmniej tak twierdził jego adwokat. Na zatłoczonej sali sądowej panował za duży zgietk. Sędzia Kaplan zarządziła opróżnienie sali, ale to również nie pomogło.

Tamtego dnia zostałem także przesłuchany przez stronę oskarżenia, jednak Mary Warner bardziej zależało na tym, żebym wreszcie zakończył zeznania, niż na

kwestionowaniu moich kompetencji. Mój udział w procesie dobiegł końca. Całkowicie mi to odpowiadało.

Aż do końca tygodnia ani ja, ani Sampson nie przyszliśmy więcej do sądu. W tym czasie zeznawali dalsi eksperci. My natomiast wróciliśmy na ulice. Mieliśmy kolejne sprawy. Próbowaliśmy także rozpracować kilka problematycznych kwestii związanych z dniem porwania. Wszystko ponownie przeanalizowaliśmy. Spędziliśmy długie godziny w sali konferencyjnej pełnej dokumentów. Jeśli Maggie Rose zabrano z farmy w Marylandzie, być może jeszcze żyła. Wciąż istniał cień szansy.

Jeszcze raz pojechaliśmy do szkoły imienia Waszyngtona, żeby porozmawiać z kilkoma nauczycielami. Mówiąc delikatnie, większość z nich niezbyt się radowała na nasz widok. Wciąż badaliśmy „teorię współnika”. Możliwość, że Gary Soneji od początku z kimś współpracował, z pewnością należało brać pod uwagę. Czy mógł to być Simon Conklin, jego przyjaciel z Princeton? A jeśli nie Conklin, to kto? Nauczyciele nigdy nie widzieli nikogo, kto mógłby być „wspólnikiem” Sonejiego.

Wyjechaliśmy ze szkoły przed dwunastą. Zjedliśmy lunch w restauracji sieci Roy Rogers w Georgetown. Kurczaki u Roya są lepsze niż w KFC. No i te ostre skrzydełka. Naprawdę dają

kopa. W końcu zamówiliśmy pięć porcji skrzydełek i dwie litrowe cole. Usiedliśmy przy malutkim stoliku obok placu zabaw. Myśleliśmy, czyby po lunchu nie pójść na huśtawkę.

Po skończonym posiłku postanowiliśmy pojechać do Potomac. Przez resztę popołudnia chodziliśmy po Sorrell Avenue i innych okolicznych ulicach. Odwiedziliśmy kilkadziesiąt domów, gdzie powitano nas mniej więcej równie ciepło, jak powitano by Woodwarda i Bernsteina. Nie żeby nas to zniechęcało.

Nikt nie widział w okolicy żadnych podejrzanych osób czy samochodów. Ani tuż przed porwaniem, ani po nim. Nikt nie przypominał sobie nietypowej furgonetki. Ba, nawet typowych – takich, jakimi jeżdżą monterzy, doręczyciele czy dostawcy zakupów.

Późnym popołudniem sam wybrałem się na przejażdżkę. Udałem się do Crisfield w stanie Maryland, gdzie przez pierwsze dni po porwaniu przetrzymywani byli Maggie Rose i Michael Goldberg. W krypcie? W podziemiu? W stanie hipnozy Gary Soneji/Murphy wspomniał o „piwnicy”. Jego samego jako dziecko trzymano w ciemnej piwnicy. Bardzo długo nie miał żadnych przyjaciół.

Tym razem chciałem obejrzeć farmę w samotności. Wszystkie luźne wątki nie dawały mi spokoju. Po głowie krążyły oderwane, niepokojące myśli. Czy ktoś inny rzeczywiście mógł odebrać Sonejiemu/Murphy'emu Maggie Rose? Równie dobrze to dochodzenie mógłby prowadzić i sam Einstein – od tych wszystkich wątpliwości jemu też by się zakręciło w głowie. I może nawet włosy by mu się wyprostowały.

Przechadzałem się po opustoszałym terenie upiornego gospodarstwa. Kolejne fakty z całego śledztwa przepływały mi swobodnie przez umysł. Wciąż powracałem do myśli o „Synu Lindbergha” – i do faktu, że malutki Lindbergh został porwany z „gospodarstwa”.

Tak zwany wspólnik Sonejiego. To był jeden z nierozwiązanych problemów.

Sonejiego widziano także w pobliżu domu Sandersów – o ile mogliśmy wierzyć Ninie Cerisier. To kolejna niewyjaśniona kwestia.

Czy to naprawdę przypadek rozszczepienia osobowości? Psychologowie wciąż nie są zgodni, czy takie zjawisko w ogóle istnieje. Przypadki rozszczepienia osobowości są bardzo rzadkie. Czy to wszystko misterny plan Gary'ego Murphy'ego? Czy to możliwe, żeby odgrywał obie postacie?

Co się stało z Maggie Rose? Wszystko zawsze wracało do niej. Co się stało z Maggie Rose?

Na wysłużonej desce rozdzielczej mojego porsche wciąż miałem jeden ze zniczy, które rozdawano pod sądem w Waszyngtonie. Zapaliłem go. Wracałem do miasta, a znicz rozświetlał zapadającą noc. Pamiętamy Maggie Rose.

Rozdział 64

Tego wieczoru byłem umówiony z Jezzcie i to przez większość dnia dodawało mi sił. Spotkaliśmy się w motelu Embassy Suites w Arlington. W mieście, ze względu na proces, było bardzo wielu dziennikarzy, toteż szczególnie uważaliśmy, żeby nikt nie

zobaczył nas razem.

Jezzie dotarła do pokoju po mnie. W czarnej tunice z dużym dekoltem wyglądała niesamowicie kusząco i seksownie. Miała na sobie czarne pończochy ze szwem oraz czółenka na szpilkach. Usta pomalowane czerwoną szminką, a na powiekach – szkarłatny cień. We włosy wpięła srebrny grzebień. Nie szalej, me serce.

–Musiałam się zatrzymać na szybki lunch – rzuciła tytułem usprawiedliwienia. Zsunęła szpilki. – Nadaję się do rubryki towarzyskiej?

–Na pewno masz dobry wpływ na moją rubrykę.

–Daj mi jedną minutkę, dobrze? – poprosiła, po czym zniknęła w łazience.

Wyszła stamtąd po paru chwilach. Ja leżałem na łóżku. Odpływało ze mnie całe napięcie. Życie znów było piękne.

–Weźmy kąpiel, dobrze? Zmyjemy z siebie cały brud – zaproponowała Jezzie.

–To nie brud – odparłem. – Ja tak wyglądam.

Wstałem i wszedłem do łazienki. Kwadratowa wanna okazała się nadzwyczaj duża. Ściany wyłożone były drobnymi biało-

–niebieskimi płytkami, które nad wanną kończyły się nieco wyżej. Szykowne ciuszki Jezzie leżały rozrzucone po podłodze.

–Spiesz ci się? – zapytałem.

–Aha.

Nalała wody aż po krawędź. Kilka ambitnych baniek mydlanych uniosło się w powietrze i rozbiło o sufit. Znad wanny unosiła się gęsta para. Łazienka pachniała jak wiejski ogród.

Jezzie zamieszała wodę koniuszkami palców. Potem podeszła do mnie. We włosach nadal miała srebrny grzebień.

–Trochę jestem podminowana – powiedziała.

–Zauważyłem. Ja widzę takie rzeczy.

–Chyba pora na małą terapię.

Ruszyliśmy ku sobie. Jezzie zajęła się guzikami przy moich spodniach, następnie suwakiem. Nasze usta się zwały, najpierw z lekka, potem naprawdę mocno.

Staliśmy nad krawędzią parującej wanny. Nagle Jezzie wprowadziła mnie w siebie. Dwa, trzy szybkie pchnięcia – i znowu się odsunęła. Była zarumieniona na twarzy, szyi i dekolcie. Myślałem, że coś jest nie tak.

Zaskoczyła mnie – ten szok... ta przyjemność... Wszedłem w nią na tak krótko, tak nagle to przerwała. Rzeczywiście była podminowana. Niemal brutalna.

–Co to miało znaczyć? – zapytałem.

–Chyba będę miała zawał – szepnęła. – Lepiej wymyśl dobrą historyjkę dla policji. Rany, Alex...

Wzięła mnie za rękę i wciągnęła do wanny. Woda była ciepła, dokładnie w sam raz. Wszystko było dokładnie w sam raz.

Zaczęliśmy się śmiać. Wciąż miałem na sobie bokserki, ale mój żołnierz wyzierał na zewnątrz. Szybko je ściągnąłem.

Ułożyliśmy się w wannie tak, by być naprzeciw siebie. Jezzie znalazła się na górze. Nie chcieliśmy tracić kontaktu nawet na sekundę. Odchyliła się mocno w tył. Założyła ręce za głowę. Przyglądała się mojej twarzy z zaciekawieniem i fascynacją. Na szyi i dekolcie była coraz bardziej czerwona.

Jej długie nogi uniosły się spod wody i owinęły wokół mojej głowy. Jezzie szarpnęła kilka razy i oboje wybuchliśmy. Jej

ciało zeszywniało. Rzucaliśmy się i głośno jęczeliśmy. Woda chlapała z wanny falami.

Jezzie, nie wiem jak, objęła mnie rękami – rękami i nogami. Woda sięgała mi do nosa.

Chwilę potem się zanurzyłem. Jezzie była na górze. W całym ciele czułem, że zbliżam się do szczytu. Oboje dochodziliśmy. A ja zaczynałem również tonać. Jezzie znów krzyknęła; woda dziwnie stłumiła jej głos.

Szczytowałem, na moment zanim zabrakło mi powietrza. Zakrztusiłem się wodą. Jezzie mnie uratowała. Wyciągnęła na powierzchnię i objęła moją twarz dłońmi.

Ulga. Cudowna ulga.

Leżeliśmy w swych ramionach bez ruchu. Wyczerpani, jak to się mówiło w przyzwoitszych czasach. Na podłodze było teraz więcej wody niż w wannie.

W tym momencie wiedziałem tylko tyle, że jestem coraz bardziej zakochany. Tego jednego byłem pewien. W całym moim życiu panowały chaos i niepewność, ale miałem jeden ratunek. Miałem Jezzie.

Około pierwszej w nocy musiałem wracać. Musiałem jechać do domu, żeby być na miejscu, kiedy dzieci się obudzą. Jezzie to rozumiała. Po zakończeniu procesu planowaliśmy wszystko ułożyć. Chciała dobrze poznać Jannie i Damona. Zgadaliśmy się, że wszystko musi być jak należy.

–Już teraz za tobą tęsknię – powiedziała, kiedy przygotowałem się do wyjścia. – Cholera. Nie idź... Wiem, że musisz.

Wyjęła z włosów srebrny grzebień i włożyła mi go do ręki.

Wyszedłem w noc, a w głowie wciąż słyszałem głos Jezzie. Na początku nie widziałem nic poza kompletnie ciemnym parkingiem.

Nagle stanęło przede mną dwóch mężczyzn. Odruchowo sięgnąłem do kabury pod pachą. Jeden z nich włączył bardzo mocne światło. Drugi miał aparat fotograficzny, skierowany prosto we mnie.

Prasa dowiedziała się o mnie i Jezzie. Jasna cholera! O po-

rwaniu było tak głośno, że wszystko, co się z nim wiązało, nadawało się do wiadomości. I tak od samego początku.

Za mężczyznami szła młoda kobieta o długich, ciemnych, mocno kręconych włosach. Wyglądała jak ktoś z ekipy filmowej z Los Angeles albo Nowego Jorku.

–Detektyw Alex Cross? – zapytał jeden z mężczyzn.

W tym samym czasie drugi robił mi zdjęcie za zdjęciem.

Ciemny parking rozświetlały błyski flesza.

–Jesteśmy z „National Star”. Chcemy z panem porozmawiać – w głosie mężczyzny słychać było brytyjski akcent.

„National Star” to amerykański brukowiec z siedzibą w Miami.

–To nie ma żadnego związku z jakimikolwiek wydarzeniami – powiedział Anglikowi. W kieszeni wciąż ścisnąłem srebrny grzebień Jezzie. – To jest prywatna sprawa. To was nie obchodzi.

–Sami o tym zdecydujemy – odparł. – No, ale ja tam nie wiem, kolego. Wygląda na przełom w kontaktach między waszyngtońską policją a Secret Service. Tajemne rozmowy i kto wie, co jeszcze.

Kobieta już puknęła do drzwi pokoju. Jej głos brzmiał równie donośnie co metaliczny stukot.

–Jesteśmy z „National Star” – oznajmiła.

–Nie wychodź – zawołałem.

Drzwi się otworzyły. Stała w nich w pełni ubrana Jezzie. Patrzyła na kobietę, nawet nie usiłując ukryć pogardy.

–Musi pani być teraz z siebie strasznie dumna – powiedziała. – Otarła się pani o Pulitzera.

–E tam – zripostowała dziennikarka. – Już się wcześniej otarłam, jak poznawałam Roxanne Pulitzer. A teraz znam i was dwoje.

–

Rozdział 65

Grałem na fortepianie wiązkę piosenek Keitha Sweata, Bell Biv Devoe, Hamera i Public Enemy. Siedziałem na werandzie, bawiąc Damona i Janelle do ósmej rano. Była środa tego samego tygodnia, w którym mnie i Jezzie spotkała przykra niespodzianka w Arlington.

Babcia czytała w kuchni najnowsze wydanie „National Star”, które jej kupiłem. Czekałem, aż mnie do siebie zawoła.

Kiedy przez dłuższy czas tego nie zrobiła, wstałem od fortepianu i poszedłem wysłuchać jej kazania. Powiedziałem Damonowi i Janelle, żeby się nie ruszali.

–Bądźcie tacy, jak jesteście. Nigdy się nie zmieniajcie.

Jak każdego ranka, babcia sączyła herbatę. Na talerzu zostały jeszcze resztki tostów i jajka w koszulce. Złożona gazeta leżała na stole. Przeczytana? Nieprzeczytana? Nie umiałem tego odgadnąć ani z twarzy babci, ani z wyglądu gazety.

–Czytałaś artykuł? – nie wytrzymałem.

–Przejrzałam, żeby się zorientować, o co chodzi. I widziałam twoje zdjęcie na pierwszej stronie – odparła. – Chyba właśnie w ten sposób ludzie czytają takie gazety. Nigdy nie mogłam zrozumieć, że kupują coś takiego w niedzielny rano po wyjściu z kościoła.

Usiadłem przy stole naprzeciw niej. Ogarnęły mnie wspomnienia. Mieliśmy za sobą tak wiele podobnych rozmów. Babcia wzięła do ręki kawałek skórki od tostu. Zanurzyła ją

w marmoladzie. Gdyby ptaki jadły jak ludzie, jadłyby właśnie jak Mama Nana. Niezły z niej numer.

–To piękna i na pewno interesująca biała kobieta. A ty jesteś bardzo przystojnym czarnym mężczyzną i czasami nawet masz głowę na karku. Wielu osobom nie odpowiada taki obrazek. Chyba cię to nie dziwi, prawda?

–No dobrze, ale czy tobie to odpowiada? – zapytałem.

Mama Nana westchnęła cichutko. Filiżanka brzęknęła o spodek, gdy ją odstawiała.

–Coś ci powiem, Alex. Nie wiem, czy jest na to jakieś fachowe określenie, ale zawsze mi się wydawało, że ty się nie pozbierałeś po śmierci matki. Widziałam to, kiedy byłeś małym chłopcem. I czasami dalej to widzę.

–To się nazywa nerwica pourazowa – odrzekłem. – Jeśli chcesz znać fachowe określenie.

Babcia uśmiechnęła się, słysząc, jak uciekam w żargon. To już nie pierwszy raz.

–Nigdy bym sobie nie pozwoliła osądzać tego, co ci się przydarzyło, ale na pewno miało to na ciebie wpływ, odkąd tylko przyjechałeś do Waszyngtonu. Widziałam, że nie zawsze pasujesz do otoczenia. Nie tak jak część dzieci. To prawda, że uprawiałeś sport, z kolegą Sampsonem podwędzałeś różne rzeczy ze sklepów i byłeś twardy. Ale jednocześnie czytałeś książki i miałeś sporo wrażliwości. Wiesz, co mam na myśli? Może i zahartowałeś się na zewnątrz, ale nie wewnątrz.

Ostatnio nie zawsze odpowiadały mi konkluzje babci, za to same spostrzeżenia wciąż były ciekawe. To prawda, że jako chłopiec nie do końca pasowałem do otoczenia, ale wiem, że z czasem zacząłem sobie z tym dużo lepiej radzić. Teraz mnie akceptują. Detektywa/Doktora Crossa.

–Nie chciałem cię tym wszystkim zranić ani zawieść – wróciłem do tematu brukowego artykułu.

–Nie zawiodłeś mnie – odparła moja babcia. – Alex, ty jesteś moją dumą. Przynosisz mi ogromną radość niemal każdego dnia. Kiedy cię widzę z dziećmi, kiedy widzę, co robisz dla tej dzielnicy, a do tego wciąż jesteś gotów spełniać zachcianki starej kobiety...

–To ostatnie to prawdziwa męczarnia – stwierdziłem. –

Ale wracając do tych tak zwanych wiadomości. Przez jakiś tydzień nie będę miał życia. Potem wszyscy szybko o tym zapomną.

Babcia pokręciła głową. Siwe włosy zatańczyły zgrabnie wokół jej okrągłej czaszki.

–Nie. Nie zapomną. Niektórzy będą ci to pamiętać do końca życia. Jak to się mówi? Nie wywijaj, jeśli nie jesteś gotów na konsekwencje.

–A co nawywijałem? – spytałem.

Babcia wierzchem noża zsunęła z talerza okruchy po toście.

–To mi już będziesz musiał sam powiedzieć. Dlaczego ty i Jezzie Flanagan kryjecie się po kątach, skoro wszystko, co robicie, jest w porządku? Jeśli ją kochasz, to ją kochasz. Więc jak, Alex, kochasz ją?

Nie odpowiedziałem od razu. Oczywiście, że kochałem Jezzie. Ale jak bardzo? I dokąd to zmierzało? Czy w ogóle musiało dokądkolwiek zmierzać?

–Nie jestem pewien. W każdym razie jeśli chodzi o to, o co chcesz mnie zapytać – odparłem w końcu. – To właśnie teraz próbujemy ustalić. Oboje jesteśmy świadomi konsekwencji.

–Alex, jeśli tylko jesteś pewien, że ją kochasz – powiedziała babcia – to i ja ją kocham. Bo ja ciebie kocham. Ale pamiętaj, że ty jesteś maksymalistą. Do tego jesteś bystry i to się czasami na tobie mści. I bywasz bardzo osobliwy jak na reguły rządzące światem białych.

–I właśnie dlatego mnie tak bardzo lubisz – powiedziałem.

–To tylko jeden z powodów, syneczku – odparła.

Na długą chwilę mocno się przytuliliśmy. Ja jestem duży i silny, babcia – drobna i krucha, ale również silna. Było jak za dawnych czasów, w tym sensie, że przy rodzicach i dziadkach nigdy nie jest się do końca dorosłym. A już na pewno nie przy Mamie Nanie.

–Dziękuję, stara kobieto – powiedziałem.

–A żebyś wiedział.

Jak zwykle miała ostatnie słowo.

Tamtego ranka kilka razy zadzwoniłem do Jezzcie, ale nie było jej w domu albo nie odbierała telefonu. Automatyczną sekretarkę też miała wyłączoną. Myślałem o wspólnej nocy w Arlington. Była taka podminowana. Nawet przed przyjazdem ludzi z „National Star”.

Zastanawiałem się, czy do niej nie pojechać, ale zrezygnowałem z tego pomysłu. Nie potrzebowaliśmy przed końcem procesu kolejnych fotografii i artykułów na nasz temat.

W pracy wszyscy ledwie się do mnie odzywali. Jeśli wcześniej miałem jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, teraz już wiedziałem, jaką szkodę wyrządził artykuł. Bez dwóch zdań, dostało mi się.

Poszedłem do gabinetu i usiadłem tam w samotności, nad termosem czarnej kawy, wpatrzony w ścianę. Pokrywały ją „poszlaki” ze śledztwa. Rodziły się we mnie poczucie winy i bunt, i gniew. Miałem ochotę rozbić pięścią szkło, tak jak raz czy dwa po śmierci Marii.

Siedziałem za metalowym biurkiem z przydziału, plecami do drzwi. Gapiłem się na swój rozkład zajęć na najbliższy tydzień, ale tak naprawdę nie widziałem ani słowa.

–Tym razem nikt ci nie pomoże, popaprańcu – usłyszałem za sobą głos Sampsona. – Jesteś sam, samiuteńki. Jak mięsko na roźnie.

–Nie sądzisz, że może trochę bagatelizujesz sprawę? – spytałem, nie odwracając się.

–Sądziłem, że jak będziesz chciał o tym pogadać, to się sam odezwiesz – powiedział. – Przecież wiedziałeś, że ja o was wiem.

Mój wzrok przyciągnęły ślady po kubku z kawą na moich rozkładach zajęć. Efekt Browninga? Co to miało być? Ostatnio zawodziła mnie pamięć i wszystko inne też.

W końcu się odwróciłem i spojrzałem na Sampsona. Miał na sobie skórzane spodnie, starą czapkę Kangola i czarną nylonową kamizelkę. Ciemne okulary skutecznie maskowały mu twarz. Szczerze mówiąc, próbował być miły i wyrozumiały.

–I co się teraz dzieje? – zapytałem. – Co mówią?

–Nikomus się za bardzo nie podoba, w jakim kierunku

poszedł ten cholerny proces. Góra nie jest skora do pochwał. Chyba wybierają potencjalne kozły ofiarne. Ty na pewno będziesz wśród nich.

–A Jezzcie? – spytałem, chociaż z góry znałem odpowiedź.

–Ona też. Za to, że zadaje się ze znanymi Murzynami – odparł. – Rozumiem, że jeszcze nie słyszałeś najnowszych wieści?

–Jakich wieści?

Sampson głośno wypuścił powietrze, a następnie przedstawił mi najświeższą wiadomość.

–Wzięła zwolnienie, a może w ogóle odeszła z Secret Service. To było jakąś godzinę temu. Nikt tak do końca nie wie, czy sama się na to zdecydowała, czy ktoś na nią naciskał.

Natychmiast zadzwoniłem do jej biura. Sekretarka powiedziała, że Jezzcie „dzisiaj

nie będzie”. Zatelefonowałem do jej mieszkania. Nikt nie odebrał.

Pojechałem tam, łamiąc po drodze kilka ograniczeń prędkości. W radiu WAMU mówił Derek McGinty. Lubię dźwięk jego głosu, nawet wówczas, gdy nie zwracam uwagi na słowa.

Jezzie nie było w mieszkaniu. Przynajmniej nie kręcili się w okolicy żadni dziennikarze. Zacząłem rozważać, czy nie pojechać do domku nad jeziorem. Postanowiłem tam zadzwonić z budki telefonicznej. Operatorka poinformowała mnie, że numer został odłączony.

–Kiedy to się stało? – spytałem zaskoczony. – Wczoraj wieczorem tam dzwoniłem.

–Dziś rano – odparła. – Numer odłączono właśnie dzisiaj rano.

Jezzie zniknęła.

Rozdział 66

Moment ogłoszenia werdyktu w procesie Sonejiego/Mur-phy'ego zbliżał się wielkimi krokami.

Przysięgli udali się na naradę jedenastego listopada. Wrócili po trzech dniach. Przez ten czas nie ustawały pogłoski, że nie są w stanie podjąć decyzji co do winy lub niewinności oskarżonego. Cały świat czekał z zapartym tchem.

Tamtego ranka przyjechał po mnie Sampson. Razem udaliśmy się do sądu. Po krótkim okresie chłodów, które zapowiadały już zimę, znowu zrobiło się cieplej.

Zbliżaliśmy się do Indiana Avenue, a ja myślałem o Jezzie. Nie widziałem jej od ponad tygodnia. Zastanawiało mnie, czy pojawi się w sądzie na ogłoszenie werdyktu. Jakiś czas temu zadzwoniła. Powiedziała, że jest w Karolinie Północnej. I w zasadzie nic więcej. Znowu byłem samotny i wcale mi się to nie podobało.

Przed budynkiem sądu nie dostrzegłem Jezzie, zobaczyłem natomiast, jak Anthony Nathan wysiada ze srebrnej limuzyny Mercedesa. To była jego wielka chwila. Rzucili się na niego dziennikarze. Jak ptaki na okruchy czerstwego chleba.

Mnie i Sampsona reporterzy z prasy i telewizji również chcieli złapać, nim znikniemy w sądzie. Perspektywa kolejnego wywiadu wcale nas nie cieszyła.

–Panie doktorze! Panie doktorze, prosimy – zawołał przenikliwy kobiecy głos.

Rozpoznałem go. Należał do lokalnej prezenterki wiadomości.

Musieliśmy się zatrzymać. Zagradzali nam drogę i z przodu, i z tyłu. Sampson zanucił piosenkę Martha and the Vandellas *Nowhere to Run*. Nie ma ucieczki.

–Doktorze, czy jest pan zdania, że pańskie zeznanie może pomóc Gary'emu Murphy'emu w uniknięciu wyroku za morderstwo pierwszego stopnia? Że być może nieumyślnie pomógł pan sprawić, że zbrodnia ujdzie mu na sucho?

Wtedy wreszcie coś we mnie pękło.

–Cieszymy się, że w ogóle udało nam się dotrzeć do finału mistrzostw – powiedziałem do rządu kamer z kamienną twarzą. – Alex Cross koncentruje się na meczu. Reszta i tak potoczy się swoim torem. Alex dziękuje Najwyższemu za możliwość udziału w rozgrywkach na tak wysokim poziomie. – Nachyliłem się do dziennikarki, która zadała pytanie. – Rozumie pani, co mówię? Już wszystko jasne?

–A jeśli chodzi o mnie – oznajmił Sampson z uśmiechem – to jestem otwarty na wszelkie oferty lukratywnych kontraktów reklamowych w sektorze obuwia sportowego i napojów gazowanych.

Następnie ruszyliśmy stromymi kamiennymi schodami do wnętrza sądu federalnego.

Kiedy weszliśmy do ogromnego holu, od hałasu mało nam nie pękły bębni. Tłum kręcił się i przepychał, tyle tylko, że w dość kulturalny sposób. Mniej więcej tak jak ludzie w strojach wieczorowych pchają się na ciebie przy wejściu do teatru.

Sprawa Sonejiego/Murphy'ego nie była pierwszym procesem karnym, w którym argument obrony obracał się wokół twierdzenia o rozszczepieniu osobowości. Była natomiast zdecydowanie najgłośniejsza. Wiązały się z nią emocjonalne problemy winy i niewinności, które autentycznie utrudniały osąd. Skoro Gary Murphy jest niewinny, jak można go skazać za porwanie i zabójstwo? Jego adwokat sprawił, że wszyscy zadawali sobie to pytanie.

Na górze znów zobaczyłem Nathana. Podczas wystąpienia w sądzie osiągnął wszystko, co zamierzał. „Nie ulega wątp-

liwości, że w umyśle oskarżonego toczą wojnę dwie osobowości – powiedział przysięgłym podczas mowy końcowej. – Jedna z nich jest równie niewinna jak wy wszyscy. Nie możecie skazać Gary'ego Murphy'ego za porwanie i morderstwo. Gary Murphy to dobry człowiek. Gary Murphy to mąż i ojciec. Gary Murphy jest niewinny!”.

Dla przysięgłych był to dylemat. Czy Gary Soneji/Murphy to genialny, przesiąknięty złem socjopata? Czy był świadom swoich czynów i w pełni nad nimi panował? Czy przy porwaniu i morderstwie dziecka miał „wspólnika”? Czy też od samego początku działał sam?

Nikt nie znał prawdy, może tylko sam Gary. Nie znali jej psychologowie. Ani policja. Ani prasa. Ani ja.

Jak zatem mogła podjąć decyzję w sprawie Gary'ego ława „równych jemu”

przysięgłych?

Do pierwszego istotnego wydarzenia tego poranka doszło, kiedy Gary'ego wprowadzono na gwarną, pełną ludzi salę. W zwykłym, niebieskim garniturze wyglądał tak jak zawsze: gładko ogolony, charakterystycznie chłopięcy. Wyglądał jak pracownik banku w małym miasteczku, a nie jak ktoś, kto stoi przed sądem za porwanie i morderstwo.

Rozległ się cichy aplauz. Dowodził, że w dzisiejszych czasach nawet porywacze mają swoich fanów. Proces z pewnością przyciągał dziwaków i innych zdegenerowanych typów.

–Kto powiedział, że Ameryka nie ma już bohaterów? – odezwał się Sampson. – Oni lubią tego świra. Tylko popatrz w te ich małe, błyszczące oczka. To nowy, ulepszony Charlie Manson. Zamiast ześwirowanego hipisa... ześwirowany japiszon.

–Syn Lindbergha – przypomniałem. – Ciekawe, czy to wszystko przewidział. Czy to część jego planu osiągnięcia wiecznej sławy?

Przysięgli weszli na salę. Wyglądali na skołowanych i niesamowicie spiętych. Jaka była ich decyzja, podjęta prawdopodobnie późną nocą?

Kiedy wchodzili do swojej łoży z ciemnego mahoni, jeden z przysięgłych się potknął. Przykucnął na jedno kolano i proce-

sja stanęła. W tej jednej krótkiej chwili zawierały się cała kruchość i całe człowieczeństwo procesu.

Spojrzałem na Sonejiego/Murphy'ego. Miałem wrażenie, że po jego twarzy błądzi leciutki uśmieszek. Czyżbym zauważył drobne potknięcie? Jakie myśli przechodziły mu teraz przez głowę? Jakiego werdyktu się spodziewał?

Tak czy inaczej, osobowość znana jako Gary Soneji, „niegrzeczny chłopiec”, doceniłaby ironię tej sytuacji. Wszystko już było gotowe. Niewiarygodne widowisko – z nim samym w roli głównej. Niezależnie od tego, co się teraz miało zdarzyć, nadszedł najważniejszy dzień w jego życiu.

„Ja chcę być kimś!”.

–Czy przysięgli uzgodnili werdykt? – spytała sędzia

Kaplan, gdy usiedli.

Podano jej niewielką, złożoną kartkę papieru. Odczytała decyzję z kamienną twarzą. Następnie kartka wróciła do przewodniczącego ławy przysięgłych. Procedura.

Przewodniczący, cały czas na stojąco, zaczął mówić donośnym, choć drżącym głosem. Był pięćdziesięcioletnim pracownikiem poczty, nazywał się James Heekin. Miał rumianą, niemalże czerwoną cerę, która wskazywała na wysokie ciśnienie – a może po prostu była to oznaka stresu związanego z procesem.

James Heekin oznajmił:

–W sprawie podwójnego porwania uznajemy oskarżonego za winnego. W sprawie zabójstwa Michaela Goldberga uznajemy oskarżonego za winnego.

James Heekin ani razu nie użył nazwiska Murphy. Jedynie: oskarżony.

Na sali zapanował chaos. Ogłuszający hałas odbijał się od kamiennych słupów i ścian z marmuru. Reporterzy puścili się pędem do telefonów na korytarzu. Wspólnicy ze wzruszeniem gratulowali Mary Warner. Anthony Nathan wraz z zespołem szybko opuścili salę, żeby uniknąć pytań.

Na przodzie sali rozegrała się dziwnie przejmująca scena.

Kiedy funkcjonariusze odprowadzali Gary'ego, podbiegły

do niego żona i córka. Cała trójka złączyła się w mocnym uścisku. Nie ukrywali łez.

Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby Gary płakał. Jeśli teraz też odstawił przedstawienie, kolejny raz robił to po mistrzowsku. Jeśli przed nami wszystkimi grał – wyglądało to w pełni wiarygodnie.

Nie mogłem odwrócić od niego wzroku. Wreszcie dwaj funkcjonariusze odciągnęli Gary'ego od rodziny i wyprowadzili z sali.

Jeśli tylko grał, nie zrobił ani jednego fałszywego ruchu. Był całkowicie zaabsorbowany żoną i córeczką. Ani razu nie rozejrzał się po sali, by sprawdzić, czy ma publiczność.

Grał rolę perfekcyjnie.

A może Gary Murphy był niewinnym człowiekiem, którego właśnie skazano za porwanie i morderstwo?

Rozdział 67

Presja, presja – Jezzie śpiewała słowa piosenki, która huczała jej w głowie.

Manewrowała krętą górską drogą z brawurą i bez strachu. Jej skóra napinała się na czole. W każdy zakręt wchodziła pochylona, potężny silnik motoru pracował ciągle na czwartym biegu. Śmigają drzewa, kamienie, stare słupy telefoniczne. Wszystko było rozmyte. Czuła się, jakby przez ostatni rok bez ustanku spadała. Może nawet przez całe życie. Wkrótce wybuchnie.

Nikt nie rozumiał, co to znaczy żyć tak długo pod taką presją. Nawet jako dziecko bała się zrobić najmniejszy błąd. Bała się, że jeśli nie będzie doskonałą małą Jezzie, rodzice przestaną ją kochać.

Doskonała Mała Jezzie.

„Dobre nie jest dość dobre” i „Dobre jest wrogiem lepszego” – niemal codziennie powtarzał ojciec. Więc była wyrachowaną, szóstkową uczennicą. Była Panną Lubianą. Była uczestniczką każdego wyścigu szczurów, do którego tylko mogła trafić. Parę lat wcześniej Billy Joel nagrał piosenkę *Pressure*. Presja. Świetny opis tego, co czuła każdego dnia swojego życia. Musiała to wreszcie jakoś przerwać i chyba w końcu znalazła sposób.

Jezzie zredukowała bieg do trójki. Zbliżała się do domku nad jeziorem. W środku paliły się wszystkie światła. Poza tym

wszędzie panował spokój. Woda była gładką czarną taflą, która zdawała się zlewać z górami. Ale w środku paliło się światło. Ona go tak nie zostawiła.

Zsiadła z motocykla i szybko weszła do domu. Drzwi frontowe też niezamknięte. W pokoju dziennym nikogo nie było.

–Halo? – zawołała.

Sprawdziła kuchnię i dwie sypialnie. Pusto. W żadnym pokoju nie znalazła ani śladu czyjejś obecności. Tylko to światło.

–Halo, jest tu kto?

Kuchenne drzwi z siatki były uchylone. Wyszła na dwór. Ruszyła w stronę pomostu.

Nic.

Nikogo.

Z lewej strony zatrzepotały skrzydła. Dostrzegła ruch tuż nad powierzchnią wody. Jezzie zatrzymała się na krawędzi pomostu. Westchnęła głęboko. W głowie ciągle rozbrzmiewała piosenka Billy'ego Joela. Szydercza i autoironiczna. Presja. Presja. Tę presję czuła każdym porem swego ciała.

Ktoś ją złapał. Niezwykle silne ramiona chwyciły ją niczym imadło. Powstrzymała krzyk.

Zaraz potem włożono jej coś do ust.

Jezzie wciągnęła powietrze. Rozpoznała columbian gold. Bardzo dobry gatunek trawki. Zaciągnęła się po raz drugi. Nieco się rozluźniła w silnych ramionach.

–Tęskniłem za tobą – usłyszała.

W głowie Jezzie Billy Joel krzyczał na całe gardło.

–Co ty tu robisz? – spytała w końcu.

Część piąta

Drugie śledztwo

Rozdział 68

Maggie Rose znów była w ciemności.

Wokół siebie widziała kształty. Wiedziała, co to takiego. Wiedziała, gdzie się znajduje, a nawet – dlaczego.

Znów pomyślała o ucieczce. Ale zaraz przypomniało jej się ostrzeżenie. Zawsze to ostrzeżenie.

„Maggie, jeśli spróbujesz uciec, nie zginiesz. To by było za proste. Znowu trafisz pod ziemię. Wrócisz do swojego grobu. Więc nigdy nie próbuj uciekać, Maggie Rose. Nawet o tym nie myśl”.

Tak wiele już zdążyła zapomnieć. Czasami nie pamiętała nawet, kim jest. Wszystko było jak zły sen, jak seria koszmarów, jeden za drugim.

Maggie Rose zastanawiała się, czy mama i tata wciąż jej szukają. Dlaczego mieliby jej szukać? Tak dawno temu została porwana. Pan Soneji zabrał ją ze szkoły. A potem już go więcej nie widziała. Było jedynie to ostrzeżenie.

Czasem wydawało jej się, że jest tylko postacią z opowieści, którą sama zmyśliła.

Łzy napłynęły jej do oczu. Już nie było tak ciemno. Nadchodził ranek. Już nie

będzie próbowała uciekać. Nienawidziła tego miejsca, ale nigdy więcej nie chciała trafić pod ziemię.

Maggie Rose wiedziała, co to za kształty.

To były dzieci.

Wszystkie razem w jednym pokoju.

Z którego nie było ucieczki.

Rozdział 69

Jezzie wróciła do Waszyngtonu w tydzień po zakończeniu procesu. Miałem wrażenie, że to dobra chwila na nowe początki. Byłem gotów. Boże jedyny, jak ja byłem gotów, żeby wrócić do normalnego życia.

Przez telefon rozmawialiśmy trochę – choć nie za wiele – o jej stanie umysłu. Powiedziała mi jedną ważną rzecz. Nie mogła uwierzyć, że tak wiele włożyła w swoją karierę. Teraz już zupełnie jej na tym nie zależało.

Pod nieobecność Jezzie tęskniłem za nią bardziej, niżbym się mógł spodziewać. Myślałem o niej, kiedy prowadziłem kolejne śledztwo. Dwóch trzynastolatków zabito za parę adidasów. Razem z Sampsonem złapaliśmy mordercę – piętnastolatka z „Czarnej dziury”. Przed końcem tygodnia otrzymałem także propozycję pracy jako koordynator VICAP, wspólnego programu FBI i waszyngtońskiej policji. Była to bardziej prestiżowa i lepiej płatna posada, ale odrzuciłem ją bez namysłu. W ten sposób Carl Monroe próbował mnie udobruchać. Wielkie dzięki, nie trzeba.

Nie mogłem spać w nocy. Burza, która rozpętała się w mojej głowie w dniu porwania, wciąż nie cichła. Nie mogłem zapomnieć o Maggie Rose. Nie mogłem zostawić tej sprawy. Nie godziłem się na takie zakończenie. Oglądałem wszystko, co leciało na kanale sportowym, czasem do trzeciej, czwartej nad ranem. Robiłem za Alexa Psychologa w starym kontenerze

320

przy świętym Antku. Wypiliśmy z Sampsonem parę kratek piwa. Potem staraliśmy się to odrobić na siłowni. Poza tym spędzaliśmy w pracy długie godziny.

Pojechałem do mieszkania Jezzie tego samego dnia, którego wróciła do miasta. Po drodze znów słuchałem w radiu WAMU Dereka McGinty'ego. Mojego brata z talk-show. Jego głos kołł skołatane nerwy. Raz nawet dodzwoniłem się do jego wieczornego programu. Zmieniłem głos. Opowiadałem o Marii, o dzieciach, o tym, że za długo już żyję na krawędzi.

Gdy Jezzie otworzyła drzwi, zaskoczył mnie jej wygląd. Włosy miała teraz dłuższe, bardziej nastroszone. Przypominały promienie słońca. Była opalona i wyglądała tak zdrowo jak kalifornijski ratownik na plaży w samym środku lata. Robiła wrażenie, jakby jej życie było pasmem nieustającej radości.

–Wygląda na to, że wypoczęłaś – powiedziałem.

Szczerze mówiąc, miałem do niej trochę żalu. Zmyła się przed końcem procesu. Bez pożegnania. Bez wyjaśnienia. Jak to o niej świadczyło?

Jezzie zawsze była zgrabna, ale teraz jeszcze bardziej wyszczuplała i nabrała formy. Zniknęły cienie pod oczami, które tak często u niej widziałem podczas trwania śledztwa. Miała na sobie dżinsowe szorty oraz stary T-shirt z napisem: „Jeśli nie potrafisz olśniewać błyskotliwością, zaskakująco wciskaj kit”. Jezzie pod każdym względem olśniewała.

Uśmiechnęła się delikatnie.

–Już mi dużo lepiej. I chyba prawie całkiem ozdrowiałam.

Wyszła na werandę i utonęła w moich ramionach, a wtedy i ja poczułem, że

zdrowieję. Tulilem ją i myślałem sobie, że oto przez jakiś czas znajdowałem się sam jeden na obcej planecie. Widziałem siebie pośród księżycowego krajobrazu. Do mnie należało znalezienie kogoś nowego, z kim mógłbym być. Kogo mógłbym znów pokochać.

–Opowiedz mi o wszystkim, co się działo. Jak to jest zniknąć z powierzchni ziemi? – spytałem.

Jej włosy pachniały świeżo i czysto. Cała była świeża, jak nowa.

–Nawet całkiem przyjemnie. Odkąd skończyłam szesnaście

lat, ani razu się nie zdarzyło, żebym nie pracowała. Przez pierwsze parę dni było trochę strasznie, ale potem już w porządku – odparła, z twarzą wciąż na mojej piersi. – Tylko jednej rzeczy mi brakowało – szepnęła. – Chciałam, żebyś ty był tam ze mną. Nic nie poradzę, jeśli to brzmi tandetnie.

Takie słowa chciałem usłyszeć.

–Przyjechałbym – powiedziałem.

–Ja musiałam to zrobić po swojemu. Musiałam wreszcie wszystko przemyśleć.

Alex, do nikogo poza tobą nawet nie zadzwoniłam. Wiele się o sobie dowiedziałam. Może nawet wreszcie wiem, kim naprawdę jest Jezzcie Flanagan.

Uniosłem jej głowę i spojrzałem w oczy.

–Powiedz mi, czego się dowiedziałas. Powiedz, kim jest

Jezzcie.

Ramię w ramię weszliśmy do środka.

Jednak Jezzcie nie powiedziała zbyt wiele o tym, kim jest ani czego dowiedziała się o sobie w domku nad jeziorem. Szybko popadliśmy w stare przyzwyczajenia, za którymi – przyznam szczerze – zdążyłem się stęsknić. Zastanawiałem się, czy wciąż jej na mnie zależało. Na ile rzeczywiście miała ochotę wracać do Waszyngtonu. Potrzebowałem z jej strony jakiegoś znaku.

Jezzcie zaczęła mi rozpinąć koszulę i nie było mowy o tym, żebym próbował ją powstrzymać.

–Tak bardzo za tobą tęskniłam – szepnęła przytulona do mojej piersi. – A ty za mną?

Musiałem się uśmiechnąć. W tej chwili mój stan fizyczny był oczywistą odpowiedzią na jej pytanie.

–A jak myślisz? Zgaduj.

Jezzcie i ja trochę tamtego wieczoru zaszaleliśmy. Wspominałem noc, kiedy pod naszym pokojem pojawili się ludzie z „National Star”. Jezzcie była teraz zdecydowanie szczuplejsza i zgrabniejsza, chociaż i przed wyjazdem miała świetną formę. Poza tym opaliła się na całym ciele.

–Kto jest ciemniejszy? – zapytałem z szerokim uśmiechem.

–Oczywiście, że ja. Brązowa jak czekoladka, jak to się mawia nad jeziorem.

–Teraz to ty mnie olśniewasz swoją błyskotliwością – powiedziałem.

–Aha. Myślisz, że długo tak damy radę? Gadać i patrzeć bez dotykania.

Rozepniesz do końca koszulę? Proszę.

–Podnieca cię to? – spytałem. Głos trochę mi grzął w gardle.

–Aha. Wiesz co? W ogóle możesz zdjąć tę koszulę.

–Miałas mi powiedzieć coś, czego się o sobie dowiedziałas na osobności – przypomniałem.

Spowiednik i kochanek w jednym. Całkiem seksowne połączenie.

–Możesz mnie teraz pocałować. Pod warunkiem że chcesz. Pocałujesz mnie tak, żebyśmy się zetknęli tylko ustami?

–Hmm, no nie wiem. Trochę się obróć w tę stronę. A teraz w tę. Swoją drogą, czy ty mnie przypadkiem nie próbujesz uciszyć?

–Dlaczego miałabym to robić, doktorze detektywie?

–

Rozdział 70

Znowu rzuciłem się w wir pracy. Obiecałem sobie, że w ten czy inny sposób rozwiążę tajemnicę porwania. Czarny Rycerz nie pozwoli się pokonać.

Pewnego paskudnego, zimnego i deszczowego wieczoru powlokłem się samotnie do domu Niny Cerisier. Dziewczyna wciąż była jedyną osobą, która na własne oczy widziała „wspólnika” Sonejiego. Zresztą i tak byłem w okolicy. Jasne.

A dlaczego zabrnąłem po nocy, w deszczu i chłodzie, do Langley Terrace? Bo zmieniłem się w świra, który wciąż szukał kolejnych informacji o porwaniu sprzed półtora roku. Bo od co najmniej trzydziestu lat byłem absolutnym perfekcjonistą. Bo musiałem się wreszcie dowiedzieć, co się stało z Maggie Rose. Bo wciąż widziałem spojrzenie Mustafa Sandersa. Bo chciałem poznać prawdę o Sonejim/Murphym. A w każdym razie to sobie wmawiałem.

Glory Cerisier nie była zbyt zadowolona, gdy zobaczyła mnie na swojej werandzie. Zanim mnie wreszcie wpuściła, odstałem dobre dziesięć minut. Z sześć razy stukałem w po-wgniatane drzwi z aluminium.

–Wie pan co, detektywie, trochę już późno. Może niech pan nam pozwoli po prostu żyć dalej, dobrze? – zapytała, otwarłszy w końcu drzwi. – Trudno nam zapomnieć o Sandersach. Nie potrzebujemy, żeby pan nam o nich ciągle przypominał.

–Wiem – zgodziłem się z wysoką, blisko pięćdziesięcioletnią kobietą, która uważnie mi się przyglądała. Migdałowymi oczami. Ładnymi oczami na niezbyt ładnej twarzy. – Ale tu chodzi o morderstwa. O straszne morderstwa.

–Ale mordercę złapali – odparła. – Wie pan o tym, detektywie? Słyszał pan? Czyta pan gazety?

Okropnie się czułem, stojąc tam przed nią. Pewnie podejrzewała, że zwariowałem. Mądra kobieta.

–Jezu Chryste – roześmiałem się i pokręciłem głową. –
Wie pani co? Pani ma absolutną rację. Mnie już kompletnie pojebało. Przepraszam, taka jest prawda.

Tego się Glory Cerisier nie spodziewała. Uśmiechnęła się do mnie tym życzliwym, krzywozębnym uśmiechem, który widuje się w biednych osiedlach.

–Niech pani zaprosi biednego czarnucha na kawę – poprosiłem. – Zwariowałem, ale przynajmniej o tym wiem. Niech mi pani otworzy drzwi.

–No dobra, dobra. Proszę do środka, detektywie. Jeszcze raz możemy porozmawiać. Ale potem koniec.

–Potem koniec – przytaknąłem.

Przełamane jej opór, zwyczajnie wyjawiając prawdę o sobie.

Piliśmy paskudną kawę rozpuszczalną w malutkiej kuchni. Okazało się, że Glory Cerisier uwielbia rozmawiać. Zadawała mi najróżniejsze pytania związane z procesem.

Chciała wiedzieć, jak to jest występować w telewizji. Podobnie jak wiele osób była ciekawa aktorki Katherine Rose. Miała nawet prywatną teorię na temat porwania.

–Ten facet tego nie zrobił. Ten Gary Soneji, Murphy, czy jak mu tam naprawdę. Widzi pan, jego ktoś wrobił – powiedziała, po czym się roześmiała.

Chyba ją bawiło, że dzieli się szalonymi teoriami z szalonym policjantem.

–Niech pani mi ostatni raz zrobi przyjemność – poprosiłem, w końcu przechodząc do tematu, o którym naprawdę

chciałem porozmawiać. – Proszę mi jeszcze raz opowiedzieć o tym, co Nina widziała tamtej nocy. Niech mi pani powie to, co ona pani powiedziała. Tak dokładnie, jak tylko pani pamięta.

–Dlaczego pan to sobie robi? – zapytała najpierw Glory. – Po co pan tu przyszedł o dziesiątej w nocy?

–Nie wiem – wrzuciłem ramionami i wypilem kolejny łyk kawy, doprawdy koszmarnej w smaku. – Może dlatego, że chcę wiedzieć, dlaczego w Miami zostałem wybrany właśnie ja. Nie mam pojęcia, ale przyszedłem.

–Zwariował pan od tego, co? Od tego porwania.

–Tak, zwariowałem. Niech mi pani jeszcze raz powie, co widziała Nina. Niech mi pani opowie o człowieku, który był w samochodzie z Garym Sonejim.

–Nina odkąd była mała, to lubiła siedzieć przy oknie na schodach – zaczęła Glory.

– Takie ma okno na świat. Bierze i czyta książkę albo głaszcze koty. A czasami to tak sobie się patrzy. No i tam właśnie siedziała, jak zobaczyła tego białego faceta, Gary'ego Sonejiego. Mało tu się u nas białych kręci. Prawie sami czarni, czasami jakiś Latynos. No więc od razu na niego zwróciła uwagę. I jak na niego coraz dłużej patrzyła, to coraz bardziej się jej dziwny wydawał. Tak jak panu mówiła. On normalnie się przyglądał domowi Sandersów. Jakby go obserwował albo co. A ten drugi, ten w samochodzie, to się przyglądał, jak tamten się domowi przyglądał.

Tak jest! Mój zmęczony, przeciążony umysł jakimś cudem zdołał wychwycić kluczowe wyrażenie, którego użyła. Glory Cerisier już chciała mówić dalej, ale ją powstrzymałem.

– Powiedziała pani, że ten człowiek w samochodzie obserwował Gary'ego Sonejiego. Że mu się przyglądał.

– Tak powiedziałam? Już nie pamiętam. Nina mówiła, że oni byli razem. Jak dwóch akwizytorów albo co. Wie pan, takich, co to czasami się zabierają za jakąś ulicę. Ale dawno temu to mi powiedziała, że ten w samochodzie to się przyglądał temu drugiemu. Chyba tak to mówiła. Prawie na pewno. Zaraz po nią pójde, bo już sama nie wiem.

Wkrótce rozmawialiśmy we trójkę. Pani Cerisier pomogła mi się porozumieć z Niną, która wreszcie zaczęła współpracować. Owszem, miała pewność, że człowiek w samochodzie obserwował Gary'ego Sonejiego. On nie był razem z nim. Nina Cerisier była przekonana, że go obserwował.

Nie wiedziała, czy mężczyzna był czarny, czy biały. Wcześniej w ogóle o tym nie mówiła, bo nie wydawało jej się to ważne, a poza tym gdyby to zrobiła, policja zaczęłaby zadawać jeszcze więcej pytań. Nina, jak większość dzieciaków z południowo-wschodniej dzielnicy, nienawidziła glin i bała się ich.

Rozdział 71

Pozwolono mi się spotkać z Sonejim/Murphym, ale tylko w związku z zabójstwem Sandersów i Turnerów. Wolno mi było rozmawiać z nim o zbrodniach, które prawdopodobnie nigdy nie trafią przed sąd, natomiast nie wolno – o tej jednej, która być może nigdy nie zostanie wyjaśniona. Tak właśnie działa biurokracja.

W więzieniu w Fallston, gdzie przebywał Gary, miałem znajomego. Znałem Wallace'a Harta, tamtejszego kierownika psychiatrii, odkąd wstąpiłem do policji. Teraz czekał na mnie w korytarzu wiekowego zakładu.

–Podoba mi się takie osobiste podejście – powiedziałem, podając mu dłoń. – Pierwszy raz mi się to zdarza, oczywiście.

–Bo teraz jesteś sławny, Alex. Widziałem cię w telewizji.

Wallace to niewysoki, czarnoskóry mężczyzna o wyglądzie intelektualisty. Nosi grube, okrągłe okulary i za duże, granatowe garnitury. Wielu osobom przypomina George'a Washingtona Carvera, ewentualnie zmieszanego z Woodym Allenem. Wygląda, jakby jednocześnie był i Murzynem, i Żydem.

–Co na dzień dzisiejszy sądzisz o Garym? – spytałem Wallace'a, kiedy jechaliśmy windą na piętro o zaostrzonym rygorze. – Jest wzorowym więźniem?

–Wiesz, Alex, ja zawsze miałem słabość do psychopatów. Bez nich by było cholernie nudno. Wyobraź sobie życie bez autentycznych zwyrodnialców. Nic ciekawego.

328

–Rozumiem, że nie kupujesz teorii z rozszczepieniem osobowości?

–Jest to jakaś możliwość, ale bardzo mało prawdopodobna. Tak czy inaczej, ten jego wewnętrzny niegrzeczny chłopiec jest naprawdę niegrzeczny. Aż się dziwię, że w ogóle wpadł. Że się wam dał złapać.

–Chcesz usłyszeć jedną szaloną teorię? – zapytałem. – To Gary Murphy złapał Sonejiego. Gary Murphy nie mógł sobie poradzić z Sonejim, więc go wydał.

Wallace wyszczerzył zęby w uśmiechu, imponująco szerokim jak na posiadacza tak niewielkiej twarzy.

–Alex, ja naprawdę lubię twój ześwirowany umysł. Ale czy ty rzeczywiście w to wierzysz? Że niby jedna osobowość mogła się zwrócić przeciw drugiej?

–Nie. Ale byłem ciekaw, czy ciebie to mogło przekonać. Ja zaczynam wierzyć, że to psychol od początku do końca. Muszę się tylko dowiedzieć, jak daleko jest to „do końca”. Kiedy się z nim spotykałem, zaobserwowałem u niego niezaprzeczalne oznaki osobowości paranoicznej.

–Z tym się zgodzę. Jest nieufny, arogancki, roszczeniowy, zawzięty. Tak jak mówię: uwielbiam gościa.

Kiedy wreszcie zobaczyłem Gary'ego, byłem nieco zszokowany. Oczy miał jakby

zapadnięte w głąb czaszki, zaczerwienione jak przy zapaleniu spojówek. Skóra twarzy była mocno napięta. Bardzo schudł, może nawet z piętnaście kilo, mimo że już wcześniej był szczupły.

–No tak, jestem w lekkiej depresji. Witaj, doktorze –
odezwał się, leżąc na pryczy.

Znów był Garym Murphym. W każdym razie takie sprawiał wrażenie.

–Witaj, Gary – odparłem. – Musiałem cię w końcu zobaczyć.

–Dawnośmy się nie widzieli. Na pewno czegoś chcesz. Niech zgadnę: piszesz o mnie książkę. Chcesz być następną Anne Rule?

Pokręciłem głową.

–Od dawna chciałem do ciebie przyjechać. Ale najpierw

musiałem dostać nakaz sądowy. Szczerze mówiąc, jestem tutaj, żeby porozmawiać o zabójstwie Sandersów i Turnerów.

–Naprawdę?

Wydawał się zrezygnowany i obojętny. Nie podobał mi się jego wygląd. Odniosłem wrażenie, że jego osobowość może się znajdować na skraju całkowitego rozpadu.

–Tylko o tym wolno mi z tobą rozmawiać. Taki jest zakres moich uprawnień. Ale jeśli chcesz, możemy również pomówić o Vivian Kim.

–W takim razie nie za bardzo mamy o czym rozmawiać. Nic nie wiem o tych zabójstwach. Nie czytałem nawet gazet. Przysięgam na życie mojej córki. Alex, może nasz kolega Soneji coś wie. Ale nie ja.

Wyglądało na to, że wreszcie czuje się komfortowo, mówiąc mi po imieniu. Dobrze wiedzieć, że wszędzie można znaleźć przyjaciół.

–Twój prawnik na pewno opowiedział ci o tych zbrodniach. Jeszcze w tym roku może się rozpocząć kolejny proces.

–Nie chcę się już spotykać z żadnymi prawnikami. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Poza tym te sprawy nie trafią do sądu. To zbyt kosztowne.

–Gary – mówiłem do niego, jakby był moim pacjentem. – Chciałbym cię jeszcze raz poddać hipnozie. Czy jeśli uda mi się wszystko załatwić, podpiszesz papiery? To dla mnie bardzo ważne, żeby móc porozmawiać z Sonejim. Proszę, pozwól mi spróbować z nim pomówić.

Gary Murphy uśmiechnął się i pokręcił głową. W końcu jednak przytaknął.

–Szczerze mówiąc, sam bym z nim chętnie porozmawiał – powiedział. – Gdybym mógł, to bym go zabił. Zabiłbym

Sonejiego. Tak jak podobno zabiłem wszystkich tych ludzi.

Tego wieczoru odwiedziłem byłego agenta Secret Service Mike'a Devine'a. Był jednym z dwóch agentów przydzielonych do sekretarza Goldberga i jego rodziny. Chciałem mu zadać kilka pytań w związku z teorią „wspólnika”.

Mike Devine złożył podanie o przejście na emeryturę w miesiąc po porwaniu. Ponieważ miał dopiero czterdzieści parę lat, przypuszczałem, że go wypchnęli. Na kamiennym balkonie z widokiem na Potomac rozmawialiśmy przez kilka godzin.

Mieszkanie samotnego już mężczyzny było urządzone z gustem i dobrze wyposażone. Devine był opalony i wyglądał na wypoczętego. Stanowił doskonały dowód na to, że z pracy w służbach policyjnych trzeba się zmywać póki jeszcze czas.

Przypominał mi trochę Tralisa McGee z powieści Johna MacDonalda. Był dobrze zbudowany i miał twarz człowieka o dużej sile charakteru. Pomyślałem, że dobrze mu będzie w krainie wczesnej emerytury: uroda bohatera filmowego, burza kręconych, kasztanowych włosów, przyjemny uśmiech, masa ciekawych opowieści w zanadrzu.

–Wiesz, mnie i mojego partnera wypchnęli – przyznał Devine nad paroma butelkami piwa Corona. – Ot, raz daliśmy dupy, wyszła z tego trzecia wojna światowa i od razu obaj byliśmy w Secret Service skończeni. Szef też nas prawie nie wspierał.

–To była publiczna sprawa. Chyba musiała mieć swoich bohaterów i winowajców – odparłem.

Przy zimnym piwie potrafiłem być równie dobrym filozofem jak każdy zwykły facet.

–Może i dobrze wyszło – zastanawiał się Devine. – Myślisz czasem o tym, żeby zacząć od nowa? Żeby zabrać się do czegoś innego, póki jeszcze masz siłę? Zanim się zacznie alzheimer?

–Zastanawiałem się nad prywatną praktyką – odparłem. – Jestem psychologiem. Wciąż pracuję społecznie na biednych osiedlach.

–Ale za bardzo kochasz tę robotę, żeby odejść, tak?

Mike Devine uśmiechnął się szeroko. Mrużąc oczy, spojrział w późno popołudniowe słońce, które odbijało się od powierzchni wody. Tuż obok tarasu przeleciała grupka szarych morskich ptaków z białymi brzuchami. Ładnie. Wszystko tutaj było ładne.

–Słuchaj, Mike, chciałbym jeszcze raz przeanalizować ostatnie dni przed porwaniem – oznajmiłem.

–Alex, ty rzeczywiście masz cholerną obsesję. Ja już sam przetrząsnąłem wszystko, co się dało. Uwierz mi, niczego nie znajdziesz. To jałowy grunt. Nic na nim nie rośnie. Próbowałem, próbowałem, aż wreszcie dałem sobie spokój.

–Wierzę ci. Ale wciąż mnie ciekawi współczesny model sedana, który być może widziano w Potomac. Mógł to być dodge – odparłem. Właśnie taki wóz Nina Cerisier widziała w Langley Terrace. – Zauważyłeś może granatowego lub czarnego sedana przy Sorrell Avenue? Albo gdziekolwiek w pobliżu szkoły?

–Już mówiłem: dokładnie przejrzałem wszystkie dzienniki. Nie było żadnego tajemniczego samochodu. Jak chcesz, to sam możesz sprawdzić.

–Już to zrobiłem – odrzekłem i roześmiałem się z pozornej beznadziejności tej sprawy.

Rozmawiałem z Mikiem Devine'em jeszcze przez jakiś czas. Nie potrafił sobie przypomnieć niczego nowego. W rezultacie słuchałem, jak chwali plażę, łowienie ryb na Florida Keys, „uganianie się za białą piłeczką”. Jego nowe życie właśnie się zaczynało. Pogodził się z porwaniem dużo łatwiej niż ja.

Coś mi jednak ciągle nie dawało spokoju. Ta cała historia ze „wspólnikiem”. Albo może z „obserwatorem”. Co więcej, miałem jakieś przeczucie co do Devine'a i jego partnera. Złe przeczucie. Coś mi mówiło, że wiedzą więcej, niż są gotowi wyjawić.

Póki wciąż byłem w uderzeniu, jeszcze tego samego wieczoru postanowiłem skontaktować się z byłym partnerem Devine'a, Charlesem Chakelym. Po odejściu ze służby wraz z rodziną osiedlił się w Tempe w Arizonie.

Była północ mojego czasu – dziesiąta w Tempe. Uznałem, że to jeszcze nie za późno.

–Charles Chakely? Mówi detektyw Alex Cross z Waszyngtonu – powiedziałem, kiedy odebrał telefon.

Zaległa niezręczna cisza. W chwilę potem Chakely zareagował wrogością – co wydało mi się bardzo dziwne. I tylko wzmogło moje złe przeczucia.

–Czego pan, do cholery, chce? – warknął. – Po co pan

do mnie dzwoni? Jestem na emeryturze. Usiłuję zapomnieć o tym, co się stało. Daj mi pan spokój. Odwal się pan ode mnie i mojej rodziny.

–Niech mnie pan posłucha. Przepraszam, że zawracam głowę... – zacząłem łagodzić sytuację.

Przerwał mi:

–No to niech pan nie zawraca. Proste, nie? Nie wchrzaniaj się pan w moje życie, panie Cross.

Mogłem sobie go w tej chwili dokładnie wyobrazić. Pamiętałem Charlesa Chakely'ego z pierwszych dni po porwaniu. Miał tylko pięćdziesiąt jeden lat, ale wyglądał na sześćdziesiąt parę. Mięsień piwny. Resztką włosów na głowie. Smutny, jakby zrezygnowany wzrok. Chakely był chodzącym dowodem na to, jaką krzywdę może wyrządzić praca w służbach policyjnych, jeśli się na to pozwoli.

–Niestety, wciąż pracuję nad kilkoma zabójstwami – powiedziałem, licząc na to, że

mnie zrozumie. – W nie także zamieszany był Soneji/Murphy. Wrócił do Waszyngtonu, żeby zamordować nauczycielkę ze szkoły. Vivian Kim.

–Zdaje się, że miał mi pan nie zawracać głowy. To może niech pan uda, że w ogóle do mnie nie dzwonił, dobra? A ja będę udawał, że w ogóle nie odebrałem telefonu. Mnie całkiem dobrze idzie udawanie.

–Niech mnie pan posłucha. Mogę załatwić wezwanie i pan o tym dobrze wie. Moglibyśmy przeprowadzić tę rozmowę na przesłuchaniu w Waszyngtonie. Albo mógłbym wsiąść w samolot i odwiedzić pana w Tempe. Wpaść któregoś dnia na grilla.

–O co ci, kurwa, chodzi, Cross? Pocięło cię? Ta sprawa jest zamknięta. Zostaw ją w spokoju. I mnie też zostaw w spokoju.

W tonie Chakely'ego było coś bardzo dziwnego. Brzmiał, jakby za chwilę miał wybuchnąć.

–Rozmawiałem dzisiaj z pana partnerem – powiedziałem.

To go zatrzymało przy telefonie.

–No dobra, więc rozmawiał pan z Mickeyem Devine'em. Ja też z nim raz na jakiś czas rozmawiam.

–Cieszę się, że wam się dobrze układa. Nie będę pana

więcej niepokoił, jeśli tylko mi pan odpowie na jedno, dwa pytania.

–Jedno. I koniec rozmowy – zgodził się w końcu Chakely.

–Czy pamięta pan może, żeby na Sorrell Avenue parkował nowoczesny, ciemny sedan? Albo może w okolicach domu Goldbergów lub Dunne'ów? Jakiś tydzień przed porwaniem?

–Jasne, że nie. Boże, oczywiście, że nie. Wszystkie niecodzienne rzeczy trafiłyby do dziennika. Dla mnie sprawa porwania jest skończona. I pan też, panie Cross.

Chakely odłożył słuchawkę.

Ton całej rozmowy był naprawdę dziwny. Poza tym dręczyła mnie nierozwiązana kwestia „obserwatora”. To był spory znak zapytania. Zbyt duży, żeby jakkolwiek detektyw mógł go zignorować. Musiałem porozmawiać z Jezzie o Mike'u Devinie i Charliem Chakelym oraz o dziennikach, które prowadzili. Oni mi się nie podobali. Niewątpliwie coś ukrywali.

Rozdział 72

Jezzie i ja spędziliśmy następny dzień nad jeziorem. Chciała ze mną porozmawiać. Chciała mi powiedzieć, jak bardzo się zmieniła i czego dowiedziała się o sobie, kiedy wyjechała z Waszyngtonu. Na Kompletnym Odludziu w Karolinie Północnej zdarzyły się dwie bardzo dziwne rzeczy.

Wyjechaliśmy z miasta o piątej rano. Na miejsce dotarliśmy tuż przed wpół do dziewiątej. Był trzeci grudnia, ale równie dobrze mógł to być pierwszy października. Przez całe popołudnie temperatura przekraczała dwadzieścia stopni, a od strony gór wiał przyjemny wiaterek. Powietrze wypełniał skrzek i świergot dziesiątek różnych ptaków.

Letnicy dawno wyjechali, więc mieliśmy jezioro wyłącznie dla siebie. Tylko przez jakąś godzinę po wodzie krążyła jedna motorówka z silnikiem głośnym jak samochód wyścigowy. Poza tym prócz nas nie było żywej duszy.

Oboje zgodziliśmy się nie poruszać ważkich tematów zbyt szybko. Ani słowa o Jezzie, o Devinie i Chakelym ani o moich najnowszych teoriach dotyczących porwania.

Późnym popołudniem wybraliśmy się na długi spacer po otaczającym nas sosnowym lesie. Szliśmy wzdłuż krystalicznie czystego strumienia, który piął się ku pobliskim górcom. Jezzie była bez makijażu. Włosy miała rozpuszczone, rozwiane. Ubrała się w dżinsy z obciętymi nogawkami i bluzę bez rękawów

z logo Uniwersytetu Wirginii. Jej piękne błękitne oczy konkurowały barwą z bezchmurnym niebem.

–Alex, mówiłam ci, że dużo się tutaj o sobie dowiedziałam – powiedziała, gdy zapuszczaliśmy się coraz głębiej w las.

Mówiła cicho. Miała w sobie coś z dziecka. Uważnie słuchałem każdego słowa. Chciałem poznać całą prawdę o Jezzie.

–Chcę ci opowiedzieć o sobie. Wreszcie jestem na to gotowa – powiedziała. – Chcę ci opowiedzieć o tym co, jak, dlaczego i o całej reszcie.

Skinąłem głową i pozwoliłem jej kontynuować.

–Mój ojciec... mój ojciec był nieudacznikiem. We własnym mniemaniu. Był obrotny. Potrafił się fantastycznie znaleźć w towarzystwie. O ile tylko chciał. Ale pochodził z biednej dzielnicy i był na tym punkcie strasznie przeczulony. Przez swoje negatywne nastawienie ciągle pakował się w kłopoty. Miał gdzieś, jak to się odbijało na mnie i mojej matce. Koło pięćdziesiątki zaczął ostro pić. Pod koniec życia nie miał ani jednego przyjaciela. I właściwie żadnej rodziny. Chyba dlatego się zabił... Tak, Alex, mój ojciec się zabił. W swoim nieoznakowanym wozie. Wcale nie miał zawału na Union Station. To

kłamstwo, które powtarzam, odkąd poszłam na studia.

Spacerowaliśmy dalej w milczeniu. Do tej pory Jezzie tylko raz czy dwa wspomniała o rodzicach. Wiedziałem o ich problemie alkoholowym, ale nie naciskałem, żeby powiedziała więcej – głównie dlatego, że nie mogłem być jej psychologiem. Wiedziałem, że gdy będzie gotowa, sama się otworzy.

–Nie chciałam być nieudacznikiem jak moi rodzice. Oni sami o sobie w ten sposób myśleli. Właśnie tak zawsze mówili. Nie chodzi o to, że się nisko cenili. Oni w ogóle się nie cenili. Nie mogłam pozwolić, żeby ze mną stało się to samo.

–A jak ty ich postrzegasz?

–Chyba też jako nieudaczników – przyznała z leciutkim uśmiechem. Boleśnie szczerym. – Alex, oni byli niesamowicie inteligentni. Wiedzieli wszystko na każdy temat. Przeczytali wszystkie książki świata. Można było z nimi rozmawiać na dowolny temat. Byłeś kiedyś w Irlandii?

–Raz byłem służbowo w Anglii. I to była moja jedyna wizyta w Europie. Nigdy nie było mnie na to stać.

–Kiedy w Irlandii przyjeżdża się do niektórych miasteczek... Tam mieszkają tacy elokwentni ludzie, ale żyją w strasznej biedzie. Są takie „białe getta”. Co trzecia witryna to pub. W tym kraju żyje tylu wykształconych nieudaczników. Nie chciałam być kimś takim. Opowiadałam ci już o tym moim strachu. To by dla mnie było piekło na ziemi... W szkole dawałam z siebie wszystko. Chciałam być zawsze najlepsza, za wszelką cenę. Potem to samo w Departamencie Skarbu. Parłam do przodu, bez trudu. I wiesz, Alex, nie wiedzieć czemu, byłam zadowolona ze swojej kariery, ogólnie z życia.

–Ale to się wszystko rozleciało po tym porwaniu. Zostałaś kozłem ofiarnym. Nagle przestałaś być złotą dziewczynką.

–Byłam skończona, ot tak. Agenci obgadywali mnie za plecami. W końcu zrezygnowałam. Odeszłam ze służby. To było bez sensu. Cholernie nie fair. Przyjechałam tutaj. Żeby dojść do tego, kim ja tak naprawdę, do cholery, jestem. Musiałam to zrobić sama. Staliśmy w samym sercu lasu. Jezzie objęła mnie i zaczęła cicho łkać. Nigdy wcześniej nie widziałem, jak płacze. Mocno ją przytuliłem. Nigdy jeszcze nie była mi tak bliska. Wiedziałem, że dzieli się ze mną gorzką prawdą. Zasługiwała na to samo z mojej strony.

Rozmawialiśmy po cichu na ustronnym pagórku, kiedy zdałem sobie sprawę, że ktoś nas obserwuje. Moja głowa ani drgnęła, ale wzrok popędził w prawą stronę. Między drzewami ktoś był.

Ktoś nam się przyglądał.

Jeszcze jeden obserwator.

–Jezzie, ktoś tam jest. Na prawo, tuż za tą górką – szepnąłem.

Nie popatrzyła w tamtym kierunku. Wciąż była gliną.

–Jesteś pewien? – spytała.

–Tak. Zaufaj mi. Rozdzielmy się – zaproponowałem. – Jeśli zaczniesz uciekać, dogonimy go.

Rozdzieliliśmy się i ruszyliśmy z obu stron pagórka, za którym zauważyłem intruza. To go pewnie zmyliło.

Zaczął uciekać!

To był mężczyzna. Miał na sobie adidas i ciemny kombinezon z kapturem, słabo widoczny w mrocznym lesie. Nie potrafiłem określić jego wzrostu i postury. Przynajmniej na razie.

Pędziliśmy za nim przez dobre pół kilometra. I ja, i Jezzie nie mieliśmy na sobie butów, więc nie byliśmy w stanie go dogonić. Pewnie zostawił nas kilka metrów za sobą. Gałęzie i kolce biły nas po twarzach i rękach. W końcu wypadliśmy z lasu i znaleźliśmy się na drodze asfaltowej. Zdążyliśmy tylko usłyszeć odgłos silnika za

pobliskim zakrętem. Nie zdołaliśmy dostrzec auta ani nawet tablicy rejestracyjnej.

–Jasna cholera, co to miało być? – powiedziała Jezzie.

Staliśmy na poboczu, usiłując złapać oddech. Po twarzach ściekał nam pot, a serca równo łomotały.

–Czy ktoś wie, że tu jesteś? – zapytałem.

–Nikt. Właśnie dlatego to było takie dziwne. Kto to mógł być? Alex, boję się. Masz jakiś pomysł?

Wymyśliłem kilkanaście teorii na temat obserwatora, którego widziała Nina Cerisier. Najbardziej obiecująca była ta najprostsza: że Gary'ego Sonejiego obserwowała policja. Ale jaka? Czy mógł to być ktoś z mojego wydziału? Albo od Jezzie?

Rzeczywiście, był powód do strachu.

Wróciliśmy do domku Jezzie tuż przed zmrokiem. W powietrzu czuło się już zimowy chłód.

Zrobiliśmy duże palenisko i przygotowaliśmy wyborną kolację, którą najadłyby się cztery osoby.

Była kukurydza, wielka sałatka, dwa półkilowe steki oraz butelka wytrawnego białego wina z napisem „Chassagne-Montrachet, Premier Cru, Marquis de Laguiche” na etykiecie.

Po kolacji przeszliśmy do rozmowy o Mike'u Devinie, Charliem Chakelym i obserwatorze. Jezzie nie mogła mi zbytnio pomóc. Powiedziała, że najprawdopodobniej szukam nie tu, gdzie trzeba. Chakely to podobno bardzo pobudliwy facet, więc sam mój telefon mógł go tak wzburzyć. Jezzie mówiła, że

już na służbie był zgorzkniały, więc zapewne pozostał taki i po służbie. Jej zdaniem Devine i Chakely byli dobrymi, choć nie rewelacyjnymi agentami. Gdyby podczas ich pracy przy ochronie rodziny Goldbergów zaszło coś wartego odnotowania, na pewno by to zauważyli. Informacje zawarte w dziennikach powinny być wyczerpujące. Jezzie miała pewność: żaden z nich nie był na tyle mądry, żeby dać radę coś zatuszować.

Nie wątpiła, że Nina Cerisier w noc poprzedzającą morderstwo Sandersów widziała jakiś samochód. Nie wierzyła natomiast, że ktoś obserwował Sonejiego/Murphy'ego. Ani nawet w to, że sam Soneji odwiedzał osiedla.

– Alex, ja się już nie zajmuję tą sprawą – powiedziała w końcu. – Już nie reprezentuję interesów Departamentu Skarbu ani nikogo innego. Więc powiem ci szczerze, co myślę. Daj sobie z tym spokój. Już po wszystkim. Pogódź się z tym.

– Nie mogę – odparłem. – Przy Okrągłym Stole króla Artura wyznajemy inne zasady. Nie mogę po prostu zapomnieć o tej sprawie. Ilekroć próbuję, zawsze pojawia się coś, przez co zmieniam zdanie.

Tamtego wieczoru poszliśmy do łóżka dość wcześnie. O dziewiątej, może dziewiątej piętnaście. Chassagne-Montrachet, Premier Cru zrobiło swoje. Wciąż była między nami namiętność, ale także ciepło i czułość.

Tuliliśmy się, śmialiśmy i nie poszliśmy spać zbyt wcześnie. Jezzie nazwała mnie „Sir Alexem, Czarnym Rycerzem Okrągłego Stołu”. Ja ją – „Panią Jeziora”. W końcu zasnęliśmy spokojnie, szepcząc w ten sposób do siebie, zatopieni w swych objęciach.

Nie wiem, która była godzina, kiedy się obudziłem. Leżałem na zmiętej kołdrze i było mi bardzo zimno.

Wciąż widziałem pomarańczowawą poświatę i wciąż cicho trzaskał ogień. Zastanawiałem się, jak to w takim razie możliwe, że w sypialni jest aż tak chłodno.

To, co rejestrował mój wzrok, i to, co odczuwało moje ciało, kompletnie do siebie nie pasowało. Rozmyślałem nad tym przez kilka sekund.

Wczołgałem się pod kołdrę i podciągnąłem ją aż do samej szyi. Odbijająca się w oknie poświata wyglądała dość dziwnie.

Pomyślałem, jakie to osobliwe uczucie znowu być z Jezzie. Na Kompletnym Odludziu. W tej chwili nie potrafiłem sobie wyobrazić, żebym mógł z nią nie być.

Kusiło mnie, żeby ją obudzić. Żeby jej to powiedzieć. Gadać o wszystkim i o niczym. Pani Jeziora. I Czarny Rycerz. Brzmiało jak z Geoffreya Chaucera lat dziewięćdziesiątych.

Nagle dotarło do mnie, że to nie poświata z kominka odbija się od szyby.

Wyskoczyłem z łóżka i przypadłem do okna, żeby wyrzeć na zewnątrz. Miałem przed oczami coś, o czym słuchałem całe życie, ale nie spodziewałem się, że kiedykolwiek to zobaczę.

Przed domkiem jasno płonął krzyż.

Rozdział 73

Zaginiona dziewczynka imieniem Maggie Rose.

Morderstwa na osiedlach. Zabijanie dla zabijania. Vivian Kim.

Psychopata. Gary Soneji/Murphy.

„Wspólnik”. Tajemniczy obserwator.

Płonący krzyż w Karolinie Północnej.

Kiedy to się w końcu ułoży w jakąś całość? Czy w ogóle się kiedyś ułoży? Od tamtej chwili w domku Jezzie aż do momentu, gdy wszystko się skończyło, głowę miałem pełną mocnych, niepokojących obrazów. Nie mogłem zapomnieć o sprawie, tak jak sugerowała Jezzie. Wydarzenia kolejnego dnia tylko spotęgowały moją paranoję.

W poniedziałek późno wróciłem z pracy. Zanim zdążyłem przemierzyć te kilkanaście kroków od drzwi do kuchni, obokoczyli mnie Damon i Janelle.

–Telefon! Telefon! Telefon! – skandował Damon, szalejąc u mego boku.

Babcia czekała na mnie w kuchni ze słuchawką. Powiedziała, że to Wallace Hart z więzienia Fallston.

–Wybacz, że niepokoję cię w domu – zaczął Wallace. –

Wpadłbyś tutaj? Sprawa może być ważna.

Usiłowałem ściągnąć z siebie kurtkę. Zatrzymałem się –

z jednym ramieniem w rękawie, a drugim na zewnątrz. Dzieciaki mi pomagały. No, tak jakby: w zasadzie to próbowały mi wykręcić rękę.

–O co chodzi, Wallace? Trochę dzisiaj jestem zajęty – pokazałem Damonowi i Janelle język. – Mam parę małych problemów w domu. Ale sobie poradzę.

–On o ciebie prosił. Chce z tobą rozmawiać... i tylko z tobą. Mówi, że to bardzo ważne.

–Czy nie mógłby poczekać do jutra? – spytałem.

Miałem za sobą ciężki dzień, a poza tym nie wyobrażałem sobie, żeby Gary Murphy mógł mi powiedzieć coś nowego.

–On jest Sonejim – powiedział Wallace. – To Soneji chce z tobą teraz rozmawiać.

Odebrało mi mowę.

–Już jadę – wydusiłem z siebie po chwili.

Dotarłem do Fallston w niecałą godzinę. Gary przebywał na najwyższym piętrze zakładu. Przetrzymano tam w przeszłości paru słynnych pacjentów, takich jak Squeaky Fromme i John Hinckley. Ekskluzywny oddział, dokładnie tak, jak chciał Gary. Kiedy dotarłem do celi, Gary leżał na wąskiej pryczy bez kołdry i prześcieradła. Twarz miał zwróconą ku sufitowi. Cały czas obserwował go strażnik. Stosowano wobec niego „tryb nadzwyczajny”, jak nazywano tu indywidualną obserwację.

–Myślałem o tym, żeby go na noc odstawić do izolatki – powiedział Wallace Hart. – Na jakiś czas dać mu tryb nadzwyczajny i trzymać z dala od wszystkich. Aż się dowiemy, co się z nim dzieje. Alex, on odlatuje.

–Za którymś razem zupełnie się rozleci – stwierdziłem.

Wallace potakująco kiwnął głową.

Wszedłem do celi Gary'ego i usiadłem, nie czekając, aż mi to zaproponuje. Miałem już dość proszenia ludzi o pozwolenie. Mężczyzna wpatrywał się w sufit. Jego oczy wydawały się zapadnięte w głąb czaszki. Byłem pewien, że on czuje moją obecność.

Oto Alex!

–Witam w mojej psychuszce, doktorze – powiedział w końcu upiornie monotonnym, szorstkim głosem. – Wie pan, co to jest psychuszka?

Soneji pełną gębą.

–Rosyjski szpital-więzienie. W Związku Radzieckim zamykano w takich miejscach więźniów politycznych.

–Świetna odpowiedź – wreszcie na mnie spojrział. – Chcę z panem zawrzeć nową umowę. Zaczniemy wszystko od początku.

–Nie wiedziałem, że w ogóle mamy jakąś umowę – odparłem.

–Nie chcę tu tracić więcej czasu. Nie mogę dalej odgrywać Murphy'ego. Nie wolałby się pan, doktorze, raczej dowiedzieć, co nakręca Sonejiego? Oczywiście, że

tak. Sam mógłby pan być sławny. Mógłby się pan stać bardzo ważną osobą w dowolnie wybranych kręgach.

Nie byłem w stanie uwierzyć, że to może być kolejna fuga, jeszcze jedna „ucieczka”. Najwyraźniej świetnie panował nad swoimi słowami.

Czy od samego początku był Sonejim? „Niegrzecznym chłopcem”? Odkąd tylko go poznałem? Taka była moja diagnoza. Jej się trzymałem.

–Nadaża pan za mną? – spytał, nie wstając z pryczy.

Od niechcenia wyciągnął bose nogi i zaczął kiwać palcami.

–W tej chwili mówisz mi, że byłeś w pełni świadom wszystkiego, co zrobiłeś. Nigdy nie było żadnego rozszczepienia osobowości. Żadnych fug. Odgrywałeś obie role. A teraz masz już dość udawania Gary'ego Murphy'ego.

Wzrok Sonęjiego był skupiony i niesamowicie intensywny. Mężczyzna patrzył chłodno i przeszywał spojrzeniem ostrzej niż zwykle. Czasem, w przypadkach bardzo poważnej schizofrenii, zmyślane życie staje się ważniejsze od prawdziwego.

–Zgadza się. Dobrze rozumujesz, Aleksie. Jesteś doprawdy dużo bardziej błyskotliwy od wszystkich pozostałych. Jestem z ciebie dumny. Tylko dzięki tobie nie umieram z nudów. Tylko ty potrafisz przyciągnąć moją uwagę na dłużej niż kilka chwil.

–I czego od nas chcesz? – chciałem sprawić, żeby wrócił do pierwotnego tematu.

– Do czego ja ci jestem potrzebny, Gary?

–Chcę paru drobnych rzeczy. Ale przede wszystkim po prostu chcę być sobą. Że tak powiem. Chcę, żeby doceniono wszystkie moje osiągnięcia.

–Dostaniemy coś w zamian?

Soneji posłał mi uśmiech.

–Opowiem ci, co się stało. Co się działo od samego początku. Pomogę ci rozwiązać twoją jakże ważną sprawę.

Właśnie tobie to wszystko powiem, Alex.

Czekałem, aż Soneji zacznie mówić dalej. Wciąż wracałem myślami do hasła na lustrze w jego łazience: „Ja chcę być kimś!”. Pewnie od samego początku chciał czerpać korzyści.

–Cały czas planowałem zabić oboje dzieci. Nie mogłem się doczekać. Widzisz, bo ja dzieci tak trochę kocham, trochę nienawidzę. Stąd obcinanie piersi i golenie włosów łonowych, żeby moje dorosłe ofiary bardziej je przypominały. Zresztą bezpiecznie i logicznie byłoby na końcu ukatrupić te małe grzdyle. – Soneji znów się uśmiechnął. Jego uśmiech był niepokojący i kompletnie niestosowny, jakby właśnie się przyznawał do niewinnego kłamstewka. – Ciągłe jesteś ciekaw,

dlaczego się zdecydowałem na to porwanie, prawda? Dlaczego wybrałem sobie Maggie Różyczkę i Michaela Krewetkę?

Prowokował mnie, używając ich przezwisk. Chciał być bezczelny. Naprawdę uwielbiał tę całą otoczkę „niegrzecznego chłopca”. W ciągu minionych miesięcy wykazał się rzeczywiście makabrycznym poczuciem humoru.

–Jestem ciekaw wszystkiego, co masz do powiedzenia, Gary. Mów dalej.

–Wiesz – rzekł – kiedyś sobie obliczyłem, że zabiłem ponad dwieście osób. W tym dużo dzieci. Robię to, na co mam ochotę. Co tylko mi przyjdzie do głowy.

Na jego twarzy po raz kolejny pojawił się odruchowy, oślizgły uśmieszek. To już nie był Gary Murphy. To już nie był wzorowy amerykański *yuppie*, mąż i ojciec z Wilmington w stanie Delaware. Czyżby on mordował od dziecka?

–Naprawdę? A może wciąż mnie próbujesz zszokować?

Wzruszył ramionami.

–Po co miałbym to robić? Jako chłopiec czytałem całe tomy poświęcone sprawie Lindberghów. A potem wszystkim wielkim zbrodniom! Kopiowałem wszystkie wycinki, jakie znajdowałem w bibliotece w Princeton. Częściowo już o tym wspominałem, prawda? O mojej obsesyjnej fascynacji porywaniem dzieci. Ich bezsilnością w moich rękach... Chciałem je torturować jak małe ptaszki. Ćwiczyłem z kolegą. Chyba go zresztą poznałeś. Nazywa się Simon Conklin. To tylko drobny świr, doktorze. Nie wart twojego czasu... Żaden z niego partner. Żaden wspólnik. W porywaniu dzieci najbardziej mi się podoba reakcja rodziców. Im wolno krzywdzić innych dorosłych, ale jak ktoś, nie daj Boże, weźmie jedno małe dziecko? Niepojęte!

Niewyobrażalna zbrodnia! Co za bzdury. Co za szczyt hipokryzji. Pomyśl o tym, doktorze. W Bangladeszu umierają miliony ciemnoskórych dzieci. Nikogo to nie obchodzi. Nikt im nie rusza z pomocą.

–Dlaczego zamordowałeś murzyńskie rodziny z biednych osiedli? – zapytałem. – Jaki jest związek?

–A kto powiedział, że musi być jakiś związek? Tego cię właśnie uczyli u Johnsa Hopkinsa? Może to były moje dobre uczynki. Kto powiedział, że ja nie mam wrażliwości społecznej, hmm? Wierzę, że w życiu zawsze musi być równowaga. / *Ching*. Pomyśl o ofiarach, które wybrałem. Narkomani bez perspektyw. Nastoletnia dziewczynka, która już była prostytutką. Mały chłopiec, który już był skazany na zgubę.

Nie wiedziałem, czy mu wierzyć. Odlatywał.

–Czujesz do nas sympatię? – zapytałem. – To doprawdy wzruszające.

Postanowił zignorować moją ironię.

–Wiesz, tak się składa, że miałem kiedyś czarną przyjaciółkę. Służącą. Jeśli naprawdę musisz wiedzieć, była to kobieta, która się mną opiekowała, kiedy mój ojciec brał rozwód z moją prawdziwą matką. Nazywała się Laura Douglas. Ale w końcu

wróciła do Detroit. Opuściła mnie. Wielka, tłusta kobieta. Miała głośny śmiech, który wprost uwielbiałem. Właśnie wtedy, gdy wyjechała, Mamuśka Terror zaczęła zamykać kłopotliwego, nadpobudliwego pasierba w piwnicy. Patrząc na autentyczne dziecko przetrzymywane pod kluczem. W tym samym czasie mój przyrodni brat i przyrodnia siostra bawili się na górze w domu mojego ojca! Bawili się moimi zabawkami. Naśmiewali się ze mnie przez szpary w podłodze. Siedziałem tam zamknięty całymi tygodniami. Tak to właśnie pamiętam. Czy już ci się włączają w głowie lampki ostrzegawcze, doktorze? Torturowany chłopiec w piwnicy. Rozpieszczone dzieci zakopane w stodole. Takie ładne, zgrabne analogie. Klocki zaczynają się układać? Czy nasz drogi Gary wreszcie mówi prawdę?

–A mówisz prawdę? – spytałem ponownie.

Sądziłem, że tak. Wszystko się zgadzało.

–Ojej, tak. Słowo harcerza... To pomówmy o morderstwach w południowo-wschodniej dzielnicy. Szczerze mówiąc, całkiem mi się podobał pomysł, że mógłbym być pierwszym słynnym seryjnym mordercą czarnych. Nie liczę tego ciołka z Atlanty, zakładając, że faktycznie złapali tego, co trzeba. Wayne Williams to był kompletny amator. A w ogóle o co chodzi z tymi wszystkimi Wayne'ami – seryjnymi zabójcami? Wayne Williams. John Wayne Gacy junior. Patrick Wayne Hearney, który na zachodnim wybrzeżu poćwiartował trzydzieści dwie osoby.

–Więc ty nie zamordowałeś Michaela Goldberga? – wróciłem do czegoś, o czym wspomniał wcześniej.

–Nie. W tamtym momencie to nie było zamierzone. Oczywiście w końcu bym go zabił. Wszystko w swoim czasie. Rozpieszczony mały grzdyl. Przypominał mi mojego „braciszka” Donniego.

–Skąd na ciele Michaela Goldberga wzięły się sińce? Powiedz mi, co się wtedy stało.

–Strasznie ci się to podoba, prawda, doktorze? Jak to o tobie świadczy, hm? No więc kiedy zobaczyłem, że mi zdechł, bardzo się wściekłem. Wpadłem w furję.

Kopałem

zasranego trupa po całej podłodze. Walilem go łopata. Nie pamiętam, co jeszcze robiłem. Taki byłem wkurzony. A potem wychrzaniłem go na wsi do rzeki.

–Ale nie skrzywdziłeś dziewczynki? Nie skrzywdziłeś Maggie Rose Dunne?

–Nie, nie skrzywdziłem dziewczynki.

Naśladował troskę w moim głosie. Przyznaję, że całkiem wiernie. Faktycznie potrafił grać, odtwarzać różne role. Strach ogarniał, gdy się na to patrzyło i kiedy się było z nim w jednym pomieszczeniu. Czy to możliwe, że zabijał setki razy?

Przypuszczałem, że tak.

–Opowiedz mi o niej. Co się naprawdę stało z Maggie Rose Dunne?

–No dobrze już, dobrze. Historia o Maggie Rose Dunne. Zapalamy świeczkę i śpiewamy hymn do Jezusa. Kiedy ją porwałem, była trochę zamroczone. W każdym razie jak do niej zajrzałem pierwszy raz. Dochodziła do siebie po sekobarbitalu.

Odegrałem dla małej Maggie Mamuszkę Terror. Mówiłem tak, jak mówiła Mamuska T. przy drzwiach do piwnicy: „Przestansiędrzeć... Zamknij pysk. Zamknij pysk, rozpieszczony mały grzdylu!”. Powiadam ci, nieźle się wystraszyła. Potem znowu ją uśpiłem. Starannie sprawdziłem im obojgu puls, bo byłem pewien, że federalni będą potrzebować dowodu, że dzieci żyły.

–U obu puls był w porządku?

–Tak, Alex, u obu był w porządku. Przyłożyłem każde ucho do serduszka. Pilnowałem, żeby każde równo biło, zamiast zgodnie z moim naturalnym odruchem zadbać o to, żeby przestało.

–Po co ci było porwanie głośne w całym kraju? Po co cały rozgłos? Po co tak ryzykować?

–Bo byłem gotów. Ćwiczyłem bardzo, bardzo długo. Nie ryzykowałem. Poza tym potrzebowałem tych pieniędzy. Zasługiwałem na to, żeby zostać milionerem. Każdy na to zasługuje.

–Następnego dnia wróciłeś, żeby zajrzeć do dzieci? – zapytałem.

–Następnego dnia dziewczynka też była cała i zdrowa. Ale w dzień po śmierci Michaela Goldberga Maggie Rose zniknęła! Wjechałem do stodoły i zobaczyłem, że w miejscu, gdzie zakopałem skrzynię, jest wielka dziura w ziemi. Pusta! Nie zrobiłem krzywdy małej. I nie odebrałem okupu na Florydzie. Ma go ktoś inny. A teraz ty, detektywie, musisz pogłównkować i stwierdzić, co się stało. Bo ja już chyba wiem! Chyba znam wielką tajemnicę.

Rozdział 74

Byłem na nogach o trzeciej nad ranem. Odlatywałem! Grałem Mozarta, Debussy'ego i Billie Holiday na werandzie. Ćpuny pewnie dzwoniły na policję i skarżyły się na hałas.

Rano znów odwiedziłem Sonejiego. „Niegrzecznego chłopca”. Siedziałem z nim w jego ciasnym pokoiku bez okien. Nagle nabrał ochoty na rozmowę. Chyba wiedziałem, do czego dąży. Co mi wkrótce powie. Tak czy inaczej musiałem poczekać, aż on sam potwierdzi moje przypuszczenia.

–Musisz zrozumieć coś, co jest kompletnie obce twojej naturze – powiedział mi. – Kiedy obserwowałem tę małą gówniarę i jej matkę aktorkę, byłem w transie. Ja jestem uzależniony od tanich podniet. Potrzebowałem kolejnych porcji.

Kiedy słuchałem, jak mówi o swoich niewiarygodnych, makabrycznych doświadczeniach, siłą rzeczy zaczynałem myśleć o moich pacjentach, którzy byli maltretowani w dzieciństwie. To żałosne, gdy ofiara opowiada o swoich własnych ofiarach.

–Doskonale rozumiałem „stan podniety”, doktorze. Wiesz, jaka jest moja piosenka przewodnia? *Sympathy for the Devil*. Rolling Stonesów. Współczucie dla diabła. Zawsze starałem się przedsięwziąć odpowiednie środki ostrożności, ale tak, żeby czar nie przysł. Opracowywałem drogi ucieczki, awaryjne drogi ucieczki, wejścia i wyjścia w każdej okolicy, w której się znajdowałem. Między innymi tunel kanalizacyjny, prowadzący ze skraju getta aż na Wzgórze Kapitolskie. Schowałem tam

ubranie na zmianę, łącznie z peruką. O wszystkim pomyślałem. Nie miałem zamiaru dać się złapać. Byłem pewny swoich umiejętności. Wierzyłem w swoją wszechmoc.

–Wciąż w nią wierzysz?

To było poważne pytanie. Nie oczekiwałem szczerzej odpowiedzi, ale i tak chciałem usłyszeć, jak zareaguje.

–Popełniłem jeden, jedyny błąd – odrzekł. – Pozwoliłem, żeby sukces, poklask milionów wielbicieli, uderzył mi do głowy. Poklask może być narkotykiem. Zresztą taka Katherine Rose cierpi na tę samą chorobę. Podobnie jak inne gwiazdy ekranu, jak sportowcy. Rozumiesz, ich oklaskują miliony. Wmawia się im, że są „wyjątkowi”, że są „genialni”. W rezultacie część gwiazd zapomina o swoich ograniczeniach,

zapomina o tym, że tak naprawdę wszystko osiągnęli ciężką pracą. I ja też zapomniałem. W każdym razie wtedy. Właśnie dlatego dałem się złapać. Ja wierzyłem, że dam radę uciec z McDonalda! Tak jak uciekałem do tej pory. Troszkę sobie poszaleję i pomorduję, a potem się zmyję. Widzisz, Alex, chciałem spróbować po trochu wszystkich głośnych zbrodni. Szczypta Bundy'ego, szczypta Geary'ego, szczypta Mansona, Whitmana, Gilmore'a.

–Czy teraz czujesz się wszechmocny? Kiedy dorosłeś i zmądrzałeś? – spytałem. Soneji ironizował. Uznałem, że ja też mogę.

–Bardziej wszechmocnego nie spotkasz. Jestem sposobem na zrozumienie tego pojęcia, czyż nie?

Znów się uśmiechnął tym swoim pustym uśmiechem mordercy. Miałem ochotę go uderzyć. Gary Murphy był postacią tragiczną. Prawie go polubiłem. Ale Soneji był nienawistny, był czystym złem. Ludzkim potworem. Ludzką bestią.

–Kiedy obserwowałeś domy Goldbergów i Dunne'ów, czy wtedy byłeś u szczytu swoich możliwości?

Czy wtedy byłeś wszechmocny, gnojku?

–Och nie, nie, nie. Jak dobrze wiesz, doktorze, już wtedy robiłem się niedbały. Za dużo się naczytałem o moim „perfekcyjnym” morderstwie w Condon Terrace. „Żadnych śladów, żadnych wskazówek, morderca doskonały!”. Nawet ja sam byłem pod wrażeniem.

–Co w Potomac poszło nie tak?

Chyba znałem odpowiedź. Potrzebowałem, by potwierdził moje przypuszczenia.

Wzruszył ramionami.

–Byłem śledzony, rzecz jasna.

No i proszę, pomyślałem. „Obserwator”.

–Wtedy o tym nie wiedziałeś?

–Oczywiście, że nie – zachnął się. – Zdałem sobie z tego sprawę dużo później. A potem to się potwierdziło na rozprawie.

–Jak to? Jak się dowiedziałeś o tym, że cię śledzono?

Soneji spojrzał mi prosto w oczy. Miałem wrażenie, że wzrokiem przewierca mi czaszkę i patrzy gdzieś w przestrzeń. Traktował mnie z góry. Byłem dla niego jedynie wygodnym słuchaczem. Uznał mnie za rozmówcę ciekawszego od wszystkich pozostałych. Nie wiedziałem, czy powinienem się czuć wyróżniony, czy poniżony. Poza tym ciekawiło go, co wiem, a czego nie wiem.

–Pozwól, że przerwę, żeby coś wyjaśnić – powiedział. – To dla mnie bardzo ważne. Mam ci do wyjawienia dużo tajemnic. Małych i wielkich. Ciemnych tajemnic. Soczystych tajemnic. Teraz poznasz jedną z nich. Wiesz dlaczego?

–To proste, mój drogi Gary – odparłem. – Cierpisz męki, poddany czyjejs kontroli. To ty musisz panować nad sytuacją.

–Bardzo dobrze, doktorze detektywie. Ale oferuję w zamian bardzo ciekawe kąski. Morderstwa z okresu, kiedy miałem dwanaście, trzynaście lat. Możesz mi wierzyć, wciąż są nierozwiązane sprawy z tamtych czasów. Mam dla ciebie całą skarbnicę ciekawostek.

–Rozumiem – powiedziałem. – Nie mogę się ich doczekać.

–Ty zawsze rozumiałeś. Teraz tylko musisz przekonać resztę *zombie*, żeby trochę otworzyli swoje ciasne mózdzki.

–„Resztę” *zombie*? - uśmiechnąłem się, łapiąc go na wpadce.

–Przepraszam, przepraszam. Nie chciałem być niegrzecz-

ny. Musisz przekonać tych *zombie*. Wiesz, co mam na myśli. Ty masz dla nich jeszcze mniej szacunku niż ja.

Tutaj miał rację. Musiałbym na przykład przekonać komendanta Pittmana.

–A ty mi pomożesz? Dasz mi coś konkretnego? Muszę wiedzieć, co się stało z dziewczynką. Niech jej rodzice wreszcie zaznają trochę spokoju.

–No dobrze. Zrobię to – powiedział Soneji.

Koniec końców okazało się to takie proste.

Człowiek czeka. I czeka. Tak wygląda prawie każde policyjne śledztwo. Zadaje się tysiące pytań. Dosłownie tysiące. Wypełnia się niepotrzebnymi papierami całe szafy. A potem zadaje się jeszcze więcej pytań. Sprawdza się niezliczone poszlaki, które donikąd nie prowadzą. Aż wreszcie coś się dla odmiany udaje. Raz na jakiś czas tak się zdarza. Tak jak teraz. Zwracała się inwestycja tysięcy godzin pracy. Pojawiała się

nagroda za te wszystkie odwiedziny u Gary'ego.

**–Wtedy nie zauważyłem, że jestem obserwowany –
ciągnął Gary Soneji. – To, o czym ci opowiem, nie zdarzyło
się wcale w pobliżu domu Sandersów. Doszło do tego na
Sorrell Avenue w Potomac. Przed rezydencją Goldbergów,
ściśle mówiąc.**

**Nagle miałem dość jego megalomańskich gier. Chciałem wreszcie wiedzieć to,
co on wie. Byłem już blisko. Gadaj wreszcie, mały chujku.**

**–Mów dalej – powiedziałem. – Co się zdarzyło w Potomac? Co zobaczyłeś u
Goldbergów? Kogo zobaczyłeś?**

**–Pojechałem tam którejś nocy przed porwaniem. Chodnikiem szedł mężczyzna.
Nie zwróciłem na niego uwagi. W ogóle o nim nie myślałem, aż do chwili gdy
zobaczyłem go na sali sądowej.**

**Soneji na chwilę zamilkł. Czy znowu grał? Chyba nie. Patrzył na mnie takim
wzrokiem, jakby zaglądał w głąb mojej duszy. On wie, kim jestem. On mnie zna, może
nawet lepiej niż ja sam.**

**Czego ode mnie chciał? Czy byłem substytutem czegoś, czego mu brakowało w
dzieciństwie? Dlaczego właśnie ja zostałem wybrany do tego koszmarnego zadania?**

–Kim był człowiek, którego rozpoznałeś w sądzie? – spytałem Gary „ego Sonejiego.

–To był ten agent Secret Secret. Devine. On i jego koleżka Chakely musieli mnie zauważyć, gdy pilnowali domów Gold-bergów i Dunne'ów. To oni mnie śledzili. Oni zabrali najdroższą Maggie Rose! Oni wzięli okup na Florydzie. Od samego początku powinieneś być szukać gliniarzy. Dziewczynkę zamordowali dwaj gliniarze.

–

Rozdział 75

Moje przeczucie co do Devine'a i Chakely'ego okazało się jednak słuszne. Potwierdził je Soneji/Murphy, jedyny naoczny świadek. Teraz trzeba było działać.

Sam musiałem ponownie otworzyć sprawę porwania – i to informacją, której nikt w Waszyngtonie nie chciał usłyszeć.

Postanowiłem zacząć od rozmowy z FBI... Maggie Rose została zamordowana przez dwóch gliniarzy. Śledztwo trzeba było koniecznie wznowić. Za pierwszym razem nie rozwiązano sprawy. Teraz cały zamęt wybuchnie od nowa.

Wpadłem do mojego starego druha Gerry'ego Scorse'a w centrali FBI. Czterdzieści minut tkwiłem w sekretariacie, aż wreszcie Scorse przyniósł mi kawę i zaprosił do gabinetu.

–Wejdz, Alex. Dziękuję, że zaczekałeś.

Uprzejmie i z wyraźnym zainteresowaniem słuchał mojej relacji o tym, czego się wcześniej dowiedziałem o Mike'u Devinie i Charlesie Chakelym, i co następnie powiedział mi o nich Soneji. Robił notatki. Dużo notatek w żółtym skoroszytcie.

Gdy skończyłem, powiedział tylko:

–Muszę gdzieś zadzwonić. Poczekaj tutaj.

Kiedy wrócił, poprosił, żebym z nim poszedł na górę. Choć tego nie powiedział, przypuszczałem, że wieści od Gary'ego Sonejiego zrobiły na nim wrażenie.

Zaprowadził mnie na najwyższe piętro, do salki konferencyjnej zastępcy dyrektora, Kurta Weithasa. Weithas był osobą

numer dwa w całym FBI. Chcieli mi dać do zrozumienia, że to ważne spotkanie. Dotarło do mnie.

Scorse wszedł razem ze mną do imponującej, cichej salki. Ściany oraz większość mebli utrzymane były w stonowanych odcieniach ciemnego granatu. Całość robiła bardzo surowe wrażenie. Pomieszczenie przypominało mi kabinę zagranicznego samochodu. Przygotowano dla nas ołówki i żółte skoroszyty.

Od samego początku nie ulegało wątpliwości, że jest to spotkanie Weithasa.

–Nasz cel jest dwojaki, detektywie – zaczął.

Weithas mówił i zachowywał się jak bardzo wysoko postawiony, bardzo spokojny prawnik z Kapitolu. Zresztą w pewnym sensie nim właśnie był. Miał na sobie olśniewająco białą koszulę oraz krawat od Hermesa. Gdy wszedł do salki, zsunął z nosa okulary w drucianej oprawie. Zdawało się, że jest w ponurym nastroju.

–Chciałbym panu przedstawić wszystkie informacje, którymi dysponujemy na

temat agentów Devine'a i Chakely'ego. W zamian oczekuję absolutnej poufności. Detektywie, muszę panu powiedzieć... że wiemy o nich już od jakiegoś czasu. Prowadzimy śledztwo równoległe do pańskiego.

–Obiecuję współpracę – odrzekłem, usiłując nie okazywać zaskoczenia wiadomością, którą teraz dla odmiany ja usłyszałem. – Jednak będę musiał złożyć raport w moim wydziale.

–Rozmawiałem już o tym z pańskim przełożonym – Weithas zbagatelizował ten drobny szczegół.

Zdążył już zachwiać moją pewnością siebie. Oczekiwał, że mu się nie zrewanżuję.

–W swoim śledztwie kilka razy nas pan wyprzedzał. Tym razem to my jesteśmy trochę do przodu. Tak o pół kroku.

–Macie nieco więcej ludzi – przypomniałem.

Dalej mówił już Scorse. W jego głosie wciąż pobrzmiwała protekcyjna nuta.

–Zaczęliśmy się przyglądać agentom Devine'owi i Chakely'emu zaraz po porwaniu – powiedział. – W naturalny

sposób znaleźli się w kręgu podejrzanych, chociaż nie braliśmy ich poważnie pod uwagę. W toku dochodzenia obaj znajdowali się pod ogromną presją. Secret Service podlega bezpośrednio sekretarzowi skarbu, toteż może sobie pan wyobrazić, co przeżywali.

–W dużej mierze widziałem to na własne oczy – przypomniałem obu mężczyznom. Scorse skinął głową, po czym mówił dalej.

–Czwartego stycznia agent Charles Chakely złożył wypowiedzenie ze służby. Twierdził, że nosił się z tym zamiarem na długo przed porwaniem. Mówił, że nie mógł znieść ciągłych insynuacji oraz uwagi mediów. Wymówienie przyjęto natychmiast. Mniej więcej w tym samym czasie odkryliśmy drobny błąd w dziennikach prowadzonych przez agentów. Pomyłkowo przestawiono datę. Nic wielkiego, z tym że my po prostu w owym czasie sprawdzaliśmy wszystko, co miało jakikolwiek związek ze sprawą.

–W końcowej fazie bezpośrednio lub pośrednio pracowało przy niej dziewięćset agentów – wtrącił Weithas.

Wciąż nie wiedziałem, do czego dąży.

–Po jakimś czasie odkryto kolejne nieścisłości w dziennikach agentów – kontynuował Scorse. – Eksperci stwierdzili, że dwa raporty zostały spreparowane, to znaczy napisane od nowa. W końcu nabraliśmy przekonania, że usunięte treści dotyczyły nauczyciela Gary'ego Sonejiego.

–Widzieli Sonejiego, kiedy obserwował dom Goldbergów w Potomac – powiedziałem. – O ile można mu wierzyć.

–Myślę, że co do tego można. Pańskie najnowsze odkrycia odpowiadają temu, co sami stwierdziliśmy. Mamy przekonanie, że ci dwaj agenci obserwowali Sonejiego, kiedy ten śledził Michaela Goldberga i Maggie Rose Dunne. Sądzymy, że jeden z nich pojechał za Sonejim i znalazł kryjówkę w Crisfield.

–I od tamtej pory ich obserwujecie? – spytałem Gerry'ego Scorse'a.

Potwierdził pojedynczym skinieniem głowy. Jak zawsze był oszczędny.

–W każdym razie od kilku miesięcy. Poza tym mamy

podstawy przypuszczać, że oni o tym wiedzą. W dwa tygodnie po odejściu Chakely'ego Devine także zrezygnował ze służby. Mówił, że on i jego rodzina również nie potrafią sobie poradzić z presją. Tak się składa, że Devine jest z żoną w separacji.

–Domyślam się, że Chakely i Devine nie próbowali wydać pieniędzy? – spytałem.

–Nic nam o tym nie wiadomo. Jak już mówiłem, wiedzą, że jesteśmy podejrzliwi.

Oni nie są głupi. W żadnym razie.

–Teraz wszystko sprowadza się do zawilej i delikatnej gry na zwłokę – powiedział Weithas. – Na razie niczego nie jesteśmy w stanie udowodnić, ale możemy im komplikować życie. A już na pewno możemy dopilnować, żeby nie wydali pieniędzy z okupu.

–A co z pilotem z Florydy? Ja nie byłem w stanie prowadzić tam śledztwa.

Dowiedzieliście się, kto to był?

Scorse skinął głową. FBI dużo przede mną ukrywało. Zresztą tak jak przed wszystkimi. Nie byłem tym zdziwiony.

–Okazał się przemytnikiem narkotyków nazwiskiem Joseph Denyeau. Był znany naszym ludziom na Florydzie. Można przypuszczać, że Devine znał Denyeau i że go wynajął.

–Co się stało z tym Josephem Denyeau?

–Gdybyśmy mieli wątpliwości, czy Devine i Chakely grają serio... owszem, grają. Denyeau został zamordowany w Kostaryce. Poderżnięto mu gardło. Nikt nie miał go nigdy znaleźć.

–Nie zamierzacie na razie zatrzymać Devine'a i Chake-ly'ego?

–Nie mamy żadnych dowodów. Nic obciążającego. To, co wyciągnąłeś od Sonejiego, umacnia poszlaki, ale nie przyda się w sądzie.

–Co się stało z dziewczynką? Co się stało z Maggie Rose? – spytałem Weithasa.

Nic nie powiedział. Głośno wypuścił powietrze ustami. Miałem wrażenie, że ma za sobą bardzo długi dzień. I bardzo długi rok.

–Nie wiemy – odparł Scorse. – Wciąż nie mamy żadnych wieści o Maggie Rose. To jest w tym wszystkim naprawdę zaskakujące.

–Jest jeszcze jeden problem – powiedział Weithas.

Siedział wraz ze Scorse'em na kanapie z ciemnej skóry.

Obaj opierali się o szklany stolik. Z boku stały komputer i drukarka.

–Jestem przekonany, że jest jeszcze wiele problemów – odparłem.

Na FBI zawsze można liczyć, że zachowa je dla siebie. Naprawdę mogli mi pomóc.

Może nawet znaleźlibyśmy Maggie Rose, gdybyśmy tylko pracowali razem.

Weithas spojrział na Scorse'a, a potem znowu na mnie.

–Tym problemem jest Jezzie Flanagan – powiedział.

Zamurowało mnie. Czuję się, jakby ktoś walnął mnie pięścią w brzuch. Przez ostatnie parę minut przeczuwałem, że mają mi jeszcze coś do powiedzenia.

Siedziałem bez ruchu, czułem chłód i pustkę i byłem na dobrej drodze, żeby nie czuć już nic.

–Sądźmy, że jest silnie powiązana z tamtymi dwoma mężczyznami. Od samego początku. Jezzie Flanagan i Mike Devine od lat są kochankami.

Rozdział 76

Wieczorem, o wpół do dziewiątej, szliśmy z Sampsonem New York Avenue, która znajduje się w najbardziej podejrzanej okolicy waszyngtońskiego getta. To tam on i ja zwykle spędzamy wieczory. To nasz dom.

Sampson właśnie mnie spytał, jak się trzymam.

–Dzięki, nie za dobrze. A ty? – odrzekłem.

Wiedział o Jezzie Flanagan. Powiedziałem mu wszystko, co wiem. Sprawy coraz bardziej się komplikowały. Chyba nie mogłem się już czuć gorzej niż tamtego wieczoru. Scorse i Weithas szczegółowo opisali zaangażowanie Jezzie. Na pewno to zrobiła. Nie było miejsca na wątpliwość. Jedno kłamstwo prowadziło do kolejnych. Jeśli okłamała mnie choć raz, okłamała mnie sto razy. Bez mrugnięcia okiem. Była w tym lepsza niż Soneji/Murphy. Zręczna i pewna siebie.

–Chcesz, żebym się zamknął? Czy żebym do ciebie gadał? – zapytał Sampson. – Tak czy inaczej posłucham.

Jego twarz jak zwykle nie wyrażała żadnych emocji. Może to przez te ciemne okulary. Chociaż wątpię – Sampson był taki od dziesiątego roku życia.

–Chcę pogadać – powiedziałem Johnowi. – Chętnie bym się napił. Musimy porozmawiać o psychopatycznych kłamcach.

–Postawię ci parę drinków – odparł Sampson.

Ruszyliśmy w stronę Faces, baru, który odwiedzamy, odkąd tylko wstąpiliśmy do policji. Stałym bywalcom nie przeszkadza, że jesteśmy twardymi waszyngtońskimi gliniarzami. Paru nawet przyznaje, że robimy w okolicy więcej dobrego niż złego.

Klientela Faces jest w większości czarna, ale biali przychodzą czasem posłuchać jazzu. Oraz nauczyć się, jak tańczyć i się ubierać.

–To Jezzie przydzielała Devine'a i Chakely'ego, prawda? – Sampson ustalał fakty, gdy czekaliśmy na zielone światło przy 5th Street.

Spod baru Popeye's Fried Chicken przyglądało nam się paru chuliganów. Dawniej na tym samym rogu stały podobne gnojki, tyle że bez broni i kupy kasy w kieszeniach.

–Joł, bracia! – Sampson mrugnął do nich okiem.

Sampson wszystkim ryje we łbie. Nikt nie odpowiada mu tym samym.

–Zgadza się, taki był początek. Devine i Chakely stanowili jeden z zespołów przydzielonych do sekretarza Goldberga i jego rodziny. Ich przełożoną była Jezzie.

–I nikt ich nigdy nie podejrzewał?

–Nie od razu. FBI ich sprawdzało. Wszystkich sprawdzało. W dziennikach Devine'a i Chakely'ego znaleźli jakieś nieprawidłowości. To wtedy nabrali podejrzeń. Jakiś analityk uznał, że dzienniki były fałszowane. Oni mieli do tego dwadzieścia razy więcej ludzi niż my. Poza tym usunęli spreparowane dzienniki, żeby nikt z nas nie mógł na nie trafić.

–Devine i Chakely zauważyli, jak Soneji obserwuje jedno z dzieci. I tak się zaczął cały ten cyrk? Podwójna gra.

Sampson zdążył się już zorientować, o co tutaj szło.

–Pojechali za Sonejim aż na farmę w Marylandzie. Zrozumieli, że śledzą potencjalnego porywacza. Ktoś wpadł na pomysł, żeby porwać porwane przez niego dzieci.

–Pomysł za dziesięć milionów – mruknął Sampson. – Czy panna Jezzie od początku była w to wtajemniczona?

–Nie wiem. Myślę, że tak. Będę ją o to musiał kiedyś spytać.

–Aha – Sampson kiwał głową w rytm naszej rozmowy. – A łeb masz teraz nad wodą czy pod wodą?

–Tego też nie wiem. Kiedy poznajesz kogoś, kto potrafi okłamywać tak jak ona, kompletnie zmienia ci się punkt widzenia. Trudno to znieść, stary. Ty mnie kiedyś okłamałeś?

Sampson wyszczerzył zęby – w takim ni to uśmiechu, ni to warknięciu.

–Mnie to wygląda, że jednak masz łeb pod wodą.

–Też mi się tak wydaje – przyznałem. – Miewałem lepsze dni. Ale miewałem i gorsze. Chodźmy już na to piwo.

Sampson zasalutował chuliganom. Zaczęli się śmiać i pozdrowili nas gestem. Policjanci i złodzieje na rewirze. Przeszliśmy przez ulicę i skierowaliśmy się prosto do

Faces. Należało mi się trochę zapomnienia.

We wnętrzu panował tłok i miało tak zostać aż do zamknięcia. Przywitaliśmy się z kilkoma osobami. Przy barze siedziała kobieta, z którą się kiedyś spotykałem. Bardzo ładna i bardzo miła, pracowała z Marią w opiece społecznej.

Zastanawiałem się, dlaczego nic z tego nie wyszło. Z powodu jakiejś mojej głęboko zakorzenionej wady charakteru? Nie. To na pewno nie to.

–Widzisz tam Asahe? – Sampson pokazał gestem.

–Jestem policjantem. Wszystko widzę. Nic mi nie umknie – odparłem.

–Na mój gust to trochę się nad sobą użalasz. Ironia losu, rzekłbym. Dwa piwa proszę. Albo nie, cztery – zwrócił się do barmana.

–Przejdzie mi – powiedziałem. – Jeszcze zobaczysz. Po prostu nigdy nie pomyślałem, że mogłaby być podejrzana. Mój błąd.

–Twardziel z ciebie, stary. Masz geny swojej wrednej babuni. Już my cię doprowadzimy do stanu używalności. I pannę Jezzie też załatwimy.

–John, lubiłeś ją? Zanim to wszystko wyszło na jaw?

–Jasne. Czego w niej nie lubić? I do tego świetnie kłamie.

Ma prawdziwy talent. Czegoś takiego nie widziałem od czasu tego filmu Żar ciała - odparł. – I nie, nigdy cię. nie okłamuję, bracie. Nawet wtedy, kiedy powinienem.

Najtrudniejszy moment nadszedł dopiero wówczas, gdy wraz z Sampsonem opuściliśmy Faces. Wypiłem parę piw, ale wciąż mówiłem raczej z sensem, a zarazem znieczuliłem się na największy ból. Jednak wciąż nie mijał szok, że Jezzcie od początku była w to zamieszana. Wspominałem, jak odwracała moje podejrzenia od Devine'a i Chakely'ego. Wyciągała ze mnie na bieżąco wszystko, czego dowiadywała się policja. Była wtyka doskonałą. Opanowana i pewna siebie. Perfekcyjna w swojej roli.

Gdy wróciłem do domu, babcia wciąż nie spała. Do tej pory jeszcze jej nie powiedziałem o Jezzcie. Równie dobrze mogłem to zrobić teraz. Te parę piw trochę pomogło. Wszystko, co razem przeżyliśmy, pomogło o wiele bardziej. Wyłożyłem jej całą prawdę. Słuchała, nie przerywając, co samo w sobie świadczyło o tym, jak ją przejęła ta wiadomość.

Kiedy skończyłem, siedzieliśmy w milczeniu i tylko na siebie patrzyliśmy. Ja przycupnąłem na pufie, z nogami wyciągniętymi w jej kierunku. Otaczała nas rozdzierająca cisza.

Babcia siedziała w swym głębokim fotelu, skulona pod kremowym kocym. Wciąż kiwała głową, przygryzała górną wargę i myślała nad tym, co właśnie powiedziałem.

–Muszę od czegoś zacząć – rzekła w końcu – więc może zacznę od tego. Nie powiem: „A nie mówiłam”, bo nie miałam pojęcia, że może być aż tak źle. Po prostu się o ciebie bałam, to wszystko. Ale nie przewidywałam czegoś takiego. Coś tak strasznego nigdy by mi nie przyszło do głowy. A teraz chodź mnie przytul, zanim pójdę na górę się pomodlić. Dzisiaj będę się modlić za Jezzcie Flanagan. Naprawdę. Będę się modlić za nas wszystkich.

–Ty zawsze wiesz, co powiedzieć – podsumowałem.
Babcia naprawdę wiedziała, kiedy dać klapsa, a kiedy po klepać po plecach i dodać otuchy.

Przytuliłem ją, po czym podreptała na górę. Ja zostałem na dole. Rozmyślałem o tym, co powiedział Sampson: załatwimy Jezzcie. Ale nie ze względu na cokolwiek, co między nami zaszło. Ze względu na Michaela Goldberga i Maggie Rose. Ze względu na Vivian Kim, która wcale nie musiała zginąć. Ze względu na Mustafę Sandersa.

W ten czy inny sposób musieliśmy dorwać Jezzcie.

Rozdział 77

Robert Fishenauer był nadzorcą w więzieniu Fallston. Tego dnia uważał, że to bardzo dobrze. Przypuszczał, że wie, gdzie znajduje się dziesięć milionów dolarów okupu – a przynajmniej spora część tej sumy. I właśnie miał zamiar zerknąć w to miejsce.

Poza tym był też niemal pewny, że Gary Soneji/Murphy wciąż wszystkim miesza w głowach. Solidnie i bez przerwy.

Fishenauer jechał swym pontiakiem firebird drogą numer 50 w stanie Maryland, a w głowie roilo mu się od pytań. Czy Soneji/Murphy był porywaczem? Czy rzeczywiście wiedział, gdzie są pieniądze? A może tylko pieprzył bzdury? Może był tylko kolejnym świrem z Fallston.

Wkrótce wszystko miało się wyjaśnić. Jeszcze kilka kilometrów i Fishenauer będzie wiedział więcej niż wszyscy, z wyjątkiem samego Sonejiego/Murphy'ego.

Od szosy odbijała w prawo rzadko uczęszczana droga dojazdowa do starej farmy, już niemal całkiem niewidoczna.

Wzdłuż tego, co kiedyś najwyraźniej było drogą, rosły pałki wodne i słoneczniki. W zaschniętej ziemi zatarły się już nawet koleiny po kołach.

Roślinność była powalona. W ciągu ostatnich kilku miesięcy ktoś się tędy przebijał. FBI i miejscowa policja? Na pewno z dziesięć razy przeszukiwali gospodarstwo.

Ale czy zrobili to dostatecznie skrupulatnie? – zastanawiał się Robert Fishenauer. W tej chwili to właśnie było pytanie za dziesięć milionów dolarów, czyż nie?

Około wpół do szóstej po południu Fishenauer zaparkował swego zakurzonego czerwonego firebirda obok rozsypującego się garażu, na lewo od głównego budynku. Adrenalina tętniła mu w skroniach. Nic tak nie ekscytuje jak poszukiwanie skarbów.

Gary gadał o tym, jak to Bruno Hauptmann schował część pieniędzy z okupu w swoim garażu w Nowym Jorku. Hauptmann terminował jako stolarz, więc wmontował w ścianę tajny schowek.

Gary powiedział, że on też zrobił coś takiego w garażu na farmie w Marylandzie. Przysięgał, że to prawda i że FBI nigdy nie znajdzie skrytki.

Fishenauer zgasił silnik. Nagła cisza była trochę straszna. Stary dom rzeczywiście wyglądał na opuszczony, a do tego na mocno upiorny. Przypomnił mu się film Noc żywych trupów. Z tym, że teraz to on grał intruza.

Wszędzie rosły chwasty, zwisały nawet z dachu garażu. Ściany pokryte były zaciekami.

–No dobra, koleżko Gary, zaraz zobaczymy, czy zalewasz. Oby nie.

Robert Fishenauer wziął głęboki wdech i wysiadł z samochodu. Już wcześniej obmyślił, co powie, gdyby go ktoś nakrył. Powie, że Gary wyjawiał mu miejsce, gdzie zakopał Maggie Rose Dunne. Ale sądził, że to pewnie tylko brednie świra.

A jednak ta myśl nie dawała mu spokoju.

I oto przyjechał do tego Dreszczewa w stanie Maryland, żeby to sprawdzić. Szczerze mówiąc, czuł się głupio. Miał też trochę poczucia winy – ale musiał się sam przekonać. Po prostu musiał. To jego osobista loteria za dziesięć milionów dolarów. I on miał na nią los.

Może zaraz znajdzie zakopaną Maggie Rose Dunne. Jezu, oby nie. A może tam rzeczywiście był obiecany przez Ga-ry'ego skarb.

W ciupie sporo rozmawiał z koleżką Garym. Całymi godzinami. Gary uwielbiał opowiadać o swoich wyczynach. O swoim

dzieciatku, jak nazywał cały numer z porwaniem. O swej zbrodni „doskonałej”. Jasne! Tak „doskonałej”, że teraz odsiadywał dożywocie w więzieniu dla psychicznie chorych o zastrzonym rygorze.

I tak oto Robert Fishenauer stał przed zapełnionym wejściem do Dreszczewa. Miejsca zbrodni, jak to mówią.

Na drzwiach znajdowała się bardzo zardzewiała zasuwa. Fishenauer włożył zimowe rękawiczki do golfa – to by już było trudniej wyjaśnić, gdyby go ktoś przyłapał. Odsunął zasuwę. Chwasty na ziemi były tak gęste, że musiał mocno szarpać drzwi.

Pora sobie poświecić. Wyjął lampę i włączył z pełną mocą. Gary mówił, że pieniądze znajdzie na prawo, w kącie.

Po całym garażu walały się stare, zepsute urządzenia rolnicze. Fishenauer szedł

przed siebie, a do twarzy i szyi kleiły mu się pajęczyny. Od wszystkiego tutaj była mocna woń rozkładu.

W połowie drogi zatrzymał się i obrócił. Wyrzwał przez otwarte okno i nasłuchiwał przez dobre półtorej minuty.

Gdzieś w oddali słyszał odrzutowiec. Żadnych innych dźwięków. Miał szczerą nadzieję, że nikogo tu nie było.

Jak długo FBI mogło obserwować opuszczoną farmę? Przecież nie dwa lata po porwaniu!

Usatysfakcjonowany świadomością, że jest tu sam, Fishenauer ruszył dalej w głąb garażu. Kiedy już tam dotarł, wziął się do pracy.

Przysunął sobie stary, solidny stół warsztatowy – Gary mówił, że go tam znajdzie. W ogóle Fishenauer był teraz w stanie stwierdzić, że Gary niesamowicie dokładnie i szczegółowo opisał cały garaż. Położenie każdego zepsutego urządzenia. Umieszczenie każdej listwy w spróchniałych ścianach.

Mężczyzna wszedł na stół i zaczął odrywać stare deski w miejscu, gdzie dach stykał się ze ścianą. Za nimi była pustka! Dokładnie tak, jak mówił Gary.

Zaświecił w otwór. Rzeczywiście tam były – część pieniędzy z okupu, których Gary Soneji/Murphy niby nie miał. Fishenauer nie mógł uwierzyć własnym oczom. W ścianie garażu rzeczywiście spoczywała sterta pieniędzy.

Rozdział 78

Następnego dnia o 3.16 nad ranem Gary Soneji/Murphy mocno przycisnął czoło do zimnych prętów, które oddzielały jego celę od więziennego korytarza. Miał do odegrania kolejną rolę. Będzie się działo!

Zaczął wymiotować na wypolerowaną podłogę z linoleum – dokładnie tak, jak zaplanował. Ostro haftował. Na przemian rzeził i wołał o pomoc.

Natychmiast przybiegli obaj strażnicy. Od momentu przybycia Gary'ego do Fallston pilnowano, żeby nie popełnił samobójstwa. Laurence Volpi i Phillip Halyard byli weteranami z wieloletnim doświadczeniem w służbie więziennej. Niezbyt lubili zamieszania, szczególnie po północy.

–Co się dzieje, dupku? – krzyknął Volpi, widząc rosnącą brązowo-zieloną kałużę na ziemi. – Co z tobą, do cholery?

–Chyba zostałem otruty – jęknął Soneji/Murphy, z trudem łapiąc powietrze. Jego głos dobiegał z głębi piersi. – Ktoś mnie otruł. Otruto mnie! Chyba umieram. Boże, ja umieram!

–Lepszej wiadomości dawno nie słyszałem – odezwał się Phillip Halyard i uśmiechnął do kolegi. – Że też pierwszy o tym nie pomyślałem. Można było gnoja otruć.

Volpi wyciągnął krótkofalówkę i wezwał nadzorcę nocnej zmiany. Góra przykładała dużą wagę do pilnowania, żeby Soneji nie popełnił samobójstwa. Volpi nie miał zamiaru do tego dopuścić, kiedy on jest na służbie.

–Znowu mi niedobrze – jęknął Gary Soneji/Murphy.
Opadł ciężko na kratę i po raz drugi wymiotował –
gwałtownie.

Kilka chwil później przybył nadzorca piętra. Laurence Volpi szybko opowiedział szefowi, co się stało. To był jego standardowy sposób, żeby chronić swój tyłek.

–Mówi, że go otruli. Bobby, ja naprawdę nie wiem, co tu się, do cholery, stało, ale to możliwe. Wystarczająco wielu sukinsynów szczerze go nienawidzi.

–Wezmę go na dół do szpitala – oznajmił swoim podwładnym Robert Fishenauer. On w ogóle lubił za wszystko brać odpowiedzialność i Volpi właśnie na to liczył. – Chyba mu będą musieli płukać żołądek. Jeśli w ogóle jeszcze jest co płukać. Dobrze mi go skujcie. Ręce i nogi. Nie wygląda, jakby dzisiaj miał stwarzać problemy.

Kilka chwil później Gary Soneji/Murphy czuł się już jedną nogą na wolności. Ściany więziennej windy były obite grubą tkaniną. Poza tym dźwig był strasznie stary i koszmarnie powolny. Serce łomotało Gary'emu jak młot. Odrobina zdrowego strachu. Już mu brakowało tej adrenaliny.

–Wszystko w porządku? – spytał Fishenauer.

Jechali w dół, centymetr po centymetrze. Z otworu w tkaninie wystawała jedna naga żarówka. Rzucała ponure światło.

–Czy wszystko w porządku? A jak ci się wydaje? Doprowadziłem się do mdłości. Jest mi niedobrze – powiedział Soneji/Murphy. – Czy ta cholerna winda nie może jechać szybciej?

–Znowu będziesz rzygał?

–Bardzo możliwe. Ale to niewielka cena, Bobby. – Soneji/Murphy zdołał się blado uśmiechnąć. – Naprawdę niewielka cena.

–Może i tak – mruknął Fishenauer. – Ale w razie czego trzymaj się z dala ode mnie.

Winda mijala kolejne drzwi. Jechała bez zatrzymywania aż do piwnicy, gdzie stanęła z głuchym hukiem.

–Jeśli kogoś zobaczymy, pamiętaj, że idziemy na prze-

świecenie – powiedział Fishenauer, kiedy drzwi się otworzyły. – Rentgen jest tu na dole.

–Tak, znam plan. To jest mój plan – odparł Gary Soneji/Murphy.

Ruszyli długim piwnicznym korytarzem, a ponieważ było po trzeciej nad ranem, nie spotkali nikogo. W połowie długości korytarza znajdowały się drzwi. Fishenauer otworzył je kluczem.

Za nimi był kolejny pusty, cichy hol, tym razem krótki. Prowadził do drzwi bezpieczeństwa. To tutaj miał się zacząć gnój. Tutaj Fishenauer miał się przekonać, czy Gary Soneji/Murphy jest tak dobry, jak wskazuje na to jego reputacja. Fishenauer nie miał klucza do tych drzwi.

–Bobby, daj mi swoją broń. Tylko pomyśl o tych dziesięciu

milionach dolarów. Teraz poradzę sobie sam, więc ty się możesz skupić na swoim udziale w forsie.

No i już. W ustach Sonejiego to wszystko brzmiało tak prosto. Zrób to, zrób tamto. Weź część z dziesięciu milionów dolarów. Fishenauer niechętnie oddał rewolwer. Nie chciał już myśleć o tym, co robi. Dla niego również była to szansa na wyrwanie się z Fallston. Jedyna szansa. Wiedział, że w przeciwnym razie zostanie tam do końca życia.

–Bez kombinowania – powiedział Soneji. – Na pewno zadziała. Gadaj do Kesslera. Udawaj, że się bardzo boisz.

–Ja się, kurwa, naprawdę bardzo boję.

–I słusznie, Bobby. Ja mam twoją broń.

Za drzwiami było dwóch strażników. Okno z pleksiglasu dawało im dobry widok na niewiarygodną scenę, która rozgrywała się po drugiej stronie.

Zobaczyli Sonejiego/Murphy'ego, przystawiającego rewolwer do lewej skroni nadzorcy Boba Fishenauera. Co prawda na rękach i nogach miał kajdanki, ale miał także broń. Obaj strażnicy natychmiast wstali. Unieśli strzelby na gumowe pociski. Na nic innego nie starczyło im czasu.

**–Patrzycie na trupa – wrzasnął na cały głos Soneji –
jeśli za pięć sekund nie otworzycie tych pieprzonych drzwi.
Pięć sekund!**

–Błagam! – krzyknął do strażników Fishenauer. Nie ma co, rzeczywiście się bał. Soneji mocno przyciskał lufę. – On zabił na górze Volpiego.

Starszy strażnik, Stephen Kessler, nie potrzebował nawet pięciu sekund na podjęcie decyzji. Przekręcił klucz otwierający drzwi. Kessler był kolegą Roberta Fishenauera – Soneji wziął to pod uwagę. Wszystko przewidział. Wiedział, że Fishenauer jest w Fallston na „dożywociu”. Był tam uwięziony dokładnie tak samo jak skazańcy. Rozmawiał z nim o jego złości i frustracji. Ani trochę się nie pomylił. Gary był najmądrzejszym sukinsynem, jakiego Robert Fishenauer kiedykolwiek spotkał. I miał z niego zrobić milionera.

Dwaj mężczyźni ruszyli do samochodu Fishenauera. Firebird stał tuż przy bramie wjazdowej. Fishenauer zostawił auto niezamknięte.

W mgnieniu oka siedzieli w środku.

–Ładny wózek, Bobby – powiedział Gary Soneji/Murphy. – Teraz będziesz sobie mógł kupić lamborghini. Albo ze dwa lub trzy, jeśli chciałbyś się naprawdę pokazać.

Soneji położył się na tylnym siedzeniu. Schował się pod kocem, na którym zwykle sypiał collie Fishenauera. Koc mocno śmierdział psem.

–A teraz wyносmy się z tej dziury – powiedział Soneji/Murphy.

Robert Fishenauer uruchomił silnik.

Jakiś kilometr od więzienia zmienili auta. Na ulicy czekał ford bronco, do którego szybko wskoczyli.

Po kilku minutach znajdowali się już na autostradzie. Ruch był niezbyt intensywny, ale wystarczył, by zniknęli wśród samochodów.

Nie minęło półtorej godziny, gdy ford bronco skręcił na zarośniętą drogę, która prowadziła do starego gospodarstwa w rolniczym sercu Marylandu. Podczas jazdy Soneji/Murphy pozwolił sobie na drobną, lecz jakże wyborną przyjemność rozkoszowania się maestrią swego genialnego planu. Jakież to był wspaniały pomysł, żeby dwa lata wcześniej schować w ga-

razu trochę pieniędzy. Oczywiście nie z okupu. Właśnie z myślą o tej właśnie chwili. Cóż za przezorność.

–Jesteśmy na miejscu? – Gary Soneji/Murphy w końcu odezwał się spod koca.

Fishenauer nie od razu odpowiedział, ale Gary poznał ten dojazd po wybojach. Wreszcie usiadł na ciasnej tylnej kanapie. Był już prawie wolny. Był niepokonany.

–Pora się wzbogacić – powiedział i zaśmiał się w głos. – Masz zamiar kiedyś mi wreszcie zdjąć te kajdany?

Robert Fishenauer nawet się nie odwrócił. Z jego punktu widzenia jego relacja z Garym wciąż była relacją więźącego z więźniem.

–Jak tylko dostanę swoją część okupu – odparł półgębkiem. – Wtedy, i tylko

wtedy, puszcze cię wolno.

Soneji/Murphy wciąż mówił do pleców Fishenauera.

–Jesteś pewien, że masz kluczyki do tych kajdanek, Robercie?

–O to się nie martw. A ty jesteś pewien, że wiesz, gdzie jest reszta pieniędzy?

–Tak, jestem pewien.

Soneji/Murphy był również pewien, że Fishenauer ma przy sobie te kluczyki. Przez ostatnie półtorej godziny Gary'emu mocno dokuczała klaustrofobia. Między innymi dlatego zaczął myśleć o czymś innym: o swym wielkim planie. Przez całą drogę przed oczami stawały mu wspomnienia z piwnicy. Widział macochę. Widział dwójkę jej rozpuszczonych bachorów. Znow odgrywał sobie z czasów dzieciństwa – wspaniałą przygodę niegrzecznego chłopca. Na kilka chwil najważniejsza stała się fantazja.

Ford bronco powoli snuł się drogą wspomnień. Gary złapał Fishenauera oburącz za głowę, z całej siły ścisnął za gardło. Element zaskoczenia. Metalowe kajdanki wbił strażnikowi w jabłko Adama.

–Cóż ci mogę powiedzieć, Bobby. W końcu ja naprawdę jestem psychopatycznym kłamcą.

Fishenauer zaczął się rzucać z całych sił. Nie był w stanie oddychać. Miał wrażenie, że tonie.

Wyrznął kolanami w spód deski rozdzielczej. Noc wypełniły głośnie, zwierzęce ryki obu mężczyzn.

Fishenauer zdołał przerzucić nogi na fotel pasażera. Stopą w roboczym bucie, kopnął w sufit wozu. Rzucił się na prawo i lewo, jak gdyby tułów miał na zawiasach. Stęknął, a następnie wydał z siebie niesamowicie dziwny dźwięk. Jakby metal skwierczał na ogniu.

Opór Fishenauera ustał. Mężczyzna przestał się rzucać i tylko jeszcze przez moment wstrząsały nim drgawki.

Gary od samego początku wiedział, że ten moment w końcu nadejdzie – Soneji/Murphy znów był na wolności.

Rozdział 79

Jezzie Flanagan szła korytarzem hotelu Marbury w George-town do pokoju numer 427. Znow się czuła nakręcona. Zdeterminowana. Nie podobało jej się to potajemne spotkanie i zastanawiała się, czego może dotyczyć. Domyślała się, lecz miała nadzieję, że się myli. Jezzie rzadko się myliła.

Zastukała do drzwi. Obejrzała się za siebie. To nie była paranoja. Wiedziała, że połowa ludzi w Waszyngtonie obserwuje drugą połowę.

–Otwarte. Wejdz – usłyszała.

Jezzie otworzyła drzwi. On leżał wyciągnięty na kanapie. Wynajął apartament, a to był zły znak. Zachciało mu się szastać pieniędzmi.

–Podaruj sobie odrobinę luksusu – rzekł Mike Devine z uśmiechem.

Oglądał w telewizji mecz Redskins. Był zimny i opanowany. Pod wieloma względami przypominał Jezzie ojca. Może to dlatego się z nim związała. Perwersyjność tej myśli ją podniecała.

–Michael, to jest teraz bardzo niebezpieczne.

Jezzie weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Na zasuwkę. Przybrała taki ton głosu, by robić wrażenie zatroskanej, ale nie zagniewanej. Słodka, miła Jezzie.

–Może i niebezpieczne, ale musimy porozmawiać. Twój

373

chłopak mnie ostatnio odwiedził. Dziś rano siedział w samochodzie pod moim domem.

–On nie jest moim chłopakiem. Ja z niego tylko korzystam jako ze źródła informacji.

Mike Devine się uśmiechnął.

–Ty korzystasz z niego, on korzysta z ciebie. I wszyscy szczęśliwi? Ja nie jestem.

Jezzie usiadła obok Devine'a na kanapie. Bez dwóch zdań był sexy i dobrze o tym wiedział. Miał urodę Paula Newmana, brakowało mu tylko tych nieznośnie błękitnych oczu. Poza tym lubił kobiety i to było widać.

–Michael, mnie tu nie powinno być. Nie powinniśmy teraz być razem.

Jezzie otarła czoło o jego ramię. Delikatnie pocałowała go w policzek, w nos. Miała teraz ochotę na wszystko, tylko nie na tulenie się do niego. Ale była gotowa to zrobić, jeśli musiała. Była gotowa zrobić wszystko, co tylko będzie trzeba.

–Oczywiście, że powinnaś tu być. Na co nam te wszystkie pieniądze, jeśli nie możemy ich wydać i nie możemy być razem?

–Chyba pamiętam parę wspólnych dni nad jeziorem. Przywidziało mi się?

–Chrzanię parę skradzionych chwil. Pojedź ze mną na Florydę.

Jezzie pocałowała go w szyję. Był gładko ogolony i zawsze ładnie pachniał. Rozpięła mu koszulę i wsunęła pod nią dłoń. Otarła palcami wybrzuszenie w spodniach. Teraz działała już automatycznie. Wszystko, co tylko będzie trzeba.

–Możliwe, że będziemy się musieli pozbyć Alexa Crossa.

Nie żartuję – szepnął. – Jezzie, słyszysz, co mówię?

Wiedziała, że ją testuje. Że chce sprawdzić jej reakcję.

–To bardzo poważne stwierdzenie. Pozwól mi się zająć Alexem. Sprawdzę, ile wie. Bądź cierpliwy.

–Ty się z nim pieprzysz, to jesteś cierpliwa.

–Nieprawda.

Lewą ręką trochę niezdarnie rozpięła mu pasek. Musiała utrzymać Michaela w ryzach jeszcze przez jakiś czas.

–Skąd mam wiedzieć, że nie zadurzyłaś się w Crossie? – nie ustępował.

–Dlatego, Michael, że ja kocham ciebie.

Przyłgnęła ciałem do Devine'a i go przytuliła. Łatwo go było oszukać. Jak ich wszystkich. Teraz musiała już tylko wyczekać FBI, a wtedy będą na prostej. Perfekcja. Przesłupstwo stulecia.

Rozdział 80

O czwartej nad ranem obudził mnie telefon. Na linii był zdruzgotany Wallace Hart. Dzwonił z Fallston, gdzie miał poważny problem.

Godzinę później byłem już w więzieniu. Jako jedna z czterech uprzywilejowanych osób stałem w ciasnym, przegrzanym gabinecie Wallace'a.

Media jeszcze nie wiedziały o sensacyjnej ucieczce. Wkrótce trzeba było o tym poinformować – nie dało się tego uniknąć. Prasa będzie miała używanie, kiedy się dowie, że Soneji/Murphy znów jest na wolności.

Wallace Hart opierał się o blat zawalonego papierami biurka, jakby go postrzelono w brzuch. W gabinecie obecni byli również naczelnik zakładu oraz więzienny prawnik.

–Co wiesz o zaginionym strażniku? – spytałem Wallace'a przy pierwszej nadarzającej się okazji.

–Nazywa się Fishenauer. Lat trzydzieści sześć. Pracuje w więzieniu od jedenastu lat z dobrymi wynikami – powiedział Hart. – Aż do wczoraj sumiennie wykonywał swoją robotę.

–Jak sądzisz, czy ten strażnik jest najnowszym zakładnikiem Gary'ego? – zapytałem.

–Wątpię. Myślę, że sukinsyn pomógł Sonejiemu uciec.

Tego samego ranka FBI zarządziła całodobową obserwację Michaela Devine'a i Charlesa Chakely'ego. Według jednej

z teorii Soneji/Murphy mógł próbować się na nich zemścić. Wiedział, że to oni pokrzyżowali jego wielki plan.

Ciało Roberta Fishenauera znaleziono w zniszczonym garażu na opuszczonej farmie w Crisfield w stanie Maryland. W ustach miał banknot dwudziestodolarowy. Pieniądze nie pochodziły z okupu.

Jak można się było spodziewać, przez cały dzień napływały pogłoski o „zauważeniu” Sonejiego/Murphy'ego. Żadna z nich nie okazała się prawdziwa.

Soneji/Murphy gdzieś tam był, śmiał się z nas, pewnie wył w jakiejś ciemnej piwnicy. Wrócił na pierwsze strony wszystkich gazet w kraju. Właśnie tak, jak lubił. Niegreczny chłopiec wszech czasów.

Tamtego wieczoru około szóstej pojechałem do mieszkania Jezzcie. Nie chciałem tego robić. Mój żołądek nie był w najlepszej formie. Głowa – w jeszcze gorszej. Musiałem ostrzec Jezzcie, że ona także może figurować na liście Sonejiego/Murphy'ego, szczególnie jeśli zdołał ją powiązać z Devine'em i Chakelym. Musiałem ją ostrzec, nie zdradzając przy tym niczego, co wiem.

Gdy wchodziłem po dobrze mi znanych schodkach z czerwonej cegły, z wnętrza

dobiegały dźwięki muzyki rockowej, tak głośnej, że aż drżały ściany. To album Bonnie Raitt pod tytułem *Taking My Time*. Bonnie śpiewała właśnie *I Gave My Love a Candle*.

W domku nad jeziorem w kółko słuchaliśmy z Jezzie tej kasety. Może teraz właśnie o mnie myślała. Ja w ciągu ostatnich kilku dni myślałem o niej bardzo często.

Zadzwoiłem do drzwi. Jezzie otworzyła mi, ubrana w swój tradycyjny strój: zmięty T-shirt, obcięte džinsy, na nogach japonki. Uśmiechnęła się. Wyglądało, że cieszy się na mój widok. Taka spokojna i opanowana. Skręcało mnie w żołądku. Poza tym czułem tylko chłód. Wiedziałem, co muszę teraz zrobić. A każdym razie tak mi się wydawało.

–I jeszcze coś – powiedziałem, jakbyśmy ostatnią rozmowę skończyli minutę temu.

Jezzie roześmiała się i otworzyła drzwi z siatki. Nie wszedłem. Stałem nieruchomo na werandzie. Na ganku domu obok brzęczały dzwonki wietrzne. Czekałem, aż Jezzie zrobi jakiś fałszywy ruch, coś, po czym poznam, że nie opanowała idealnie swojej roli. Niczego nie zauważyłem.

–Co powiesz na przejażdżkę? Ja stawiam – powiedziałem.

–Brzmi nieźle. Poczekaj, tylko włożę długie spodnie.

Kilka minut później siedzieliśmy już na jej motorze i ruszaliśmy spod domu. Ja wciąż nuciłem *I Gave My Love a Candle*. Jednocześnie po raz ostatni powtarzałem w myślach cały plan.

–Wiesz, że możemy jednocześnie jechać i rozmawiać? –

zawołała Jezzie, odwróciwszy głowę w moją stronę.

Przywarłem mocno do jej pleców. To sprawiło, że poczułem się jeszcze gorzej.

–Martwiłem się o ciebie, bo Soneji uciekł – krzyknąłem przez jej włosy.

To akurat była prawda. Nie chciałem zobaczyć Jezzie martwej. Z obciętymi piersiami. Odwróciła głowę.

–Dlaczego? Dlaczego się o mnie martwiłeś? Mam w domu smith and wesson.

Bo pomogłaś zaprzepaścić jego perfekcyjną serię przestępstw i może on o tym wie – chciałem powiedzieć. Bo zabrałaś tę dziewczynkę z farmy. Zabrałaś Maggie Rose i potem musiałaś ją zabić, prawda, Jezzie?

–Wie o nas z prasy – powiedziałem w zamian. – Możliwe, że będzie się chciał zemścić na wszystkich, którzy mieli jakiś związek z tą sprawą. Szczególnie na każdym, kto jego zdaniem pokrzyżował jego doskonały plan.

–Czy on właśnie w taki sposób rozumuje? Jeśli ktoś mógłby to wiedzieć, to właśnie ty. W końcu jesteś specjalistą od umysłów przestępców.

–Chce pokazać światu, jak bardzo się wyróżnia – powiedziałem. – Chce, żeby to wszystko było równie spektakularne i skomplikowane jak w swoim czasie sprawa Lindberghów.

Chyba właśnie o to mu chodzi. Jego zbrodnia musi być największa i najlepsza. Jeszcze nie skończył. W jego mniemaniu pewnie dopiero na nowo zaczyna.

–Ale kto jest w tej historii Brunonem Hauptmannem?

Kogo Soneji próbuje zrobić? – zawołała Jezzie, przekrzykując wiatr.

Czyżby próbowała mi wcisnąć swoje własne alibi? Czy to w ogóle możliwe, żeby w jakiś sposób Soneji ją zrobił? To by dopiero było niepojęte... Ale jak? I dlaczego?

–Jest nim Gary Murphy – powiedziałem, gdyż sądziłem, że naprawdę znam odpowiedź. – To jego Soneji sprytnie zrobił. Murphy został skazany i osadzony w więzieniu, a on jest niewinny.

Rozmawialiśmy przez pierwsze pół godziny jazdy. Potem zamilkliśmy i w ciszy pokonywaliśmy pustą autostradę kilometr za kilometrem.

Oboje pograżyliśmy się w swoich własnych światach. Po prostu trzymałem się jej pleców. Wspomniałem różne momenty z naszej znajomości. Było mi tak bardzo źle. Chciałem, żeby to się już skończyło. Wiedziałem, że ona jest psychopatką, dokładnie tak jak Gary. Pozbawioną sumienia. Wierzyłem, że w świecie interesów, w rządzie, na Wall Street pełno jest takich ludzi. Takich, którzy nigdy nie żałują swoich czynów. Chyba że ktoś ich nakryje. Wtedy leją krokodyle łzy.

–A może byśmy znowu wyjechali? – wreszcie zadałem

Jezzie pytanie, do którego się przygotowywałem. – Znowu polecieci na Wyspy Dziewicze? Bardzo tego potrzebuję.

W pierwszej chwili nie byłem pewien, czy mnie usłyszała. Potem powiedziała:

–Dobrze. Chętnie się trochę pogrzeję na słońcu. To lecimy.

Poprawiłem się za nią na pędzącym motocyklu. Dokonało się. Mijaliśmy piękne krajobrazy, ale wszystkie rozmyte widoki, wszystko, co się teraz działo, sprawiało, że bolała mnie głowa. I nie zamierzała przestać.

Rozdział 81

Maggie Rose Dunne ponad wszystko na świecie pragnęła żyć. Teraz to rozumiała.

Pragnęła, żeby jej życie było znów takie jak kiedyś. Tak bardzo chciała zobaczyć mamę i tatę. Zobaczyć wszystkich kolegów, tych z Waszyngtonu i tych z Los Angeles, ale najbardziej Michaela Goldberga. Co się stało z Michaelem Krewetką? Wypuścili go? Zwolnili go w zamian za okup, a jej z jakiegoś powodu nie?

Maggie codziennie zbierała warzywa. To ciężka paca, ale najgorsze było to, że nie potrafiła sobie wyobrazić niczego nudniejszego. Spędzając długie dni w palącym słońcu, musiała myśleć o czymś innym. Po prostu musiała zapomnieć o tym, co robi i gdzie się znajduje.

Po niemal półtora roku od porwania Maggie Rose Dunne uciekła z miejsca, w którym była przetrzymywana.

Nauczyła się budzić wcześniej rano, przed wszystkimi. Zanim podjęła jakąkolwiek próbę, robiła tak przez wiele tygodni. Na dworze wciąż było ciemno, ale wiedziała, że za niecałą godzinę zacznie wschodzić słońce. Wtedy robi się strasznie gorąco.

Poszła do kuchni, z roboczymi butami w dłoni. Gdyby ją ktoś teraz złapał, powiedziałaaby, że wstała do łazienki. Miała pełny pęcherz. Zadbala o to na wszelki wypadek.

Oznajmili jej, że nigdy nie ucieknie, nawet gdyby się wydo-

stała z tej wsi. W promieniu osiemdziesięciu kilometrów nie było żadnego miasteczka. Tak jej powiedzieli.

W górach roilo się od węży, a także dzikich kotów. Czasami słyszała ja w nocy. Nie dałaby rady dostać się do innego miasta. To też jej powiedzieli.

A jeśli ją złapią, wsadzają pod ziemię na co najmniej rok. Pamięta, jak jest pod ziemią? Jak to jest przez wiele dni nie widzieć światła?

Drzwi kuchenne były zamknięte. Maggie zaobserwowała, gdzie jest schowany klucz – razem z wieloma innymi pordzewiałymi kluczami znajdował się w szafce na narzędzia. Zabrała go. Wzięła też niewielki młotek, który mógł jej posłużyć za broń. Wsunęła go za gumkę w spodenkach.

Maggie otworzyła kluczem drzwi i wyszła na zewnątrz. Po raz pierwszy od bardzo dawna była wolna. Serce skakało jej wysoko, jak jastrzębie, które czasem widywała na niebie.

Już samo chodzenie bez dozoru było wspaniałym uczuciem. Maggie Rose maszerowała przez kilka kilometrów. Postanowiła ruszyć w dół, a nie w góry – chociaż jedno z dzieci zarzekło się, że w tamtą stronę niedaleko było do jakiegoś miasteczka.

Z kuchni zabrała dwie twarde bułki. Pożywiła się nimi wczesnym rankiem. Po wschodzie słońca zaczęło się robić ciepło. O dziesiątej było już gorąco. Kilometrami szła wzdłuż drogi gruntowej – nie po samej drodze, ale zawsze blisko niej. Tak żeby nigdy nie stracić jej z oczu.

Maszerowała tak aż do popołudnia i wprost nie mogła uwierzyć, jak dobrze dawała sobie radę w upale. Może ta ciężka praca w polu jednak się opłacała. Maggie miała teraz mocne mięśnie i więcej siły niż kiedykolwiek.

Wciąż schodziła po zboczu góry. Późnym popołudniem w końcu dostrzegła miasteczko. Było większe i bardziej nowoczesne niż wioska, w której trzymano ją przez te wszystkie miesiące.

Puściła się biegiem. Drogę gruntową wreszcie przecinała taka betonowa. Prawdziwa droga. Maggie Rose szła przez chwilę wzdłuż niej, aż dotarła do stacji benzynowej. Takiej

zwykłej. Shell – głosił szyld. Nigdy w życiu nie widziała nic równie pięknego. Maggie Rose podniosła wzrok i zobaczyła tego mężczyznę.

Spytał, czy dobrze się czuje. Zawsze mówił na nią Bobbi i wiedziała, że troszeczkę się o nią troszczy. Powiedziała, że nic jej nie jest. Po prostu się zamyśliła.

Nie przyznała się, że znów zmyślała historie. Cudowne fantazje, które pomagały jej uciec przed cierpieniem.

Rozdział 82

Gary Soneji/Murphy z pewnością wciąż miał swój wielki plan. Teraz i ja go miałem. Pozostawało pytanie, na ile potrafił go zrealizować. Jak silna była moja determinacja, by odnieść sukces bez względu na koszty w ludziach? Jak daleko byłem gotowy się posunąć? Jak bardzo zbliżyć do krawędzi?

Wyprawa na Virgin Gorda rozpoczęła się w Waszyngtonie w szary i deszczowy piątkowy poranek. Temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni. W innej sytuacji nie mógłbym się doczekać, żeby się stąd wyrwać.

W skąpanym w słońcu Portoryko musieliśmy się przesiąść do trzysilnikowego trislandera. O wpół do czwartej opadaliśmy już w kierunku białych plaż i wąskiego lądowiska, otoczonego wysokimi palmami, które kołysały się w podmuchach morskiej bryzy.

–Popatrz, Alex – powiedziała Jezzie, siedząca w fotelu obok. – Oto nasze miejsce pod słońcem. Mogłabym tu zostać przynajmniej miesiąc.

–Fakt, wygląda dokładnie jak to, czego nam trzeba – musiałem przyznać.

Wkrótce mieliśmy się o tym przekonać. Wkrótce mieliśmy się przekonać, jak długo będziemy chcieli być ze sobą sam na sam.

–Ja, znudzony wędrowiec, chcę już być w tej wodzie, a nie

patrzeć na nią z góry – powiedziała Jezzie. – Życ rybami i owocami. Pływać aż do utraty sił.

–Po to właśnie przyjechaliśmy, prawda? Bawić się w słońcu. Zapomnieć o wszystkich oprychach.

–Alex, wszystko w porządku. Naprawdę. Wyluzuj troszeczkę.

Jezzie brzmiała tak szczerze. Prawie chciałem jej wierzyć.

Kiedy otworzyły się drzwi trislandera, do wnętrza wpadło pachnące karaibskie powietrze. Ciepły powiew owiał dziewięcioro pasażerów małego samolotu.

Wszyscy mieliśmy na sobie barwne T-shirty i ciemne okulary. Na niemal każdej twarzy pojawił się uśmiech. Ja także się zmusiłem.

Jezzie wzięła mnie za rękę. Była tuż obok – a jakby jej nie było. Czuję się jak we śnie. To, co się teraz działo... nie mogło by prawdą.

Czarnoskórzy mężczyźni i kobiety z brytyjskim akcentem przeprowadzili pobieżną kontrolę celną. Ani do moich bagaży, ani do bagaży Jezzie nikt nie zajrzał.

Załatwiliśmy to z góry z pomocą Departamentu Stanu. W mojej torbie znajdował się rewolwer niewielkiego kalibru – naładowany i gotowy do strzału.

–Alex, mnie się tu dalej podoba – odezwała się Jezzie, kiedy stawaliśmy w krótkiej kolejce do taksówek.

Poza samochodami czekały tam również skutery, rowery i brudne minivany. Zaczęłem się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek pojedziemy razem na motocyklu.

–Zostańmy tu na zawsze – zaproponowała. – Będziemy udawać, że nigdy nie musimy stąd wyjeżdżać. Żadnych zegarów, żadnego radia, żadnych wiadomości.

–To mi się podoba – odparłem. – Pobawmy się trochę w udawanie.

–Umowa stoi. No to do dzieła – zawołała, klaszcząc w dłonie jak małe dziecko.

Od naszej poprzedniej wizyty wyspa w ogóle się nie zmieniła. Było tak pewnie od czasów, gdy w latach pięćdziesiątych zaczęła ją wykupywać rodzina Rockefellerów.

Po lśniącem morzu przesuwwały się żaglówki i statki wycieczkowe. Mijaliśmy małe restauracje i sklepiki ze sprzętem do nurkowania. Wszystkie barwne jednopiętrowe domki miały na dachach anteny telewizyjne. Nasze miejsce pod słońcem. Raj.

Kiedy dotarliśmy do hotelu, zdążyliśmy trochę popływać. Nieco się popisywaliśmy. Dawaliśmy z siebie wszystko, ścigając się do odległej rafy i z powrotem. Pamiętałem, kiedy po raz pierwszy razem pływaliśmy. W hotelowym basenie w Miami Beach. To był początek jej przedstawienia.

Potem oboje legliśmy na plaży. Obserwowaliśmy, jak słońce opada za horyzont, rozplywa się w morzu i wreszcie znika.

–Alex, mam *deja vu* - uśmiechnęła się Jezzie. – Zupełnie jak dawniej. A może mi się to wszystko przyśniło?

–Teraz jest inaczej – powiedziałem. Po czym szybko dodałem: – Wtedy nie znaliśmy się tak dobrze.

O czym tak naprawdę myślała Jezzie? Wiedziałem, że ona też musi mieć jakiś plan. Na pewno już słyszała, że dobieram się do Devine'a i Chakely'ego. Teraz

potrzebowała się dowiedzieć, jakie mam wobec nich zamiary.

Czarnoskóry ogier, szczupły i umięśniony, w białych kąpielówkach i świeżo wyprasowanym hotelowym T-shircie, roznosił piña colady.

Trudno o lepszą grę w udawanie.

–To państwa miesiąc miodowy? – Był na tyle beztroski i wyluzowany, żeby z nami żartować.

–Drugi – odparła Jezzie.

–Życzę zatem podwójnie przyjemnego pobytu – uśmiechnął się plażowy kelner.

W końcu poddaliśmy się powolnemu rytmowi życia na wyspie. Zjedliśmy kolację w hotelowej restauracji. Kolejne dziwne *deja vu*. Nigdy jeszcze nie czułem się tak dwulicowo, nie miałem poczucia takiego surrealizmu, jak wtedy, siedząc tam, w idealnej karaibskiej scenerii.

Patrzyłem, jak przede mną na talerzu pojawiają się kolejno sierpik karoliński, granik, mięso żółwia. Słuchałem, jak zespół reggae przygotowuje się do występu. I cały czas myślałem tylko o tym, że ta piękna kobieta, która siedzi obok mnie,

pozwoliła Michaelowi Goldbergowi umrzeć. Byłem również pewien, że zamordowała Maggie Rose Dunne, a przynajmniej asystowała w tej zbrodni. Nigdy nie dostrzegłem u niej nawet cienia skruchy.

Gdzieś w Stanach czekała na nią część dziesięćmilionowe-go okupu. Ale ona była na tyle sprytna, że pozwoliła mi „podzielić” z nią koszty wycieczki. „Równy po połowie, Alex. Żeby nie było darmowych przejazdów, dobrze?”.

Zjadła homara i przystawkę z mięsa rekina. Do kolacji wypła dwa piwa. Była taka zręczna, taka sprytna. W pewnym sensie bardziej przerażająca od samego Sonejiego/Murphy'ego.

O czym przy doskonałej kolacji i koktajlu można rozmawiać z morderczynią, a do tego z kimś, kogo się kochało? Tak wielu rzeczy chciałem się dowiedzieć, jednak nie mogłem zadać ani jednego z pytań, które huczały mi w głowie. Wobec tego rozmawiałem z nią o naszym urlopie, o „planie” na tu i teraz.

Przyglądałem się Jezzcie ponad blatem stołu i miałem wrażenie, że jeszcze nigdy nie wyglądała tak olśniewająco pięknie. Wciąż chowała kosmyk blond włosów za ucho. Ten jej nerwowy tik był dla mnie tak znajomym, tak bardzo intymnym gestem. Czym się teraz denerwowała Jezzcie? Jak dużo wiedziała?

–No dobrze, Alex – powiedziała w końcu. – Powiesz mi wreszcie, po co tak naprawdę tu przylecieliśmy? Masz jakieś ukryte zamiary?

Byłem przygotowany na to pytanie, a mimo to – zaskoczyło mnie. Świetnie to rozegrała. Byłem gotów kłamać. Potrafiłem usprawiedliwić to, co miałem zamiar zrobić, ale nie umiałem sprawić, bym zaczął się z tym dobrze czuć.

–Chciałem, żebyśmy mieli okazję porozmawiać. Tak naprawdę porozmawiać. Może po raz pierwszy.

W kącikach oczu Jezzcie pojawiły się łzy. Zaczęły powoli spływać po policzkach. Mokre strużki, lśniące w blasku świateł.

–Kocham cię, Alex – szepnęła. – Po prostu... nam zawsze będzie ciężko. Tak jak dotąd.

–Mówisz, że świat nie jest na nas gotowy? – spytałem. – Czy może to my nie jesteśmy gotowi na świat?

–Sama nie wiem. Czy to ma znaczenie, że jest tak ciężko?

Po kolacji ruszyliśmy wzdłuż plaży w kierunku rozbitego galeonu. Malowniczy wrak znajdował się czterysta metrów od budynku hotelu. Plaża wyglądała na kompletnie opuszczoną.

Księżyc rzucał trochę światła, ale gdy zbliżaliśmy się do statku, zaczęło ciemnieć. Po niebie mknęły postrzępione skrawki chmur. W końcu sylwetkę Jezzcie ogarnęła całkowita ciemność. Cała ta chwila była dla mnie bardzo nieprzyjemna. Broń zostawiłem w pokoju.

–Alex.

Jezzcie stanęła w miejscu. Najpierw myślałem, że coś usłyszała, i obejrzałem się przez ramię. Wiedziałem, że Sonejiego/ Murphy'ego nie mogło tu być. Czy możliwe, żebym się mylił?

–Tak się zastanawiałam – powiedziała Jezzcie. – Rozmyślałam o jednej kwestii związanej ze śledztwem. A nie chcę sobie tym więcej zaprzętać głowy. Nie tutaj.

–O co chodzi? – spytałem.

–Przestałeś mi opowiadać o śledztwie. Skąd wziął ci się trop Chakely'ego i Devine'a?

–No wiesz, skoro już o tym wspomniałaś – odparłem – to ci powiem. Od samego początku miałaś co do nich rację. To tylko kolejny ślepy zaułek. A teraz miejmy prawdziwy urlop. Oboje na to zasłużyliśmy.

–

Rozdział 83

Gary Soneji/Murphy obserwował, zaś myślami był gdzie indziej. Myślami wrócił do perfekcyjnego porwania syna Lind-berghów.

Wciąż widział Lucky Lindy'ego. Czarującą Anne Morrow Lindbergh. Malutkiego Charlesa juniora w pokoiku dziecięcym na drugim piętrze domu w Hopewell. To były piękne dni, moi drodzy. Kwintesencja fantazji.

A co obserwował w o wiele bardziej banalnej rzeczywistości?

Po pierwsze: dwoje matołów z FBI w czarnym buicku skylarku. Facet i kobieta – realizowali polecenie inwigilacji. Oni byli całkiem niegroźni. Zero problemu. Żadnego wyzwania.

Następnie: nowoczesny wieżowiec w Waszyngtonie, w którym wciąż mieszkał agent Mike Devine. Budynek nosił nazwę Hawthorne. Od Nathaniela o mrocznym sercu? Basen na dachu, taras, portier dwadzieścia cztery godziny na dobę. Niezła chata jak na byłego agenta. A matoly z FBI obserwowały budynek, jakby miał odfrunąć.

Parę minut po dziesiątej rano do apartamentowca wszedł kurier z Federal Express.

Kilka chwil później – ubrany w kombinezon Federal Express i z autentycznymi paczkami dla dwóch mieszkańców budynku w ręku – Gary Soneji/Murphy wcisnął przycisk dzwonka pod numerem 17J. „Dzień dobry, ja z Avonu!”.

Gdy Mike Devine otworzył drzwi, Soneji opryskał go takim samym silnym chloroformem, którym kiedyś potraktował Michaela Goldberga i Maggie Rose Dunne. Jak sprawiedliwość, to sprawiedliwość.

I tak jak dzieci, Devine runął na wyściełaną dywanem podłogę w korytarzu. Z wnętrza mieszkania dobiegała muzyka rockowa. Niepowtarzalna Bonnie Raitt. *Let's Give Them Some-thing to Talk About*. Niech mają o czym mówić.

Agent Devine ocknął się po kilku minutach. Kręciło mu się w głowie i widział podwójnie. Nie miał na sobie ubrania. Był oszołomiony i kompletnie zdezorientowany.

Siedział w wannie, do połowy wypełnionej zimną wodą. Kostki miał przypięte kajdankami do kranu.

–Co to, kurwa, jest? – jego pierwsze słowa zabrzmiały mętnie i niewyraźnie.

Czuł się, jakby wypił z dziesięć drinków.

–To jest bardzo ostry nóż – Gary Soneji/Murphy pochylił się i pokazał mu myśliwskie ostrze. – Zademonstruję ci obrazowo. Skup te swoje rozmazane błękitne oczęta. Skup się, Michael!

Gary Soneji/Murphy drasnął Devine'a w ramię. Były agent zawył z bólu.

Natychmiast pojawiła się brzydka, siedmiocentymetrowa rana. Do zimnej, falującej wody popłynęła krew.

–Ani słowa – warknął Soneji. Zamachał nożem, grożąc kolejnym cięciem. – To nie jest gillette sensor ani wilkinson sword. Raczej „ciach i krwaw”. Więc uważaj, proszę.

–Kim ty jesteś? – Devine spróbował się znów odezwać. Wciąż mocno bełkotał. – Kimtjesś? – wymamrotał.

–Pozwól, niech się przedstawię, jam jest człek bogaty i z klasą – powiedział Soneji.

No dobrze, to prawda: upajał się sukcesem. Perspektywy na przyszłość znów były.

Devine czuł się teraz jeszcze bardziej zmieszany.

–To z *Sympathy for the Devil*. Kojarzysz Stonesów? Jestem Gary Soneji/Murphy. Musisz mi wybaczyć ten tandetny kostium kuriera, przebranie raczej niewyszukane. Ale widzisz,

tak jakby trochę się spieszę. Szkoda, bo od wielu miesięcy nie mogłem się doczekać naszego spotkania. Oj, ty urwisie, ty.

–Czego ty, do cholery, chcesz? – mimo bardzo niesprzyjających okoliczności Devine usiłował zachować resztki autorytetu.

–Od razu do rzeczy, hmm. No dobrze, w porządku. Bo ja się naprawdę bardzo spieszę. To posłuchaj. Masz do wyboru dwie bardzo czytelne możliwości. NUMER JEDEN: będę ci musiał tu i teraz obciąć penisa, a następnie wsadzę ci go do ust jako bardzo wygodny knebel. Potem zacznę cię torturować. Będę ci robił nacięcia na skórze, setki nacięć, zaczynając od twarzy i szyi, aż powiesz mi to, co chcę wiedzieć.

Rozumiemy się? Wszystko jasne? Powtarzam, wybór numer jeden: bolesne tortury nieuchronnie prowadzące do wykrwawienia.

Devine odruchowo odchylił głowę, usiłując się odsunąć od pochylonego nad nim szaleńca. Zaczynał widzieć wyraźniej. Niestety. Oczy miał już szeroko otwarte. Gary Soneji/Murphy? W jego mieszkaniu? Z nożem myśliwskim?

–WARIANT NUMER DWA – szaleniec krzyczał mu dalej prosto w twarz. – Powiesz mi prawdę od razu. Wtedy pojedę po swoje pieniądze, gdzie byś ich nie schował. Potem wrócę i cię zabiję, ale kulturalnie, bez przedstawienia. Kto wie, może ci się nawet uda uciec, kiedy mnie nie będzie. Wątpię, ale warto żyć nadzieją. Powiem ci szczerze, Michael, że ja na twoim miejscu wybrałbym tę drugą możliwość.

Mike Devine miał dostatecznie dużo przytomności umysłu, żeby również dokonać właściwego wyboru. Powiedział So-nejiemu/Murphy'emu, gdzie jest jego część okupu. Znajdowała się tutaj, w Waszyngtonie.

Gary Soneji/Murphy mu uwierzył, chociaż kto właściwie mógłby mieć pewność. Bądź co bądź miał do czynienia z policjantem.

Wychodząc, Gary przystanął na chwilę w drzwiach mieszkania. Swym najlepszym głosem a la Arnold Schwarzeneg-ger/Terminator powiedział:

–Ja tu wrócę.

Naprawdę był tego dnia w świetnym nastroju. Samodzielnie rozwiązywał sprawę porwania. Grał policjanta i to było nawet fajne. Plan musiał się powieść. Przecież wiedział o tym od samego początku.

Luz-blues.

Rozdział 84

Spąłem niespokojnie, co godziną się budziłem. Nie było fortepianu, na którym mógłbym pobrzdakać. Nie było Jannie i Damona, których mógłbym obudzić. Była tylko morderczyni, śpiąca spokojnie obok mnie.

Był tylko plan, dla którego tu przyjechałem.

Kiedy wreszcie weszło słońce, personel hotelowej kuchni przygotował nam wymyślny prowiant na drogę. Dostaliśmy wiklinowy kosz ze znakomitymi winami, francuską wodą w butelkach, kosztownymi smakołykami. Dostarczono nam również maski do nurkowania, puszyste ręczniki oraz parasol plażowy w żółto-białe pasy.

Wszystko to czekało na nas w motorówce, kiedy kilka minut po ósmej dotarliśmy do przystani. Po mniej więcej półgodzinie dobiliśmy do naszej wyspy – pięknej, ustronnej. Raj odzyskany.

Cały dzień mieliśmy tam spędzić tylko we dwoje. Inne pary z hotelu miały swoje własne prywatne wyspy. Naszą plażę, w odległości od siedemdziesięciu do stu metrów od brzegu, okalała rafa koralowa.

Butelkowitzelona woda była krystalicznie czysta. Gdy spojrzałem w dół, dokładnie widziałem fakturę dna. Mógłbym policzyć ziarenka piasku. Przy nogach przemykały mi żwawe ławice skalarów. Dwie wyszczerzone, półtorametrowe barakudy płynęły za naszą łódką prawie do samego brzegu, a w końcu straciły nami zainteresowanie.

–O której mam po was wrócić? – spytał mężczyzna w łodzi. – Decyzja należy do państwa.

Był umięśnionym, czterdziestoparoletnim rybakiem. Należał do ludzi bardzo beztrojskich. Po drodze dzielił się z nami opowieściami o wielkich rybach oraz innymi barwnymi historiami. Najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, że ja i Jezzcie byliśmy parą.

–Może o drugiej albo trzeciej? – zwróciłem się do Jezzcie z prośbą o pomoc. – O której pan Richards powinien po nas przyjechać?

Jezzcie zajęta była rozkładaniem ręczników i reszty naszego egzotycznego wyposażenia.

–Trzecia byłaby chyba dobra.

–No to w porządku. Bawcie się dobrze – uśmiechnął się rybak. – Jesteście tu sami. Widzę, że nie jestem już potrzebny.

Pomachał nam na pożegnanie, po czym wskoczył do łódki. Uruchomił silnik i już po chwili zniknął nam z oczu.

Zostaliśmy sami na naszej prywatnej wyspie. Zero zmartwień, sama radość.

Jest coś niezwykle dziwnego, nierealnego w tym, kiedy się leży na ręczniku plażowym obok porywaczki i morderczyni. Raz po raz przypominałem sobie moje uczucia, plany i rzeczy, które musiałem zrobić.

Starłem się opanować dezorientację i gniew. Kiedyś kochałem tę kobietę, która teraz była mi tak kompletnie obca. Zamknąłem oczy i pozwoliłem, by słońce rozgrzało mi mięśnie. Musiałem się rozluźnić, bo inaczej nie dam rady.

Jezzie, jak mogłaś zamordować tę dziewczynkę? Jak mogłaś to zrobić? Jak mogłaś wszystkich tak strasznie okłamać?

Gary Soneji wyskoczył znikąd! Pojawił się nagle, bez ostrzeżenia.

Miał w ręku trzydziestocentymetrowy nóż myśliwski, taki sam, jakiego używał podczas morderstw w Waszyngtonie. Stał nade mną, jego cień przesłaniał mi światło.

Przecież on się nie mógł dostać na wyspę. Nie ma mowy.

–Alex! Alex, coś ci się śniło – powiedziała Jezzie.

Dotknęła chłodną dłońią mojego ramienia. Delikatnie dotknęła policzka koniuszkami palców.

Długa, prawie bezsenna noc... ciepłe słońce, chłodny, morski wiatr... Przez to wszystko zasnęłam na plaży.

Podniosłam wzrok i spojrzałam na Jezzie. To ona przesłaniała mi światło, nie Soneji. Serce głośno mi łomotało. Sny działają na system nerwowy równie silnie jak rzeczywistość.

–Jak długo spałam? Rany...

–Tylko kilka minut, skarbie. Chodź, przytulę cię. Przysunęła się bliżej. Piersi Jezzie musnęły mój tors. Kiedy spałam, zdjęła górę od kostiumu. Jej gładka skóra lśniła od olejku do opalania. Na górnej wardze połyskiwały drobne kropelki. To nie jej wina, że wyglądała atrakcyjnie.

Usiadłam i odsunęłam się od Jezzie. Wskazałam na kępę bugenwilli tuż przy linii brzegu.

–Przejdźmy się wzdłuż plaży, dobrze? Chodź. Chcę z tobą porozmawiać o paru rzeczach.

–O jakich? – spytała Jezzie.

Była wyraźnie rozczarowana tym, że ją odtrąciłam, choćby na moment. Chciała się kochać na plaży. Ja nie.

–Chodź, połączmy trochę i pogadamy – powiedziałam. –

Na słońcu jest tak przyjemnie.

Pomogłam jej wstać. Nieco niechętnie ruszyła za mną. Nie zwracała sobie głowy wkładaniem kostiumu.

Spacerowaliśmy wzdłuż brzegu, brodząc w spokojnej, przejrzystej wodzie. Nie dotykaliśmy się, ale dzieliły nas tylko centymetry. Czułam się tak dziwnie, tak nierealnie. To była jedna z najgorszych chwil w moim życiu, jeśli nie najgorsza.

–Alex, jesteś taki poważny. Przecież mieliśmy się dobrze bawić, nie pamiętasz? Czy już się zaczęliśmy bawić?

–Jezzie, wiem, co zrobiłaś. Zajęło mi to trochę czasu, ale w końcu wszystko ułożyło się w całość – powiedziałam. – Wiem, że porwaliście Gary'emu Sonejiemu Maggie Rose Dunne. Wiem, że ją zabiliście.

–

Rozdział 85

–Chcę o tym wszystkim porozmawiać. Jezzie, nie mam podsłuchu. Jak widać.

Zareagowała półuśmiechem. Doskonała aktorka, jak zawsze.

–Widzę – powiedziała.

Serce łomotało mi w szalonym tempie.

–Powiedz mi, co się stało. Powiedz mi tylko dlaczego.

Powiedz mi to, do czego próbowałam dojść od prawie dwóch lat, a ty to cały czas wiedziałaś. Opowiedz mi o tym ze swojej perspektywy.

Jej maska – którą zawsze był piękny, doskonały uśmiech – wreszcie zniknęła. Jezzie robiła wrażenie zrezygnowanej.

–Dobrze, Alex. Powiem ci część z tego, co chcesz wiedzieć, skoro nie potrafisz zostawić sprawy w spokoju.

Dalej szliśmy przed siebie i Jezzie wreszcie powiedziała mi prawdę.

–Jak to się stało? No cóż, na początku po prostu wykonywaliśmy swoją robotę. Przysięgam, że to prawda. Robiliśmy za

opiekunki dla rodziny sekretarza. Jerrold Goldberg nie przywykł do tego, by mu grożono. Kiedy otrzymał pogróżki od Kolumbijczyków, zareagował jak typowy cywil. Spanikował. Zażądał ochrony Secret Service dla całej rodziny. Tak to się zaczęło.

Od obserwacji, która naszym zdaniem była kompletnie niepotrzebna.

–I dlatego przydzieliłaś do niej dwóch przeciętnych agentów.

–Dwóch moich przyjaciół. Wcale nie przeciętnych. Uważaliśmy, że cała ta obserwacja to strata czasu. Potem Mike Devine zauważył, że jeden z nauczycieli ze szkoły, matematyk nazwiskiem Gary Soneji, parę razy przejechał obok domu Goldbergów. Najpierw nam się wydawało, że może leci na małego. Devine i Chakely przypuszczali, że to pedofil. Nic więcej. Tak czy inaczej trzeba go było sprawdzić. Te informacje znalazły się w oryginalnych dziennikach Devine'a i Chake-ly'ego.

–I jeden z nich pojechał za Garym Sonejim?

–Tak, kilka razy. W różne miejsca. Wówczas jeszcze niczego nie podejrzewaliśmy, ale musieliśmy się upewnić. Pewnej nocy Charlie Chakely pojechał za nim do południowo-wschodniej części miasta. Nie powiązaliśmy Sonejiego z tamtejszymi morderstwami, szczególnie że nie było o nich głośno w prasie. Wiesz, po prostu kolejne morderstwa w getcie.

–Owszem, wiem. Kiedy zaczęliście podejrzewać Gary'ego Sonejiego o coś innego?

–Nie podejrzewaliśmy, że jest porywaczem, aż do chwili, kiedy zgarnął dzieci. Dwa dni wcześniej Charlie Chakely śledził go aż do farmy w Marylandzie. Nie spodziewał się porwania. Nie miał ku temu powodów. Ale od tamtej chwili wiedział, gdzie jest gospodarstwo. Kiedy to wszystko wybuchło, Mike Devine zadzwonił do mnie ze szkoły. Chcieli od razu jechać za Sonejim. I wtedy przyszło mi do głowy, że moglibyśmy sami wziąć okup. Nie jestem pewna. Może już wcześniej o tym myślałam. Alex, to było takie proste. Trzy, cztery dni i po wszystkim. Nikomu nie stałaby się krzywda. W każdym razie nie większa, niż już się stała. A my mielibyśmy pieniądze z okupu. Miliony.

Przerażające, jak swobodnie Jezzie mówiła o porwaniu. Choć starała się tego nie akcentować, to był jej pomysł. Nie Devine'a ani Chakely'ego. Jej. To ona była mózgiem przedsięwzięcia.

–A co z dziećmi? – zapytałem. – Co z Maggie Rose Dunne i Michael'em?

–On już je porwał. Nie mogliśmy powstrzymać czegoś, co już się stało. Obserwowaliśmy farmę w Marylandzie. Byliśmy pewni, że dzieciom nic się nie stanie. W końcu to był tylko nauczyciel matematyki. Nie sądziliśmy, że może je skrzywdzić. Myśleliśmy, że to zwykły amator. W pełni nad wszystkim panowaliśmy.

–Jezzie, on je zakopał w pudle w ziemi. A Michael Goldberg umarł.

Jezzie patrzyła na morze. Powoli kiwnęła głową.

–Tak, chłopiec umarł. To wszystko zmieniło. Na zawsze.

Nie wiem, czy mogliśmy temu zapobiec. Właśnie wtedy wkroczyliśmy i zabraliśmy Maggie. Postawiliśmy własne żądania okupu. Cały plan uległ zmianie.

Wciąż szliśmy brzegiem połyskującego morza. Gdyby nas ktoś zobaczył, pomyślałby, że jesteśmy parą kochanków pogrążonych w poważnej rozmowie na

temat naszego związku. To drugie było nawet prawdą.

Jezzie wreszcie na mnie spojrzała.

–Alex, chcę ci powiedzieć, jak było między nami. Z mojego punktu widzenia. To nie jest tak, jak myślisz.

Nie miałem dla niej słów. Czułem się tak, jakbym znów stał po ciemnej stronie księżyca i jakbym zaraz miał eksplodować. Mój umysł wył. Nie przerywałem, pozwoliłem jej mówić dalej. To już i tak nie miało znaczenia.

–Kiedy to się zaczęło, tam na Florydzie, chciałam wiedzieć wszystko, czego ty się dowiadywałeś. Chciałam mieć wtyczkę w waszyngtońskiej policji. Słyszałam, że jesteś dobrym gliną, a do tego niezależnym.

–I dlatego wykorzystałaś mnie do pilnowania własnego tyłka. I to ty mnie wybrałaś do przekazania okupu. Nie ufałaś FBI. Profesjonalistka, jak zawsze.

–Wiedziałam, że ty nie zrobisz nic, co mogłoby narazić małą na niebezpieczeństwo. Wiedziałam, że dostarczysz pieniądze. Komplikacje zaczęły się wtedy, gdy wróciliśmy z Miami. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, kiedy. Taka jest prawda, przysięgam.

Gdy słuchałem Jezzie, czułem się otępiały, pusty w środku.

Splywał po mnie pot, i to bynajmniej nie z powodu prażącego słońca.

Zastanawiałem się, czy Jezzie zabrała na wyspę broń. Profesjonalistka, jak zawsze – przypomniałem sobie.

–Jeśli to ma jeszcze jakieś znaczenie, to ja się w tobie zakochałam, Alex. Naprawdę. Byłeś tym wszystkim, czego już dawno przestałam szukać. Ciepły i dobry. Kochający. Wyrozumiały. Damon i Janelle naprawdę coś we mnie poruszyli.

Kiedy byłam z tobą, znów czułam się pełnowartościowym człowiekiem.

Kręciło mi się w głowie, było mi niedobrze. Czułem się dokładnie tak jak przez rok po śmierci Marii.

–Jeśli to ma jeszcze jakieś znaczenie, ja też się w tobie zakochałem. Próbowałem tego uniknąć, ale się zakochałem. Nie byłem w stanie sobie wyobrazić, że ktoś mógłby mnie okłamywać tak jak ty. Okłamywać i zwodzić. Ja ciągle nie mogę uwierzyć w te wszystkie kłamstwa. A co z Mikiem Devine'em? – zapytałem.

Jezzie wzruszyła ramionami. To była jej cała odpowiedź.

–To ty popełniłaś doskonałe przestępstwo. Arcydzieło – powiedziałem. – To ty obmyśliłaś mistrzowską zbrodnię, o jakiej zawsze marzył Gary Soneji.

Jezzie spojrzała mi w oczy, ale miałem wrażenie, że patrzy przeze mnie jak przez szybę. Pozostał już tylko jeden element układanki – jeszcze tylko jedna rzecz, której musiałem się dowiedzieć.

Jeden szczegół, o którym nie chciałem nawet myśleć.

–Co się naprawdę stało z dziewczynką? Co ty albo Devine i Chakely zrobiliście z Maggie Rose?

Jezzie pokręciła głową.

–Nie, Alex. Tego ci nie mogę powiedzieć. Dobrze o tym wiesz.

Kiedy zaczęła wyjawiać prawdę, złożyła ręce na piersiach. Wciąż trwała w tej pozycji.

–Jak mogłaś zabić małe dziecko? Jezzie, jak mogłaś to zrobić? Jak mogłaś zabić Maggie Rose Dunne?

Nagle Jezzie odwróciła się ode mnie. To było za dużo nawet

dla niej. Ruszyła w kierunku parasola i ręczników. Zrobiłem szybki krok naprzód i złapałem ją za łokieć.

–Zostaw mnie! – wrzasnęła.

Jej twarz wykrzywił szpetny grymas.

–Może będziesz gotowa wymienić się ze mną na informację o Maggie Rose – krzyknąłem w odpowiedzi. – Może

zrobimy wymianę!

Odwróciła się.

–Nie pozwolą ci wznowić tej sprawy. Nie oszukuj się, Alex. Nic na mnie nie mają. I ty też nie. Nie będę handlować informacjami.

–Oj, będziesz, będziesz – powiedziałem. Mój głos był teraz bliski szeptu. – Owszem, Jezzie. Będziesz handlować informacjami... Na pewno będziesz.

Pokazałem palcem w stronę rowu oraz palm, które gęstniały w miarę jak oddalały się od plaży.

Sampson podniósł się ze swej kryjówki w głębokich zaroślach. Pomachał czymś, co wyglądało jak srebrna różdżka. W rzeczywistości trzymał w ręku mikrofon o dalekim zasięgu.

Z ziemi podniosło się również dwóch agentów FBI. Oni także nam pomachali. Stali obok Sampsona. Czekali w krzakach od siódmej rano. Agenci mieli twarze i ramiona czerwone jak raki. Sampson pewnie też jeszcze nigdy się tak nie opalił.

–To mój kolega Sampson. Nagrywał wszystko, co powiedziałaś, odkąd zaczęliśmy spacer.

Jezzie na kilka chwil zamknęła oczy. Nie spodziewała się, że, posunę się tak daleko. Nie sądziła, że jestem do tego zdolny.

–Powiedz nam, jak zamordowałaś Maggie Rose – zażądałem.

Otworzyła oczy – były teraz małe i ciemne.

–Ty nic nie rozumiesz. Ty po prostu nic nie rozumiesz, prawda? – powiedziała.

–Czego nie rozumiem, Jezzie? Proszę, powiedz mi, czego nie rozumiem.

–Ty ciągle szukasz w ludziach dobra. Ale jego tam nie ma! Rozwalą ci tę sprawę.

W końcu wyjdiesz na głupca,

kompletnego, skończonego głupca. I znowu wszyscy się obrócą przeciwko tobie. –Może masz rację – powiedziałem. – Ale tej chwili nikt mi już nie odbierze.

Jezzie zamierzyła się i spróbowała mnie uderzyć, ale zablokowałem jej dłoń ramieniem. Obróciła się i runęła na ziemię. Zasługiwała na coś dużo gorszego niż taki ciężki upadek. Na jej twarzy malowało się zdziwienie.

–Brawo, Alex, to już jakiś początek – powiedziała, nie podnosząc się z piasku. – Ty też się stajesz sukinsynem. Gratuluję.

–E tam – odparłem. – Ze mną wszystko w porządku.

Pozwoliłem agentom FBI oraz Sampsonowi dokonać formalnego aresztowania Jezzie Flanagan. Lekka łódka zabrała mnie do hotelu. W ciągu godziny spakowałem się i ruszyłem w drogę powrotną do Waszyngtonu.

Rozdział 86

Dwa dni po powrocie do Waszyngtonu Sampson i ja znów ruszyliśmy w drogę. Podróżowaliśmy do miejscowości Uyuni w Boliwii. Mieliśmy powody wierzyć, że wreszcie znaleźliśmy Maggie Rose Dunne.

Jezzie mówiła i mówiła. Wyjawiała informacje. Nie chciała rozmawiać z FBI. Przekazała wszystko mnie.

Uyuni leży w Andach, trzysta siedem kilometrów na południe od Oruro. Można się tam dostać tylko w jeden sposób: polecieć małym samolotem do Rio Mulato, a stamtąd jeepem lub vanem pojechać do Uyuni.

Ostatni etap tej trudnej podróży cała nasza ósemka pokonywała fordem explorerem. W minivanie oprócz mnie i Sampsona siedzieli dwaj agenci specjalni z Departamentu Skarbu, ambasador Stanów Zjednoczonych w Boliwii, nasz kierowca oraz Thomas i Katherine Rose Dunne'owie.

W ciągu niezwykle wyczerpujących ostatnich trzydziestu sześciu godzin Charles-Chakely i Jezzie skwapliwie wyjawili informacje o Maggie Rose Dunne. Zmasakrowane ciało Mike'a Devine'a znaleziono w jego mieszkaniu w Waszyngtonie. Po tym zdarzeniu zintensyfikowano poszukiwania Gary'ego So-nejiego/Murphy'ego. Jak na razie – bez rezultatów. Gary na pewno oglądał w telewizji relację z naszej wycieczki do Boliwii. Oglądał swoją historię.

Chakely i Jezzie opowiedzieli o porwaniu praktycznie w iden-

tyczny sposób. Pojawiła się przed nimi okazja zdobycia dziesięćmillionowego okupu bez żadnego ryzyka. Nie mogli oddać dziewczynki. My musieliśmy wierzyć, że porywaczem był Soneji/Murphy. Mała mogłaby to podważyć. Jednak nie byli gotowi posunąć się do morderstwa Maggie Rose. Tak w każdym razie zeznali w Waszyngtonie.

Ostatnie kilometry podróży przez Andy Sampson i ja pokonaliśmy w milczeniu. Wszyscy inni również.

Kiedy zbliżaliśmy się do Uyuni, obserwowałem Dunne'ów. Siedzieli razem w ciszy, nieco od siebie odsunięci. Jak powiedziała mi Katherine Rose, utrata Maggie niemal zniszczyła ich małżeństwo. Przypomniałem sobie, jak bardzo ich na samym początku polubiłem. Katherine Rose lubiłem nadal. Podczas podróży chwilę rozmawialiśmy. Dziękowała mi ze szczerego serca i nigdy tego nie zapomnę.

Miałem nadzieję, że jej córeczka rzeczywiście czeka na nas na końcu tego koszmaru... Myślałem o Maggie Rose Dunne – małej dziewczynce, której nigdy nie spotkałem i którą miałem spotkać już wkrótce. Myślałem o wszystkich modlitwach w jej intencji, o transparentach pod sądem w Waszyngtonie, o świeczkach, które płonęły w tyłu oknach.

Gdy jechaliśmy przez wioskę, Sampson szturchnął mnie łokciem.

–Alex, patrz tam na górę. Nie powiem, że z tego powodu warto tu było przyjechać, ale prawie.

Minivan piął się po stromym wzgórzu. Po obu stronach drogi, praktycznie wykutej w skale, ciągnęły się blaszane i drewniane chatki. Znad kilku blaszanych dachów unosił się dym. Dróżka zdawała się prowadzić prosto w Andy.

Maggie Rose czekała na nas w polewie drogi.

Jedenastoletnia dziewczynka stała przed jedną z chatek, niemal identyczną jak pozostałe. Towarzyszyło jej kilku członków rodziny Patino. Spędziła z nimi prawie dwa lata. Wyglądało na to, że w rodzinie jest jeszcze co najmniej tuzin dzieci.

Nasz samochód mozolnie piął się pełną kolein drogą i z odległości stu metrów wszyscy dokładnie widzieliśmy dziewczynkę.

Maggie Rose miała na sobie taką samą luźną koszulę, bawełniane spodenki oraz klapki jak reszta dzieci w rodzinie Patino, ale wyróżniały ją blond włosy. Była opalona i wydawała się zdrowa. Wyglądała równie pięknie jak jej matka.

Rodzina Patino nie miała pojęcia, kim naprawdę jest dziewczynka. W Uyuni nigdy nie słyszeli o Maggie Rose Dunne. Ani w pobliskim Pulacayo, ani też w Ubina, leżącym osiemnaście kilometrów stąd, po drugiej stronie potężnych Andów. Wiedzieliśmy to od boliwijskich urzędników oraz miejscowej policji.

Rodzinnie zapłacono za to, by trzymała małą w wiosce, opiekowała się nią, ale nie pozwoliła jej się stamtąd ruszyć. Mike Devine oświadczył Maggie, że nie ma dokąd uciec. A gdyby spróbowała, zostanie złapana i poddana torturom. Na bardzo, bardzo długo trafi pod ziemię.

Nie mogłem od niej oderwać wzroku. Od tej małej dziewczynki, która teraz

znaczyła tak dużo dla tak wielu ludzi. Przypominałem sobie te wszystkie fotografie, te wszystkie plakaty. I nie mogłem uwierzyć, że ona naprawdę przed nami stoi. Po tylu miesiącach.

Maggie Rose przyglądała się, jak wjeżdżamy na wzgórze w furgonetce z ambasady Stanów Zjednoczonych. Nie uśmiechała się, nie reagowała w żaden inny sposób.

Nie sprawiała wrażenia szczęśliwej, że ktoś wreszcie po nią przyjechał, że ktoś ją wreszcie uratuje.

Wyglądała na bardzo zdezorientowaną, skrzywdzoną i przestraszoną. Zrobiła krok w przód, potem znowu w tył, a potem obejrzała się na swoją „rodzinę”.

Zastanawiałem się, czy Maggie Rose zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje. Przeżyła ogromnie silny uraz. Nie byłem pewien, czy w ogóle coś czuje. Cieszyłem się tylko, że jestem tu i będę mógł jej pomóc.

Znów pomyślałem o Jezzie i mimowolnie pokręciłem głową. Burza, która we mnie szalała, nie cichła. Jak ona mogła coś takiego zrobić tej dziewczynce? Za parę milionów dolarów? Albo choćby i za wszystkie pieniądze świata?

Katherine Rose pierwsza wysiadła z minivana. W tej samej chwili Maggie Rose wyciągnęła ku niej ramiona.

–Mamusia! – zawołała.

Potem, wahając się ledwie przez ułamek sekundy, rzuciła się naprzód. Maggie Rose puściła się biegiem do swojej matki. Padły sobie w objęcia.

Przez następną minutę niewiele widziałem, bo widok przesłaniały mi łzy. Zerknąłem na Sampsona. Spod jego ciemnych okularów również spływała łza.

–Dwaj twardzi detektywi – mruknął i obnażył zęby w uśmiechu.

To był ten uśmiech samotnego wilka, który w nim uwielbiam.

–Bez gadania, najlepsi w Waszyngtonie – odparłem.

Maggie Rose wreszcie wracała do domu. Jej imię rozbrzmiewało w mojej głowie jak mantra: Maggie Rose, Maggie Rose. Ten jeden moment wart był wszystkiego, co przeżyłem.

–*The End* - oznajmił Sampson.

Część szósta

Dom Crossów

Rozdział 87

Dom Crossów był tuż-tuż, wystarczyło przejść przez ulicę. Oto on, w całej swej skromnej okazałości.

Niegrzeczny chłopiec stał jak zahipnotyzowany, wpatrzony w pomarańczowawe światła domu. Wiódł oczami od okna do okna. Kilka razy dostrzegł na parterze postać czarnej kobiety. Mijała okno, powłócząc nogami. To na pewno babka Alexa Crossa.

Wiedział, jak się nazywa: Mama Nana. Wiedział, że Alex nazwał ją tak, gdy był chłopcem. Przez ostatnie kilka miesięcy dowiedział się o rodzinie Crossów wszystkiego, czego tylko mógł się dowiedzieć. Miał teraz wobec niej plan. Taką małą, zgrabną fantazję.

Czasem chłopiec lubił się tak bać. Bać się o siebie, bać się o ludzi w domu. Lubił to uczucie, o ile tylko potrafił nad nim panować, dowolnie je włączać i wyłączać.

Wreszcie zmusił się, żeby wyjść z kryjówki, podejść jeszcze bliżej domu Crossów. Stać się strachem.

Jego zmysły znacznie się wyostrzały, gdy towarzyszył mu lęk. Potrafił się skupić i zachować koncentrację przez długi czas. Kiedy przechodził na drugą stronę 5th Street, w jego świadomości nie było miejsca na nic innego poza tym domem oraz ludźmi w jego wnętrzu.

Chłopiec zniknął w krzakach, które rosły wzdłuż frontu. Serce mu teraz mocno biło. Oddech był szybki i płytki.

Wziął głęboki wdech, a potem powoli wypuścił powietrze ustami. Zwolnij, ciesz się tym, pomyślał.

Odwrócił się tyłem do budynku. Na plecach czuł ciepło, które biło od ścian. Przez gąszcz gałęzi obserwował ulicę w samym środku ubogiej dzielnicy. W południowo-wschodniej dzielnicy zawsze było ciemniej. Nigdy nie wymieniali latarni.

Był ostrożny. Absolutnie się nie spieszył. Obserwował ulicę przez dziesięć minut, a może nawet dłużej. Nikt go nie widział. Tym razem nikt go nie podglądał.

Jeszcze ten jeden szczegół, a potem pozostaną rzeczy lepsze i ważniejsze.

Wypowiedział to zdanie w myślach, a może wyszeptał pod nosem. Czasami nie potrafił już tego odróżnić. Ostatnio coraz więcej rzeczy łączyło się w całość, zlewało się: jego myśli, słowa, czyny, historie, które sam sobie opowiadał.

Zanim nadeszła ta noc, przemyślał każdy szczegół setki razy. Kiedy oni już wszyscy zasną, pewnie około drugiej, trzeciej nad ranem, wejdzie i zabierze dzieci – Damona i Janelle.

Odurzy je, właśnie tam, w ich pokoiku na drugim piętrze. Pozwoli, żeby Doktor/Detektyw Alex Cross to wszystko przespał.

Musiał to zrobić. Słynny doktor Cross musiał teraz wiele wycierpieć. Cross musiał wziąć udział w nowych poszukiwaniach. To jedyna droga. Jedyne godne rozwiązanie. To on będzie triumfował.

Nie żeby Cross potrzebował dodatkowej motywacji – ale on i tak mu ją zapewni. Chłopiec najpierw zamorduje starą kobietę, babkę Crossa. Potem uda się do pokoiku dzieci.

Oczywiście ta sprawa nigdy nie zostanie rozwiązana. Nikt nigdy nie znajdzie dzieci Crossa. Nie będzie żądania okupu. Wtedy on wreszcie będzie się mógł zająć innymi sprawami.

Zapomni o detektywie Crossie. Jednak Alex Cross nigdy, przenigdy nie zapomni o nim. Ani o swych zaginionych dzieciach.

Gary Soneji/Murphy zwrócił się w stronę domu.

Rozdział 88

–Alex, ktoś jest w domu. Alex, ktoś tutaj jest – babcia szepnęła mi do ucha.

Zanim skończyła mówić, ja już wyskoczyłem z łóżka i byłem na nogach. Lata pracy na ulicach Waszyngtonu nauczyły mnie poruszać się szybko.

Skądś dobiegł cichutki, głuchy odgłos. Tak, ktoś na pewno był w naszym domu. Ten dźwięk na pewno nie pochodził z naszego wiekowego systemu ogrzewania.

–Zostań tutaj. Nie wychodź, dopóki cię nie zawołam – szepnąłem. – Krzyknę, jak już będzie po wszystkim.

–Alex, zadzwonię na policję.

–Nie, zostań tutaj. Przecież ja jestem z policji. Zostań tu.

–Alex, dzieci.

–Pójdę po nie. Ty się stąd nie ruszaj. Przyprawdzą dzieci. Proszę, ten jeden raz mnie posłuchaj.

W ciemnym korytarzu na górze nie było nikogo. W każdym razie nikogo nie widziałem. Serce waliło mi jak oszalałe, kiedy pędziłem do pokoju dzieci.

Nasłuchiwałem kolejnego hałasu. Wszystko ucichło. Zrozumiałem ten koszmarne fakt: ktoś jest w naszym domu. Odpędziłem tę myśl.

Musiałem się skupić na nim. Wiedziałem, kim jest. Utrzymywałem czujność przez wiele tygodni, odkąd wraz z Samp-

sonem przywieźliśmy Maggie Rose do Stanów. W końcu odrobiną się odprężyłem. I wtedy przyszedł.

Popędziłem do pokoju dzieci. Puściłem się biegiem przez korytarz.

Otworzyłem skrzypiące drzwi. Damon i Janelle wciąż spali. Chciałem ich obudzić, a potem zanieść do babci. Ze względu na dzieci nigdy nie trzymałem broni na górze. Była w pokoiku na parterze.

Włączyłem lampkę przy łóżku. Nic! Nie było światła.

Przypomniałem sobie zabójstwa Sandersów i Turnerów. Soneji kochał mrok. Ciemność była jego wizytówką. Zawsze wyłączał prąd. Monstrum naprawdę tu było.

Nagle otrzymałem przerażająco mocny cios.

Coś rąbnęło mnie z siłą rozpędzonej ciężarówki. Wiedziałem, że to Soneji. Rzucił się na mnie! Prawie mnie ogłuszył tym jednym uderzeniem.

Był brutalnie silny. Przez całe życie ćwiczył mięśnie. Od czasu, gdy zamykano go w piwnicy, regularnie wykonywał ćwiczenia izometryczne. Żył w napięciu przez co najmniej trzydzieści lat: knując, jak wyrównać rachunki z całym światem, jak zdobyć sławę, która jego zdaniem mu się należała.

„Ja chcę być kimś!”.

Rzucił się na mnie po raz drugi. Runęliśmy na ziemię. Wydusił ze mnie całe powietrze.

Skronią uderzyłem o ostry kant biurka. Zamroczyło mnie. W uszach mi dzwoniło. Przed oczami tańczyły gwiazdy.

–Doktorze Cross? Czy to ty? Czyżbyś zapomniał, czyj to jest show?

Ledwie widziałem twarz Gary'ego Sonejiego, kiedy wykrzykiwał moje nazwisko. Chciał mi wyrzucić fizyczną krzywdę swoim rozdzierającym krzykiem, samym jego natężeniem.

–Nic mi nie możesz zrobić! – wrzasnął ponownie. – Nic mi nie możesz zrobić, doktorze! Rozumiesz? Rozumiesz wreszcie? To ja jestem gwiazdą. A nie ty!

Ręce miał całe umazane we krwi. Krew była wszędzie. Dopiero teraz to zobaczyłem. Kogo on skrzywdził? Co on zrobił w naszym domu?

W drgającym mroku pokoju dziecięcego widziałem jakieś kształty. Soneji trzymał w ręku nóż, unosił go wysoko i mierzył nim we mnie.

–To ja jestem tu gwiazdą! Jestem Soneji! Murphy! Jestem, kim tylko zechcę!

Dotarło do mnie, czyją krew ma na rękach i ramionach. Moją. Przy pierwszym uderzeniu pchnął mnie nożem.

Uniósł ostrze, by zadać drugi cios, rycząc przy tym jak dzikie zwierzę. Dzieci już się obudziły. Damon zawołał: „Tatusiu!”, a Jannie zaczęła płakać.

–Uciekajcie stąd! – krzyknąłem.

Ale one były zbyt przerażone, żeby ruszyć się z łóżek.

Soneji raz zamarkował cios, po czym znów zaatakował. Poruszyłem się i ostrze prześlizgnęło się na ukos po moim ramieniu.

Tym razem poczułem ból i dokładnie wiedziałem, skąd pochodzi. Nóż Sonejiego przeciął mi ramię.

Wrzasnąłem głośno na Sonejiego/Murphy'ego. Dzieci płakały. Chciałem go teraz zabić. Czułem, że mózg mi zaraz wybuchnie. Nie było we mnie nic poza wściekłością na tego potwora, który wdarł się do mojego domu.

Soneji/Murphy znów uniósł nóż. Śmiercionośne ostrze było długie i tak precyzyjne, że w ogóle nie poczułem pierwszego ciosu. Weszło w ciało jak w masło.

Usłyszałem inny krzyk – pełen wściekłości wrzask. Na upiorny ułamek sekundy Soneji zamarł bez mchu.

Potem znowu warknął i obrócił się w miejscu.

Jakaś postać zamachnęła się na niego od drzwi. To Mama Nana odwróciła jego uwagę.

–To nasz dom! – krzyknęła gniewnie. – Wynocha z naszego domu!

Kątem oka dostrzegłem jakiś błysk na biurku. Wyciągnąłem rękę i złapałem nożyczki, które leżały na książeczce z wycinankami Janelle. Kuchenne nożyczki babci.

Soneji/Murphy wykonał kolejne cięcie nożem. Czy to ten sam nóż, którego używał podczas morderstw na osiedlach? Ten sam, którym zamordował Vivian Kim?

Zamachnąłem się nożyczkami i poczułem, jak wbijają się w skórę. Przeorałem mu policzek. Jego wrzask rozniósł się po pokoju:

–Skurwysynu!

–To tak, żebyś miał po mnie pamiątkę – szydziłem. – I kto teraz krwawi? Soneji czy Murphy?

Wykrzyczał coś niezrozumiałego. Potem znów się na mnie rzucił.

Nożyczki trafiły go gdzieś w bok szyi. Odskoczył, wyrrywając mi je z ręki.

–No, chodź tu, gnoju! – wrzasnąłem.

Nagle się zachwiał i zataczając się, wypadł z pokoju. Nie zaatakował babci. Może przypominała mu matkę. A może tylko odniósł zbyt ciężką ranę.

Obiema rękami trzymał się za twarz. Wybiegł z pokoju, wyjąc przeraźliwie. Czy mógł się teraz znajdować w stanie fugi? Czy był pogrążony w którejś ze swych fantazji?

Opadłem na jedno kolano i miałem ochotę zostać w tej pozycji. W głowie słyszałem głośny huk. Zdołałem wstać. Wszędzie była krew – na mojej koszulce, na bokserkach, na nogach. Moja i jego.

Napędzała mnie adrenalina. Złapałem jakieś ubranie i popędziłem za Sonejim. Tym razem mi nie ucieknie. Nie pozwolę na to.

Rozdział 89

Pobiegłem do pokoiku na dole. Złapałem rewolwer i zarzuciłem szelki z kaburą na koszulę. Wiedziałem, że on ma jakiś plan – na wypadek gdyby musiał uciekać. Na pewno każdy krok przemyślał setki razy. On żył w świecie swoich fantazji, a nie w świecie rzeczywistym.

Pomyślałem, że pewnie opuści dom. Ucieknie, żeby w przyszłości znów nawiązać walkę. Czyżbym zaczynał myśleć jak on? Chyba tak. Przerażające.

Drzwi frontowe stały otworem. Byłem na tropie. Jak na razie. Rozmazana krew na dywanie. Czy zostawił mi ślad?

Dokąd mógłby się udać Gary Soneji/Murphy, gdyby w naszym domu coś mu się nie powiodło? Zawsze miał plan awaryjny. Gdzie znajdowała się jego idealna kryjówka? Jaki mógł być jego kompletnie niespodziewany krok? Ciężko mi było myśleć z krwawiącym bokiem i ramieniem.

Zataczając się, wypadłem na dwór, we wczesnoporanny mrok i przejmujący chłód. Na naszej ulicy panowała idealna cisza. Była czwarta nad ranem. Miałem tylko jeden pomysł, gdzie mógł się podziać Soneji.

Ciekawe, czy spodziewał się, że za nim podążę. Czy już na mnie czekał? Czy Soneji/Murphy wciąż był dwa kroki przede mną? Jak dotąd zawsze mu się to udawało. Teraz to ja go musiałem wyprzedzić – ten jeden raz.

Metro miało stację jedną przecnicę od naszego domu na 5th

Street. Tunel wciąż jeszcze był w budowie, ale część okolicznych dzieciaków chodziła tamtędy cztery przecznice do Wzgórza Kapitolskiego... pod ziemią.

Kuśtykając, potruchtałem do wejścia na stację. Bolało mnie, ale nic sobie z tego nie robiłem. On się wdarł do mojego domu. On chciał podnieść rękę na moje dzieci.

Zszedłem po schodach i ruszyłem do tunelu. Wyciągnąłem rewolwer z kabury pod pachą.

Każdy krok był jak kolejny ostry cios w bok. Obolały ruszyłem tunelem, nisko na nogach, z bronią gotową do strzału.

On mógł mnie teraz obserwować. Czy spodziewał się, że tutaj przyjdę? Szedłem dalej przed siebie. To mogła być pułapka. W tyłu miejscach miał szansę się tu schować.

Wreszcie dotarłem do samego końca. Żadnych śladów krwi. Sonejiego/Murphy'ego nie było w metrze. Zbiegł jakąś inną drogą. Znow mu się udało uciec.

Poziom adrenaliny powoli opadał, zaczynałem słabnąć. Byłem zmęczony i zdezorientowany. Wróciłem kamiennymi schodami na górę.

Późni klienci opuszczali całonocny bar Fox's. Musiałem żałośnie wyglądać. Cały umazany krwią. Ale nikt się nie zatrzymał. Nawet jeden człowiek. Wszyscy w stolicy naoglądali się już dostatecznie dużo takich upiornych obrazków.

W końcu stanąłem przed kierowcą ciężarówki, który przywiózł stos egzemplarzy „Washington Post”. Powiedziałem, że jestem policjantem. Upływ krwi sprawił, że czułem się jak na lekkim haju. Trochę mi się kręciło w głowie.

–Ja nic nie zrobiłem – powiedział.

–Nie postrzeliłeś mnie, gnoju?

–Nie, proszę pana. Pan naprawdę jesteś gliną?

Kazałem się zawieźć do domu. Podczas jazdy, przez całe sześć przecznic, mężczyzna zarzekał się, że pozwie miasto.

–Pozwij Monroego – powiedziałem. – Z moim błogosławieństwem.

–Pan naprawdę jesteś gliną? – dopytywał się. – Pan nie jesteś gliną.

–Owszem, jestem gliną.

Przed moim domem stały już radiowozy i karetki. To był mój powracający koszmar – właśnie ta scena. Jeszcze nigdy policja i pogotowie nie zajęły przed mój dom.

Sampson także już tam dotarł. Był ubrany w czarną skórzaną kurtkę, narzuconą na starą, wytartą bluzę Baltimore Orioles. Na głowie miał czapkę z tournée Hoodoo Gurus.

Patrzył na mnie jak na wariata. Za jego plecami tańczyły czerwone i niebieskie światła.

–Siema. Najlepiej to ty nie wyglądasz. Wszystko w porządku, stary?

–Dwa razy dostałem nożem myśliwskim. To i tak lepiej niż wtedy, jak nas postrzelili w Garfield.

–Aha. Na pewno gorzej wygląda, niż jest naprawdę. Chciałbym, żebyś się położył tu na ziemi. Alex, połóż się.

Kiwnąłem głową, po czym odwróciłem się i odszedłem. Musiałem to doprowadzić do końca. W jakiś sposób to się musiało skończyć.

Sanitariusze usiłowali mnie zmusić, żebym się położył na trawniku. Na naszym malutkim trawniku. Albo na noszach.

Miałem jeszcze jeden pomysł. Drzwi frontowe stały otwarte na oścież. Zostawił otwarte drzwi. Dlaczego?

–Zaraz do was wrócę – powiedziałem, mijając sanitariuszy. – Nie chowajcie tych noszy.

Wszyscy na mnie krzyczeli, ale ja i tak parłem naprzód.

Ostrożnie, po cichu, przeszedłem przez pokój dzienny i udałem się do kuchni. Otworzyłem drzwi, które znajdują się po przekątnej od tylnego wyjścia z domu, po czym ruszyłem schodami na dół.

W piwnicy niczego nie widziałem. Żadnego ruchu. Nic niezwykłego. To był mój ostatni pomysł.

Podszedłem do kosza obok pieca. Babcia wrzuca tam wszystkie rzeczy do prania. Kosz stoi najdalej od schodów. W ciemnej piwnicy na pewno nie było Sonejiego/Murphy'ego.

Tymczasem po schodach zbiegł Sampson.

–Tutaj go nie ma! Ktoś go widział w centrum. Jest przy Dupont Circle.

–On chce odstawić jeszcze jedno wielkie przedstawienie – mruknąłem. –
Sukinsyn.

Syn Lindbergha.

Sampson nawet nie próbował mnie powstrzymać przed pójściem razem z nim. Wyczytał w moich oczach, że i tak nic by nie wskórał. Obaj pobiegliśmy do jego samochodu. Uznałem, że ze mną wszystko w porządku. Inaczej już bym padł.

Jeden z lokalnych chuliganów spojrzał na lepką krew na przodzie mojej koszulki.

–Ej, Cross, umierasz? Nieźle by było.

Wygłosił nade mną mowę pogrzebową.

Dojechaliśmy do Dupont Circle mniej więcej w dziesięć minut. Wszędzie stały radiowozy – brzask rozświetlały upiorne czerwone i granatowe błyski.

Większość z tych chłopców kończyła nocną zmianę. Nikt nie miał ochoty oglądać szaleńca na wolności w samym centrum Waszyngtonu.

Jeszcze jedno wielkie przedstawienie.

„Ja chcę być kimś”.

Przez następną godzinę nic się nie działo – poza tym, że zrobiło się jasno. Na ulicy pojawiali się piesi. Gęstniał ruch uliczny. Waszyngton zaczynał dzień pracy.

Wśród rannych ptaszków wielu było ciekawskich. Zatrzymywali się i zadawali policjantom pytania. Nie mówiliśmy nic poza: „Proszę się nie zatrzymywać. Proszę iść dalej. Nie ma tu nic do oglądania”. Dzięki Bogu.

Lekarz z karetki opatrzył moje rany. Więcej było krwi niż prawdziwych urazów. Oczywiście chciał mnie od razu wieźć do szpitala. To mogło poczekać. Jeszcze jedno wielkie przedstawienie. Dupont Circle? Waszyngton? Gary So-neji/Murphy zawsze uwielbiał urządzać przedstawienia w Waszyngtonie.

Powiedziałem lekarzowi, żeby dał mi spokój. Posłuchał. Zażyczyłem sobie natomiast paru mocnych tabletek przeciwbólowych. Na krótką metę wystarczyły.

Sampson stał tuż obok i zaciągał się papierosem.

–Zaraz się przewrócisz – powiedział. – Normalnie się

wywalisz. Padniesz jak jakiś wielki afrykański słoń na nagły atak serca.

Rozkoszowałem się zawrotami głowy od leków.

–Nie nagły atak serca – odparłem. – Wielki afrykański

słoń parę razy dostał nożem. Zresztą żaden słoń. Afrykańska antylopa. Zgrabne, piękne, silne zwierzę.

W końcu ruszyłem w stronę samochodu Sampsona.

–Masz jakiś pomysł? – zawołał za mną. – Alex?

–Tak. Chodź, jedziemy. Nie ma sensu tutaj stać i czekać. Przecież on nie zacznie strzelać do samochodów w korku.

–Jesteś pewien, Alex?

–Jestem pewien.

Krążyliśmy po centrum miasta prawie do ósmej. Zaczynaliśmy tracić nadzieję. A ja robiłem się bardzo śpiący.

Wielka afrykańska antylopa była gotowa paść. Po brwiach spływały mi krople potu. Skapywały z nosa. Staralem się myśleć jak Gary Soneji/Murphy. Czy był teraz w centrum? Czy może dawno uciekł z Waszyngtonu?

O 7.58 otrzymaliśmy przez radio wezwanie.

–Uwaga wszystkie wozy. Podejrzanego zauważono na Pennsylvania Avenue w pobliżu parku Lafayette'a. Podejrzany jest uzbrojony w broń automatyczną. Kieruje się w stronę Białego Domu. Wszystkie wozy do akcji.

Jeszcze jedno wielkie przedstawienie. Przynajmniej w końcu go trochę rozgryzłem. Kiedy go znaleźli, znajdował się niecałe dwie przecznice od Pennsylvania Avenue 1600. Dwie przecznice od Białego Domu.

„Ja chcę być kimś”.

Przyskrzynili go pomiędzy warsztatem szewca a kamienicą z piaskowca, pełną biur prawniczych. Za osłonę służył mu zaparkowany obok jeep cherokee.

Był jednak kolejny problem: wziął zakładników. Dwoje małych dzieci, które tego ranka wcześniej szły do szkoły. Na oko miały jedenaście, może dwanaście lat – mniej więcej tyle, ile Gary, kiedy macocha zaczęła go zamykać w piwnicy.

Chłopiec i dziewczynka. Jak Maggie Rose i Michael Goldberg niemal dwa lata wcześniej.

–Komendant rejonowy Cross – powiedziałem, przechodząc przez policyjne barykady, które przegradzały już Pennsyl-vania Avenue.

W głębi ulicy widać było Biały Dom. Zastanawiałem się, czy prezydent ogląda nas w telewizji. Na miejscu był już co najmniej jeden wóz CNN.

Nad naszymi głowami krążyło kilka telewizyjnych helikopterów. Nie mogły się za bardzo zbliżyć do zastrzeżonej strefy powietrznej wokół Białego Domu. Ktoś powiedział, że jedzie tu burmistrz Monroe. Ale Gary'ego interesowała większa zwierzyna. Zażądał rozmowy z prezydentem. Zagroził, że w przeciwnym razie zabije dzieci.

Z tego, co widziałem, wstrzymano ruch na całej Pennsylvania Avenue oraz na poprzecznych ulicach. Ludzie wysiadali z samochodów, porzucając je na jezdni. Wielu zostawało jednak na miejscu, by obejrzeć spektakl. W telewizji oglądały go teraz miliony.

–Myślisz, że ma chrapkę na Biały Dom? – spytał Sampson.

–Potrafię sobie wyobrazić parę stanów, w których mógłby wygrać – odparłem.

Porozmawiałem z dowódcą oddziału antyterrorystycznego. Byłem zdania, że Gary Soneji/Murphy wreszcie dojrzał do tego, by spektakularnie spłonąć. Dowódca oddziału zaofiarował się podrzucić zapalniczkę.

Na miejsce przybył już negocjator. Z wielką chęcią przekazał mi swoje obowiązki. Wreszcie miałem negocjować porozumienie z Sonejim/Murphy.

Sampson złapał mnie za ramię.

–Jak tylko będziemy mieli możliwość – powiedział wprost – to go zdejmujemy. Żadnych sztuczek, Alex.

–Jemu to powiedz – odparłem. – Ale jeśli będzie okazja, to strzelajcie. Załatwcie go.

Kilkakrotnie wytarłem twarz w rękaw. I pocilem się jak mysz. Poza tym było mi niedobrze i kręciło mi się w głowie. Włączyłem megafon.

Teraz ja miałem władzę. Ja też chcę być kimś. Czy to prawda? Czy rzeczywiście w końcu do tego doszło?

–Mówi Alex Cross – zawołałem.

Paru cwaniaczków w tłumie krzyknęło na moją cześć. Ogólnie na centralnej ulicy Waszyngtonu zrobiło się bardzo cicho.

Nagle po drugiej stronie ulicy rozległa się głośna seria z broni maszynowej. Straszny hałas. W samochodach zaparkowanych wzdłuż Pennsylvania Avenue pękały szyby. W ciągu kilku sekund wyrządził zaskakująco duże szkody. Z tego, co widziałem, nikt nie ucierpiał. Porwane dzieci były całe i zdrowe. Tak, Gary, też się cieszę, że cię widzę.

Zaraz potem po przeciwległej stronie ulicy rozległ się głos. Głos Gary'ego.

Krzyczał do mnie. Teraz liczyliśmy się tylko ja i on. Czy tego właśnie chciał? To

była jego własna wersja W samo południe w sercu stolicy. Transmitowana na cały kraj.

–Chciałbym cię zobaczyć, doktorze. Alex, wyjdź na ulicę. Pokaż wszystkim swoją ładną buźkę.

–Dlaczego miałbym to zrobić? – zapytałem przez megafon.

–Nawet o tym nie myśl – szepnął mi za plecami Samp-son. – Jak tam wyjdiesz, to sam cię zastrzelę.

Po drugiej stronie ulicy znowu padła seria z broni maszynowej. Tym razem jeszcze dłuższa niż poprzednio. Waszyngton zaczynał przypominać centrum Bejrutu. Zewsząd słyszałem trzask i terkot aparatów fotograficznych.

Nagle wstałem i wyszedłem zza policyjnego sedana. Niezbyt daleko – wystarczająco, żeby dać się zastrzelić. Paru dupków znowu zaczęło wiwatować.

–Gary, tutaj jest telewizja – krzyknąłem. – Oni to wszystko kręcą. Ja tu teraz stoję i to mnie filmują. Skończy się tak, że to ja będę wielką gwiazdą. Początek miałem kiepski, ale za to finisz rewelacyjny.

Soneji/Murphy wybuchł śmiechem. Śmiał się tak przez dobrą chwilę. Ogarnął go szal? Depresja?

–Wreszcie mnie rozgryzłeś? – zawołał. – Czyżby?

Wreszcie wiesz, kim jestem? Wiesz, czego chcę?

–Wątpię. Ale wiem, że jesteś ranny. I myślisz, że umierasz. W przeciwnym razie – zawiesiłem głos, żeby to, co powiem, zabrzmiało równie dramatycznie, jak dramatyczne musiało być w jego odczuciu – w przeciwnym razie nie dałbyś nam się znowu złapać.

Po drugiej stronie Pennsylvania Avenue, dokładnie *vis-a-vis*, zza jasnoczerwonego jeepa podniósł się Soneji/Murphy. Dzieci leżały za nim na chodniku. Żadnemu jak na razie nie stała się krzywda.

Gary uklonił mi się teatralnie. Wyglądał jak typowy amerykański chłopak, dokładnie tak jak w sądzie.

Szedłem w jego kierunku. Byłem coraz bliżej.

–Niezły ruch – zawołał. – Zgrabnie powiedziane. Ale to ja jestem gwiazdą.

Nagle wycelował we mnie broń.

Za moich pleców padł strzał.

Gary Soneji/Murphy padł w tył, w kierunku warsztatu szewca. Upadł na chodnik i przetoczył się na bok. Dzieci zaczęły krzyczeć. Podniosły się i uciekły.

Rzuciłem się pędem przez ulicę, najszybciej jak potrafiłem.

–Nie strzelać! – krzyknąłem. – Wstrzymać ogień.

Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem Sampsona. Jego służbowy rewolwer wciąż był wycelowany w Gary'ego Mur-phy'ego. Sampson uniósł broń ku niebu. Nie odwracał ode mnie wzroku. Skończył to wszystko za nas obu.

Gary leżał skulony na chodniku. Z głowy i ust płynęła jasna struga krwi. Nie ruszał się. W dłoni wciąż ścisnął karabin automatyczny.

W pierwszej kolejności pochyliłem się i zabrałem mu broń. Za plecami słyszałem trzask aparatów fotograficznych. Dotknąłem jego ramienia.

–Gary?

Bardzo ostrożnie obróciłem ciało. Wciąż się nie ruszał. Nie dawał żadnych znaków życia. Znowu wyglądał jak ten typowy amerykański chłopak. Na tę imprezę przyszedł jako on sam, jako Gary Murphy.

Kiedy tak na niego patrzyłem, nagle otworzył oczy i uniósł wzrok. Spojrzał wprost na mnie. Powoli otworzył usta.

–Niech pan mi pomoże – szepnął w końcu cichym, stłumionym głosem. – Niech pan mi pomoże, doktorze Cross.

Proszę, niech mi pan pomoże.

Przyklękąłem obok niego.

–Kim jesteś? – spytałem.

–Jestem Gary... Gary Murphy – powiedział.

Szach-mat.

Epilog

**Sprawiedliwość z pogranicza
(1994)**

Kiedy wreszcie nadszedł ten nieuchronny dzień, nie byłem w stanie zasnąć, nawet na kilka godzin. Nie mogłem grać na fortepianie. Nie chciałem nikogo oglądać, nie chciałem rozmawiać o tym, co miało się stać za kilka godzin. Wślizgnąłem się do pokoju dzieci i ucałowałem je, żadnego nie budząc. Wyszedłem z domu około drugiej nad ranem.

Do więzienia federalnego Lorton dotarłem o trzeciej. W świetle księżyca maszerowali demonstranci z transparentami wykonanymi domowym sposobem. Niektórzy śpiewali protest songi z lat sześćdziesiątych. Wielu się modliło. Wśród zebranych było kilka zakonnic, kilku księży i pastorów. Zauważyłem, że większość demonstrantów to kobiety.

Sala egzekucyjna w Lorton to niewielki, zwyczajny pokój z trzema oknami. Jedno z nich zarezerwowano dla prasy. Jedno – dla obserwatorów ze strony władz stanowych. Trzecie przeznaczone było dla rodziny i przyjaciół więźnia.

Wszystkie trzy okna przesłonięto granatowymi zasłonami. O godzinie trzeciej trzydzieści rano funkcjonariusz więzienny kolejno je odsunął. Oczom zebranych ukazały się szpitalne nosze na kółkach. Szerokie pasy przytrzymały skazańca. Nosze miały prowizoryczną półeczkę, podtrzymującą lewą rękę.

Jezzie patrzyła w sufit, ale kiedy do noszy podeszło dwóch techników, oprzytomniała i jakby się spięła. Jeden z techników na szpitalnej tacy ze stali nierdzewnej niósł igłę. Wbicie igły

425

połączonej z cewnikiem to jedyne źródło fizycznego bólu, jeśli egzekucja przez zastrzyk z trucizny przeprowadzona jest prawidłowo.

Od kilku miesięcy odwiedzałem w Lorton zarówno Jezzie, jak i Gary'ego. Miałem urlop i chociaż pisałem tę książkę, miałem dużo czasu na wizyty.

Gary zdawał się rozsypywać. Potwierdzały to wszystkie diagnozy. Całe dni spędzał pogrążony w złożonym świecie swoich fantazji.

W każdym razie takie robił wrażenie. To go uchroniło przed następnym procesem. To go uchroniło przed ewentualnym wyrokiem śmierci. Byłem przekonany, że to kolejna z jego gier, ale nikt mnie nie chciał słuchać. Miałem pewność, że już szykuje nowy plan.

Jezzie zgodziła się ze mną rozmawiać. Zawsze byliśmy w stanie rozmawiać. Nie zaskoczyło jej, że ona i Charles Chakely otrzymali wyroki śmierci. Bądź co bądź była odpowiedzialna za śmierć syna sekretarza skarbu. Wraz z dwoma agentami Secret Service porwała Maggie Rose Dunne. Odpowiadali za śmierć Michaela Goldberga, a także Vivian Kim. Jezzie i Devine zamordowali również pilota z Florydy, Josepha Denyeau.

Powiedziała mi, że czuła wyrzuty sumienia, od samego początku.

–Ale to nie wystarczyło, żebym się zatrzymała. Po drodze coś musiało we mnie pęknąć. Dzisiaj pewnie zrobiłabym to samo. Dla dziesięciu milionów dolarów

podjęłabym takie ryzyko. I wielu innych ludzi też. Alex, żyjemy w erze chciwości. Ale ty nie.

–Skąd to wiesz? – spytałem.

–Po prostu wiem. Ty przecież jesteś Czarnym Rycerzem.

Powiedziała, że kiedy będzie już po wszystkim, nie powinienem się z tym czuć źle.

Mówiła, że demonstranci ją złoścą.

–Gdyby zginęło im dziecko, większość z nich inaczej by reagowała.

A ja czułem się źle. Bardzo źle. Nie wiedziałem, na ile mogę

wierzyć Jezzie, ale i tak nie było mi z tym dobrze. Nie chciałem przyjeżdżać do Lorton, ale ona mnie o to poprosiła.

Poza mną w tym oknie nie było ani jednej osoby. Jezzie nie miała na świecie nikogo bliskiego. Jej matka zmarła wkrótce po aresztowaniu. Półtora miesiąca wcześniej były agent Secret Service Charles Chakely został stracony na oczach rodziny. To przypieczętowało los Jezzie.

Długie, plastikowe rurki łączyły igłę wbitą w jej ramię z kilkoma kroplówkami. Pierwsza – która już została włączona – aplikowała nieszkodliwy roztwór solny.

Na znak naczelnika do kroplówki miał zostać dodany tiopen-tal – barbiturat, będący środkiem przeciwbólowym, a jednocześnie usypiającym. Następnie miała zostać podana duża dawka pavulonu, powodującego śmierć po upływie dziesięciu minut. Aby przyspieszyć proces, dawce pavulonu miała towarzyszyć taka sama dawka chlorku potasu, który rozluźnia serce i zatrzymuje jego pracę. Śmierć powinna nastąpić w przeciągu około dziesięciu sekund.

Jezzie odnalazła moją twarz w oknie „dla bliskich”. Delikatnie pomachała palcami, spróbowała się nawet uśmiechnąć. Przed egzekucją zadała sobie trud, żeby uczesać włosy, obcięte teraz na krótko, ale wciąż piękne. Pomyślałem o Marii, o tym, że nie dane nam się było pożegnać. Czułem, że teraz może być jeszcze gorzej. Bardzo chciałem czym prędzej uciec z więzienia, ale zostałem. Obiecałem Jezzie, że zostanę. Ja zawsze dotrzymuję obietnic.

W rzeczywistości nie było w tym nic drastycznego. Jezzie w końcu zamknęła oczy. Zastanawiałem się, czy już podano śmiertelne substancje, ale nie miałem sposobu, by to stwierdzić.

Odetchnęła głęboko, a potem jej język zapadł się w głąb krtani. Tak właśnie wygląda współczesna egzekucja. To był koniec życia Jezzie Flanagan.

Wyszedłem z więzienia i pospieszyłem do samochodu. Mówiłem sobie, że jestem psychologiem i policjantem. Że potrafię to znieść. Że wszystko potrafię znieść. Że nie ma drugiego takiego twardziela. Nigdy nie było.

Ręce wcisnąłem głęboko w kieszenie płaszcza. W prawej dłoni ścisnąłem coś tak mocno, że aż bolało – srebrny grzebień do włosów, który Jezzie dała mi bardzo dawno temu.

Gdy dotarłem do auta, za wycieraczką po stronie kierowcy zauważyłem zwykłą, białą kopertę. Wcisnąłem ją do kieszeni i otworzyłem dopiero po drodze do Waszyngtonu. Domyślałem się, co to jest – i miałem rację. Monstrum wysłało mi wiadomość. Nader osobistą. Śmiało mi się w twarz.

Drogi Aleksie,

Czy płakała, jęczała i błagała o litość, zanim ją dźgnęli?

A ty uroniłeś może łezkę?

Pozdrów ode mnie rodzinę. Chciałbym zostać zapamiętany.

Na zawsze

Syn L.

Wciąż prowadził te swoje gierki. I tak już miało pozostać. Ostrzegałem o tym każdego, kto tylko chciał mnie słuchać. Opracowałem jego profil psychologiczny dla czasopism. Gary Soneji/Murphy był w pełni odpowiedzialny za swoje czyny. Uważałem, że powinien stanąć przed sądem za morderstwa w południowo-wschodniej części miasta. Rodzinom jego czarnoskórych ofiar również należały się sprawiedliwość i zadośćuczynienie. Jeśli ktokolwiek zasługiwał na wyrok śmierci, to właśnie Soneji/Murphy.

Fakt, że otrzymałem ten list, oznaczał, że Gary zdołał przekabacić jakiegoś strażnika. Nawiązał kontakt z kimś w Lor-ton. Miał nowy plan. Następny plan dziesięcio- albo dwudziestoletni? Kolejne jego fantazje i kolejne gierki.

Jadąc w kierunku Waszyngtonu, zastanawiałem się, kto był zdolniejszym manipulatorem: Gary czy Jezzie? Wiedziałem, że oboje byli psychopatami. Ten kraj generuje ich więcej niż jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi. Wszelkich kalibrów i rodzajów, wszelkich ras, wyznań i płci. To jest właśnie najbardziej przerażające.

Tamtego ranka po powrocie usiadłem do fortepianu. Zagrałem Błękitną rapsodię. Zagrałem *Let 's Give Them Something to Talk About* Bonnie Raitt. Janelle i Damon przyszli posłuchać swojego ulubionego pianisty. To znaczy drugiego ulubionego – po Rayu Charlesie, ma się rozumieć. Usiedli obok mnie. Wszyscy troje chętnie słuchaliśmy muzyki i czerpaliśmy przyjemność z fizycznej bliskości.

Potem poszedłem do świętego Antka na lunch i takie tam. Orzechowy Ludek żyje.

Spis treści

Prolog

Zabawmy się w udawanie (1932)... 7

Część pierwsza

Maggie Rose i Michael Krewetka (1992)... 13

Część druga

Syn Lindbergha... 127

Część trzecia

Ostatni dżentelmen z Południa... 191

Część czwarta

Pamiętamy Maggie Rose... 275

Część piąta

Drugie śledztwo... 317

Część szósta

Dom Crossów... 405

Epilog

Sprawiedliwość z pogranicza (1994)... 423

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-07

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/